

Cudownie nostalgiczna i wruszająca powieść  
o matkach i córkach, tęsknotach, nadziejach oraz drugich szansach

C A Ł A  
W S T E C Z



H E L E N F I S H E R

Prószyński i S-ka

H E L E N F I S H E R

C A Ł A  
W S T E C Z

Przełożyła  
Teresa Komłosz

Prószyński i S-ka

*Dedykuję tę opowieść moim dzieciom,*

*Cleo i Dylanowi,*

*dobrym, mądrym i zabawnym.*

*Z miłością.*



Utrata matki jest jak wyrwanie zęba: cały czas odczuwam brak, ale mogę go ukryć, dopóki nie otwieram ust. Dlatego rzadko o niej mówię.

Wybrałam smutny początek dla mojej niewiarygodnej, krótkiej opowieści, ale proszę, postarajcie się mnie zrozumieć, kocham swoje życie. Jestem całkiem zwyczajną trzydziestoparolatką z dwiema córkami i mężem Eddie, który przygotowuje się do roli duchownego. Najwidoczniej uważa, że będę idealną żoną pastora, ale ja nie jestem pewna, czy sprostam temu wyzwaniu. W porównaniu z mężem mogę uchodzić za osobę bardziej racjonalną, polegającą na nauce. Sądzę jednak, że po tym, co przeszłam, powinnam uwierzyć we wszystko.

Eddie twierdzi, że posiadam wszystkie niezbędne cechy, a sama też uważam się za dobrego człowieka. Na przykład można mi powiedzieć dosłownie wszystko, a ja nie osądzam; nawet jeśli się dziwię, ukrywam to z troski o uczucia rozmówcy. I nigdy nie kłamię, nie licząc bajki o Świętym Mikołaju. Zawsze byłam szczerą wobec Eddiego, bo tak już jest między nami – ani jednego kłamstwa. Aż do teraz.

Teraz jestem kłamczuchą. I złodziejką.

I nie mogę już z ręką na sercu powiedzieć nawet tego, że jestem normalna. Pozwolę, żebyście sami ocenili. Okłamywanie męża przyprawia mnie o mdłości i rozpaczliwie chcę przestać, ale kłamstwa są jak palce u stóp, tam, gdzie jest jeden, zawsze w pobliżu są też inne. Moja największa wina do wyznania jest taka, że odwiedzam matkę i kłamię w tej sprawie, ale odnoszę też różne obrażenia i wtedy również kłamię, tyle tego. Gdybym powiedziała Eddiemu prawdę, starałby się zrozumieć, bo jest dobrym człowiekiem. Jednak podchodząc do sprawy logicznie, należy zakładać, że raczej uzna mnie za szaloną.

Może jestem wobec niego nie w porządku, ponieważ tak jak ja kocham i potrzebuję mojego męża, tak on kocha i potrzebuje mnie, a w ostatnich miesiącach uświadomiłam sobie coś ważnego. Nie mogę powiedzieć Eddiemu, co się dzieje, choćbym nie wiem jak chciała. Nie dlatego, że mi nie uwierzy, tylko dlatego, że mógłby mi uwierzyć.

A jeśli Eddie mi uwierzy, będzie próbował mnie powstrzymać.

Pozwólcie, że zacznę od początku, choć właściwie nie potrafię go dokładnie umiejscowić w czasie. A czas nie tak łatwo zrozumieć, jak mi się kiedyś wydawało.

Zaczęło się od zdjęcia i pudła... No cóż, mówię „zaczęło”, czyli jednak wyznaczam jakiś punkt. Umówmy się, że mogłabym filozofować na temat „początku” i tego, co w istocie oznacza, ale nie chcę na razie o tym mówić, będę wdzięczna, jeśli nie będziecie mnie ponaglać i odłożymy tę dyskusję (a gwarantuję, że pojawi się znowu). Ustalmy, że rozsądnym punktem wyjścia dla mojej opowieści jest zdjęcie.

To typ fotografii, jakie mają miliony ludzi. Można je znaleźć zatknięte w książce, której się nie otwierało przez lata, albo wypadają ze starych albumów, bo wysechł na nich klej. Założę się, że też takie trzymacie w pudełku po butach, schowane pomiędzy innymi szczątkami życia: listami miłosnymi, pocztówkami i kartkami z chrztu jakichś nieznanych dzieci. Moja wypadła z książki kucharskiej, takiej bez ilustracji, za to z zabrudzeniami przy ulubionych przepisach, czekoladowymi odciskami palców i kilkoma odręcznymi notatkami. Książka należała do mojej matki, która uwielbiała słodkości; strona poświęcona czekoladowemu brownie była najbardziej sfatygowana, podobnie jak strona z przepisem na pudding o smaku toffi.

Zdjęcie przedstawia mnie. Na odwrocie napisano: „Faye, Boże Narodzenie 1977”. Obracając je w palcach, patrzyłam na uśmiechniętą sześciolatkę, czyli siebie sprzed trzydziestu lat. Rumiane policzki, piwne oczy i burza niesfornych loków. Na zdjęciu siedzę w pudle po dużej gumowej piłce z uchwytemi nazwanej kosmicznym skoczkiem i wyglądam jak lalka wychodząca z ozdobnego opakowania podczas

Gwiazdki. Mam na sobie miękki różowy szlafroczek z małym okrągłym kołnierzykiem, a choinka za moimi placami aż się ugina pod ciężarem kolorowych światełek i dekoracji. Sprawiam wrażenie takiej szczęśliwej... Oczywiście. Byłam dzieckiem, trwało Boże Narodzenie, a matka robiła to zdjęcie. Musiał być idealny, beztroski dzień. Matka, którą ledwie pamiętałam, musiała się pławić w pełnym miłości spojrzeniu tej małej dziewczynki. Mojej miłości. Przyniosłam zdjęcie do oczu, starając się obejrzeć je dokładniej, zobaczyć więcej, niż mogło mi pokazać.

Pracuję w instytucji służącej szeroko pojętym wsparciem ludziom, którzy całkowicie lub częściowo utracili wzrok. Projektuję dla nich różne rzeczy, a rok wcześniej sprawdzałam dostępne na rynku aparaty, z tych zaawansowanych technologicznie. Pewien niewidomy, z którym pracuję i się przyjaźnię, Louis, brał udział w dyskusji o aparatach fotograficznych przyszłości i o tym, czego dzięki nim będzie można dokonać. Najbardziej pragnął tego, by w momencie, gdy bierze zdjęcie do ręki, mógł „poczuć” nie tylko to, co na nim widać. Powiedział, że chciałby objąć sfotografowanych ludzi, i wyraził przekonanie, że kiedyś to będzie możliwe. Urodził się niewidomy i chyba sądzi, że widzącym już teraz zdjęcia pokazują więcej, niż to możliwe.

Rozumiem jednak, o co mu chodzi, bo kiedy patrzę na siebie w pudle pod choinką, mam ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć twarzy matki. Nie widać jej na zdjęciu, a przecież tam jest. Dałabym wszystko, żeby ją zobaczyć i dotknąć. Tak bardzo bym chciała tam wejść i spędzić z nią kilka minut.

Zatem wiecie już, że straciłam matkę dawno temu, i powiedziałam wam, że ją odwiedzam, a gdyby Eddie o tym wiedział, próbowałby mnie powstrzymać. Rzecz jasna wiecie też, że nie chodzi o odwiedzanie jej na cmentarzu, bo w tym Eddie nie widziałby żadnego problemu. Proszę, nie porzucajcie mnie, kiedy wam wyjawię, co naprawdę robię. Wczujcie się w moje położenie, wyobraźcie sobie, że mówicie coś takiego swojemu partnerowi, szefowi albo najlepszej przyjaciółce. Myślę, że też byście skłamali, bo upierając się, że mówicie prawdę, trafilibyście w końcu na oddział psychiatryczny.

Waham się, na wypadek gdybyście z kpiącym lub pobłażliwym uśmiechem zaczęli się wycofywać, szukając po omacku kłamki. Bardzo tego nie chcę. Pragnę, żebyście zachowali poważną minę i patrząc mi prosto w oczy, powiedzieli:

– Mów dalej.

Dopiero wtedy opowiem wam resztę mojej historii.

Odwiedzam moją matkę, która umarła, kiedy miałam osiem lat, i nie mam na myśli jej grobu, tylko osobę z krwi i kości, przy stole zastawionym herbatą i ciastkami.

No dobrze, w końcu się przyznałam. Jeśli chcecie odejść, zrozumiem.

Osobami, na których zależy mi najbardziej na świecie, są Esther i Evie. Eddie jest następny w kolejności, choć to nie takie proste, bo są jeszcze Cassie i Clem, moje najlepsze przyjaciółki, bliskie mi jak siostry; siostry, których nigdy nie miałam, ale gdybym mogła je wybrać... albo stworzyć, byłyby właśnie takie. Podczas rozmowy, którą kiedyś odbyłyśmy, prawdopodobnie po drugiej nad ranem, rozważałyśmy, komu każda z nas rzuciłaby ostatnie koło ratunkowe, gdyby znalazła się na tonącym statku, a cała reszta, łącznie z dziećmi, w wodzie. Swoim wahaniem przed udzieleniem odpowiedzi zarobiłam kilka solidnych ciosów poduszką. Odruchowa reakcja zakłada rzucenie liny jednemu z dzieci, ale ja myślałam: „ratuj życie tych, którzy uratują twoich najbliższych”. I rzuciłam linę Eddiemu.

– A co z nami! – zawodziła Clem, a potem spytała, komu bym rzuciła linę, gdyby tylko ona i Cassie znalazły się w wodzie... i szczerze mówiąc, ta odpowiedź sprawiła mi najwięcej trudności. Kiedy jesteś nastolatką pozbawioną żyjących krewnych i poznajesz w college’u dziewczyny takie jak Cassie i Clem... to nagle już masz rodzinę.

Moje życie wyglądało kiedyś tak: córki, Eddie, przyjaciele, praca i obowiązki domowe. Na tym właściwie się kończyło i wszystko w zasadzie sprawnie funkcjonowało. Ale potem nastąpiło to zdarzenie i wszystko się zmieniło. Co innego pochłaniało moją uwagę i życie przestało być proste.

Odkąd znalazłam tę fotografię, noszę ją ze sobą wszędzie, jak talizman przynoszący szczęście, polaroidowy wydruk schowany starannie w portfelu. Martwię się, że może mi się zgubić, ale mimo to wolę ją mieć przy sobie. Więcej niż kiedykolwiek wcześniej w życiu rozmyślałam o matce i o tym, co

mnie ominęło. A w miarę jak rosna moje dzieci, myślę też o tym, co ją ominęło; zanim osiągnęłam ich wiek, jej już nie było.

Zżyłyśmy tylko we dwie. Bez ojca czy krewnych, o których bym wiedziała. Mam w głowie trochę przelotnych wspomnień o matce, ale przypominają motyle, są kruche, pojawiają się i znikają, nim zdążę im się lepiej przyjrzeć. A kiedy umarła, żaden wyraźny obraz tamtego momentu nie został mi w pamięci, jedynie poczucie straty, ale też oczekiwanie i niedowierzanie. Myślałam, że wróci, naprawdę wierzyłam, że znów ją zobaczę. Wiedziałam, że choruje, kaszle i brak jej energii, chociaż dla mnie zawsze zdobywała się na uśmiech. W każdej chwili mogłam liczyć na jej uścisk lub całusa: wystarczyło otworzyć drzwi, przedreptać po dywanie i wspiąć się na jej łóżko, żeby znaleźć otwarte ramiona i ciepło. Uczucie trochę stłumione, ale przyjemne. A potem pewnego ranka obudziłam się, a jej już nie było. Poszłam do znanego mi domu na naszej ulicy i zapukałam do drzwi, do starszego małżeństwa; powiedziałam im, że moja mama jest chora i że nie wiem, co robić. Zostałam z nimi tamtej nocy, z Em i Henrym, i zostałam też na następną. Dzwonili gdzieś, odbywali ściszone rozmowy, zjawił się policjant i powiedzieli mi, że moja matka umarła, ale wszystko będzie dobrze. W końcu zostałam z Em i Henrym na zawsze, a raczej do czasu studiów. Nigdy nie podali mi żadnych szczegółów na temat tamtego czasu, a ja nie czułam się upoważniona do zadawania pytań. Kilka razy w niedzielę pojechaliśmy na cmentarz, żeby złożyć kwiaty na grobie mojej matki, ale poza tym właściwie zniknęła z mojego życia.

Miałam pytania, na które prawdopodobnie nie dało się udzielić odpowiedzi, a puste miejsca wypełniałam domysłami. Domyślałam się, że zabił ją rak, ale nie miałam pewności, bo dlaczego nie było lekarzy i dlaczego nie umarła w swoim łóżku? Może właśnie dlatego chciałam, tak jak Louis, żeby zdjęcie powiedziało mi więcej, niż mogło powiedzieć, a im dłużej na nie patrzyłam, tym bardziej skupiałam się na tekturowym pudle po kosmicznym skoczku i próbowałam sobie przypomnieć, gdzie je ostatnio widziałam.

Niedługo po tym, jak straciłam matkę i zamieszkałam z Em i Henrym, weszłam do swojej nowej sypialni, staroświeckiej, lecz wygodnej, z mnóstwem różowych falbanek, i na środku podłogi stało pudło, w którym dostarczono moją piłkę. Nosiło ślady zniszczenia, ale boki zostały oklejone brązową taśmą dla wzmocnienia, i po uniesieniu przykrywką znalazłam swoje rzeczy. Em i Henry musieli w końcu uznać, że zostaną z nimi na długo, i wrócili do starego domu, żeby zabrać niektóre moje zabawki.

Ustawiłam Smerfy równo na dywanie, było ich chyba pięć; poprzewracały się w miękki stos, na którego wierzchu wylądowała „chodząca” sprężyna. Był tam też plastikowy telefon na kółkach, przewracający oczyma, kiedy się pociągnęło za sznurek, zabawka zbyt dziecinna na mój ówczesny wiek. Były moje konsole, Mały Profesor – ćwiczący umiejętność liczenia, oraz grający Major Morgan. Ułożyłam je obok siebie, jak miniaturowych elektronicznych wujków, i na widok ich radosnych twarzy ogarnął mnie smutek. Włączyłam Małego Profesora i na ekranie ukazało się pytanie z zakresu matematyki. Było aż za łatwe dla mnie, ale specjalnie podałam nieprawidłową odpowiedź. Po trzech błędnych próbach milcząco wyświetlił poprawny wynik; choć miałam ochotę walnąć nim o ścianę, ostrożnie umieściłam go z powrotem obok Majora. W pudle znajdowała się również talia kart do gry w kwartet i książki, głównie autorstwa Enid Blyton – *The Magic Faraway Tree* i *The Wishing-Chair*, oraz ukryta między nimi niczym pasażer na gapę książka kucharska matki, mała, o wytartych od przewracania kartkach i miękkiej czarnej okładce, jak stara Biblia. Otworzyłam ją na stronie pokrytej smugami, przesunęłam opuszkami po domniemanych odciskach palców, po fragmencie odręcznej notatki na marginesie i po małym „ptaszku”, którego postawiła przy jednym z ulubionych przepisów. Na koniec ucałowałam książkę i schowałam razem z pozostałymi.

Na dnie pudła leżały wrotki; podniosłam je do ust, metal kółek był zimny i szorstki od zadrapań kamyczkami ze ścieżki przed domem. Wrotki miały regulowaną długość, więc Henry pomógł mi je przedłużyć, żeby pasowały na moją nogę. W pudełku były jeszcze inne rzeczy, wszystkie wyłożyłam na różowy dywan. Samo pudło stało w kącie pokoju; uśmiech narysowanej na nim piłki denerwował mnie, jakby wiedziała coś, co dla mnie pozostawało tajemnicą, dlatego odwróciłam je obrazkiem do ściany. Opróżnione poskładałam i schowałam do szafy. A kiedy po latach się wyprowadzałam, wzmocniłam boki dodatkową ilością taśmy, by towarzyszyło mi w przeprowadzkach do wszystkich kolejnych domów.

Następny raz zobaczyłam to pudło już po znalezieniu zdjęcia, tamtego dnia, kiedy zaparzyłam dla Eddiego herbatę i zapukałam do drzwi jego gabinetu, a on odwrócił się do mnie na obrotowym krześle, ściągnął słuchawki i zatrzymał oglądane na komputerze video. Wyciągnął przed siebie długie nogi i parę razy rozprostował palce, jak miał w zwyczaju, kiedy pracował.

– Co robisz? – spytałam; postawiłam herbatę na biurku i przeczesałam palcami jego rozwichrzone ciemne włosy. Czy przekonanie, że Eddie jest zbyt przystojny na pastora, jest niestosowne?

– Uczę się o Apokalipsie i o tym, jak się ma do niektórych elementów posługi. – Wciągnął mnie na kolana, a ja usiadłam mu okrakiem na udach i przywarłam czołem do jego szyi.

– Ładnie pachniesz – pochwaliłam. W odpowiedzi objął mnie; jest taki wysoki, a ja taka drobna, że chyba mógłby dwukrotnie owinać mnie ramionami. Odnalazł kciukiem wrażliwe miejsce na moim karku i je potarł. Odchyliłam głowę, żeby spojrzeć w jego łagodne brązowe oczy. Pocałował mnie, a całował najlepiej na świecie. Pomyślałam to za pierwszym razem i nadal tak uważam. Poczułam jego podniecenie.

– Apokalipsa cię kręci? – spytałam, uśmiechając się tuż przy jego ustach.

– Jest niesamowita. – Pocałował mnie jeszcze raz.

– Chcesz później poświntuszyć?

– Zastanowię się – odparł, na co uszczypnęłam go w łopatkę. Opierając się podbródkiem na jego obojczyku, dostrzegłam w kącie pokoju zdezelowane pudło. Niczym stary wirus swoim wyglądem obiecywało, że ma niejedno do opowiedzenia. Był na nim spłowiały obrazek dziewczynki w białych podkolanówkach, czarnych butach i żółtej sukience – niewiarygodnie krótkiej, jakie nosiło się wyłącznie w latach siedemdziesiątych – skaczącej na swojej piłce z uchwytami. Części napisów nie dało się odczytać, bo zasłaniała je brązowa taśma albo zostały zerwane przy kolejnym oklejaniu.

– Skąd masz to pudło? – spytałam, prostując się na kolanach Eddiego.

– Ze strychu. Zniosłem w nim swoje stare podręczniki. Prawdziwy antyk, co?

– To pudło z mojej fotografii – powiedziałam, cofając głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Jakiej fotografii?

– Mojej fotografii z matką, tylko że matki na niej nie ma. Tej pod choinką. – Wstałam, żeby ją wyjąć z torebki i przynieść jak jakiś dziecięcy skarb: coś bardzo cennego dla właściciela, ale niekoniecznie dla innych.

Eddie wziął ode mnie zdjęcie i dotknął mojej dziecięcej twarzy.

– No popatrz... – Uśmiechnął się, najpierw do zdjęcia, potem do mnie. – Przetrwiałaś w lepszym stanie niż to pudło – stwierdził. – Nadal prezentujesz się doskonale, a ono wygląda, jakby wiele przeszło. Chyba powinniśmy je wyrzucić.

– Co? – Wstałam gwałtownie i podeszłam do pudła. Wyjęłam ze środka kilka książek i uniosłam je do góry, obejmując zaborczo ramionami. – Jak możesz? Ono występuje na moim zdjęciu. Stanowi jeden z dowodów, że tam byłam.

– Chodziło mi tylko o to, że jest zdezelowane. Gdybyś włożyła tam coś ciężkiego, dno mogłoby odpaść.

– W takim razie go nie używaj. Ale nie waż się wyrzucać.

Eddie uniósł ręce, jakbyśmy się bawili w policjantów i złodziei.

– Nie wyrzucę, obiecuję. Przepraszam! – Uśmiechnął się do mnie, jakbym była wariatką, którą bardzo kocha, a ja zrobiłam odpowiednią minę, aby mu pokazać, że potrafię być szalona, jeśli zechcę, i mocniej objęłam pudło.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi; na progu stanęła Esther z dłońmi złożonymi jak do modlitwy.

– Cześć, kochanie – powitałam córkę. Odłożyłam pudło, kiedy podeszła, objęła mnie za nogi i przywarła ciepłą buzią do mojego brzucha. Pogłaskałam ją po lśniących brązowych włosach, odgarnęłam je za ucho i leciutko uszczypnęłam małżowinę. Zawsze miałam ochotę wziąć jej uszko do

ust, jak gumę do żucia. Odsunęła się ode mnie i przykucnęła przed pudłem.

– Podoba mi się – wyznała, obwodząc palcem rysunek dziewczynki, swojej rówieśnicy.

Uświadomiłam sobie, że postać z rysunku miałaby obecnie po czterdzieście, co najmniej, tymczasem była jak podróżniczka w czasie, przeniesiona z lat siedemdziesiątych na nasz strych, a potem do gabinetu Eddiego. Kto mógł wiedzieć, gdzie wyląduje w przyszłości?

– Mogę je wziąć? – spytała Esther.

– Nie – odpowiedziałam trochę za szybko. Esther bez protestów przyjęła odmowę. – Na co ci ono? – spytałam z poczuciem winy, które dokuczało mi zawsze, gdy czegoś zabraniałam córkom.

– Zamierzałam wyciąć ten obrazek. Nie sądzisz, że jest śliczna? – Esther wskazała rysunek dziewczynki.

– Owszem, jest śliczna – przyznałam, kucając obok ukochanej córki, która uwielbiała wycinać wszystkie ładne rzeczy znalezione w czasopiśmie lub na kartkach. Kiedyś przyłapałam ją z małymi nożyczkami i cienkim, czarnym, starodawnym pamiętnikiem, który kupiła za dziesięć pensów na giełdzie staroci i nigdy niczego w nim nie napisała. Miała wówczas sześć lat. Brzegi kartek były poślaczane, a ona, wysuwając język z przejęcia, próbowała je poodcinać. Zapytana, co robi, odparła, że ta złota część jest najlepsza i zamierza ją oddzielić od reszty.

– Trzeba brać ładniejsze razem z brzydszym, bo stanowią całość – powiedziałam jej wtedy.

– Nie rozumiem – odparła, wciąż bez reszty pochłonięta wycinaniem.

– Chodzi mi o to, że czasem te najlepsze części są połączone z gorszymi i musimy się z tym pogodzić.

– Wiem, co to znaczy, nie rozumiem, dlaczego nie możemy mieć samych dobrych. My wszyscy jesteśmy tymi dobrymi częściami, ty i tatuś, ja i Evie, i nasz dom. Nie ma złych części.

– A jeśli cię zbesztam? – spytałam.

Spojrzała na mnie z zadumą.

– Nawet jeśli mnie zbesztasz, to będzie dobra część, bo wiem, że mnie kochasz. Gdyby to inna mamusia mnie zbesztala, to byłoby źle.

– O tak! – potwierdziłam.

Pamiętam, że Esther obcięła wszystkie złote brzegi; bez nich pamiętnik wyglądał gorzej, a i kłęb błyszczących złotych skrawków też prezentował się niezbyt dobrze. Rozplakała się, a ja tuląc ją, myślałam o tym, że Esther ma rację: bardzo bym się cieszyła z obecności mojej matki, nawet gdyby tam była tylko po to, żeby mnie za coś zbesztać.

– To pudło jest ważne dla mamusi – zwróciłam się do Esther, a w tym samym momencie do gabinetu weszła Evie, trzymając w buzi kciuk zmacerowany od długiego ssania. Miała rozczochrane włoski i wyglądała, jakby właśnie obudziła się z drzemki, podczas gdy w istocie zawsze taka była, jakby senna i rozgrzana. Usiadłam na podłodze i Evie natychmiast usadowiła się na moich nogach; przechyliła główkę na bok i również dotknęła pudła. Przez chwilę wszyscy byliśmy połączeni z tym pudłem: Esther i Evie go dotykały, ja dotykałam go pośrednio, trzymając Evie, a Eddie, który siedział z założonymi rękoma i obserwował nas jak gromadę kociaków, był z nim połączony poprzez dywan, na którym stało i promieniowało do jego stóp.

– Dlaczego jest ważne, mamusiu? – spytała Esther, na co Eddie pochylił się i podał jej zdjęcie.

– Jak myślisz, kto to jest? – spytał.

Evie wychyliła się z moich kolan, rozchyliła usta, ale kciuk nadal pozostał zatknięty między zębami. Obie dziewczynki przyglądały się fotografii.

– To ja? – spytała Evie, niewyraźnie przez mamlany palec.

Esther przeniosła wzrok ze zdjęcia na siostrę.

– Wygląda trochę jak Evie, ale to nie jej szlafrok.

Rzeczywiście, Evie była mniej więcej w tym samym wieku, co ja wtedy, i nie licząc fryzury, wyglądałyśmy prawie tak samo.

– To ja – wyjaśniłam, sięgając po zdjęcie w obawie, że je podrażni albo zaślinię. – Widzicie, w czym siedzę?

– W pudle! – zawołała Esther.



Evie przyjrzała się pooklejonym taśmą ściankom z tektury.

– Jest stare! – stwierdziła.

– Owszem. Mniej więcej w moim wieku. – Ścisnęłam ją, udając obrażoną.

– Ale to tylko głupie stare pudło – zauważyła Evie – a ty jesteś naszą milutką mamusią. – Wtuliła się we mnie i natychmiast wypełniła mnie radość za sprawą ciepła otaczającego mnie ze wszystkich stron: od Esther i Evie i patrzącego na nas Eddiego. Jak zawsze w takich momentach odczułam pustkę. Jakby był we mnie korytarz z drzwiami na jednym końcu; kiedy sądziłam, że wszystko jest cudowne i idealne, drzwi się otwierały, wpadało nimi zimne powietrze i przypominałam sobie, czego zawsze mi brakuje. Mojej ukochanej matki. Łzy napływały mi do oczu i spoglądałam na Eddiego, który kiwał głową i uśmiechał się tak, jakby wiedział, o czym myślę. Ale nie wiedział, przynajmniej nie wszystko.

– To mogę wziąć to pudło? – spytała Esther.

– Nie – odpowiedziałam łagodnie. – Potrzebuję go, choć nawet nie wiem po co.

Evie, wiedząc, że nie znoszę odmawiać, wykorzystwała moment, żeby wystąpić z inną prośbą.

– Mamusiu, możemy dostać popcorn i obejrzeć film?

– Na to się zgadzam – powiedziałam, co wzbudziło entuzjazm obu dziewczynek.

Eddie nałożył słuchawki i odwrócił się do komputera. Uprażyłam kukurydzą, a dziewczynki ułożyły się na sofie, żeby oglądać *Mary Poppins*. Znowu.

Postanowiłam umieścić pudło z powrotem na strychu, z dala od nożyczek i kubłów na śmieci. Stałam na krześle i nacisnęłam prostokątne wycięcie włazu w suficie. Po cichym kliknięciu ukazała się ciężka metalowa drabina; zaraz potem zaczęła się zsuwać na dół, jakby w obawie, że mogę zmienić zdanie. Metal tarł o metal, zagrażając całości moich palców. Wspięłam się na górę; trzymałam pudło w jednej ręce, drugą zaciskałam na zimnych szczeblach. Stojąc na ostatnim, po omacku odnalazłam sznurek i pociąg-nęłam, zapalając pojedynczą słabą żarówkę. Zakołysała się, wydobywając z mroku najpierw jedną, potem drugą stronę przestrzeni pod dachem. Tuż przy krawędzi włazu leżała masywna żółta latarka. Włączyłam ją i wczołgałam się na strych, ciągnąc pudło za sobą.

Na strychu było ciepło – letnie słońce mocno nagrzewało podłogę – i panował zapach jak w warsztacie mechanika, jednocześnie świeży i stary. Uwielbiałam ten zapach, bo przypominał mi, że strych nie jest częścią prawdziwego codziennego życia, tylko miejscem do przechowywania przeszłości, rzeczy, z którymi nie umiemy się rozstać, ale też nie obcujemy z nimi na co dzień. Aha, no i ozdób bożonarodzeniowych.

Usiadłam po turecku naprzeciw pudła, ubrana w cienką luźną bluzę Eddiego i džinsy. Tonęłam w tej bluzie, ale bardzo ją lubiłam. Byłam boso, ale ręce i nogi wolałam mieć zakryte, na wypadek gdyby coś się o mnie otarło. Ściągnęłam niesforne włosy w koński ogon i zatoczyłam koło promieniem światła z latarki. Rzadko tam bywałam. Podobnie jak najdalsze zakamarki mojego umysłu, strych stanowił miejsce, które niechętnie odwiedzałam z obawy, że resztki przeszłości otworzą we mnie coś, co lepiej trzymać zamknięte. Strych jest dla mnie wyzwaniem, które zwykle chętnie odstępuję Eddiemu. Jednak pudła nie chciałam nikomu powierzać, więc wniosłam je tam sama, by mieć pewność, że jest bezpieczne. A skoro już tam byłam, mogłam się przy okazji rozejrzeć. Obiecałam sobie, że gdy tylko pojawi się jakiś pająk, natychmiast się zbieram.

Przestrzeń strychu wyglądała jak seria zdjęć, gdy oświetlałam latarką różne rzeczy po kolei. Stały tam sterty plastikowych pojemników, wypełnionych książkami i papierami, brązowe kartony z odręcznymi napisami, na przykład „kuchnia”, oraz kilka mniejszych pudełek związanych sznurkiem, z napisem: „Ważne, nie wyrzucać”.

Był tam też plastikowy pojemnik z McDonalda, w kształcie domu wielkości piłki nożnej; kiedy zdjęłam dach, okazało się, że w środku są kulki w różnych kolorach. Po co przechowujemy te rzeczy? – pomyślałam. Przyznaję jednak, że wcale nie miałam ochoty znosić ich na dół i wyrzucać do śmieci. Zawierały wspomnienia, a tych zbyt trudno się pozbyć, zbyt łatwo je trzymać.

Kiedy chodzimy na plażę, Evie z Esther zbierają kamyki, które dają Eddiemu i mnie. Znalezienie najładszego, idealnie okrągłego, takiego, który wygląda jak twarz albo pies, albo ma kształt serca, wszystko to nadaje status skarbu tym małym, zwyczajnym obiektom. Odkąd zostają podniesione i obejrzone z zachwytem, im dłużej pozostają w dłoni, tym trudniej je dziewczynkom wyrzucić. Kamyki ostatecznie lądują w kieszeniach, moich i Eddiego. Trzymanie jedną ręką jego dłoni i przesuwanie palcami drugiej po kamykach jest doznaniem, które najbardziej kojarzy mi się z plażą. Po powrocie do domu, z połamami swetra zniekształconymi przez obciążenie, nie wiem, co z nimi zrobić. Nie mogę ich wyrzucić. Eddie chętnie umieszcza je w ogrodzie, ale dla mnie to również forma porzucenia. Dlatego zaczęłam rozstawiać po domu słoiki z kamykami. Kupiłam nawet kilka wazonów, żeby je eksponować. Nie mogłam ich wynieść na strych, bo to byłaby obraza dla dziewczynek i naszych dni spędzonych na plaży. Ale prawdą jest, że mamy mnóstwo kamieni. I kiedyś chyba będziemy musieli się ich pozbyć.

Trzymamy różne rzeczy, żeby pamiętać o tym, co ważne, ale to iluzja. Mój ból na myśl o wyrzuceniu kamyków jest bólem po stracie czasu spędzanego z córkami. Bólem świadomości, że któregoś dnia spojrzę wstecz, a one będą tak daleko w przeszłości, że poczuje się jak balon, który niepostrzeżenie wymknął się z trzymającej go ręki i uleciał w niebo. Dopóki mam te kamyki, mogę sobie wmawiać, że wciąż mam tamte dni. Nie umiem przyznać, że już minęły. Niezależnie od kamyków

przeszłość jest poza nami, czy mówimy o wydarzeniu sprzed dziesięciu minut, czy sprzed dziesięciu lat. Te obiekty nie są mostami do przeszłości, są mostami do pamięci o przeszłości. Ale nie są przeszłością.

Tak czułam, zanim weszłam na strych.

Zanim go opuściłam, zmieniłam zdanie.

Latarka utworzyła tunel światła ode mnie do odległego końca strychu i to było jak sięganie do innego miejsca i czasu. Zobaczyłam brązową walizkę, którą miałam ze sobą w Grecji jako nastolatka. W środku były dziecięce ubranka dziewczynek, których sentyment nie pozwolił mi oddać potrzebującym. Teraz jednak pomysł zachowania ubrań wydał mi się godny panny Havisham, pożałowałam, że jednak ich nie oddałam. Walizkę zdobiła mocno wytarta naklejka Shaggy'ego w zielonym podkoszulku i bordowych spodniach, mówiącego: „Scooby-Doo, gdzie jesteś?”. Mój chłopak z czasów, kiedy wyjeżdżałam do Grecji, nosił się jak hippis. Miał taki sam podkoszulek i taką samą fryzurę jak Shaggy, i to on umieścił tę naklejkę na mojej walizce ze słowami: „Przysyłaj mi pocztówki. Ta naklejka ma ci przypominać, że przez cały czas będę myślał, gdzie jesteś i co robisz”. Zapomniałam o tym i prawdopodobnie przez resztę życia ani razu bym o tym nie wspomniała, gdybym nie zobaczyła tej walizki.

Tunel światła padał na inne rzeczy, które wywołały mój uśmiech: stary telefon kremowej barwy, z tarczą do wybierania numerów i ciężką słuchawką, drewnianą raketę do tenisa, należącą zapewne do Eddiego. Szarą piłkę do koszykówki, która po wytarciu znów byłaby pomarańczowa. Postanowiłam zabrać ją ze sobą na dół. Eddie mógł założyć obręcz na tyłach domu. Sama celnie rzucałam i wiedziałam, że dziewczynki będą zachwycone.

Mam tak mało pamiątek po matce, tak wiele mi brakuje. Nie winię Em i Henry'ego, ale chyba mogli mi powiedzieć więcej, powinni byli o niej ze mną rozmawiać. Kiedy u nich zamieszkałam, byli już starzy i bezdzietni. Miałam szczęście, że ci dobrzy ludzie zaopiekowali się mną, a później adoptowali. Żyłam w ich domu jak u miłych dziadków, czasami aż nazbyt spokojnie, ale traktowali mnie dobrze i chyba próbowali mi pomóc w uporaniu się ze śmiercią matki w ten sposób, że nigdy o niej nie wspominali. Powiedzieli, że zachorowała, co sama wiedziałam, a potem umarła, ale nie miałam pojęcia, że można umrzeć od kaszlu czy przeziębienia. Obecnie, kiedy sama łapię przeziębienie, tak bardzo się tym martwię, że natychmiast mój stan jeszcze się pogarsza i zaczynam się zastanawiać, czy moje dzieci też będą dorastać bez matki, chociaż jedynie boli mnie gardło i mam podwyższoną temperaturę.

Teraz zdaję sobie sprawę, że to musiało być coś poważniejszego, ale wówczas wierzyłam, że powód był błahy, i niczego nie kwestionowałam. Może wtedy miałam o niej więcej wspomnień, ale matka była dla mnie niczym postać z bajki i pewnie w miarę jak dorastałam, stała się tym, czym bajki dla wszystkich dorosłych: iluzją, magiczną historią, która opowiada o jednym, a znaczy drugie. Niewiele mostów prowadziło do mojej matki. Zapewne dlatego to zdjęcie miało dla mnie tak wielkie znaczenie... choć jej na nim nie było.

Westchnęłam. Wiedziałam, że wyprawa na strych zmusi mnie do myślenia, do wspomnień. Do tego, że jednocześnie będę i nie będę chciała pamiętać. Znienacka zapragnęłam znaleźć się na dole, z powrotem w realnym świecie, w teraźniejszości, w miejscu, które rozumiałam, z moimi córkami, których śmiech słyszałam z oddali, i z Eddie, którego miałam ochotę znów pocałować.

Wstałam i wzięłam pudło do rąk, zastanawiając się, gdzie powinnam je umieścić i czy je złożyć, czy zostawić takie, jakie jest. Przy moim niewielkim wzroście mieściłam się tam wyprostowana, ale odruchowo schyliłam głowę, ostrożnie stawiając bosc stopy. Pomyślałam, że później pomaluję sobie paznokcie u nóg. Zwolniłam i w tym samym momencie uderzyłam głową w żarówkę. Natychmiast zapadła ciemność, nie licząc światła latarki, i rozległ się brzęk spadającego szkła. Odruchowo zacisnęłam powieki, a potem, kiedy już ponownie otworzyłam oczy, obmacałam sobie twarz. Nic mi się nie stało. Oświetliłam latarką podłogę. Wszędzie były drobne szklane odłamki, na drewnianych listwach i żółtej izolacji, wokół moich stóp. Aż tyle nie mogło pochodzić z jednej żarówki? Wiedziałam, że jeśli się poruszę, niechybnie się skaleczę, i wyobraziłam sobie, jak wyciągam szkło pęsetą ze skóry. Ostrożnie postawiłam pudło i weszłam do niego – do bezpiecznej strefy bez szkła.

Otworzyłam usta, żeby zawołać Eddiego; miałam nadzieję, że mnie usłyszy, mimo słuchawek na uszach. Nie wydałam jednak żadnego dźwięku. Wypełniło mnie przedziwne poczucie nostalgii. Moje

zdjęcie wciąż znajdowało się w gabinecie Eddiego, ale wyobrażałam je sobie bardzo dokładnie: ja jako dziecko, szeroko uśmiechnięta nad krawędzią pudła. I tak jak tamta dziewczynka z ilustracji na kartonowej ścianie, która wyskakiwała do mnie z przeszłości, tak teraz ja, dziewczyna z przyszłości, trafiłam do pudła z mojego zdjęcia. Tamta mała dziewczynka, którą wtedy byłam, nigdy by sobie nie wyobrażała, że pewnego dnia będzie stać w tym samym pudle, za duża, by się zmieścić na siedząco, i że będzie dorastać bez matki; bez matki, którą tak bardzo kochała.

I wtedy poczułam, że pochylam się w prawo; wrażenie było denerwujące, jakby się siedziało na krześle, które ma jedną nogę krótszą od pozostałych, i wszystko wydaje się przez to dziwnie zwichrowane. Tylko że stałam wewnątrz pudła i nie było żadnych nóg. Potem sytuacja się powtórzyła, tym razem lewa strona pochyliliła się nieco do przodu. Uświadomiłam sobie, że pudło musi stać na słabszym fragmencie podłogi i zaraz spadnę na dół. Znieruchomiałam, wstrzymując oddech i zamykając oczy, choć od żadnej z tych czynności nie stawałam się lżejsza ani nie zyskałam zdolności lewitowania. I wtedy, tak jak przewidywał Eddie, dno pudła jakby całkiem odleciało.

Spadałam. Pęd porывał mi oddech, więc nie mogłam krzyczeć. Sunęłam w dół jak jedwabny szalik zerwany z wieszaka na ścianie. I było całkiem ciemno.

Wiedziałam, że nie przeleciałam przez sufit; gdyby tak było, już bym wylądowała na podłodze. Machałam nogami, instynktownie próbując nimi o coś zaczepić. Przez znaczną prędkość nie mogłam utrzymać rąk przy ciele, sterczały wyprostowane nad moją głową, a ruch powietrza zadarł mi bluzę aż pod szyję. Na chwilę zwinęła się pod brodą, a potem uleciała w górę.

Strumienie powietrza dławiły mnie, jakbym próbowała oddychać przez nos, wystawiając głowę za okno jadącego samochodu (czego, nawiasem mówiąc, zdecydowanie nie polecam). Ryk w uszach, intensywny i potężny, przypominał mi moment, gdy stałam pod wodospadem. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale w jednej chwili stałam w pudle na moim strychu, a zaraz potem spadałam z dużą prędkością w ciemności, nie wiedząc, kiedy dotknę ziemi.

Wyczułam spowolnienie, powietrze zgęstniało i mogłam już zrobić wdech. Nogi poruszały się wdzięczniej, jak przy pływaniu. Płynęłam kraulem, tyle że pionowo. Za mną pojawił się błysk światła.

Pamiętacie z disnejowskiej wersji *Alicji w Krainie Czarów*, jak Alicja przelatuje przez króliczą norę w takim tempie, że ma czas obejrzeć wszystkie mijane rzeczy? Wydaje mi się, że były tam lampy, zegary i karty do gry. Ja teraz leciałam równie wolno, ale nie miałam czego oglądać. Jak zwierzę chowane w klatce wytrzeszczałam oczy, żeby wylapać każdy, choćby najślabszy promyk światła. Pode mną – w dużej odległości – mnóstwo kolorowych kropek wirowało jak w kalejdoskopie. Patrzyłam, jak te świetlne punkty zbliżają się do siebie, i nie przestawałam machać nogami. Przez chwilę sądziłam, że spadłam ze strychu, uderzyłam się w głowę i zemdlałam. Eddie mnie znajdzie i ocuci.

Gdy jednak nabrałam przekonania, że jestem nieprzytomna w tym rzeczywistym świecie – bo chyba tylko takie mogło być wytłumaczenie? – musiałam walczyć o zaczerpnięcie powietrza, jakbym miała na sobie gorset, który staje się coraz bardziej ciasny. Drapałam się po skórze, próbując zderzyć to, co mnie dusi, ale bezskutecznie, bo przecież niczego takiego nie było. Nie mogłam oddychać. „Eddie, znajdź mnie, bo inaczej umrę”. Odgłos wzburzonej wody umilkł, ciszę przerywał inny dźwięk, cichy i groźny: rytmiczny łomot, jakby dzikie konie biegly plażą. Albo jak bicie serca olbrzymia, który właśnie połknął cię w całości.

W tym dławiącym locie skuliłam się, przybierając pozycję embrionalną; miałam wrażenie, że płuca zaraz mi wybuchną. Znów przyspieszyłam, spadałam bezwładnie z włosami powiewającymi w górę. Strach wywołany niemożnością oddychania stłumił we mnie inne lęki. Wiedziałam, że jeśli wkrótce nie zaczerpnę powietrza, umrę. Patrzyłam na kolorowe światła w dole: zbliżały się ku mnie, więc zamknęłam oczy przygotowana na zderzenie.

Walnęłam w ziemię tak mocno, że miałam wrażenie, jakbym ją sobą przebiła. Siła lądowania rozplątała niewidzialny gorset i głęboko zaczerpnęłam powietrza. Nadal zwinęta w kłębek, kości i mięśnie po prawej stronie miałam obolałe, rozpaczliwie łykałam tlen.

Udało mi się odwrócić głowę i spojrzeć w górę. Była noc, a ja wylądowałam na pudle po kosmicznym skoczku – choć to wyglądało na nowsze – i praktycznie je zgmiotłam. Nad moją głową wesoło migotały lampki na choince.

Przez kilka minut w ogóle się nie ruszałam. Czułam ból przy każdym wdechu i wydechu. Pomyślałam, że może jeśli chwilę poleżę spokojnie, jakieś rozwiązanie samo się pojawi. Oglądałam mnóstwo filmów, w których rzeczy pozornie niewytłumaczalne w końcu znajdowały wyjaśnienie. Miałam nadzieję, że tak właśnie się stanie... zaraz. Ale się nie stało.

Spojrzałam w górę, na choinkę, i tuż nade mną zakołysała się delikatnie twarz Świętego Mikołaja w postaci szklanej bombki. Jego broda wyglądała jak błyszcząca beza, spod wąsów przeświecały małe ściągnięte usta, a czapka jarzyła się czerwienią w świetle choinkowych lampek. Ostrokrzew na otoku czapki na dłużej przykuł moją uwagę. Znałam tę twarz... a raczej znałam tę bombkę; sama ją zawiesiłam na tej choince, jakieś trzydzieści lat wcześniej.

Popatrzyłam na dywan, szary, z krótkim włosiem; wydał mi się równie znajomy jak bombka... a nawet bardziej. Czułam ten dywan pod stopami każdego dnia, dawno temu. Leżałam tam przekonana, że wkrótce odkryję, że umarłam i poszłam do nieba.

Albo coś jeszcze bardziej niewiarygodnego.

Odczekałam kilka minut i ostrożnie wygramoliłam się z pudła. Wstając, poczułam przeszywający ból w biodrze, wydawało mi się też, że mam złamany nadgarstek, choć wcale tak nie było. Omiotłam wzrokiem pokój, obracając się w miejscu jak zepsuta baletnica ze szkatułki z pozytywką, która ożywa w momencie uniesienia wieczka.

Pamiętałam ten pokój. Patrząc na choinkę, widziałam to, co na zdjęciu, ale to rzeczy znajdujące się poza kadrem mną wstrząsnęły. Bo znałam je aż za dobrze. Jak swoje łóżko albo płaszcz, albo zapach włosów moich dzieci: ten pokój był praktycznie częścią mnie. Kiedy ludzie mówią, że coś jest dla nich jak powrót do domu, chodzi o bardzo silne poczucie przynależności, intensywne i normalne. I właśnie tak było ze mną. Wróciłam do domu.

Ludzie opowiadają o tym, jak wygląda niebo. Niektórzy widzą je jako chmury i anioły grające na harfach, inni wyobrażają sobie złote miasto skąpane w popołudniowym świetle. Słyszałam, jak niektórzy twierdzili, że to będzie miejsce, które najbardziej kochali na ziemi: plaża, pole, zabawa z psem do upadłego i powrót do ciepłej kuchni, gdzie rodzice wołają na kolację – rosół i gorące maślane bułeczki.

Kiedy zmarła mama, nie miałam jakiegoś określonego wyobrażenia o niebie, ale wierzyłam, że się tam znalazła, i gdybym musiała je po dziecięcemu opisać, skłaniałabym się ku wersji z chmurami i aniołami. Z czasem przestałam wierzyć w Boga i niebo, ale kiedy ludzie umierali, nadal dodawało mi otuchy myślenie, że przenieśli się gdzie indziej. Dlatego wyobrażałam ich sobie siedzących przy barze z drinkiem w dłoni i gdy umierała kolejna znana mi osoba, dosadzałam ją w myślach do tej reszty, która witała ją ze śmiechem i serdecznym poklepywaniem po plecach. Wyobrażałam sobie nawet, że mają w tym barze mały telewizor, wyświetlający wydarzenia z tego świata. Przypuszczam, że jeśli niebo istnieje, nie mamy żadnego wyboru. Bo przecież chyba musiałam być martwa? A w takim razie moim niebem był salon z domu mojego dzieciństwa.

Nie sądziłam, że umieranie będzie takie trudne. Wyobrażałam sobie moment dyskomfortu, a potem jasne światło, podążanie w jego kierunku i tak dalej, a potem... nic. Tymczasem moja wędrówka do nieba, jeśli właśnie tam się znalazłam, była znacznie trudniejsza.

Kiedy tak się kręciłam w salonie z mojego dzieciństwa, musiałam być wobec siebie szczerą. Szybko powstała we mnie myśl, że może nie umarłam, tylko przeniosłam się w przeszłość. Wiedziałam, że to niemożliwe i że kiedy ludzie podróżują w czasie (mówię o książkach i filmach), zwykle nie odnoszą obrażeń. Oni tylko wchodzą do szafy i wychodzą po drugiej stronie, nieprawdaż? Różnica polegała na tym, że to się działo naprawdę. Oczywiście, że nie miało być tak samo jak w powieściach

i filmach, w końcu one nie są autobiograficzne. Rzecz w tym, że wtedy, w tamtym salonie, zaczęłam myśleć, że wcale nie umarłam. Nie czułam się martwa. Może oczekiwaliście, że będę się zastanawiać, czy przypadkiem nie śnię, ale miewałam setki snów, a to nie był sen. Sprawdziłam to na wszystkie typowe sposoby, nawet się uszczypnęłam.

Zawsze miałam problem z uwierzeniem w rzeczy, których nie mogłam zobaczyć na własne oczy. Zawsze sceptycznie podchodziłam do wszystkiego, co wyczytałam w książkach. Literatura faktu bywała równie umowna jak beletrystyka, kiedy sobie uświadamiałam, że autorzy po prostu opowiadają mi coś, co wyczytali lub usłyszeli gdzie indziej. Chyba dlatego nie potrafiłam wierzyć w Boga i podzielać religijności Eddiego. Skoro czegoś nie widzę, trudno mi przyjąć, że to coś istnieje. Oczywiście wierzę w istnienie bakterii, choć nie mogę ich zobaczyć gołym okiem, ale one przynajmniej dadzą się obejrzeć pod mikroskopem.

Gdyby tak Boga dało się zobaczyć pod mikroskopem...

Istniało więcej abstrakcyjnych rzeczy, w które wierzyłam, chociaż nie mogłam ich widzieć ani zrozumieć, na przykład elektryczność i to, jak dzięki niej świecą żarówki, albo aerodynamika z siłami zdolnymi oderwać samolot od ziemi; fizyczne rezultaty ich działania stanowiły dla mnie wystarczający dowód.

To wszystko ma wyjaśnić, że zawsze, ale to zawsze ufałam swoim zmysłom. Wcisnęłam palce stóp w dywan i dotknęłam igieł na choince. Potrząsnęłam jedną z ozdób i usłyszałam dźwięk maleńkiego dzwoneczka znajdującego się wewnątrz. Polizałam wargę i poczułam smak soli zmieszany z odrobiną krwi. Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech i poczułam zapach domu mojego dzieciństwa. Coś, czego nie da się opisać, ale jest równie wyraźne jak wzór na tapecie.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się wątpić w swoje zmysły w obliczu tak przytłaczających dowodów. Skoro mogłam to widzieć, czuć zapach i smak, słyszeć, to musiało być rzeczywiste. Tyle że teraz moje poczucie rzeczywistości było odwrócone, moje fizyczne otoczenie dowodziło czegoś, o czym wiedziałam, że po prostu nie może być prawdą. Nigdy wcześniej nie miałam tak jednoznacznego, solidnego dowodu, że coś się dzieje naprawdę, a jednocześnie w to nie wierzyłam. Chyba brakowało mi otwartości umysłu, by uwierzyć w to, co krzyczały do mnie wszystkie zmysły: że jedynym możliwym wyjaśnieniem, choć niemożliwym do przyjęcia, jest to, że odbyłam podróż w czasie i przeniosłam się w przeszłość. Tylko takie wytłumaczenie przyszło mi do głowy. U dziewczyny, która uważała, że idea Boga jest naciągana, to doprawdy zdumiewające.

Zastanawiałam się nad niezwykłością swojej sytuacji: była noc, a ja znajdowałam się w cudzym domu, jego mieszkańcy prawdopodobnie spali, a gdyby mnie znaleźli, byłoby nieprzyjemnie. Mówiąc o mieszkańcach, miałam na myśli moją matkę. Moją matkę. Serce na moment mi zamarło, a potem zabiło mocniej. Miałam znów zobaczyć matkę? Była na górze?

Problem powrotu do domu, czyli do Eddiego i dziewczynek, nie istniał dla mnie, dopóki nie nabrałam przekonania, że znalazłam się w przeszłości. Tracę pewność siebie, kiedy nie mam swoich dzieci w zasięgu ręki lub głosu. Tak naprawdę swobodnie się czuję, kiedy jestem w tym samym budynku, co one. Wyjątek stanowi okoliczność, kiedy wiem, że są z Eddiem, ponieważ on jest jedyną osobą na świecie, która kocha je tak samo jak ja. I to jest chyba dla mnie największe zaufanie: kiedy nie widzę swoich dzieci, ale wiem, że są z Eddiem, to jest wiara. Szczególny rodzaj lęku – taki, którego z niczym nie da się porównać – wezbrał we mnie i wypełnił każdą komórkę ciała: lęk, że mogę nigdy więcej nie zobaczyć córek. Tamte wypadki, kiedy straciłam je z oczu, gdy skręciły przy końcu alejki w supermarkecie, kiedy Evie oddaliła się ode mnie i ochrona zamknęła wszystkie wyjścia, a ja zawodziłam: „A co, jeśli ona już jest na zewnątrz?”, moje codzienne rozważania o możliwych sytuacjach, w których mogłabym je stracić na zawsze, wszystko to było niczym w porównaniu z tym odczuciem.

Tym razem było inaczej, ponieważ to ja się zgubiłam. One nie mogły mnie znaleźć, a ja nie mogłam ich osiągnąć. Gdybym została uwięziona w czasie, wówczas moje córki – jak moja matka – istniałyby tylko w mojej pamięci, tak jak ja istniałabym tylko w ich pamięci. Strach dosłownie mnie

dławił, aż w końcu musiałam znaleźć w sobie ufność w ilości, jakiej wcześniej nigdy nie potrzebowałam. Dziewczynki były pod opieką Eddiego, ale ja znajdowałam się nie w innym budynku czy innym kraju, tylko w innym roku. Myśl, że od córek dzieli mnie trzydzieści lat, mąciła mi wzrok tak, że wszystko wydawało się szare, i powodowała szum w uszach; machałam bezładnie rękami, po omacku szukając czegoś, czego mogłabym się chwycić.

Kucnęłam i przycisnęłam dłonie do podłogi. Przytłoczyła mnie świadomość, że gdybym nie mogła wrócić do domu, byłabym jak matka, która zmarła nagle, pozostawiając najbliższych pod opieką innych ludzi. Modliłam się więc, żeby Eddie był bezpieczny, zdrowy i silny, bo dziewczynki bardzo go potrzebowały. Próbowałam zapamiętać ostatnie chwile spędzone z nimi, te w gabinecie. Uznałam, że stanowiłyby dla nich dobre wspomnienie o mnie. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie Esther i Evie.

– Wrócę do was – obiecałam szeptem.

Wstałam powoli z rękami na biodrach. Zachwiałam się, ale utrzymałam wyprostowaną postawę.

– Trafiłam tu – odezwała się drżącym głosem – więc mogę też wrócić do domu. – Byłam swoją własną przewodniczką, jedyną kobietą na pokładzie, która mogła mnie zapewnić, że kiedyś uda mi się wrócić do miejsca, z którego wystartowałam. Nie bardzo ufałam temu niepewnemu głosowi, ale jaki miałam wybór?

Czułam potrzebę chronienia pudła: było moim środkiem transportu do domu, przepustką do ponownego spotkania z moimi dziećmi... taką przynajmniej miałam nadzieję, nic więc dziwnego, że odezwał się we mnie rozsądek każący go pilnować.

Choć panował mrok, znałam rozkład domu, skręciłam w prawo do kuchni i otworzyłam z klucza tylne drzwi. Podmuch mroźnego powietrza podsycił moje przekonanie, że nie umarłam, nie zapadłam w śpiączkę ani nie śnię. Miałam na sobie stanik i dżinsy, ponieważ bluzę Eddiego straciłam podczas lotu; boso pokuśtykałam ścieżką do ogrodowej szopy, wiedząc, że po prawej stronie wisi sznur do suszenia prania. Skobel na drzwiach zawsze się trochę zacinał, ale wiedziałam, jak go obluzować. Wrzuciłam pudło do środka i ponownie zamknęłam szopę przed powrotem do domu. Nie przekręcałam klucza w drzwiach kuchennych, na wypadek gdybym musiała wychodzić w pośpiechu. Na moment przystanęłam koło zlewu, żeby zebrać siły, a potem zrobiłam to, czego pragnęło moje serce: weszłam na górę do pokoju matki.

W progu się zawahałam. Wewnątrz panował półmrok, bo choć nie paliło się światło, przedświt rozrzedził już ciemność do szarości. Bałam się, że się obudzi albo że to nie moja matka będzie w łóżku, tak czy inaczej, strach wypełniał mnie bez reszty. Po równym oddechu poznałam, że śpi. Sama wstrzymywałam powietrze w płucach i wypuszczałam powoli, drżącym strumieniem, w ustach mi zaschło, dłonie zwilgotniały mi od potu. Czy możliwe, że miałam zobaczyć matkę po raz pierwszy od trzydziestu lat, matkę, którą przez cały ten czas uważałam za zmarłą? Serce zabiło mi szybciej, podczas gdy reszta mojego ciała pozostawała sparaliżowana. Miałam nadzieję i modliłam się o niemożliwe.

Odzyskałam zdolność poruszania się, okrążyłam łóżko i przykucnęłam z boku.

Na widok twarzy śpiącej matki wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Usta miała lekko rozchylone, owiał mnie jej oddech, delikatny i ciepły, tak bardzo żywy. To oddech mojej matki, pamiętam go, pomyślałam. Jasnobrązowe włosy opadały jej na czoło. Miała przydługą grzywkę i wyglądała tak, jakby śniła, że stoi na dziobie płynącego statku, wystawiona na swobodne działanie wiatru. Patrzyłam na jej cudowne rzęsy i palce zwinięte pod policzkiem. Przysunęłam się bliżej, żeby powąchać jej skórę, i łzy napłynęły mi do oczu, gdy rozpoznałam zapach różanego kremu do twarzy. Kiedyś wyczułam go u pewnej kobiety w supermarkecie i przez chwilę specjalnie za nią szłam.

Nachyliłam lekko głowę i nosem niemal dotknęłam jej skóry. Łzy płynęły mi z oczu i czułam, jak zbiegają się pod brodą. Chciałam ją obudzić. Chlipnęłam bezgłośnie; miałam ochotę potrząsnąć nią.

– Mamo, jestem tu – wyszeptałam, czując przemożną potrzebę wypowiedzenia ich głośno. Ale byłam od niej starsza o ponad dziesięć lat i wiedziałam, mimo wewnętrznego emocjonalnego tumultu, że ją wystraszę, jeśli się w tym momencie obudzi.

Uniosłam nieznacznie kołdrę i poczułam ciepło jej uśpionego ciała. Zapragnęłam położyć się obok niej, co robiłam wielokrotnie jako dziecko. Ale nie byłam dzieckiem. Straciłam tak wiele lat zasypiania z jej ręką obejmującą mnie w pasie, gdy sen morzył ją w pół zdania podczas opowiadania bajek, które miały odgonić koszmary.

Westchnęła, a ja stałam w milczeniu i po prostu na nią patrzyłam. To nie był odpowiedni moment na spotkanie. Musiałam się zastanowić, jak do niego doprowadzić. Nadal miałam na sobie jedynie stanik i dzinsy, więc wyjęłam z szuflady bluzkę i skarpetki, włożyłam je i tyłem opuściłam pokój, z żalem spuszczać matkę z oczu.

Przeszłam do mojej sypialni, żeby popatrzeć na siebie. I byłam tam, jako śliczne dziecko. Czułam się pewniej w stosunku do mojego młodszego wcielenia niż do matki; usiadłam na brzegu materaca, uginając go swoim ciężarem, żeby śpiąca istota odwróciła się od ściany w moją stronę. Przy tym ruchu wysunęła kciuk z buzi i zobaczyłam na nim małe ślady po zębach. Odgarnęłam jej włosy z twarzy... mojej twarzy, ale sprężysty lok natychmiast wrócił do wcześniejszego ułożenia. Pogładziłam idealnie gładki policzek.

– Jesteś dobra, jesteś miła, jesteś mądra i jesteś zabawna – wyszeptalam do małego uszka słowa, które co noc szepczę do uszu moich śpiących dzieci. Nie wiem, dlaczego to robię, ale może już zaczęliście się zastanawiać, czy nie dlatego, że mówiłam je sobie, kiedy miałam sześć lat.

Na zewnątrz pojaśniało i powieki dziecka zadrżały.

– Mamusiu – odezwało się zaspanym głosem. Pocałowałam je... pocałowałam siebie i wychodząc, przystanąłam na moment, by dotknąć grzbietów książek na półce. *The Magic Faraway Tree*, tę po prostu uwielbiałam. Potem bezszelestnie zesłam na dół.

Oparłam się o kuchenny blat; serce waliło mi głośno. Moja matka żyła i spała na górze. Żyła. A ja byłam tamtym śpiącym dzieckiem. Co dalej? Parę razy uniosłam się na palcach, zrobiłam kilka kroków w przód, pokręciłam głową, wykonałam kilka kroków do tyłu... naprawdę nie wiedziałam, co robić. Odetchnęłam głęboko. Wyciągnęłam ręce przed siebie, jakbym uciszała podekscytowaną widownię. Musiałam się wziąć w garść. Mimo wszystko należało okazać rozsądek.

– Weź się w garść – powiedziałam na głos. Musiałam zaangażować umysł, zanim serce pchnie mnie z powrotem na schody i rzuci w objęcia matki.

Choć na zewnątrz było zimno, nie mogłam zostać w tym domu. Dlatego po cichu otworzyłam szufladę, w której spodziewałam się znaleźć mnóstwo plastikowych reklamówek, i wyciągnęłam jedną. Ukroiłam kilka kromek chleba – brak całego bochenka rzuciłby się w oczy. Robiłam wszystko powoli i najciszej, jak umiałam; wzięłam nóż i słoik dżemu. W kredensie zawsze było dużo dżemu, pamiętałam, że Henry miał działkę i robił własne przetwory. Nie znalazłam plastikowej butelki na wodę, a ponieważ zaschło mi w ustach, napiłam się prosto z kranu. Chciałam zabrać ze sobą trochę wody, ale nie wiedziałam w czym. Nagle sobie przypomniałam, że matka przechowywała wymyte słoiki, by je zwrócić Henry'emu, więc napełniłam dwa, zakręciłam, potrząsnęłam nimi, by się upewnić, że nie przeciekają, i umieściłam w reklamówce razem z chlebem.

Potrzebowałam butów, a przy tylnych drzwiach stały dwie pary gumiaków; małe żółte (moje) i czarne, należące do matki. Rzecz jasna brak butów musiał się rzucić w oczy, ale w tym momencie moja potrzeba przeważała, a matka zapewne miała inne obuwie. Włożyłam więc gumiaki na nogi i poszłam do szopy, żeby jeść, czekać i zdecydować, co dalej.



Drżąc z zimna, szukałam tam otuchy, dotykając szorstkiego drewna i zniszczonego pudła; zniecierpliwienie przyszło mi do głowy, że drewno i tektura nigdy nie są tak naprawdę zimne, w przeciwieństwie do szkła i metalu. A ponieważ szopy nie należą do miejsc szczególnie wygodnych, znalazłam poduszkę, żeby na niej usiąść; miała zapach podobny do tego na strychu. Niektóre z moich obrażeń jeszcze się pogorszyły, ale bolało mnie tylko od pasa w górę.

Niezdarnie odłamalam kawałek chleba i zamoczyłam w dżemie. Smakował jak w dawnych czasach, tyle że kiedyś nie lubiłam w nim całych kawałków owoców, a teraz wręcz przeciwnie. Oparłam się plecami o ścianę. W głowie miałam chaos: jedna myśl goniła drugą niczym zwariowany kot z kreskówki, próbujący się rozprawić z gangiem sprytnych i bardzo szybkich myszy. Starłam się zrozumieć, gdzie jestem, jak do tego doszło i dlaczego. Rozpaczliwie pragnęłam ogarnąć umysłem całą tę sytuację, zebrałam więc fakty i ułożyłam je jak warstwy tortu, na podobieństwo piramidy potrzeb Masłowa. Jednakże pociąg moich myśli wciąż rozbijał się jeszcze przed opuszczeniem stacji i miałam poczucie, że docierają do mnie jedynie szczątkowe informacje o moim położeniu. Mogłam oddychać i mogłam jeść. Byłam bezpieczna, miałam dach nad głową i nie groziło mi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo... a przynajmniej takie, o którym bym wiedziała. Znalazłam się w przeszłości, ale co, jeśli utknę w niej na dobre? Chciałam zobaczyć matkę, ujawnić się przed nią i wytłumaczyć jej, kim jestem. Ale co z Eddiem i dziewczynkami? Powinnam natychmiast wejść do pudła i wrócić do domu, ale znalazłam się tutaj i być może miałam jedyną szansę pobyć z matką, wypełnić dziurę po niej w swoim sercu. Wyciągnęłam przed siebie ręce i patrzyłam, jak drżą, chciałam zobaczyć fizyczny dowód mojego wewnętrznego wzburzenia. Uszczypnęłam się i natychmiast parsknęłam śmiechem zażenowana własnym zachowaniem. Cóż za żalosna przewidywalność... Gdybym miała przy sobie butelkę alkoholu, spojrzalabym na nią oskarżycielsko.

Uderzyłam się kilka razy w twarz, tak mocno, że łzy stanęły mi w oczach, i ponownie, najmocniej, jak zdołałam, aż zapiekła mnie skóra. Bez zmian, nadal byłam w szopie. A matka w moim zasięgu, ale niedostępna. Żadnej przyjaznej osoby ani Eddiego. Nikogo. Byłam zupełnie sama, mimo że moja ukochana matka przebywała w tym domu. Wyobraziłam sobie, jak wbiegam do środka z okrzykiem: „To ja, to ja!”

Stopniowo zimne białe światło przenikało przez szpary w ścianach, a wraz z nim brzęczący odgłos dalekich głosów. Spojrzałam na dom przez szczelinę w drzwiach szopy. Niewiele widziałam, ale po szybkich poszukiwaniach w wiadrze z narzędziami znalazłam szpachlę, którą poszerzyłam otwór. Pamiętałam, jak matka używała tego płaskiego metalowego trójkąta do usuwania starej farby ze stołu. Teraz widziałam ją przez okno, w niebieskim szlafroku, z włosami rozpuszczonymi na ramiona; radio było włączone, słyszałam je z oddali.

Owinęłam się szczelniej swetrem; był długi, czarny i obszerny, pomagał znieść chłód mroźnego poranka. Prawdziwe ciepło płynęło jednak z kuchennego okna, od widoku matki. Była taka piękna... Miała moc sprawiania, że wszystko wydawało się miłe, nawet ten moment. Oparła się na łokciu i patrzyła na ptaki w ogrodzie, a potem odwróciła się na chwilę, żeby wziąć chleb, podeszła do tylnych drzwi i wyrzuciła na zewnątrz garść okruchów.

Nagle wykonała pełny obrót i zniknęła mi z oczu, po czym równie szybko znów się ukazała z małą mną w ramionach. Śmiałam się, odrzucając głowę do tyłu, w ten trochę niepokojący sposób, kiedy się wydaje, że można odchylić się za bardzo. Powieki miałam zaciśnięte, a potem je otworzyłam, obiema rękami ścisnęłam policzki matki i pocałowałam ją w usta. Roześmiałyśmy się obie, matka i ja-dziecko, a dorosła ja patrzyłam na to z szopy; żałowałam, że nie jestem tamtą sobą, czułam się wykluczona.

Minęła mniej więcej godzina, ale nie widziałam już więcej siebie ani matki; pozostała mi jedna scena – mnie jako dziecka w jej ramionach – którą odgrywałam w pamięci wciąż od nowa, jak

niekończący się filmowy dubel.

Słyszałam poranne odgłosy, wyraźne głównie z braku ruchu drogowego. Mieszkałyśmy przy ulicy, jak kiedyś sądziłam – prawie głównej, ale na tyle spokojnej, że dzieci mogły się bawić w pobliżu, wybiegając na jezdnię po piłkę albo podjeżdżając rowerem do krawężnika, żeby przepuścić nadjeżdżający samochód. Rozlegał się też śpiew ptaków, bardzo licznych, pokasywanie w oddali i szczekanie psa. Zastanawiałam się, jak mogłabym nawiązać kontakt z matką, odezwać się do niej. Niełatwo byłoby tak po prostu się przedstawić, żeby spędzić z nią czas. Rozważałam udawanie agentki ubezpieczeniowej albo posłańca z wiadomością, że wygrała jakąś nagrodę, ale oba te pomysły miały wiele wad. Miałam tylko jedną szansę, bo nie mogłam zapukać do jej drzwi, a gdyby za pierwszym razem poszło źle, dobijać się ponownie.

Rozejrzałam się za czymś, co mogłoby mi pomóc. Otaczały mnie rzeczy, które zwykle trzyma się w szopach: wiadro z narzędziami, taśma malarska, młotek, mnóstwo gwoździ i śrub oraz trudne do zidentyfikowania kawałki metalu, trochę słoików po dżemie i kilka poskładanych płacht zaplamionych farbą.

Długą chwilę gapiłam się na pudło po kosmicznym skoczku. Trochę ucierpiało, więc zastanawiałam się, czy dodatkowo nie okleić go dla wzmocnienia. W gruncie rzeczy wiedziałam, że to zrobię, bo pudło na moim strychu trzymało się w kawałku dzięki ogromnej ilości taśmy, tylko nie zdawałam sobie sprawy, że sama ją tam umieściłam.

Nagle coś mi się przypomniało i spojrzałam na zegarek; to był kolejny sposób potwierdzenia tego, co się dzieje. Przed narodzinami dzieci sześć miesięcy zmagalam się z bezsennością, która stanowiła istną torturę; zapadałam w niespokojny sen jedynie między piątą a szóstą rano, a i wtedy męczyły mnie koszmary. Któregoś dnia skarżyłam się na tę przypadłość kolegom w pracy, większość mi współczuła, ale jeden z nich powiedział:

– Prawdopodobnie śpisz więcej, niż ci się zdaje.

– Nie mogę zmrużyć oka przez całą noc – odparłam z przekonaniem.

– Nie możesz być tego pewna – upierał się. – Prawdopodobnie tak czujesz. Ale przez te długie godziny w nocy, kiedy myślisz, że czuwasz, prawdopodobnie jesteś w stanie drzemki.

Zirytował mnie wówczas ten wyspany mędrak.

– A ty teraz śpisz? – spytałam go z ledwie skrywaną wrogością.

– W tej chwili? Nie, oczywiście, że nie – powiedział.

– Skąd wiesz? – drążyłam. – Skoro ja mogę się mylić w ocenie, czy śpię, czy nie śpię w nocy, to ty możesz błędnie oceniać, czy teraz śpisz, czy czuwasz.

Chwytał jakieś papiery i wyszedł, rozsądnie unikając dalszej dyskusji ze mną. Ostatecznie nie spałam od dawna i przez to chyba wyglądałam dość groźnie. Ciekawsze okazało się zdanie innego kolegi, który podsunął mi pewny sposób na sprawdzenie, czy śpię, czy nie śpię. Powiedział, że liczby tracą swoją przejrzystość podczas sennych majaków, więc wystarczy zawsze nosić na ręce zegarek i spoglądać na tarczę w różnych dziwnych momentach czuwania. Za każdym razem należy świadomie zadać sobie pytanie: „Czy cyfry są na swoim miejscu?”. I odpowiedzieć tak lub nie. Przy odpowiednio częstym powtarzaniu takiego zachowania zwyczaj przenika do snów i pewnego razu, gdy spojrzymy na zegarek we śnie, zadamy sobie to pytanie, a wtedy padnie odpowiedź „Nie”. I wówczas mamy pewność, że śnimy. To moment, kiedy możemy robić we śnie, co tylko chcemy. Nazywa się to świadomym snem i stanowi świetną zabawę, on wie, bo wypróbował. I poleca, ponieważ to działa.

– Gwarantuję – powiedział.

Chodziło mi o dwie rzeczy: po pierwsze, tam w szopie wiedziałam, że nie śpię, tak jak wy możecie być pewni, że nie śpicie w tym momencie. Po drugie, kiedy spojrzałam na zegarek, wszystkie cyfry były na właściwym miejscu, chociaż mechanizm stanął i szkło było pęknięte. Zatem w grę wchodziła jedynie podróż w czasie albo szaleństwo, innej możliwości nie było.

Szczekanie psa, tym razem dość bliskie, zwróciło moją uwagę w stronę, skąd dobiegało. Bez trudu przywołałam w pamięci małe kwadraty trawnika przed domem matki, sąsiednim i dalszymi, oraz wszystkie rozdzielające je płoty, wysokie na tyle, że dorosły mógł wyrzeć ponad górną krawędzią, jeśli stanął na palcach.

W wyobraźni przeniosłam się przez te wszystkie ogródki na posesję Em i Henry'ego na drugim końcu ulicy. Przemień Em i Henry'ego o twarzy smutnego szczeniaka, pary, która przygarnęła mnie, gdy zmarła matka. W spokojnym świecie, w którym zamieszkiwałam z matką jako dziecko, niewielu ludzi wywarło na mnie większe wrażenie. Em i Henry owszem, wkroczyli w moje życie i mnie wychowali. Oczywiście, powinnam teraz pójść do Em i Henry'ego, mogłam zakładać, że łatwiej mi przyjdzie nawiązanie kontaktu z nimi niż z matką. Nie miałam wprawdzie pojęcia, co dalej, ale od czegoś należało zacząć. Jednak przed podjęciem jakichkolwiek działań potrzebowałam jeszcze raz spojrzeć na matkę; czułam przemożne pragnienie, a ona była dla mnie jak szklanka wody. A potem musiałam wydostać się z szopy niezauważona.

Kuchenne drzwi otworzyły się i zamknęły z klekotem, który mnie zaskoczył i przestraszył. Kucnęłam, przywierając policzkiem do szorstkiego drewna. Matka wkładała torbę ze śmieciami do błyszczącego stalowego pojemnika z pokrywą.

– Faye, wkładaj buty, zaraz wychodzimy! – zawołała i zastygła w bezruchu, z rękami na biodrach, patrząc ponad wąskim ogródkiem w moją stronę, w istocie prosto na mnie, i głęboko wciągnęła zimne powietrze. Następnie zamknęła oczy i się uśmiechnęła. Sprawiała wrażenie takiej zadowolonej... a ja sobie uświadomiłam, że nic nie wiem o tej kobiecie, choć kochałam ją z całego serca. Nie była do mnie podobna, ze swoimi prostymi ciemnymi włosami i szarymi oczyma. Szczupła, naturalna, miała na sobie długą spódnicę i długi sweter ściągnięty paskiem, przez który wydawała się jeszcze szczuplejsza, oraz brązowe skórzane buty. Zobaczyłam, jak mała ja podchodzę do tylnych drzwi, uchylam je i mówię coś do matki, która pochyla się i dotyka mojej dziecięcej buzi.

– Oczywiście, że możesz – odpowiada na pytanie, którego nie słyszałam. Potem obie weszły do środka i zazgrzytał obracany w zamku klucz.

Wiedziałam, że wyjdą frontowymi drzwiami, więc się wyprostowałam; nie było to łatwe, bo czułam się jak jedna z tych zwiniętych w rolkę plastikowych toreb z kredensu matki. Ostrożnie przebiegłam wzdłuż bocznej ściany domu i wyjrzałam zza węgła. Właśnie wychodziły, matka z wielką brązową torbą na ramieniu i mała ja w puchatej kurtce w jasnoniebiesko-zielone pasy (jakże lubiłam tę kurtkę) i grubym swetrze pod spodem; niosłam paletkę do tenisa stołowego, którą podbijałam czerwoną gumową piłeczkę i liczyłam każde – niewielkie – odbicie. Małej mnie udało się cała seria odbić, zanim piłeczka w końcu minęła paletkę, odbiła się od ziemi i poleciała wysoko w powietrze. Matka ją złapała i zobaczyłam, jak mała Faye patrzy na nią radośnie i wykrzykuje: „Piątka!”.

Szły sobie ulicą w dobrych humorach; spódnica ograniczała matce krok, a mała ja raz zwalniałam, raz podbiegałam, w zależności od tego, co było niezbędne do panowania nad piłeczką. Matka coś opowiadała, a potem nastąpiła przerwa na śmiech. Już zapomniałam, że była zabawna; nie pamiętałam naszych rozmów, ale chyba wielu ludziom to się zdarza. Moi znajomi zachowali w pamięci po kilka zdań, które słyszeli od rodziców jako dzieci, dziwne bryłki złota i wiele bryłek krytyki, niewiele jednak ponad skromną kolekcję wyświechtanych anegdot.

Podążałam za nimi w niewielkiej odległości. Nie sądzę, aby było widać, że je śledzę, po prostu wszystkie zmierzałyśmy w stronę centrum miasta, więc nie było w tym nic podejrzanego. Choć świeciło słońce, panował chłód, mniejszy jednak, niż można by się spodziewać w porze, gdy ludzie mieli w domach choinki.

Przy domu Em i Henry'ego zwolniłam, obserwując, jak matka i mała Faye się oddalają. Oczy mnie piekły i doskwierało mi poczucie utraty, jakie często towarzyszy pięknym chwilom, kiedy się wie, że coś przeminęło, zanim się na dobre rozpoczęło. Wiedziałam, że pewnego dnia te wszystkie dobre rzeczy pozostaną jedynie w formie wyblakłych fotografii, trzeszczących taśm video i kamyków w słoikach. Jak mogły być teraz razem, skoro dla mnie to była już zamknięta przeszłość? Jak mogłam tam stać i pozwolić, by odeszły? Pomyślałam o tym, jak smutno byłoby Esther, gdyby zobaczyła, że się od niej oddalam, nawet nie wiedząc o jej obecności. I na wszelki wypadek obejrzałam się przez ramię, by sprawdzić, czy jej tam nie ma.

Zdrżeniem serca patrzyłam na czerwone drzwi domu Em i Henry'ego; chciało mi się płakać z ulgi, bo wiedziałam, jak dobrze ci ludzie traktują obcych.

Zapukałam i usłyszałam stłumione głosy pytające się nawzajem, kto może się dobijać tak wcześnie rano. Potem rozległ się dźwięk odsuwanej łańcucha i klucza przekręcanej w zamku, czyli nastąpiły manewry bezpieczeństwa za drzwiami, które mogłabym wypchnąć z futryny jednym mocnym kopnięciem.

– Słucham? – odezwała się Em; za jej plecami w holu zobaczyłam Henry'ego z grzanką w dłoni. Owionęły mnie przyjazne kuchenne zapachy, miałam ochotę ucałować Em w wypudrowany policzek i po prostu wejść do środka, jak robiłam milion razy w życiu. Tym razem jednak zastępowała mi drogę, a na jej pocziwej twarzy malował się wyraz niepewności.

– Przepraszam, że niepokoję tak wcześnie, ale jestem z... hmm... „Sporting Gazette”. Rozumiem, że gracie państwo w kręgle, a ja piszę artykuł o... rekreacji dla dorosłych w tej okolicy. – Em i Henry sprawiali wrażenie skołowanych, wystraszyłam się, że może kręgle jeszcze ich nie interesowały. Wiedziałam, że w nie grywali, kiedy z nimi zamieszkałam, ale musiało być jakieś dwa lata wcześniej.

– Bo gracie państwo w kręgle, prawda? – Żałowałam, że nie mam notesu, który by mi pomógł odgrywać moją rolę; udawałabym, że sprawdzam w nim pozyskane wcześniej dane. Ale nie miałam niczego takiego. Jak bardzo mogłam być przekonująca bez notesu i długopisu?

– Owszem, gramy – potwierdził Henry. – Em, czemu trzymasz panią na progu? Wpuść ją do środka. – Wierzchem dłoni otarł z ust okruchy.

– Oczywiście, proszę wejść – powiedziała Em; otworzyła drzwi szerzej i przyłożyła ręce do ubrania, jakby je wycierała.

Gęsty dywan w holu zachęcał do skorzystania z zaproszenia. Na ścianach zobaczyłam dobrze mi znane tapety w bladorożowo-kremowe pasy; były gołe, a pamiętałam je jako pokryte oprawionymi zdjęciami przedstawiającymi mnie na różnych etapach dorastania. Nie zdawałam sobie sprawy, że wcześniej nic na nich nie było.

Zawsze myślałam o nich jako o starych ludziach. Choć musieli być dobrze po pięćdziesiątce, teraz jednak nie wydawali mi się starzy. Ale wtedy, gdy mnie przygarnęli, tak ich oceniałam, bo sama ledwie skończyłam osiem lat i wszyscy po trzydziestce byli dla mnie sędziwi. Twarz Em przypominała mi wówczas pomarszczone jabłko, a opadające policzki Henry'ego oklapły poduszkę. Teraz ich twarze wyglądały na całkiem gładkie, a Henry miał mnóstwo włosów, wydawali mi się młodzi, bo widziałam, jak przy mnie się starzeli. Teraz stare wydawały mi się tylko ich ubrania: luźny kardigan i skórzane kaptcie Henry'ego i watowana podomka Em.

Zwykle podchodziłam do Henry'ego i byłam obejmowana mocnym uściskiem. Przyciskając policzek do jego piersi, wdychałam zapach wody kolońskiej Brut i czegoś jeszcze, z lekko dymną nutą. Teraz mogłam tylko stać i czekać, z poczuciem winy, że ich oszukuję.

Em pospiesznie weszła w rolę gospodyni i gestem zachęciła, bym weszła do salonu, gdzie znów zaskoczył mnie brak fotografii. Zawsze myślałam, że mają ich mnóstwo, tymczasem najwidoczniej pojawiły się dopiero wraz ze mną. Na zagłówkach foteli leżały tak dobrze mi znane dziergane serwetki; dotknęłam lekko jednej z nich.

– Herbaty? – spytała Em.

– Poproszę – odpowiedziałam skwapliwie; jeszcze nigdy w życiu nie miałam takiej ochoty na herbatę.

– Proszę usiąść – odezwał się Henry.

Obok fotela zobaczyłam niewielki stos oprawionych roczników „Beano”. Uśmiechnęłam się na myśl o jego trochę wstydlwym upodobaniu do czytania tych czasopism dla dzieci. Ja też je uwielbiałam.

Wzięłam do ręki jeden z egzemplarzy.

– Najbardziej lubię psotną Minnie – powiedziałam, unosząc okładkę.

– A ja dzieciaki z Bash Street – zrewanżował się wyznaniem Henry i oboje zachichotaliśmy.

– Skąd pani ma nasze nazwisko? Rozmawiała pani z Susan z kręgielni?

– Nie – zaprzeczyłam, bo natychmiast przyszło mi do głowy, że gdyby się porozumieli z Susan, pewnie by się długo zastanawiali, kim naprawdę jestem. – Po prostu... skontaktowałam się z klubem i dostałam kilka nazwisk i adresów graczy.

Em wróciła z mlekiem i herbatą i opadła na fotel. Naprawdę bardzo mi brakowało czegoś do pisania.

– Mam kilka pytań, ale chyba gdzieś zapodziałam torbę. Może zostawiłam w biurze, ze wszystkimi moimi rzeczami.

– Chce pani przyjść później? – podsunęła Em. – Jesteśmy tu cały dzień.

– Potrzebuję tylko notatnika, ale może mają państwo jakiś papier? Przepraszam, to takie nieprofesjonalne.

– Nic nie szkodzi – zapewnił Henry, otwierając szufladę. Wręczył mi kartki i ołówek. – Może pani oprzeć na tym. – Wskazał na twardą oprawę rocznika „Beano”.

– Wszystko w porządku, moja droga? Bo jest pani zaczerwieniona na twarzy i trochę podrapana.

– Em, patrząc na moje czoło, dotknęła swojego, żeby pokazać miejsca skaleczeń. Rzeczywiście, wyczułam u siebie nad prawą brwią parę nierówności naskórka. Nie dało się ich ukryć. Zauważyła też ciemniejące siniaki na nadgarstku.

– Miałam dziś rano mały wypadek, potknęłam się i wylądowałam na ręce. Nawet nie wiedziałam, że odniosłam obrażenia także na czole. – Em popatrzyła na Henry’ego z troską w oczach, nie umiałam jednak rozpoznać, czy martwił ją mój upadek, czy to, że wpuścili mnie do domu. Byłam obolała, ale najważniejsze wydawało mi się upewnienie ich, że choć sytuacja wydaje się dziwna, wszystko jest w porządku. Pragnęłam, żeby Em i Henry pozwolili mi zostać w bezpiecznym, przytulnym domu, umiejscowionym poza czasem i przestrzenią, który przetrwał nawet podróże w czasie. Byli jak port w czasie sztormu, blask świecy nocą, gdy wszystkie inne światła już zgasły. Miałam ich na wyciągnięcie ręki, ale mnie nie znali, więc trochę rozpaczliwie wymuszałam gościnę, podczas gdy pragnęłam, by pozwolili mi zbliżyć się do siebie.

Zaopatrzona w papier i ołówek miałam czym zająć ręce i postanowiłam przeprowadzić z nimi ten wywiad, w nadziei, że dzięki niemu poczują się przy mnie swobodniej. Zadawałam im pytania i robiłam notatki; udawało mi się przy tym obserwować twarze tych dwojga drogich mi osób, młodszych, niż mogłam ich pamiętać. Wszystkie dawne zwyczaje i dziwactwa były jak szwy spajające ich w jedno; czułam komizm całej sytuacji, gdy starali się zrobić jak najlepsze wrażenie, nieświadomi, że doskonale ich znam. Ach, Em, słodka Em, która zmarła dziesięć lat temu... Pochylała się ku Henry’emu i dotykała jego ręki, każde zdanie kończyła: „czyż nie tak było, Henry?” albo „mam rację, Henry?”, jakby jej prawda nabierała obowiązującej mocy dopiero przez niego potwierdzona. Wiedziałam, co czuje – jego obecność dawała jej niezachwiane oparcie, zawsze, nie tylko w tym momencie.

Kartki zapełniały się cytatami i informacjami na temat kręgli, które zapisywałam automatycznie. Em poszła dorobić herbaty, a ja spytałam, czy mogę skorzystać z łazienki. Wchodziłam po schodach na ołowianych nogach, przesuwając dłonią po pustej tapecie, która dopiero po dwóch latach miała się stać galerią wspomnień o moim dorastaniu, mapą moich postępów od wieku ośmiu lat. Uniosłam staroświecki skobel w drzwiach łazienki i usiadłam na zamkniętym sedesie. Pokręciłam głową z uśmiechem na widok laleczki wieńczącej stojak z papierem toaletowym; najwidoczniej okrywająca górną rolkę szydełkowa spódnica Barbie miała ją chronić przed zakurzeniem. Trzymając ją na kolanach, próbowałam zebrać myśli. Strych, pudło, przeszłość, moja matka, ja, a teraz Em i Henry... piłam ich herbatę, korzystałam z ich toalety. Robiłam całkiem normalne rzeczy. Ale nie byłam u siebie. Zwiedzałam miejsce niedostępne dla zwiedzających. Otworzyłam drzwi „Tylko dla personelu”, „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. A nie należałam do personelu i nie byłam upoważniona. Zaraz ktoś mógł mnie przyłapać i... co? Wyrzucić z lat siedemdziesiątych? Ponownie spróbowałam okiełznać chaos w głowie, utrzymać pod kontrolą myśli przypominające stado niesfornych kociąt. Miałam

wrażenie, że wszystkie natarczywie pytają: „Jesteś pewna, że pudło przetransportuje cię z powrotem do Eddiego i dziewczynkę?”.

Spuściłam wodę i umyłam ręce – zapach mydła Imperial Leather przeniósł mnie trzydzieści lat wstecz, tak jak pudło po kosmicznym skoczku. Wychodząc z łazienki, usłyszałam pukanie do frontowych drzwi i niewyraźne głosy; słów nie dało się rozróżnić, poza „wchodźcie, wchodźcie”, ale ton wskazywał na miłą niespodziankę.

Schodziłam po schodach wolno, zerkając przez balustradę; aż wstrzymałam oddech na widok mojej kurteczki, tej niebiesko-zielonej, i błyszczących kasztanowych włosów matki.

Zatrzymałam się w pół kroku. Słyszałam, jak Em nalega, by moja matka i mała Faye zechciały coś zjeść i czegoś się napić. Nim dołączyłam do nich w salonie, wszyscy zdążyli się już wygodnie usadowić; byłam intruzem, w pokoju zrobiło się o jedną osobę, czyli mnie, za dużo. Uśmiechnęłam się, ale przyszło mi to z trudem, jakbym już nie umiała robić tego naturalnie. Musiałam unikać patrzenia na matkę, bo wiedziałam, że albo spłoszona ucieknę wzrokiem, albo będę jak jeleń schwytyany w światła reflektorów.

– Właśnie wychodziłam – odezwałam się, próbując zachować nonszalancki ton.

– Ach, to nasza reporterka – powiedziała Em, dumnie wypinając pierś.

– Proszę zostać – włączył się Henry, choć Em okazała lekkie niezadowolenie. Popatrzyłam mu w oczy, ale nie wiem, czy dostrzegł mój ból i desperację. Powtórzył jednak: – Proszę zostać. Miała pani ciężki dzień. – Ostrożnie dotknął mojej głowy, a potem uściśnął mnie za ramiona. – Proszę wypić jeszcze jedną filiżankę herbaty. Może pani poznać nasze uroczę sąsiadki. – Gestem zachęcił mnie do zajęcia miejsca i wyszedł z pokoju.

– Jak pani ma na imię? – spytała mała Faye. Siedziała z szeroko otwartymi oczyma, wyprostowana i pewna siebie, niczym hippisowska wersja Shirley Temple.

– Faye – odpowiedziałam i natychmiast ta pojedyncza sylaba nabrała smaku kleju w moich ustach; za późno sobie uświadomiłam, że należało podać jakieś inne. Mogłam zostać na przykład Dorothy.

– Ja też! To moje imię! – wykrzyknęła radośnie mała Faye, unosząc się, jakby podskakiwała na siedząco.

Em wzięła małą Faye za rękę; gest wydał mi się zaborczy.

– Chcesz jeden? – zwróciła się do dziecka, wskazując na małą srebrną choinkę obwieszoną czekoladowymi dzwoneczkami owiniętymi folią. Dziewczynka poderwała się ucieszona i na chwilę obie skupiły się na łakociach.

Matka wyciągnęła do mnie rękę; bransoletki z brzękiem podjechały jej do połowy przedramienia.

– Jestem Jeanie – przedstawiła się.

Otworzyłam usta, nagle zupełnie zaschnięte.

– Faye – powtórzyłam z trudem. Patrzyłam, jak moja dłoń zbliża się do ręki Jeanie z powolną ostrożnością, jakby miała dotknąć ogrodzenia pod napięciem. Ale ona chyba tego nie zauważyła.

– Świetne imię – powiedziała z uśmiechem, ruchem głowy wskazując na małą mnie przy choince w kącie pokoju. – Dla jakiej gazety pani pracuje?

– Dla „Gazette”, to taki dodatek do darmowego wydania. – Jeanie nieznacznie ściągnęła brwi, ale dzięki Bogu straciła zainteresowanie dalszymi wyjaśnieniami.

– Ja czytam tylko powieści, poezje i książki kucharskie, niestety – wyznała z nieco lekceważącym uśmiechem. – Gazet nigdy.

Em podniosła małą Faye i zajęła miejsce w fotelu, sadzając ją sobie na kolanach. Widziałam siebie jako dziecko wtulające się w objęcia Em; zlizując czekoladę z palców jednej ręki, drugą bezwiednie głąskałam materiał podomki Em. Nie pamiętałam niczego takiego, więc gapiłam się na tę scenę, jakbym oglądała wideo stanowiące dowód na procesie moich wspomnień. Rzecz jasna nie powinnam się spodziewać, że będę pamiętać wszystko, wręcz było to dla mnie oczywiste, a jednak zdziwiłam się, widząc, ile ta bliskość znaczy dla Em. Kochała mnie, już wtedy, a nie mogła mieć własnych dzieci. Widziałam na własne oczy, jakim darem od losu dla niej byłam.

Henry wyrwał mnie z rozmyślań, wracając z papierową torbą, której zawartość wydawała

brzęczący odgłos. Wręczył ją Jeanie.

– Dżem – powiedział, kiedy otworzyła torbę i zajrzała do środka. – Poza tym trochę domowego chleba i kilka bułeczek Em.

– A to co? – spytała Jeanie, unosząc wypełnioną czymś butelkę.

– Likier miętowy – wyjaśniła Em. – Nie jest nam potrzebny, nawet nie wiem, skąd się u nas wziął, pomyślałam, że może będzie ci smakował.

– Em i Henry zawsze dają nam mnóstwo dobrych rzeczy – zwróciła się do mnie Jeanie, unosząc brwi.

– Po prostu się o was martwimy, kochanie – powiedziała Em.

– Jesteśmy bardzo wdzięczne – zapewniła ją Jeanie. – Ale nie wiem, jak mam wykorzystać ten likier sama.

– Może się nada do jakiegoś przepisu, na przykład do kremu miętowego? – podsunęła Em.

– Zrobię z niego dobry użytek, nie ma obawy. – Jeanie mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

Widziałam, że czuje ze mną pewną więź, bo byłyśmy najbliższe sobie wiekowo spośród osób obecnych w pokoju. Chyba uważała Henry'ego i Em za starszków i chciała się od nich zdystansować, trzymając sztamę ze mną.

– Faye przepytывała nas na temat kręgli. Pytała, jakie rozrywki mają ludzie w tej okolicy – powiedział Henry.

– Żadnych – powiedziała Jeanie, spoglądając na mnie wymownie. – Możemy jedynie chodzić do parku albo bawić się w ogrodzie. Ma pani dzieci?

– Uhm. – Pokiwałam głową. Twoje wnuczki, dodałam w myślach.

– Więc pani wie, że nie ma co robić. Chyba że jest pani jak Em i Henry, starsza i bez dzieci, wtedy są kręgle, i co poza tym, Henry? Gra w rzutki, tak? Bogaci mają jeszcze golfa.

– Ogrodnictwo – wtrącił Henry.

– Krzyżówki – dodała Em.

– Och, błagam! – Jeanie zaśmiała się dobrodusznie. Nie mieli jej za złe tej reakcji.

– Kiedy będziesz w naszym wieku, pokochasz te zajęcia – zapewnił Henry z pobłażliwym uśmiechem.

– Nigdy! – zapewniła go Jeanie i dopiła herbatę. – Przykro mi, ale naprawdę nie możemy zostać dłużej, chciałyśmy tylko oddać słoiki – powiedziała, wstając.

Em sprawiała wrażenie rozczarowanej. Jednak Henry położył jej dłoń na ramieniu, a potem podszedł do Jeanie, żeby ją uścisnąć.

– Ja też muszę się zbierać – powiedziałam, bo jeszcze nie czułam się gotowa na rozstanie z matką.

– Dziękuję za wszystko. – Uścisnęłam dłonie Henry'emu i Em. – Dam znać, kiedy wywiad będzie się miał ukazać w gazecie – obiecałam, machając notatkami.

– W którą stronę pani idzie? – spytała Jeanie, kiedy dochodziłyśmy do końca ścieżki łączącej dom z ulicą.

Odczekałam, aż wszystkie skrzyliśmy w lewo.

– W tę sama, co wy – powiedziałam.

Świeciło słabe przedpołudniowe słońce, kiedy wolno szłyśmy w stronę domu Jeanie. Mała Faye znów wyjęła paletkę i dreptała kilka kroków za nami, próbując podbijać piłeczkę raz za razem. Słyszałam, jak odlicza, choć byłam skupiona na opowieści matki o Em i Henrym. Jeanie kołysała torbą, która przez swój znaczny ciężar zataczała spory łuk w powietrzu. W pewnym momencie zastanawiałam się nawet, czy pozwoli, by torba wychyliła się na maksymalną wysokość. Z oddali dobiegały odgłosy ruchu drogowego, więc zaczęłam odczuwać pewien niepokój, że nie mam cały czas na oku małej Faye. Gdyby to były moje dzieci, trzymałabym je za rękę albo przynajmniej pilnowała, aby były w moim zasięgu, dlatego co rusz oglądałam się na młodszą siebie, zwłaszcza gdy słyszałam jadący samochód.

Po tym, jak skrzyliśmy w przecznicę, cofnęłam się, wpatrzona w burzę loków na głowie małej Faye. Mocno odbita piłeczka poleciała w górę, przyciągając wzrok dziewczynki i mój. Nie udało się

celnie podstawić paletki, piłeczka uderzyła o chodnik; trafiła w kamyk, który zmienił kierunek jej lotu na całkiem nieoczekiwany; jakby lecący spokojnie maleńki meteor bezgłośnie zderzył się z innym meteorom i równie spokojnie odleciał w stronę, której wcześniej w ogóle nie brał pod uwagę. Mała Faye wyciągnęła rękę, ale piłeczka musnęła jej palce, ponownie wybierając nową trajektorię... ku jezdni.

Dziewczynka – mała ja – beztrzęszo weszła na ulicę, a ja w tym samym momencie usłyszałam warkot samochodu, który zniemacka wyjechał zza rogu i zmierzał prosto na dziecko. Wstrzymałam oddech, gdy scena, dotąd rozgrywająca się jakby w zwolnionym tempie, gwałtownie przyspieszyła, jak za naciśnięciem jakiegoś guzika. Rzuciłam się ku małej i zaraz potem nastąpiła kolizja auta, mnie i dziecka, w tej kolejności. Najbardziej ucierpiałam nie od uderzenia samochodu, który jedynie drasnął mnie w biodro, tylko od upadku na ziemię. Trzymając dziecko w ramionach, usłyszałam pisk hamulców i kobiecy krzyk.

Właściwie krzyczały dwie kobiety, a jedną z nich byłam ja. Nawierzchnia jezdni niczym zęby zgłodniałego potwora przecięła sweter i wbiła mi się w ciało, pozostawiając głębokie zadrapania na ramieniu, w twarzy utkwiły drobinki żwiru, gdy głową wyhamowywałam ślizg po szorstkiej powierzchni. Poza tym instynktownie ścisnęłam w objęciach sześciolatkę, nadwerężając przegub, który bolał mnie jak diabli.

– O mój Boże, o mój Boże, dziękuję, dziękuję, dziękuję – powtarzała moja matka. Rzuciła się ku nam i siłą odsunęła moje ręce, żeby zobaczyć dziecko, bezpiecznie wtulone we mnie, z szeroko otwartymi oczyma jak małe zwierzątko.

– Nic ci się nie stało, córeczko? – spytała.

– Chyba nie – odpowiedziałam, zakładając w tamtym momencie, że mówi do mnie.

– Ona pachnie tak jak ty – powiedziała moja młodsza wersja, a ja się domyśliłam, że to przez perfumy ze swetra matki, który samowolnie zabrałam z szuflady.

Jakiś człowiek stanął nad nami – kierowca. Nastąpiły przeprosiny, a potem w zapachu dymu zazgrzytał obcas gaszący niedopałek papierosa w ziemi. Poza tym prawie nie zwróciłam na niego uwagi; właściwie go nie widziałam, wpatrzona w matkę. Po chwili odjechał.

– Uratowałaś jej życie – powiedziała matka. Jej słowa były niczym podmuch wiatru. – I jesteś ranna. – Zajrzała mi w oczy z wdzięcznością i troską, delikatnie przesunęła palcami po moim czole i policzku, a ja czułam, że ból ustaje pod jej cudownym dotykiem. Niemal zapomniałam o oddychaniu. Wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi wstać, a ja, zaskoczona, pozwoliłam się postawić na nogi.

– Chyba lepiej, żebyś poszła z nami, bo pewnie mieszkasz dalej niż my. Nie za dobrze wyglądasz – dodała, spoglądając na moją twarz z taką miną, jakby sobie uświadomiła, że coś przegapiła, i usiłowała to odnaleźć.

Kiedy szłyśmy w stronę jej domu, wiedziałam, że każdy ból był tego wart, a w razie potrzeby zniosłabym nawet więcej. Poza tym może uratowałam własne życie? Cóż za szczęśliwy traf!



Ręce mojej matki machały w powietrzu, kiedy odtwarzała przebieg wypadku, wskazując pozycję moją, samochodu, analizując wszelkie „co by było, gdyby”. Nagle głos jej się załamał, zamilkła i wzięła twarz małej Faye w obie dłonie. Popatrzyła na mnie z tymi strasznymi możliwościami w oczach.

– Jak ja ci się odwdzięczę? – wyszeptała.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewniłam.

Mogłam jej wyjaśnić, że ratując młodszą siebie przed wpadnięciem pod koła, odnosiłam co najmniej tak samo wielką korzyść jak ona. Postanowiłam jednak zachować tę nieco przytłaczającą wiedzę dla siebie.

Jeanie odetchnęła głęboko i się uśmiechnęła.

– Wszystkie jesteście całe i zdrowe – powiedziała, jakby tą uwagą chciała dodać sobie otuchy. W drodze do domu cały czas zagadywała, a ja chłonełam jej słowa niczym sucha ziemia deszcz. Jej ton wydawał mi się znajomy, głos od razu stał się spokojny i trochę podekscytowany, jak u dorosłej osoby opowiadającej dziecku pełną przygód historię. Mówiła, co będziemy robić, gdy już dotrzemy do domu: zamierzała obejrzeć moje obrażenia i zaparzyć herbatę, uważała też, że powinna mi przygotować kąpiel.

– Pomogę ci usunąć te zabrudzenia. – Przyjrzała się dokładnie najpierw mojej twarzy, potem ramieniu i lekko się skrzywiła. – Jestem dobrą pielęgniarką.

– Jesteś pielęgniarką?

– Nie taką prawdziwą, tylko udawaną – wyjaśniła. – Obejrzymy wszystko, a jeśli urazy okażą się poważne, chyba powinniśmy cię zawieźć do szpitala.

– Mamusia nie ufa szpitalom, mówi, że jest się od nich jeszcze bardziej chorym. – Mała Faye wzięła mnie za rękę i poczułam, jakby impuls elektryczny przeszył całe moje ciało. Pamiętałam opowieści o tym, że w takim momencie dawne ja nie powinno widzieć tego obecnego, bo w przeciwnym razie coś się zdarzy, coś złego. No cóż, musiałam odkryć własne zasady i mieć nadzieję, że nie złamię żadnych już istniejących, przynajmniej tych istotnych.

– No tak, myślę, że czasami idzie się do szpitala z jedną rzeczą, a wychodzi z czymś jeszcze gorszym – powiedziałam, spoglądając na małą Faye z zabawnym, udawanym przestraczem. Byłam ciekawa, czy infekcje płucne mojej matki mogłyby zostać wyleczone, gdyby poszła do szpitala. Popatrzyła na mnie z ukosa.

– Naprawdę tak się zdarza – powiedziała Jeanie cichym, nagle poważnym głosem.

– Co zrobimy z tym, że mamy to samo imię i wszystko nam się będzie mieszać? – zmieniłam temat, patrząc na małą Faye.

Dziewczynka zachichotała.

– Ja mogłabym być Faye Pierwszą, a ty Faye Drugą, bo pojawiłaś się później.

Jeanie parsknęła śmiechem.

– Technicznie rzecz biorąc, pojawiła się pierwsza – oznajmiła i mrugnęła do mnie porozumiewawczo, jak wcześniej u Em i Henry’ego. Całkiem zapomniałam o tych mrugnięciach, ale dobrze je znałam, pewnie przechowywałam je w zamrażarce swojej pamięci. Podobnie jak zwyczaj przekładania włosów na jedną stronę i przez ramię.

– Mogłybyśmy używać twojego drugiego imienia – zaproponowała mała Faye. – Jak masz na drugie?

Zaczęłam już mówić „Susannah”, bez namysłu, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język.

– Sarah – powiedziałam, bo dwa identyczne imiona to byłby już nadmiar zbiegów okoliczności.

– Mamy jednakowe inicjały! – wyszeptała mała Faye z takim przejęciem, jakby znalazła skarb.

– Wow! – Przykucnęłam przed nią. – Mogłybyśmy być bliźniaczkami!

– Prawdę mówiąc, jest bardziej podobna do ciebie niż do mnie – stwierdziła Jeanie.

– W takim razie będziecie się do mnie zwracać, używając mojego drugiego imienia? – spytałam.

– Nie miałabym nic przeciwko temu.

– Nie, będę cię nazywać Faye, nic nam się nie pokręci. I dziękuję, że uratowałaś mi życie. Mam przeczucie, że zostaniemy przyjaciółkami, a ty nie?

– Przyjaciółkami? Ja i ty? – Przez moment udawałam, że się waham, a potem znów chwyciłam małą rączkę i się uśmiechnęłam. – Jasne.

– Mam dokładnie taki sam! – powiedziała Jeanie, unosząc podarty czarny sweter, który tego ranka wyciągnęłam z jej szuflady. – Chyba wszyscy je mają – dodała. Byłyśmy znów w domu, w sypialni mojej matki; zdjęłam z siebie wszystko i nałożyłam jeden z jej szlafroków. Spytała, czy wolę najpierw herbatę, czy kąpiel. Wybrałam herbatę. Zaproponowała jednak, żebym się od razu przebrała w coś ciepłego. Martwiłam się, że rozpozna swoje gumki, więc szybko wstawiłam je na dno szafy, a resztę rzeczy położyłam na łóżku. Moje dzinsy były podarte i strasznie brudne.

– Możesz wziąć moje ubrania po kąpielu. Bo te są chyba zniszczone, nie sądzisz? – Jeszcze raz, ze zmarszczonym czołem, popatrzyła na sweter, po czym zwinęła go, żeby wyrzucić.

Pokiwałam głową, patrząc na matkę. Chciałam jej zadać te wszystkie pytania, które niezadane budzą żal, kiedy jest już za późno. Nie chciałam jednak, by wzięła mnie za wścibską wariatkę, pragnęłam, by mnie lubiła. Poza tym ta normalność, zwykłe bycie przy niej było uzależniające. To luksus brać przywilej za coś należnego. Mimo wydarzeń poprzedzających ten moment napawałam się obecnością swojej matki. Kobiety, której, szczerze mówiąc, nie znałam. A lista dotyczących jej faktów wydawała mi się nieistotna.

Myślę, że jest podobnie, kiedy się wychodzi z więzienia i widzi ukochaną osobę po raz pierwszy od lat. Koniecznie chce się nadrobić stracony czas, ale to niewykonalne, więc po prostu proponuje się drinka, pyta, co słyhać, jakby się ją widziało zaledwie wczoraj. Nie da się trwać w stanie ciągłego podekscytowania, niezależnie od tego, jak ekscytująca czy doniosła jest sytuacja. W pewnym momencie, może nawet dość szybko po tej najważniejszej chwili, świat wraca do względnie normalnego stanu. Pomyślałam o piasku w butelce z czystą wodą, po wstrząśnięciu ziarenka unoszą się i wirują, po czym znów opadają na dno, z którego powstały. Wszyscy wracamy do pewnej równowagi, ponieważ to naturalne. Homeostaza. Przypuszczam, że kiedy przestajemy znajdować wewnętrzną równowagę po niezwykle wydarzeniach, popadamy w szaleństwo. Nie myślcie jednak, proszę, że nie zdawałam sobie sprawy z niesamowitości tego, co się działo.

Poza tym niekoniecznie pragnęłam poznać odpowiedzi na te wszystkie „wielkie” pytania. Jeszcze nie. Fascynowały mnie raczej drobiazgi, na przykład to, jak obgryzała kciuk, kiedy się nad czymś zastanawiała. Jak lubiła dotykać twarzy córki, kiedy Faye coś do niej mówiła. Jak czasami przerywała rozgadanej Faye po to, by jej powiedzieć, że ją kocha.

– Mamusiu – wołała wówczas Faye. – Słuchaj mnie!

Dowidywałam się też, jak moja matka traktuje obcą osobę; patrzyłam na Jeanie dorosłymi oczami i to było dla mnie całkiem nowe doświadczenie.

Siedziałyśmy przy kuchennym stole; obrysowywałam palcem małe różyczki i zielone gałązki na obrusie, podczas gdy matka obmywała mi twarz wacikiem zamoczonym w ciepłej wodzie ze środkiem dezynfekującym. Była tak skoncentrowana na tej czynności, że mogłam swobodnie wodzić wzrokiem po jej twarzy. Obserwowałam też jej ręce, postanawiając za wszelką cenę zapamiętać białe półksiężycy u nasady paznokci. Wpatrywałam się w jej rysy, jakby ktoś miał później przepytawać mnie z tego, co widziałam. Kolor oczu, ruch nozdrzy, kiedy pociągała nosem, idealny kształt uszu, ozdobionych srebrnymi łańcuszkami, brzoskwiniowy odcień skóry, piegi, leciutko opadająca powieka lewego oka, zdrowe białe zęby i szeroki uśmiech. Odnosiło się wrażenie, że mięśnie jej twarzy łatwiej układają się w uśmiech niż w neutralny wyraz. Nie przestawała mówić, a w pewnym momencie wyraźnie ożywiona uniosła moją rękę, żeby ją dokładniej obejrzeć. Wyglądało to, jakby przemawiała wprost do mojej ręki, a mnie dawało jeszcze szersze pole do obserwacji.

Nalała herbatę.

– Mówiłaś, że masz dzieci?

– Tak, dwie dziewczynki, Esther i Evie.

– Grzeczne czy niegrzeczne? – Znów mrugnęła. Pytała o swoje wnuczki, których nigdy nie miała poznać.

– Esther jest bardzo rozsądna, zachowuje się w domu jak nauczycielka. Ustawia krzesła z jadalni jak w klasie, każe mnie i Evie na nich siadać, odczytuje listę obecności i nas przepytuje. Nawet sprawdza nam paznokcie jak stara belferka i cmoka z niezadowoleniem, kiedy jej się coś nie podoba.

– A Evie jest taka zabawna – podjęłam po krótkiej pauzie. – Wygląda jak aniołek, a beka jak opity piwem doker. Lubi szokować starszych ludzi głośnym bekaniem, kiedy się nią zachwycają. Jest młodsza od Esther, ale stanęłaby do walki, gdyby ktoś zranił uczucia jej siostry.

Jeanie uśmiechnęła się szeroko.

– Żałuję, że nie mam siostry – wyznała.

– A masz braci? – spytałam, mimo że znałam odpowiedź.

– Nie. Nie mam nikogo.

– W ogóle żadnej rodziny? Mamy i taty? – Wiedziałam, że nie ma nikogo, ale nie wiedziałam dlaczego.

– Nikogo. – Podeszła do lodówki, otworzyła ją i westchnęła, jakby pustka w środku stanowiła część większej pustki rodzinnej. Zamknęła drzwi i oparła się o nie. Poza jeszcze uwydatniła jej szczupłość, powiewna spódnica i luźna góra bynajmniej nie ukrywały kruchości sylwetki. – Nie żyją. Od dawna.

– Jak to się stało?

– Byłam bardzo młoda, kiedy moja mama trafiła do szpitala z jakąś chorobą i nigdy stamtąd nie wyszła, umarła, a potem tata też zachorował i umarł.

– A niech to... – mruknęłam.

– No właśnie. Mam parę starych zdjęć, ale szczerze mówiąc, nie pamiętam rodziców. Kiedy o nich myślę, mam przed oczyma te zdjęcia, a nie ich prawdziwych, a kiedy raz zabrałam Faye do szpitala, ten zapach... Boże, ależ mi o nich przypomniał. Nie w tym dobrym sensie, przypomniał mi o stracie i zagubieniu.

– Byłaś w rodzinie zastępczej? – spytałam.

– Owszem, w kilku po kolei. Nie da się wystarczająco szybko dorosnąć, kiedy cię spotyka coś takiego, musisz po prostu przetrwać i wyjść z tego. I właśnie to zrobiłam. No dobrze, pani dziennikarko. A gdzie są twoi rodzice?

Nagły ucisk w gardle powstrzymał mnie przed powiedzeniem czegoś niedorzecznego.

– Żadnych braci czy siostr. Mama jest w pobliżu. – Patrzyłam na nią wymownie. – Ojca nie znam.

– Jaka jest twoja mama?

– Och, nie znam jej zbyt dobrze, czego bardzo żałuję. Rzadko ją widuję.

– Ach... – Jeanie machnęła dłonią, jakby odganiała muchę, po czym przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw mnie.

– Co?

– Nie musisz jej znać, nie martw się tym.

– Co masz na myśli? – spytałam trochę skołowana.

– Wszyscy ludzie popełniają ten sam błąd, a ja wiele o tym myślałam. – Napiła się herbaty i przybrała pozę eksperta przemawiającego ze stanowiska dla świadków.

– Nie można znać swoich rodziców – zaczęła. – Nie wolno więc tracić czasu na myślenie, że to najważniejsze. Można całe życie starać się ich poznać. To kompletna strata czasu! W kwestii rodziców liczą się tylko trzy rzeczy. – Wykorzystała dramatyczną pauzę, żeby się napić herbaty.

– Jakie mianowicie...?

Oczy jej zabłysły.

– Tak się cieszę, że pytasz. Pierwsza i najważniejsza rzecz to wiedzieć, że rodzice cię kochają. Niektórzy rodzice popełniają błąd, zakładając, że ich dzieci same z siebie to wiedzą. Ale trzeba stawiać

sprawę jasno, mówić dzieciom, że się je kocha, jak bardzo i dlaczego. Jeśli jesteś dzieckiem i nie czujesz się kochana, możesz dać sobie spokój z poznawaniem ich. Miłość jest podstawą.

Pomyślałam o małej Faye i odruchowo spojrzałam na sufit; było słychać, jak bawi się na górze w swoim pokoju.

– To dziecko wie, że je kocham – oznajmiła Jeanie, unosząc palec. – Nawet jeśli nie będzie wiedziała o mnie niczego więcej, nie szkodzi.

Oczy natychmiast mi zwilgotniały, wargi wygięły się w podkówkę. Pochyliłam głowę i zakryłam usta, żeby powstrzymać szloch, nie dać upustu całej rzece łez. Jednak korek zatykający dziurę w moim sercu już wyskoczył, a wraz z nim słona woda i emocje jak gorąca lava spłynęły mi po twarzy, a głęboko w piersi narastał jęk bólu.

– Och, biedactwo, chodź tu do mnie – powiedziała Jeanie; obeszła stół dookoła, żeby mnie przytulić. Uścisk był dziwny, bo obróciła mnie do siebie i objęła razem z krzesłem, na którym siedziałam. Po chwili odchyliła się, popatrzyła mi w twarz i kciukami próbowała obetrzeć mi łzy, ale było ich zbyt wiele. Ponownie przyciągnęła mnie do siebie, a ja wtuliłam się w jej ramiona; znalazłam idealną pozycję w objęciach matki, z moją mokrą twarzą w zagłębieniu jej szyi.

– Przepraszam – wydukałam przez zapchany nos, łzami moczając jej włosy.

– W porządku – zapewniła i objęła mnie mocniej, dając do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko temu, że obca kobieta wypłakuje się na niej, zasmarkując jej przy tym bluzkę.

Po dłuższej chwili odsunęła się, ale nadal trzymała ręce na moich ramionach.

– Chodzi o twoją matkę? – spytała.

Przytaknęłam ruchem głowy.

– Mamy przestać o tym mówić?

– Nie. – Głos miałam nienaturalnie schrypnięty. – Chcę wiedzieć, jaka jest druga ważna rzecz, jeśli chodzi o rodziców.

Jeanie wróciła na swoje miejsce i trzymała moje ręce ponad blatem stołu.

– Po miłości ważne jest to, by z nimi być. Czas. Po prostu. Miłość, a potem czas.

– Niektórym nie jest to dane, nie mają szansy spędzać czasu ze swoimi rodzicami – stwierdziłam, pociągając nosem.

– Wiem. Ja nie miałam. I nie mam pewności, czy moi rodzice mnie kochali. Zakładam, że tak, ale brak pewności boli.

– Czas i miłość – powtórzyłam.

– Tak, ale nie w tej kolejności. Najpierw miłość, potem czas. Nie ma sensu spędzać czasu razem, jeśli brakuje miłości. Jeśli można mieć tylko jedną z tych dwóch rzeczy, miłość wygrywa. I tyle, do tego się wszystko sprowadza, reszta stanowi konsekwencję miłości i czasu. Poczucie bezpieczeństwa i tak dalej. To rzeczy ważne, ale poboczne.

– Mówiłaś, że są trzy te najważniejsze.

Znów odgoniła nieistniejącą muchę.

– Ach, to. No cóż, trzecia to poznanie swoich rodziców jako ludzi.

– Twierdziłaś, że to strata czasu.

– Wiem, ale ta potrzeba jest tak silna, że nie sposób jej zignorować.

– To ci dopiero zagwozdzka – mruknęłam i obie się roześmiałyśmy.

– Można znać swoich rodziców jako rodziców, nie można ich znać jako nikogo innego. Istnieje bariera do poznania rodziców poza tą rolę.

– A jeśli wiesz, że są twoimi rodzicami, ale oni tego nie wiedzą? – zaryzykowałam.

Zmarszczyła czoło i wydeła policzki, jakby się nad tym głęboko zastanawiała.

– W którym świecie? – spytała, wypuszczając powietrze.

– Czysto hipotetycznie. Powiedzmy, że poznajesz swoją mamę i wiesz, że jest twoją mamą, ale ona nie wie, że jesteś jej córką. Czy wtedy możesz ją poznać jako osobę?

– Nie – odpowiedziała natychmiast Jeanie.

– Bo...

– Bo córka wie, że jest córką. Może doświadczyć tej znajomości wyłącznie w takim charakterze.

Więź z matką jest zbyt silna, stanowi pewnego rodzaju przeszkodę. Można się dowiedzieć pewnych rzeczy, ale w ograniczonym zakresie, i to jest inny rodzaj poznania. Rozumiesz?

– No... tak, chyba tak – bąknęłam.

– Obciążający – powiedziała, akcentując każdą sylabę, jak naćpana hippiska.

– No tak, ale to nie szkodzi. Zniosę obciążenie.

Jeanie ujęła obie moje dłonie i lekko uściśnęła.

– Dobrze się czujesz? – spytała z troską.

– Tak – odparłam, w tamtym momencie szczerze.

– Hej, żadna z nas nie ma rodzeństwa, może adopcja, chcesz?

– Co?

– Adoptować się nawzajem – wyjaśniła. – Chcesz być moją przybraną siostrą?

– Tak, tylko że... dopiero co się poznałyśmy – przypomniałam.

– Wiem już o tobie rzeczy, które poznaje się latami. I mogę powiedzieć, że masz dobre serce.

Poza tym rzuciłaś się pod samochód na ratunek mojej córce.

Twarcz mi zapłonęła, a serce waliło jak młotem. Pomyślałam o Cassie i Clem, o tym, że uważałam je za siostry, że ważna była dla mnie nasza więź i że być może matka właśnie czegoś takiego potrzebowała. Nie liczyło się zdanie Cassie i Clem, ale byłam pewna, że polubiłyby moją matkę, gdyby nas razem zobaczyły, i zgodziłyby się ze mną, że potrzebowała siostry.

– No to jesteśmy siostrami – oznajmiłam, a Jeanie puściła moje ręce, napłuła na swoją otwartą dłoń i ponownie zamknęła moją rękę w mocnym uścisku.

Na gorze znów usłyszałam małą Faye.

– Sprawia wrażenie miłej dziewczynki – powiedziałam, ciekawa, co matka powie o mnie jako dziecku. Byłam zafascynowana i spragniona komplementów, nie przeczę.

Jeanie westchnęła, oparła brodę na splecionych dłoniach i zapatrzyła się przed siebie.

– Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszej córki. Czasami czuję, jakbyśmy we dwie, ja i ona, stawiały czoło reszcie świata. I wygrywamy! Tak bardzo kocham Faye, że mam ochotę ją zjeść. Chciałabym być nią, żeby poczuć, jak to jest być aż tak kochaną. – Przycisnęła do serca dłonie zaciśnięte w pięści.

Gapiałam się na moją matkę, wstrzymałam oddech, kiedy wypowiadała te słowa, czułam, jak łza spływa mi po policzku. Jeanie dotknęła mojej ręki.

– Doznałaś dziś wielu wstrząsów, choćby z tym samochodem, a wcześniej, zdaje się, upadłaś? A teraz jeszcze ja cię wypytuję o przeszłość. – Klasnęła w dłonie. – Skoro mamy być siostrami, musimy porozmawiać, bo akurat my możemy się nawzajem poznać. Może zagrajmy w dwadzieścia pytań, dobrze?

Otarłam nos wierzchem dłoni i pokiwałam głową. Jeanie podała mi wyciągniętą z rękawa poskładaną ciepłą chusteczkę.

Ulubionym przysmakiem Jeanie jest gęsty pudding o smaku toffi, ulubionym kolorem niebieski, ulubionym zajęciem wyprawa nad morze, żeby grać na automatach, wiosłować i jeść ryby z frytkami, ulubiona powieść to *Rebeka*, gdyby miała mnóstwo pieniędzy, zabrałaby Faye do Hiszpanii na wakacje i kupiła dobry telewizor. Czasami czuje się samotna, brakuje jej obecności mężczyzny, z prac domowych za najgorszą uważa odkurzanie, z Faye najbardziej lubi piec, grać w karty i hula-hoop. Jej ulubionym przedmiotem w szkole była plastyka, boi się pajaków i wysokości, co roku zapada na płuca, nie ma żadnej rodziny poza Faye, lubi gin, ale nie lubi wódki, zna cały wiersz *Sowa i kotek* na pamięć, potrafi leczyć czkawkę, ukradła kiedyś parę butów, zostawiwszy stare w sklepie. Gdyby mogła znów spędzić dzień ze swoją matką, cały czas by z nią rozmawiała, trzymając ją za rękę. Ma nadzieję, że jej córka kiedyś szczęśliwie wyjdzie za mąż i dochowa się dzieci. A najtrudniejszym przeżyciem było odejście od miłości jej życia.

– Poczekaj, co takiego? – próbowałam się dowiedzieć więcej.

– Koniec pytań. – Pogroziła mi palcem. – Teraz moja kolej. Ty zadałaś mi już dwadzieścia. Będziesz musiała poczekać, jeśli chcesz wiedzieć więcej. – Jeanie ściszyła głos. – I nie mogę o tym mówić przy Faye, bo ona o nim nie wie.

W tym momencie Faye weszła do kuchni i położyła na stole talię kart. Rozpoznałam obrazek z wierzchu. Uwielbiałam grę w „szczęśliwe rodziny”, a ilustracje na kartach utkwiły mi głęboko w pamięci kojarzone z dzieciństwem.

– Zagramy? – spytała.

Jeanie spojrzała na mnie i uniosła brwi.

– Czemu nie? – odpowiedziałam. Domyślanie się, jakich to dwadzieścia pytań zechce mi zadać matka, i dopytywanie o „miłość jej życia” musiały poczekać.

W istocie musiały czekać dość długo. Zagrałyśmy kilka razy. Zawsze uwielbiałam rodziny Królika i Wiewiórki, są takie śliczne. Moja matka, jak się okazało, miała słabość do rodzin Żaby i Jeża, bo nikt inny ich nie lubił i dlatego, według niej, potrzebowały więcej miłości. Nie pamiętam, kto wygrał więcej partii ani ile razy grałyśmy, ale wciąż pamiętam moją młodszą twarz roześmianą i pokrzykującą, dobrodusznie udawane rozczarowanie i zarzuty „oszustwa”, gdy ktoś wygrywał za często. Pamiętam, jak zauważyłam, że bawię się włosami i naciskam nos, kiedy myślę, zupełnie tak samo, jak robiła mała Faye. Pamiętam, jak poczułam się zawieszona w czasie, w momencie niezwiązanym z żadnym innym, niczym mydlana bańka w przestworzach. Pamiętam, jak patrzyłam na matkę, żywą, roześmianą, i miłość dławiała mnie w gardle.

Pociemniało, więc Jeanie zapaliła kuchenną lampę.

– Musisz wracać do domu? – zwróciła się do mnie. – Twój mąż pewnie się martwi?

– Jeszcze nie – odpowiedziałam. – Ale niedługo zaczniesz się martwić. Chyba powinnam się zbierać. – Nie wiedziałam, co będzie ani nawet czy zdołam wrócić do domu. Dłonie nagle mi zwilgotniały od potu na myśl, co może się zdarzyć... albo się nie zdarzy, kiedy znów wejdę do pudła po kosmicznym skoczku. I czy jeśli opuszczę matkę teraz, zobaczę ją ponownie? A jeśli to był ostatni raz? Znowu.

Marzyłam o tym, żeby ją uściskać, mając luksus pewności, że wkrótce znów się zobaczymy albo porozmawiamy przez telefon. Marzyłam o połączeniu telefonicznym, które zniweluje przestrzeń i czas pomiędzy nami. Tymczasem miałam się z nią pożegnać, wiedząc, że to może być moja ostatnia szansa. To było gorsze niż nieświadomość, ale dawało miejsce na nadzieję. Odepchnęłam się od stołu, matka też wstała i otworzyła przede mną ramiona.

– Kto wie, jak ten dzień by się skończył, gdyby nie ty – powiedziała cicho, biorąc mnie w objęcia. Długo mnie nie puszczała. – Mam szczęście, że się zjawiłaś w naszym życiu. Budzisz we mnie dobre uczucia, Faye. Jesteś moją pokrewną duszą.

Nie odzywałam się, stałam z twarzą w jej włosach.

– Odwiedzisz nas niedługo?

– Tak – odpowiedziałam, bo przypominałam sobie, jak gdzieś czytałam, że obietnica, której być może nie zdołam dotrzymać, jest lepsza niż brak obietnicy.

– Dotrzesz do domu bez trudu?

– Poradzę sobie – zapewniłam. A potem spojrzałam na swoje stopy.

– Gdzie masz buty?

– Nie wiem. – Udałam, że się za nimi rozglądam.

Jeanie przyniosła mi swoje brązowe botki sięgające do połowy łydki. Włożyłam je i obiecałam:

– Zwrócę ci przy następnej wizycie.

Uścisnęłam małą Faye, a potem, podziękowawszy za ubranie, kanapkę i herbatę, wyszłam. Wspomnienie o tym, jak opuszczałam ten dom jako dziecko, pukałam do drzwi Em i Henry’ego i nigdy więcej nie zobaczyłam matki, odtwarzało się w mojej głowie jak film, gdy krok po kroku oddalałam się od ciepłych ramion Jeanie. Patrzyłam na swoje stopy w jej butach, czując, że powtarzam drogę, której żadna córka nie powinna odbywać więcej niż raz w swoim życiu. Zostawiałam za sobą ukochaną matkę, być może na zawsze. Twarz miałam mokrą od łez.

Mdliło mnie na myśl o ponownym wejściu do pudła. A jeśli nie zdołam wrócić do domu? Rozpaczliwie pragnęłam zobaczyć córki. Czy Eddie zastanawiał się, gdzie jestem? Sama zadawałam sobie pytanie, czy zniknęłam z tamtego życia, kiedy byłam tutaj, czy leżałam nieprzytomna na strychu. To by jednak oznaczało, że byłam w śpiączce. Nie wiedziałam, ile czasu minęło, czy tyle samo, ile spędziłam tutaj. Jeśli tyle samo, to jak miałam wytłumaczyć Eddiemu swoją nieobecność; do tej pory pewnie już wezwał policję. Dzieci z powieści *Lew, Czarownica i stara szafa* przeżywają całe swoje życie w Narnii, a potem wracają do Anglii w tym samym momencie, w którym zniknęły. Zaczęłam rozważać najrozmaitsze okropne możliwości: wracam do domu i znajduję Eddiego jako starca, który opowiada mi o naszych dorosłych córkach oraz ich życiu, które przegapiłam.

Rozmyślałam o tym wszystkim, siedząc na niskim murku za żywoplotem i czekając, aż zrobi się całkiem ciemno. Tymczasem najważniejsze pytanie brzmiało: czy pudło po kosmicznym skoczku zabierze mnie z powrotem do domu? Jedna monumentalna zagadka psychologiczna na początek w zupełności mi wystarczała, a w tym momencie mimo żalu, że muszę opuścić matkę, aż mnie skręcało z lęku, że mogłabym nie wrócić do swojej rodziny. Co zrobię, jeśli wejdę do tego pudła i nic się nie wydarzy? Może zabierze mnie w jakieś inne miejsce, do jakiegoś świata pomiędzy tymi dwoma, które znam.

Zastanawiałam się, jak bardzo to będzie bolało.

Kiedy już we wszystkich domach na ulicy pozaciągano zasłony, zakradłam się do szopy przy domu matki. Po omacku otworzyłam drzwi, ale nie widząc w ciemności, co robię, kopnięciem przewróciłam wiadro z narzędziami, zanim ostrożnie wymacałam krawędź pudła. Nie chciałam go jeszcze bardziej zniszczyć.

Weszłam do środka. Czekałam. I nic.

– Boże, proszę, niech to zadziała, proszę, zabierz mnie od domu, proszę, proszę... – szeptałam gorączkowo.

Nie wiem, czy zadziałały moje prośby, ale gdy wymówiłam słowo „dom”, poczułam, jakby ktoś mnie chwycił za lewą nogę i pociągnął w dół. Spód pudła – stały grunt – jakby przestał istnieć. Po pierwszym, dość nieprzyjemnym szarpnięciu cała reszta mnie przeszła gładko.

Kiedy przechodziłam przez pudło, poczułam nacisk na kostce, jakby ją ściśnięto, i zaczęłam się obracać w poziomej płaszczyźnie.

Jak na karuzeli w wesołym miasteczku, z początku radziłam sobie z dziwnym odczuciem (żeby nie powiedzieć strachem), ale stawało się coraz bardziej intensywne, wirowałam szybciej. Wydawało mi się, że krzyczę: „Dość!”, ale nie mogę być tego pewna. Chyba nie byłam w stanie poruszać ustami. Ale z całą pewnością myślałam, że mam dość. Wiem tylko tyle, że wirowanie trwało dłużej, niżbym sobie życzyła. Chciałam wysiąść z tej karuzeli.

W końcu się zatrzymałam, ale nie było żadnego stopniowego zwalniania, żadnego łagodnego wracania do znanego mi stanu. Nie. Coś... lub ktoś... ściskający moją kostkę puścił ją i poleciałam w przestrzeń. Było ciemno i chłodno, a ja znów wirowałam, przyspieszając w próżni. Zaczynałam się zastanawiać, czy już zawsze będę tak krążyć w przestrzeni między przeszłością i teraźniejszością, kiedy „wylądowałam”. Nie było to eleganckie lądowanie, na pewno byście takiego nie chcieli podczas gimnastycznych popisów. Wyhamowałam swój kosmiczny pęd, uderzając w ścianę strychu.

Znajdowałam się w pudle, choć trochę je zgniotłam i jeden bok znów się rozleciał. Leżałam skurczona na końcu strychu, obolała, tak jak można się spodziewać po zderzeniu ze ścianą.

Ogarnęła mnie nieopisana ulga, gdy usłyszałam dobiegający z dołu głos Eddiego.

– Halo?! – zawołał do dziury w suficie. Wyczułam niepokój w jego głosie. W tamtym momencie

nie wiedziałam, co go niepokoi, ponieważ nie miałam pojęcia, ile czasu minęło w jego świecie, gdy ja odwiedzałam matkę. Jeśli czas w ogóle nie mijał, to pewnie Eddie usłyszał głośny rumor, ściągnął słuchawki, zauważył wysuniętą drabinę i zastanawiał się, co robię tam na górze.

Tymczasem, jak się okazało, czas jednak mijał i Eddie niepokoił się moją nieobecnością. Spędziłam około jedenastu godzin z moją matką w przeszłości. Natomiast do Eddiego wróciłam trzy godziny po tym, jak go opuściłam. Na tyle długo, by go zaniepokoić, jak stwierdził, ale nie na tyle długo, by wzywać policję. Najwidoczniej Eddie przesiedział przy komputerze dwie godziny, a kiedy *Mary Poppins* dobiegła końca, dziewczynki do niego przyszły, usiadły mu na kolanach i odśpiewały piosenkę o puszczeniu latawca. Postanowił zakończyć naukę i dopiero wtedy zauważył, że mnie nie ma. Wprawdzie Eddie umie gotować, ale zwykle ja to robię, poza tym była już pora na popołudniową herbatę, a nie zapowiadałam wcześniej, że się dokądś wybieram. Powiedział, że szukał karteczki z wiadomością na lodówce, zadzwonił na moją komórkę (która zawibrowała na kuchennym blacie), a potem włożył do piekarnika paluszki rybne i chwilę pobawił się z dziewczynkami w chowanego.

Powiedział mi, że później z zaskoczeniem i ulgą zobaczył wysuniętą drabinę na podeście i wspiął się po niej, żeby sprawdzić, co robię tam na górze, ale na strychu było pusto, więc poczuł zdziwienie i rozczarowanie, ale specjalnie się nie zmartwił. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy zobaczył przy drzwiach moje japonki, które wkładałam prawie zawsze, gdy wychodzę tylko na chwilę.

Wprawdzie Eddie nie zaniepokoił się poważnie, ale postanowił, że jeśli nie będzie mnie do dziewiętnastej, obdzwoni moich znajomych. Słyszac łomot na strychu, zdenerwował się, bo przecież wcześniej tam zaglądał i wiedział, że jest pusto. Niepewność oznaczała więc lekki strach przed nieznanym.

– Halo?! – zawołał. Jego głos wdarł się na strych niczym echo z przeszłości.

– Eddie, to ja – wychrypiałam. Ulga łagodziła ból. Byłam w domu. Tym prawdziwym domu. Właściwie należałoby skorygować to, co powiedziałam – czułam ulgę tak nieopisaną, że prawie zapomniałam o bólu. Miałam znów zobaczyć swoje córki.

Eddie wspiął się po drabinie i wetknął głowę w otwór. Widziałam wyraźnie jego minę, ze ściągniętymi brwiami, ale jego oczy nie przywykły jeszcze do mroku, więc mrużył je, spoglądając w głąb strychu.

– Faye, to ty?

– Oczywiście.

– Co tu robisz? Gdzie byłaś? Zejdź na dół.

– Nie mogę. – Gardło mnie paliło od nieustającego krzyku podczas spadania w przestrzeni. Czułam się strasznie wyczerpana i nie miałam ochoty wykonywać żadnego ruchu. Mogłabym zasnąć od razu, tam na miejscu. – Możesz położyć dziewczynki do łóżek i wrócić po mnie? Będę tu czekać.

– Nie. Co się dzieje? Po prostu zejdź na dół.

Spróbowałam się ruszyć, ale szło mi to opornie. Pomyślałam, że mam drzazgi w czole, od uderzenia w ścianę, i ogólnie byłam ciężko poobijana. Moja niezbornosć zaniepokoiła Eddiego na tyle, że wszedł na strych, by mi pomóc.

– Stłukłaś coś? – spytał, kucając przede mną. Oświetlił mnie latarką z telefonu.

– Żarówkę.

– Nie, chodzi mi o to, czy sobie uszkodziłaś jakąś część ciała?

– Mam parę siniaków i zadrapań. Poza tym chyba nic mi nie dolega.

– Jak to zrobimy? – zastanowił się na głos, mocno obejmując mnie w pasie. Pomógł mi usiąść na krawędzi i zachęcił do zejścia po kilku szczeblach, a potem zaniósł jak dziecko do sypialni.

– Co ty, u licha, zrobiłaś? – spytał.

Kiedy leżałam w łóżku, terażniejszość wydawała mi się barwniejsza od przeszłości, świeższa i mniej zagmatwana. Zresztą lata siedemdziesiąte zostały mi w pamięci jako trochę niechlujne. Na zewnątrz wciąż było jasno, jak to pod koniec lipca, kiedy wieczory są długie. Słyszałam śmiech dziewczynek.



– Są w ogrodzie ubrane w piżamy – oznajmił, wyglądając przez okno.  
– Uwielbiam to.  
– Ja też.  
– Nie chcę, żeby mnie widziały – powiedziałam, dotykając czoła, z którego leciała mi krew.  
– Wyglądasz jak przeciągnięta przez kolczaste krzaki – stwierdził Eddie. – Nie rozumiem tego, zaglądałem wczesz-niej na górę i tam cię nie było, w domu też nie. A potem nastąpiło wielkie bum i znalazłaś się na strychu.

Nie odzywałam się, bo nie miałam do powiedzenia nic, co by zabrzmiało sensownie. „Przeniosłam się w przeszłość i ta podróż była wyboista”. Czyż mogłam powiedzieć coś takiego?

– Gdzie byłaś? Wyszłaś na zewnątrz, skaleczyłaś się i wdrapałaś się na strych? Jak ci się to udało, skoro nie mogłaś z niego zejść? To twoje buty? Znalazałaś je tam na górze?

Otworzyłam usta... i zamknęłam je, nie wypowiadając ani słowa.

– Co się dzieje? – Słyszałam złość w jego głosie. – Powiedz mi.

Łzy napłynęły mi do oczu, odwróciłam głowę, żeby wsiąknęły w poduszkę. Spojrzałam na Eddiego, który klęczał przy łóżku.

– Nie zrobiłam nic złego – powiedziałam zgodnie z prawdą.

A potem skłamałam.

– Poszłam na górę, żeby schować bezpiecznie moje pudło. Uderzyłam się w głowę i musiałam upaść, a potem straciłam przytomność.

Eddie wpatrywał się we mnie z uwagą.

– Co to był za hałas?

Wzruszyłam ramionami.

– Musiało zdarzyć się coś więcej niż tylko uderzenie w głowę, wyglądasz jak po bitwie.

Patrzył na mnie tak jak na dziewczynki, kiedy zapewniały, że nie piły czekolady, choć zdradzały je ślady pod nosem. Wziął mnie w ramiona.

– Zawsze mówisz mi wszystko – wymruczał z ustami w moich włosach.

Mogę was o coś prosić? Następnym razem, kiedy będziecie sam na sam z kimś, na kim wam zależy, i liczycie się z jego opinią, chcę, żebyście się przyznali do podróży w czasie i do tego, że spotkaliście ukochaną osobę, która już zmarła, i swoje młodsze wcielenie. Chcę, żebyście powiedzieli, że kiedy tam byliście, potrącił was samochód, graliście w karty, jedliście kanapki, piliście herbatę, a potem wróciliście do domu poprzez pudło. Zróbcie to dla mnie i nie obracajcie niczego w żart, zapewnijcie, że mówicie poważnie. Macie przewagę, bo tak naprawdę wam się to nie przydarzyło, więc nie muszą wam wierzyć, nie będziecie rozpaczliwie chcieli się podzielić swoimi niewiarygodnymi przeżyciami, ponieważ one nie będą prawdziwe. Ale gdyby były, zastanówcie się, jak opowieść o nich zostałyby przyjęta.

Przypuszczam, że w najlepszym razie zostałyby wysmiana. A w najgorszym?

Jak by wyglądała najgorsza ewentualność, gdybyście się upierali, że to wszystko wam się przydarzyło naprawdę? Dość szybko, jak sądzę, zaczęlibyście rzadziej widywać tę osobę, zerkałaby na was podejrzliwie, wygłaszała szeptem uwagi na wasz temat do innych i w końcu trzymała się od was z daleka.

Jak mogłam powiedzieć Eddiemu? Gdybym mu wyznała, co się naprawdę stało, na pewno by uznał, że wymyślam głupią historyjkę, by ukryć jakąś straszną prawdę. Albo że postradałam rozum.

Istniała też możliwość, że mi uwierzy, a rzeczywiście mógł. Ostatecznie wierzy w Boga, a to wymaga szczególnej ufności. Mógł mi ufać. A gdyby mi uwierzył, chciałby mnie chronić, nie chciałby, żebym odnosiła obrażenia i na koniec zaginęła nie wiadomo gdzie, w ciemnej otchłani pomiędzy tamtym i tym światem. Chyba mógłby zniszczyć pudło dla mojego bezpieczeństwa, a do tego nie mogłam dopuścić. Ponieważ już bezpieczna w domu myślałam tylko o tym, by znów zobaczyć się z matką.

Dlatego wyznanie prawdy nie było dobrym wyjściem.

Ale kogo właściwie oszukiwałam? Przecież on by mi z pewnością nie uwierzył.

Eddie był na mnie zły. Poczytał dzieciom i utulił je do snu. Na razie zachowywałam bezpieczny dystans, unikając jego pytań i podejrzliwych spojrzeń. Położyłam się i z łóżka, patrząc na buty matki stojące pod ścianą, słuchałam odgłosów mojej rodziny szykującej się do snu.

Miałam wrażenie, że upłynęły zaledwie sekundy, kiedy obudził mnie Eddie, odgarniając kosmyk włosów z mojej twarzy. Na zewnątrz panowała ciemność, a on przyglądał mi się w świetle lampy.

– Moje zdjęcie jest nadal w twoim gabinecie? – spytałam zaniepokojona, że nie mam go w portfelu, że leży gdzieś, skąd można je wziąć lub usunąć.

– Chyba tak – odparł, ale nawet nie drgnął.

– Możesz je przynieść? – Widząc, że nadal tkwi nieruchomo wpatrzony we mnie, dodałam: – Proszę.

Podniósł się z westchnieniem, a kiedy wrócił, niemal wyrwałam mu zdjęcie z ręki i długo się w nie wpatrywałam. Była tam choinka i pudło w najlepszym możliwym stanie. Ja też byłam na tym zdjęciu, w tym momencie. Potrząsnęłam głową, myśli kotłowały mi się pod czaszką, jak kulki wysypane z torebki, które odbijają się od siebie, toczą w jedną stronę, po czym uderzają w coś i gwałtownie zmieniają kierunek. Kiedy się patrzy na fotografię, mając w pamięci uwiecznioną na niej scenę, pamięta się też okoliczności towarzyszące robieniu zdjęcia: kłótnię, która wybuchła tuż po wygaszeniu uśmiechów, to, jak sfotografowani ludzie odchodzili do baru, do ogrodu czy do sypialni, albo moment tuż po, kiedy wszyscy się odprężają, śmieją i zachowują naturalnie, przez co wyglądają najlepiej, ale migawka już kliknęła i utrwaliła gorsze ujęcie, to wcześniejsze. Jednak zdjęcie naprawdę szczęśliwego dziecka jest inne. Postukałam w sztywną odbitkę, jakby moja szczerza uśmiechnięta twarz nie była uwięziona w czasie, na papierze, tylko jakby moja młodsza wersja stała po drugiej stronie szyby, uchwytna i namacalna. Eddie powoli wyjął mi zdjęcie z ręki i odłożył na nocny stolik.

Wciąż nie odrywałam wzroku od zdjęcia, więc dotknął mojego policzka, zmuszając mnie, bym spojrzała na niego.

– Przygotowałem ci kąpiel – powiedział. Próbowałam wstać, ale ciało miałam boleśnie zdrętwiałe. – Pozwól – mruknął, po czym odsunął kołdrę, delikatnie pomógł mi się wyprostować i ostrożnie mnie rozebrał.

– Nie poznaję tej bluzki – powiedział.

Milczałam.

– W porządku. – Westchnął z rezygnacją.

Już nagą Eddie wziął mnie na ręce, jak wcześniej, zaniósł do łazienki i włożył do wanny, żebym zażyła drugiej kąpieli tego dnia.

Ciepła woda działała jak balsam. Eddie przysunął sobie mały drewniany stołeczek i usiadł na nim; kupiliśmy go przed kilkoma laty, żeby oszczędzać kręgosłupy podczas kąpienia dzieci. Oparł się łokciami o brzeg wanny i na mnie patrzył. Zamknęłam oczy, bojąc się kontaktu wzrokowego. Nie odzywał się, tylko wziął gąbkę, namydlił i zaczął mnie myć; wyjmował moje nogi z wody, przecierał gąbką stopy i kolana. Przesuwał się w górę z coraz większą ostrożnością. Kiedy delikatnie dotykał mojej twarzy, czułam ból.

– Jak sobie to zrobiłaś? – spytał, choć chyba już nie oczekiwał odpowiedzi. – Możesz mówić?

– Tak.

– Powinienem zadzwonić na policję?

– Nie! – Szarpnęłam się, próbując usiąść w wodzie.

– Już dobrze, dobrze.

– Nie chcę o tym mówić. Nic się nie stało.

– Cóż, skoro nic się nie stało, to nie ma o czym mówić. – Eddie powoli wypuścił powietrze i spojrzął gdzieś przed siebie, zanim znów skupił wzrok na mnie. – Myślę, że cokolwiek to jest, zakładasz, że mnie zrani. A nie chcesz mnie okłamywać, więc nawet nie możesz wymyślić dobrej wymówki. W braku poczucia, że możesz mi powiedzieć prawdę, nic mi nie mówisz.

– Może tak być? – spytałam z nadzieją. – Możemy na tym poprzestać?

– Nie, nie możemy. Kocham cię i chcę wiedzieć, co się dzieje. Zawsze rozmawiamy. – Otarł mi kciukiem policzek, w jego brązowych oczach widziałam troskę i obawę. – Ale jesteś tu, bezpieczna, i cokolwiek się stało, nie zabiło cię, choć chyba niewiele brakowało.

– Nie mam romansu, nie spotykam się z nikim. – Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Chyba chciałam go upewnić, że nie musi się obawiać niczego typowego. – Nikt nie próbował zrobić mi krzywdy, to był wypadek.

Zmarszczył czoło, a ja pożałowałam, że w ogóle się odzywałam. To, co mówiłam, brzmiało bezsensownie, nawet w moich własnych uszach.

– Potrzebowałam bardzo dużo ufności, żeby objąć umysłem to, co mnie dziś spotkało – powiedziałam, przysięgając sobie w duchu, że na tym koniec, że zaraz zamilknę.

– Akurat w tym jestem dobry – przypomniał.

– A ja nie. Żałuję, że nie umiem wierzyć w Boga.

Patrzył na mnie, jakby szukał słów w wykreślanie i mozolnie dopasowywał znaczenie do kombinacji liter. Czasami myśl jest tak mocna, że istnieje wrażenie, iż można ją odczytać nad głową jak w komiksowym dymku lub napisach filmowych, ale na szczęście to tylko złudzenie.

– Robisz wiele rzeczy, które Bogu by się podobały – powiedział.

– Ale w niego nie wierzę.

Eddie zamknął oczy i uśmiechnął się ledwie zauważalnie, po czym poznałam, że przed oczyma przesunęło mu się jakieś dobre wspomnienie. Uniósł powieki i znów na mnie popatrzył.

– Tamtego dnia, gdy urodziła się Esther, tuląc ją, powiedziałaś: „Ona nawet nas nie zna, a mimo to kochamy ją najbardziej na świecie”. Pamiętasz?

Przytaknęłam skinieniem. Pamiętałam tak wyraźnie, jakby to się zdarzyło wczoraj. Byliśmy w szpitalu, Esther spoczywała w moich ramionach, zawinięta w biały koc; krzywiła się, jakby świat brzydko pachniał, a Eddie obejmował nas obie. Byliśmy bardzo małym, bardzo ważnym punktem w bezkresnym wszechświecie.

– Nie ma znaczenia, czy wierzysz w Boga – powiedział Eddie; podniósł moje palce do ust i ucałował. – Bo On wierzy w ciebie. – Powtórzył pocałunek. – Kiedy będzie potrzebował, żebyś w niego uwierzyła, da ci znak.

Wezbrała we mnie fala miłości do męża, wypełniła mnie bez reszty, dławiła w gardle, domagając się upustu. To przemożne pierwotne uczucie obejmowało jego, nasze dzieci, moją matkę i mnie. Mnie jako dziecko, które widziałam i dotykałam, i uratowałam. Mnie, której żałowałam, bo wkrótce miałam stracić matkę. Matkę, której współczułam, że tak wiele ją ominie, którą utraciłam po raz pierwszy i z którą musiałam się dziś rozstać. Czy Bóg mógł brać udział w tym, co mnie spotykało? Jeśli zamierzał dać mi znak, to chyba właśnie mi dawał.

Odpierałam wszelkie argumenty mówiące o boskiej opiece nade mną. Łatwiej mi było uważać moją podróż za rozdarcie w tkaninie czasu albo korytarz w czasie, do którego przypadkiem znalazłam wejście. Gdybym przyjęła, że Bóg da mi znać, kiedy będzie potrzebował, żebym w Niego uwierzyła, to jakby oznajmić, że wierzę w Boga, tylko nie w tej chwili, i przykro mi, ale nie mogę. Chcę, ale nie mogę. Dotknęłam policzka Eddiego.

– Eddie, myślę, że to szaleństwo, że wierzysz w Boga.

– Powiedz mi dlaczego.

– Bo nie ma dowodu, nie da się go zobaczyć. No i te króliki z *Wodnikowego Wzgórza* – dodałam, czując narastające zmęczenie. Przytłaczały mnie wydarzenia całego dnia i chciałam jedynie zasnąć, zupełnie się wyłączyć. Tak naprawdę pragnęłam powiedzieć Eddiemu, że cofnęłam się w czasie, w istocie odbyłam podróż przez czas i twardo wylądowałam, stąd moje obrażenia, i że spotkałam wytęsknioną matkę i siebie jako dziecko, pragnęłam go spytać, co to wszystko znaczy i co powinnam zrobić. Eddie zawsze wiedział, co robić.

– Cóż, wierzę w wiele rzeczy, których nie mogę zobaczyć. Czyngis-chana na przykład – powiedział Eddie. Ściągnęłam brwi i natychmiast zabolowały mnie skaleczenia na twarzy. – Wierzę, że Jezus zmartwychwstał, bo był synem Boga. Ludzie Go wtedy widzieli i wierzę w to, co napisali o tym wydarzeniu.

Chciałam wyjść z wanny; podniosłam się, a Eddie wziął duży kąpielowy ręcznik i starannie mnie wytarł, uważając na podrapaną twarz i ramię. Aż cmoknął na widok wykwitających na żebrach fioletowych śladów.

– No dobrze, o co chodzi z tym *Wodnikowym Wzgórzem*? – Owinął mnie ręcznikiem i objął, a ja oparłam się na jego piersi. Ciepło zaparowanej łaźienki i siła mojego męża dodawały mi otuchy.

– Kiedy byłam mała – zaczęłam głosem trochę stłumionym przez ręcznik – wierzyłam w Boga i kiedy matka zmarła, uznałam, że poszła do nieba. Miałam około osiemnastu lat, kiedy przeczytałam *Wodnikowe Wzgórze*, gdzie króliki wierzyły we własnego boga. Wiedziałam, że nie ma żadnego króliczego boga, to był uroczy pomysł, ale niedorzeczny. I uświadomiłam sobie, że gdyby jakaś wyższa forma istnienia patrzyła na mnie z góry i widziała, że wierzę w Boga i niebo, to ta wyższa istota pomyślałaby o mnie to samo, co ja o tych królikach. Że to absurd.

– Tylko że ta wyższa forma istnienia prawdopodobnie byłaby jak Bóg – stwierdził Eddie.

– Tylko jeśli uważasz ludzi za bogów w porównaniu z królikami.

– No tak. – Wsunął mi rękę pod kolana i znów mnie podniósł. – Nie ty pierwsza rozpatrujesz tę kwestię w taki sposób. Mnóstwo czasu i wysiłku poświęcono na studiowanie i omawianie tego zagadnienia. I mnóstwo ludzi pisało o zwierzętach wierzących we własnego boga.

To, co mówił, było cudownie odprężające, miałam nadzieję, że Eddie swoją opowieścią ukoi mój wewnętrzny zamęt, poprowadzi mnie ze sobą drogą pogodnej kontemplacji, co często mu się zdarzało. Wiedziałam, że będzie wygłaszał piękne kazania.

Zabrał mnie do łóżka, ostrożnie nałożył mi przez głowę luźny podkoszulek i przykrył kołdrą.

– Zaczekaj tu – poprosił, a po chwili wrócił z cienkim jasnoszarym tomikiem z koroną cierniową na okładce. Przysiadł na brzegu pościela. – Zamknij oczy i po prostu słuchaj. – I przeczytał mi wiersz o tym, jak ryby wyobrażają sobie niebo.

*Ryby (opasłe muchami, w czerwcową pogodę)*

*Przemierzając leniwie niestygnącą wodę,*

*Mądrości rozważają i jasne, i mętne,*

*Wszystkie rybie nadzieje, czyste i pokrętne.*

*Ryby mówią: jest staw i rzeka,*

*Ale czy jeszcze coś nas czeka?*

*Los nie może się kończyć na doczesnym bycie,*

*Bo, o zgrozo, jakże marne byłoby to życie!*

*Przecież nikt nie wątpi i nikt nie zaprzeczy,*

*Że woda z błotem lepsze zrodzą rzeczy;*

*Nie ujdzie też uwadze oka wnikliwego*

*Znaczenie Płynności, sens Ładu Ciekłego.*

*Jak każdy wierzy w głębi ducha*

*Przyszłość nie może być całkiem sucha.*

*Z ości powstałe – obróci w ości!*

*Lecz nie tu miejsce na głębię wieczności!*

*Wszak poza czasem i przestrzenią*

*Wodnistsze wody, miększe szlamy drzemią.*

*A tam (jak wierzą) pływa Ten,*

*Co pływał przed powstaniem rzek;*

*Wspaniały w rybiej swej powłoce,*

*Pod łuską skrywa wielkie moce,*

*A jego Płetwa Wszechmogąca*

*Najmniejszej rybki nie odtrąca.*

*Żadnego haczyka, podstępu ni cienia*

*Nie doświadczą ryby w niebiańskich strumieniach;*

*Są tam nie tylko podwodne pastwiska,*

*Ale i żyzne boskie grzęzawiska;*

*Robaki tłuste dryfują obficie,*

*Znaleźć też można rajskie gąsienice.*

*Pękate larwy wokół rozsiane*

*I wszelkich owadów roje nieprzebrane.*

*W tym niebie z ich życzeń stworzonym jak gdyby*

*Lądu nie będzie wcale, mówią ryby<sup>1</sup>.*

Bliska zaśnięcia wyobrażałam sobie tęczowego pstrąga i błyszczącą płotkę śmigające w płytkiej wodzie, tak czystej, że widziałam kamyki na dnie; widziałam też dziecięce rączki podnoszące te kamyki i oddające je mnie. Próbowałam myśleć o tym, że ryby są głupie, skoro marzą o własnym niebie. A potem usiłowałam sobie wyobrazić moje idealne niebo, w pełni przeze mnie stworzone, i to, co by w nim było, i wiedziałam, że na pewno byłyby rzeki i ryby. Odpływając w sen, uzmysłowiłam sobie, że ryby nie potrzebują własnego nieba, bo jeśli istniało moje niebo, tobym je ze sobą zabrała. I wszystkie króliki również.

<sup>1</sup> *Heaven* Ruperta Brooke'a w tłumaczeniu Teresy Komłosz.

Wciągu kilku następnych dni przyłapywałam Eddiego na tym, że patrzy na mnie podobnie jak na pęknięcie w tynku, biegnące od rogu kominka do rogu sufitu. Tylko że patrząc na mnie spod ściągniętych brwi, znad swojego kubka, nie mówił: „Muszę cię koniecznie naprawić”. Czułam jednak, że myśli coś w tym rodzaju.

Byłam zmęczona, jak po gimnastyce odbytej po raz pierwszy po długiej przerwie; mięśnie protestowały, a kości błagały, żebym się położyła, więc to zrobiłam.

– Cassie i Clem dziś przychodzą? – spytał Eddie, kiedy pakowałam dziewczynkom pudełka z lunchem i szukałam ich szkolnego obuwia. Co poniedziałek po odprowadzeniu dzieci do szkoły umawialiśmy się na kawę, więc miał nadzieję, że z nimi porozmawiam, wyznam im, co mi się przydarzyło, a jeśli to coś poważnego, one zmuszą mnie do rozmowy z mężem albo same mu wszystko powiedzą. Prawdopodobnie w większości par każde z małżonków ma przyjaciół, których uważa za osobistych, i zabrałoby ich ze sobą w razie rozwodu. Tymczasem Cassie i Clem, choć moje, zawsze okazywały lojalność wobec Eddiego. Gdybyśmy się kiedyś rozeszli, musielibyśmy się nimi dzielić, bo nie sądzę, żeby go porzuciły.

Znaliśmy się wszyscy od czasu college’u, studiowały na tym samym wydziale, co on, coś związanego z finansami, a kiedy zaczęliśmy się z Eddiem spotykać jako para, pełniły funkcję opiekuńczych ciotek. Nim stały mi się bliskie jak siostry, myślałam o nich jak o ciotce Sponge i ciotce Spiker, choć obie wyglądały o wiele lepiej i były o wiele miłsze niż postacie z książki. Clem była duża i piękna, jak wszystko inne w jej życiu: mąż, dom i dziecko, natomiast Cassie była wysoka i szczupła i miała w sobie coś eterycznego, co zgodnie uważaliśmy za dowód, że może być spokrewniona z kosmitami. Wcześniej zaczepiano ją na ulicy i proponowano pracę modelki, ale odpowiadała, że woli księgowość.

Z mojego doświadczenia wynika, że obecnie dziewczyny może łączyć wiele różnych rzeczy, ale miesiączki, diety i nieporozumienia z chłopakami dominują jako tematy podczas większości kobiecych spotkań. Wtedy jednak byłam w trudnej sytuacji, bo ilekroć powiedziałam coś złego o Eddiem, Cassie i Clem zaczynały trzepotać i gruchać jak wojownicze gołębnice, przekonując mnie, że Eddie z pewnością nie mógł postąpić niewłaściwie.

Obecnie byłyśmy znacznie starsze, wszystkie miałyśmy dzieci, a przekonanie, że Eddie stanowi ideał, z czasem jakoś się rozmyło. Miały okazję widywać – choć rzadko – jego wybuchy gniewu, dziwaczne ataki zazdrości, a nawet słyszeć wymyślne przekleństwa, kiedy wszyscy byliśmy wkurzeni, co wystarczyło, by zrozumiały, że jest tylko człowiekiem. Mimo to uważały go za osobę lepszą od większości innych. Dopóki nie oświadczył, że chce zostać pastorem. To im się nie spodobało.

Dlatego kiedy Eddie był w pracy, a ja odprowadziłam dziewczynki do szkoły, Cassie i Clem zapukały do drzwi i weszły do mojego domu jak do siebie. Ucałowały mnie w policzek i przeszły przez hol, nie przerywając rozmowy, po czym Clem – z niemowlakiem na biodrze – oceniła ciężar czajnika i włączyła go, żeby zagotować wodę.

– Zgadzasz się ze mną, Faye? – spytała Cassie, krzyżując wiotkie ramiona i domagając się mojego poparcia w sporze, o którym nic nie wiedziałam. Podobna sytuacja zdarzała się tak często, że wypracowałam sobie kilka dyżurnych, zbywających odpowiedzi.

– Nie, przykro mi, ale w tym wypadku zgadzam się z Clem – oznajmiłam i mrugając porozumiewawczo, wyciągnęłam ręce po dziecko. Clem podała mi synka takim gestem, jakby przekazywała worek ziemniaków, a ja natychmiast wetknęłam nos w delikatny puch na małej główce.

– Oczywiście, że zgadza się ze mną – podchwyciła Clem i przyjrzała mi się uważnie. – Nawiasem mówiąc, wyglądasz okropnie.

– Dzięki – wyszeptalam w miękkie włoski dziecka.

– Rozmawiamy o Eddiem – wyjaśniła Cassie. – Clem uważa, że to całe pastorowanie praktycznie

stanowi powód do rozwodu.

– Jako niepożądana okoliczność – dodała Clem. – Gdyby Dave mi to zrobił, chybabym go zabiła. – Sprawnie przygotowała kubki, herbatę i mleko. – On zmienia nie tylko swoje życie – zwróciła się do Cassie, gestykulując jak włoska matrona. – Zmusza do zupełnie innego stylu życia Faye i dziewczynki. I nie daje im w tej kwestii żadnego wyboru.

Ten temat zaczął występować regularnie i stopniowo nabierał ostrości, odkąd stało się jasne, że Eddie poważnie myśli o zdobywaniu kwalifikacji duszpasterza.

– Owszem, ale to nie musi prowadzić do rozwodu – powiedziała Cassie. – Prawda? – Spojrzała na mnie z ufnością w wielkich migdałowych oczach.

– To raczej poważna sprawa – powiedziałam. – Nie pisałam się na żonę pastora. Po pierwsze, nie jestem pewna, czy mam dość rozsądku.

– Widzisz! – Clem z zapalem wrzucała herbaciane saszetki do kubków. – Nie mówiłam tego samego, Cassie? Nie dorosła do tej roli. Bez urazy.

– Nie dorosłam! – prychnęłam. – To miał być komplement?

– Och, wiesz, o co mi chodzi – próbowała łagodzić Clem. – Będziesz musiała przez cały czas nienagannie się zachowywać. Zawsze. To zbyt wielkie poświęcenie. Eddie postępuje egoistycznie.

– Podąża za powołaniem, trudno tu doszukiwać się egoizmu – zwróciła jej uwagę Cassie.

– Trochę egoizmu w tym jest – wtrąciłam i wreszcie obie przestały mówić i spojrzały na mnie. – Nawet by mi się nie śniło wciągać Eddiego w moją pracę, ale nie sądzę, żebym się nadawała na żonę pastora. Poza tym nie wiem, w jakim stopniu ma tu znaczenie kwestia dotycząca Boga.

– Czy Eddie wie, że ty tak naprawdę nie wierzysz w Boga? – spytała Clem.

– Mówiłam mu, wie, rozmawialiśmy o tym. Ale to zdumiewające, jak wyraźnie widać religijność, kiedy mowa o wierze we współczucie, pokój i pomaganie innym. On chyba sądzi, że nauczę się wierzyć w Boga.

Znów poczułam zmęczenie, więc oddałam dziecko Clem. Przeniosłam się z kuchni do salonu, a one podążyły za mną, z herbatą i ciasteczkami. Cassie i Clem z synkiem zasiadły na małej sofie, a ja położyłam się na większej naprzeciw nich.

– Po prostu chcę wiedzieć, Faye, powiedz mi prawdę, czy to wstąpienie w szeregi kleru was rozdzieli?

– Nie martw się, nie zostawię Eddiego, nawet jeśli zostanie sprzątaczem rzygów w wesołym miasteczku. – Zaśmiałyśmy się zgodnie, bo w college’u lubiłyśmy żartować o najgorszych możliwych pracach na świecie, a ta zajmowała jedną z najwyższych pozycji na liście. Chcąc zmienić temat, pokazałam im moje zdjęcie w pudle po kosmicznym skoczku.

– Jakie urocze! – zachwyciła się Cassie.

Clem przejęła od niej odbitkę, którą trzymała poza zasięgiem lepkich rączek synka.

– Gdzie zostało zrobione? – spytała.

– W domu mojej matki, w Boże Narodzenie, jak widać. Ona je zrobiła. Miałam wtedy sześć lat.

– A ile miałaś, kiedy umarła? – dociekała Clem. – To chyba nastąpiło wkrótce potem?

– Osiem.

– To dlatego jesteś trochę zawieszona, pod pewnymi względami niedojrzała.

– Zamknij się, Clem – próbowała ją mitygować Cassie.

– Częściowo utknęłaś w momencie, kiedy twoja mama zmarła. To się zdarza. Evie niedługo skończy osiem lat, a na dalszy okres nie znasz modelu macierzyństwa. Esther jest zdecydowanie rozsądniejsza od ciebie.

– Jezu, zamkniesz się wreszcie? – Cassie szturchnęła Clem łokciem i spojrzała na mnie ze skruchą. – Esther jest rozsądniejsza niż my wszyscy.

Pokiwałam tylko głową i zamknęłam oczy, wcale nie miałam ochoty ich otwierać. Głosy przyjaciółek zwały się w szum tła; chciałam być sama, ponieważ nawet w ich towarzystwie, w tym momencie, czułam się całkowicie odizolowana, poza tym cisza czająca się pod czynionym przez nie zamieszaniem i tak na mnie czekała, więc równie dobrze mogłam od razu stawić jej czoło.

Nagle przyszło mi do głowy, że odczuwane przeze mnie zmęczenie może być formą żałoby, do



której wcześniej nie byłam zdolna. Em i Henry nie wiedzieli, co powiedzieć, żeby pomóc mi znieść poczucie utraty i cierpienie. Wtedy, w latach siedemdziesiątych, uważano, że im mniej będą mówić, tym lepiej. Pragnienie, by oszczędzić mi bólu, było zrozumiałe, ale według współczesnej psychologii taka postawa mogła przynieść efekt przeciwny do zamierzonego.

Nie pamiętam, żebym zadawała Em i Henry'emu dużo pytań o matkę. Pamiętam natomiast swoje poczucie, że nie powinnam pytać. Przeszukiwałam pamięć niczym zagraconą szufladę, próbując znaleźć jakiś obraz, mentalny zapis rozmowy, czegoś, co by wyjaśniało, dlaczego czułam się taka samotna po utracie mamy, skoro Em i Henry bardzo mnie wspierali i zaopiekowali się mną pod każdym innym względem. We wspomnieniach widziałam twarz Henry'ego tak mocno pokrytą kurzem, że ledwie dawała się rozpoznać. Minę miał zatroskaną i spoglądał na Em, kiedy zadawałam jej pytanie albo mówiłam coś o matce. Co to mogło być? „Tęsknię za mamą. Chcę znów zobaczyć mamę. Myślisz, że moja matka była szczęśliwa?”

Takie spojrzenia dobrze zapamiętałam. Wtedy ich nie analizowałam, ale uświadomiłam sobie, co oznaczały; nie chciał, żebym denerwowała jego żonę. Em, cudowna kobieta, dbała o mnie jak o własne dziecko. Ufałam jej bezgranicznie, ale może kiedy przyszedłam do jej domu – choć nigdy by mi nie życzyła utraty matki – była zadowolona, bo spełniło się jej marzenie. Pomyślałam o tym, jaka była zaborcza, kiedy bawiła się z małą Faye w swoim domu w zdejmowanie czekoladek z choinki, jakbym była dla niej upragnioną lalką. Śmierć mojej matki stanowiła jedynie zysk dla Em, więc musiało jej być łatwiej udawać, że należę wyłącznie do niej, i odsuwać postać Jeanie od siebie... i ode mnie. Nie posądzam jej o złe intencje, Em zawsze była dla mnie dobra. Po prostu samolubnie kochała córkę, której zawsze pragnęła, to wszystko.

W wyniku tego jako dziecko czułam jednak swego rodzaju pustkę wypełnioną smutną ciszą. Płakałam tylko w samotności, kierując żal w jakąś czarną dziurę, otchłań, w nieznane. Ale teraz utraciłam matkę ponownie. Czy więc ponownie odbywałam żałobę? Tym razem bardziej normalną? A może taką, z którą łatwiej się uporać, ponieważ tym razem mogłam się pożegnać, uściskać matkę i miałam nadzieję na ponowne spotkanie, jaką miałabym wcześniej, będąc osobą wierzącą.

Cassie i Clem rozmawiały, nie zwracając na mnie uwagi; nie odzywałam się od dłuższej chwili i wiedziałam, że Cassie zadba o porzucenie drażliwego tematu. Teraz wesoło sprzeczały się o coś innego.

Myślałam o tym, co mówiła Clem, o moim utknięciu w latach, kiedy zostałam sierotą. Było w tym coś z prawdy, chociaż przed kilkoma dniami będąc z matką, czułam się od niej starsza, może dlatego, że wyglądałam na znacznie starszą i lepiej znałam sytuację.

Przerzuciłam ciężkie nogi przez brzeg sofy i usiadłam.

– Co myślicie o podróży w czasie? – spytałam, kiedy przyjaciółki zamilkły dla nabrania oddechu.

– Co? – rzuciła Cassie, wgrzyzając się w ciasteczko.

Clem przez chwilę wpatrywała się we mnie bez słowa.

– Jest niemożliwa, oczywiście. UFO dyskusyjne, małe zielone ludziki mało prawdopodobne, Bóg... – Westchnęła. – Wątpliwy. A podróż w czasie, cóż, nadaje się jedynie dla czubków albo do powieści i do filmów. – Przeniosła wzrok z powrotem na Cassie i gładko wróciła do poprzedniego tematu.

Nie drążyłam ani nie broniłam zjawiska podróży w czasie, chciałam tylko sprawdzić, jak mi pójdzie wypowiedzenie tych słów. Tuż przed zadaniem pytania wyobrażałam sobie, że temat da się pociągnąć, choć jednocześnie miałam świadomość, że wszystko, co powiem, może dotrzeć do uszu Eddiego. Tymczasem Clem ze swoją brutalną niechęcią do wszystkiego, co irracjonalne, i Cassie z jawnie znudzonym milczeniem zamknęły sprawę tak definitywnie, jakby zatrzasnęły mi drzwi przed nosem. Jak niemile widziany domokrążca czułam, że nie mogę się więcej dobijać.

Myślałam o powrocie w przeszłość, nie mogłam myśleć o niczym innym. Tym razem jednak byłabym przygotowana. Matka by mnie wpuściła, bo znała mnie jako dorosłą osobę, która uratowała życie jej córce. A ja miałabym dla niej gotowe pytania, te wszystkie, których się zwykle nie zadaje, dopóki nie jest za późno, i pozostaje jedynie żal. Zamierzałam w pełni wykorzystać swoją szansę. Zaabsorbowana rozmyślaniami czasami pochwytywałam pytające spojrzenia Eddiego i po wyrazie jego oczu poznawałam, że nie liczy na uzyskanie ode mnie odpowiedzi. Marzenia o tym, żeby znów zobaczyć matkę, przypominały paczki owinięte brązowym papierem i przewiązane jaskrawą wstążką; chętnie spędzałabym całe dni na snuciu planów, ale musiałam wrócić do pracy.

Przeprowadzam doświadczenia w Królewskim Instytucie dla Niewidomych, testując produkty przeznaczone dla osób całkowicie lub częściowo pozbawionych zdolności widzenia. Potem piszę raporty, oceniając, czy rzecz będzie istotnie tak łatwa w użyciu dla niewidzących, jak zapewnia wytwórca.

W tym konkretnym eksperymencie uczestnicy zakładają gumowe rękawiczki i dotykają gipsowych odlewów głów Mozarta i Bacha. Widzącym zawiązuje się na oczach opaski. Wszyscy mają opisać, co czują. Próbuję sprawdzić, czy dotyk dostarcza im wystarczającej ilości informacji, by mogli podać sensowny opis dotykanej rzeczy.

Mogłabym wam powiedzieć, po co przeprowadzałam ten eksperyment, ale to nie należy do tej historii.

Miałam trzydziestu uczestników: dziesięciu niewidomych, dziesięciu niedowidzących i dziesięciu widzących, a jednym z nich był mój znajomy Louis, ten, który chciał czuć to, co znajduje się na zdjęciu. Ilekroć organizuję jakiś sprawdzian albo zbieram grupę fokusową, Louis się zgłasza do udziału; przez lata dobrze się poznaliśmy i prawie co tydzień chodzimy razem na lunch.

Myślę o Louisie jak o Dużym Misiu Geju, ponieważ jest gejem, dużym i uroczym jak miś. Jest też elegantem, zawsze nosi koszule wyglądające na drogie i ma schludnie przyciętą brodę. I fantastycznie pachnie. Nie widzi od urodzenia i twierdzi, że najbardziej denerwuje go to, że na randce nie może zadbać o partnera tak jak jego widzący znajomi. Chciałby móc się z kimś umówić, a potem bezpiecznie odwieźć lub odprowadzić go do domu, ale jest to niemożliwe. Przez ułomność nie może się wykazać swą wrodzoną opiekuńczością.

Jest przemiłym człowiekiem, ale przez frustrację bywa kłótlivy po paru piwach. Któregoś dnia po pracy siedzieliśmy w pubie naprzeciwko instytutu, a on uparł się, że pójdzie do baru i przyniesie dla nas dwa piwa. W drodze powrotnej do stolika jakiś człowiek szedł tyłem, kończąc rozmowę ze swoim towarzystwem, i potracił ramię Louisa, oblewając się przy tym piwem. Skupiony na swoim mokrym podkoszulku, nie patrząc na Louisa, odezwał się ławym do przewidzenia tekstem: „Patrz, gdzie leziesz, chłopie, ślepy jesteś czy co? Załatwiłeś mi koszulkę!”. Kiedy w końcu spojrzął na Louisa i zobaczył, że rzeczywiście jest ślepy, zaczął gorliwie przeproszać. Tylko że Louis nie dawał się udobruchać.

– No, dawaj – rzucił, napawając się swoją przewagą. – Co chcesz teraz zrobić? Wyzwać mnie na pięści?

– Nie, człowieku, przecież nic się nie stało... – Mężczyzna cofał się jak ślimak przed solą.

– Nic się nie stało? Uważam inaczej! – oznajmił mój Duży Miś Gej. – Masz „załatwioną koszulkę”, a ja straciłem pół piwa. Pytanie brzmi: czyja to wina? – Uniósł rękę z kuflem, wylewając jeszcze trochę piwa na skruszonego przeciwnika. A muszę dodać, że wcześniej wylał tylko odrobinę.

– W porządku, odkupię ci, postawię ci kolejkę, co pijesz? – Na to nawet Louis nie mógł nie przystać.

Usiadł obok mnie. Oblany facet przyniósł dwa nowe piwa i postawił przed nami.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarzał.

– Miłe – powiedziałam do Louisa, kiedy odszedł. – Przepraszanie za to, że oblałeś go piwem.

– To nie ma nic wspólnego z piwem. Przepraszał, bo ja jestem niewidomy, a on nie, więc niezależnie od źródła konfliktu on wygrywa. – Uścisnęłam dłoń Louisa, bo dla niego poczucie przewagi, jak każde marzenie, jest tylko iluzją. Uścisnęłam mu rękę, bo miał absolutną rację.

Zanim Louis pojawił się na eksperymencie z gumowymi rękawiczkami, nie widziałam go przez cały tydzień. Zgodnie z poleceniem obmacywał głowę Mozarta; było coś surrealistycznego i jednocześnie kojącego w obserwowaniu, jak mój przyjaciel pieści rzeźbę muzycznego geniusza. Odchylił twarz ku górze i wodził dłońmi po stworzonych przez artystę wypukłościach gipsowych włosów i rysów twarzy.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem!

– Louis, masz sporządzić opis – przypomniałam mu, zatrzymując nagranie. Skasowałam zbędną uwagę. – Gotowy?

– Okej – mruknął, a ja ponownie włączyłam dyktafon. Nastąpiła długa pauza, po czym Louis oznajmił: – Głowa, której dotykam, nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Nie mam pojęcia, czy to mężczyzna, czy kobieta. Mogę powiedzieć, że ma dużo włosów, ale w dotyku nie są jak prawdziwe. Raczej jak fale wykute w kamieniu, którym do włosów już chyba dalej być nie może. – Zamilkł.

– To wszystko? – spytałam, a on potwierdził ruchem głowy. Zastopowałam nagranie. – Niezupełnie tego się spodziewałam. Ale w porządku, właściwie to bardzo interesująca opinia.

– Co mówili inni ludzie?

– Głównie opisywali rysy twarzy, no wiesz, kształt nosa, czy jest większy od przeciętnego, tego rodzaju rzeczy.

Louis wydał nieokreślone chrząknięcie.

– To coś nie jest głową – stwierdził.

– Nie jest?

– To twarde odlew w kształcie głowy. Po co mam go macać? Rozumiem, że ma mi z grubsza powiedzieć, jaka jest w dotyku głowa. Ale przecież mogę dotknąć własnej głowy albo twojej, jeśli mi pozwolisz. Nikt nie dotyka kamiennej rzeźby, żeby się dowiedzieć, jaka jest w dotyku głowa. To jest dla oczu, nie dla rąk – stwierdził, uderzając otwartą dłońią w kamień.

– Włączę nagrywanie, a ty powtórz to, co powiedziałaś – poprosiłam.

– Mam dość, widzący ciągle to robią – odparł z irytacją. – Kiedy byłem dzieckiem, mogłem mieć wtedy najwyżej sześć lat, pewien ekspert poddał mnie testowi. – Przy słowie „ekspert” narysował w powietrzu cudzysłów. – Nie wiem, co próbował odkryć, ale dał mi kilka obrazków narysowanych Braille’em, z wystającymi konturami. Jeden przedstawiał kota, jak się później dowiedziałem. Tylko że jeśli niedawno po raz pierwszy dotykało się żywego kota, czy narysuje się go tak, jak to zwykle robią osoby widzące? Kot w moim świecie wygląda inaczej niż w twoim, nie ma w nim nic ostrego, poza pazurami, bo kot to przede wszystkim kłębek futra. Tymczasem te kontury, które mi dał, były ostre; spiczaste trójkąty w charakterze uszu i gładki krągły tułów jak podstawka klepsydry. Udzieliłem złej odpowiedzi, nie pamiętam jakiej, ale nie padło słowo „kot”. Ten człowiek uznał, że jestem idiotą. Potem kazał mi narysować jajko, a ja nie umiałem tego zrobić. „Wystarczy tylko kształt”, podpowiedział. Ale ja nigdy nie trzymałem w ręku jajka. Matka karmiła mnie łyżką, żeby uniknąć bałaganu. Narysowałem więc bezkształtną kluchę, jaką wkładano mi do ust, bo znałem jajko tylko w takiej formie. Następnie poprosił mnie o narysowanie autobusu, a kiedy skończyłem, spytał: „Co to jest, młody człowieku?”. Odpowiedziałem, że autobus. On na to: „To jedynie kilka przypadkowych linii”. Narysowałem długą pionową linię, a po jej lewej stronie trzy krótkie poziome.

– Czekaj – przerwałam mu. – Pozwól, że to przeanalizuję. – Narysowałam ołówkiem na odwrocie koperty to, co opisał.

Autobus. Linia pionowa. Mniejsze poziome.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że wsiadam do autobusu.

– Rozumiem. Narysowałaś uchwyt, którego się trzymasz, wsiadając do autobusu, to ta pionowa linia, i poziome, czyli trzy stopnie przedniego wejścia. Autobus! Poprawka: twój autobus.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. W sensie praktycznym mój świat sięga tak daleko jak moje ramię. Twój tak daleko, jak sięga wzrok. Ale oboje wiemy, w głębi duszy, że nasze światy tak naprawdę są o wiele większe. Wiesz o tym, prawda, Faye?

Wiedziałałam.

Chwycałam klucze i odsunęłam się z krzesłem od biurka.

– Wynośmy się stąd – zaproponowałam. – Postawię ci kawę.

Dzień był piękny, słoneczny; siedzieliśmy z Louistem w ogródku tureckiej kawiarni, niedaleko wejścia do instytutu. Na stoliku między nami położyłam teczkę, żeby nasza pogawędka wyglądała na pracę, na wypadek gdyby akurat przechodził tamtędy ktoś ze współpracowników.

– Co się z tobą dzieje? – spytał zniecierpliwiony Louis.

– O co ci chodzi?

– Mam wrażenie, jakbym cię nie widział od wieków, poza tym mówisz niższym głosem.

– Bo zmieniałam płęć.

– Nie aż tak niskim – stwierdził. Odczekał chwilę. – Widzisz, normalnie byś się zaśmiała.

– Sama nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Czuję się zdołowana. I samotna.

– Ty? Naprawdę? No to witamy w klubie – mruknął. – Ale ty przecież masz Eddiego i dziewczynki.

– Wiem, ale... Ale dzieją się takie rzeczy... Mam sekrety, których nie mogę wyjawić – próbowałam go zbyć.

– O tak, też to przerabiałem. Czuję się tak latami, dopóki nie wyznałem prawdy siostrze. – Urwał, a ja się nie odzywałam. – Jesteś homo? O to chodzi?

– Nie. Dobrze wiesz, że nie.

– Chodzi o Eddiego i o to, że masz zostać żoną pastora?

– Gdyby to był mój jedyny problem... – westchnęłam.

– Po prostu wyrzuc to z siebie, przestań być taka cholernie tajemnicza.

– Nie mogę. Nie zrozumiesz.

– A, więc o to chodzi, samotny niewidomy gej w średnim wieku, z nadwagą, nie może mieć porozumienia z samotną widzącą białą dziewczyną z klasy średniej.

– Ty też jesteś biały – przypominałam mu.

– Tak? – Dotknął swojej twarzy.

Wydało mnie cichutkie mlaśnięcie, jakie czasem towarzyszy uśmiechowi.

– Teraz lepiej – pochwalił.

– Nie nazwałabym cię facetem w średnim wieku – powiedziałam.

– A co z nadwagą?

– Powiedziałabym: mięciutki. – Delikatnie uszczypnęłam go w policzek. – Jesteś idealny. – Popatrzyłam na niego z przyjacielską troską. – Bycie gejem musi być szczególnie trudne, kiedy się nie widzi.

– Wszystko jest trudniejsze, kiedy się nie widzi.

– Wiem. Ale chodzenie na randki jest chyba szczególnie trudne.

– Owszem. Po pierwsze, trzeba znaleźć kogoś, kto zgodzi się pójść na randkę z niewidomym, a potem trzeba odsiać tych, którymi powoduje litość.

– Współczucie raczej nie jest motywacją... – zaczęłam.

– Nie dla mnie czy dla ciebie – wszedł mi w słowo. – Ale wydaje mi się, że wielu ludzi podnieca.

Chciałabym spotkać kogoś, kto czasem by zapominał, że jestem niewidomy.

– Zdarzyło ci się to kiedyś?

– Umówiłem się kilka razy z gościem, z którym naprawdę dobrze się dogadywałem, zawsze było tak wesoło, że pod koniec brzuch mnie bolał od śmiechu.

– Co się z nim stało?

– Powiedział, że żałuje, że nie mogę go zobaczyć. Że czasami na mieście ludzie gapią się na nas

tak, jakby uważali, że gdybym mógł go widzieć, tobym z nim nie wychodził. Stracił pewność siebie i w końcu oznajmił, że powinienem sobie znaleźć kogoś bardziej podobnego do siebie.

– Niewidomego czy przystojniejszego?

– Nie wiem. – Louis złożył dłonie jak do modlitwy. – Zatem co się z tobą dzieje? Bo poznaję po głosie, że coś się wydarzyło. Opowiedz mi o tym. No, już.

Niewidomi nie są wyposażeni w żadne wyjątkowe moce, którymi by górowali nad resztą nas. Jednak Louis dobrze mnie znał i szczyił się swoim wyczuciem: wiedział, że coś się dzieje, a ja wiedziałam, że potrafi się uczepić jak pies kości. Nie ustąpi, dopóki czegoś ze mnie nie wyciągnie. Obrysowałam palcem jedną z okrągłych lepkich plam na stoliku.

– Odwiedziłam swoją matkę – powiedziałam.

– Mów dalej – zachęcił po momencie wahania. – Doznałaś rozczarowania?

– No... nie. To nie było rozczarowanie, tylko zaskoczenie.

– Wyrażasz się niejasno – stwierdził.

Przesuwałam palcem między deskami tworzącymi blat stolika i spoglądałam na dłoń Louisa, ładne, ze starannym manikiurem. Dbał o ręce po tym, jak latami kaleczył się, nie widząc, w co je wkłada.

– No dobrze. Bardzo dawno się nie widziałyśmy. I zdawałam sobie sprawę, że mnie nie rozpozna.

Dlatego było trudno. Zjawiłam się niezapowiedziana, ale dzięki zbiegowi okoliczności odbyłyśmy miłą rozmowę i to była udana wizyta.

Louis nic nie mówił. Po prostu czekał, zgodnie ze swoją taktyką, która pozwalała mu uzyskiwać od ludzi więcej informacji; choć ją znałam, nie potrafiłam się oprzeć i powiedziałam więcej.

– Kiedy byłam z matką, potrafił mnie samochód.

– Cholera – mruknął. Kiedy kelnerka postawiła przed nami kawę, Louis podniósł rękę, ostrożnie zlokalizował swoją filiżankę, po czym chwycił ją drugą ręką.

Zapadła między nami swobodna, pozbawiona napięcia cisza, bawiłam się pianką na powierzchni napoju i czekałam, aż Louis zada dodatkowe pytania na temat wypadku.

– Ale twoja mama nie żyje, prawda? – odezwał się w końcu. Popatrzyłam w jego puste, zasnutę bielmem oczy, skierowane prosto na mnie.

– Uhm – potwierdziłam. I dalej siedzieliśmy w milczeniu. Zbliżało się południe, słońce grzało mi nogi. Ludzie przesuwali się przed nami jak garnitury na pasie transmisyjnym, ilość psów przewodników i białych lasek zdecydowanie przewyższała średnią krajową. Na stole przysiadł mały brązowy wróbelek i zaczął dziobać niesprzątnięte okruchy. Przyglądałam się szybkim ruchom ptasiej główki i błyszczącym oczkom; miałam wrażenie, że ptak też nas obserwuje. Nie powiedziałam o nim Louisowi, choć normalnie bym to zrobiła.

– Czyli odwiedziłaś swoją zmarłą matkę i zostałam potrącona przez samochód? – podsumował.

– Uhm – powtórzyłam.

– Coś jeszcze?

– Owszem, uratowałam sześćioletnią siebie. Skoczyłam pomiędzy nią i samochód.

– Doskonale! – Zachichotał. – Zmyślasz?

– Nie.

– Okej. Powiedz mi więcej. Jak się tam dostałaś?

– Wierzysz mi?

Podniósł filiżankę i ostrożnie przytknął do ust.

– Życie bywa dość nudne, Faye – stwierdził. – Nawet nudniejsze, kiedy jest się niewidomym.

Nie daj się nabrać reklamom, że jest inaczej, ani tym pocziwcom, którzy uważają, że możemy wieść równie pełną i ekscytującą egzystencję jak widzący. Jeśli w moim życiu pojawiają się jakiegokolwiek kolory, to tylko dzięki ludziom takim jak ty. Czy ci wierzę? Sam nie wiem. A to ma znaczenie? Po prostu powiedz mi, co się wydarzyło, i jeśli są jakieś sprośne elementy, to ich nie pomijaj.

– Nie ma żadnych sprośnych elementów – zapewniłam rozbawiona uwagą.

– Ach, to szkoda – westchnął. – Ale i tak mi powiedz.

I powiedziałam Louisowi wszystko.

Możecie sobie wyobrazić ulgę, jaką poczułam, wyznając komuś prawdę o tym, co się zdarzyło. Pokusa, by się przyznać Eddiemu, ustąpiła; mówiąc te słowa na głos do innej istoty ludzkiej, wyzbyłam się znacznej części przygniatającego mnie ciężaru.

Rozmowa z Louistem była jak lekarstwo uśmierzające ból. Wiedziałam jednak, że to tylko kwestia czasu, nim przestanie działać, ponieważ Louis jako powiernik mi nie wystarczał. Potrzebowałam Eddiego. Wiedziałam, że jeśli mu się nie zwierzę, smutek będzie się sączył w moje życie jak woda w glinę, odbierając mu lekkość i kształt. Tyle że nie mogłam powiedzieć Eddiemu, mimo iż czułam, że od niego zależy moje ocalenie. Tak czy inaczej, w dniu, kiedy się przyznałam Louisowi, to nie miało znaczenia, byłam na haju, jak nałogowiec. Nie czułam się już samotna i w tamtym momencie to mi wystarczało. Wróciłam do domu jak kobieta, która w końcu pozbyła się ciężaru dźwiganego ostatkiem sił. Czułam się fizycznie lżejsza. I wiedziałam jeszcze jedno: że muszę tam wrócić. Musiałam wrócić do matki, i to szybko.

Rozmowa z Louistem ujawniła kilka praktycznych i emocjonalnych problemów, z którymi należało się zmierzyć. Wykazał się zaskakująco logicznym podejściem i użytecznością. Słuchał, pomagał i nie zadał ani jednego, łatwego do przewidzenia, pytania dotyczącego zdrowia moich zmysłów. Zasugerował, bym zabrała pudło po kosmicznym skoczku ze strychu i umieściła w jakimś lepszym miejscu, które zapewni mi bardziej miękkie... i mniej hałaśliwe lądowanie. Uważał, że ponowną podróż powinnam odbyć nocą, kiedy Eddie już zaśnie. Poradził, bym założyła ubranie pasujące do pogody i miejsca, do którego się wybieram, a ponadto zabezpieczyła części ciała najbardziej narażone na urazy: kostki nóg, ramiona i szyję. Według niego powinnam założyć kask, ale to rozwiązanie nie trafiło mi do przekonania.

Spędziliśmy w tej tureckiej kawiarni wiele godzin. Zjedliśmy lunch, ponownie zamówiliśmy kawę, a następnie przenieśliśmy się do pubu na zimne piwo. Nikt z pracy nie dzwonił, by pytać, gdzie się podziewamy, i nawet zastanawialiśmy się, ile godzin lub dni musiałoby upłynąć, zanim ktoś by się zorientował, że nas nie ma. Wstąpiłam do biura godzinę przed wyjściem do domu; szefowa uśmiechnęła się do mnie, szeroko i prostolinijnie.

– I jak poszło? – zapytała. Była mocno opalona i tak chuda, że miałam ochotę wziąć ją do domu i nakarmić.

– Co jak poszło? – spytałam. Postawiłam torbę na biurku i szukałam w niej gumy do żucia, na wypadek gdyby wyczuła ode mnie piwo.

– Eksperymenty – przypomniała. – Z gumowymi rękawicami.

– Ach tak. – Zupełnie o nich zapomniałam. – Dobrze, ale trwały dłużej, niż zakładałam, więc potrzebuję jeszcze dnia lub dwóch. – Kłamanie przychodziło mi coraz łatwiej; nawet nie czułam w związku z nim dyskomfortu, o ile nie chodziło o Eddiego.

– Nie ma problemu – zapewniła. – Może wyjdiesz wcześniej. Ostatnio ciężko pracujesz.

Uśmiechnęłam się pod nosem: przychodź późno, wychodź wcześniej i rób długą przerwę na lunch. Czasami człowiek potrzebuje takiego dnia, żeby wrócić do formy, a poza tym stanowił miłe rozpoczęcie weekendu.

Kiedy Eddie wrócił do domu tego wieczoru, dziewczynki leżały już w łózkach, a ja przygotowałam kolację i otworzyłam butelkę wina. Wyciągnęłam karty i jajka, jak zawsze, kiedy gramy. Mam drewnianą miskę, gładką, płytką i piękną w swej prostocie. Eddie nabył ją na naszą piątą rocznicę ślubu. W misce trzymam dziesięć jajek, które kupiłam na festynowej wyprzedaży: niektóre drewniane, trochę marmurowych, wszystkie mniej więcej w rozmiarze prawdziwych kurzych jaj. Ten, kto wygrywa partię, bierze z miski jajo, dopóki miska nie zostaje opróżniona. Osoba z większą liczbą jajek wygrywa

rozgrywkę. Dzięki temu bardzo rzadko oglądamy telewizję.

Na widok miski Eddie poluzował krawat.

– Czujesz się pewnie? – rzucił.

Objęłam go i pocałowałam, długo i głęboko.

– Już wygrałam – powiedziałam, patrząc w jego urodziwą, dobrą twarz, na co przygarnął mnie do siebie mocniej. Staliśmy tam jak dwa zwierzaki, którym brakowało słów, by powiedzieć, że są szczęśliwe, widząc się znowu. Po jego dotyku poznałam, że za mną tęsknił, bo ostatnio utrzymywałam między nami dystans.

Eddie poszedł popatrzeć na nasze śpiące córki, a ja postawiłam na stole miskę z chili, trochę salsy i domowej roboty nachosy do moczenia w dipie. Pokropiłam wrapy oliwą i posypałam morską solą, a potem nożem do pizzy pokroiłam w trójkąty i włożyłam na kilka minut do piekarnika. Tak smakowały najlepiej. I Eddie najbardziej takie lubił.

Przebrany w bluzę i spodnie do biegania, usiadł przy stole i napił się wina, a następnie z pomrukiem zadowolenia nabrał chili na chipsa.

– Udany dzień?

Eddie kiwał głową, dopóki nie przełknął jedzenia.

– Odbyłem kilka indywidualnych rozmów – powiedział. – Chyba się spodobałem, ale pewności nie mam.

– Jak mógłbyś się nie spodobać?

– Jesteś stronnicza, ale dziękuję. Mają do zaoferowania ważną posadę, więc nie chodzi tylko o to, czy im się podobam, muszą zdecydować, czy się nadają do tego rodzaju pracy. Rolą duszpasterstwa jest dobrze służyć innym ludziom, nie wystarczy, że sam uważam, że będę w tym dobry, a ponieważ zezwolono mi na szkolenie, więc mogę to robić. Moje powołanie to nie to samo, co podjęcie pracy. Praca stanowi instrument, który ma mi pomóc realizować powołanie. Ale mam wrażenie, że nieźle wypadłem, więc czuję się lepiej.

Pragnienie Eddiego, żeby zostać pastorem, nie przypominało ubiegania się o jakiegokolwiek inne stanowisko. Najwidoczniej Bóg cię wzywa (nie w sensie dosłownym) i ty to czujesz, a potem, jeśli się zwrócisz do Kościoła, na początku ocenia, czy twoje powołanie wystarczy do pełnienia jakiejś roli w kościelnej wspólnoty.

Eddie został „wezwany” przez Boga przed kilkoma laty, ale nie podejmował w związku z tym żadnych kroków. Najwyraźniej to narastało w nim aż do momentu, gdy musiał coś zrobić. Chyba rzeczywiście taka osoba czuje się powołana, skoro wszyscy używają tego określenia. Nigdy nie pytałam Eddiego, jak to wygląda. Czy dosłownie słyszał Boga, tak wyraźnie jak rodzica wołającego dziecko na obiad, czy było to tylko odczucie, silne emocjonalnie, jak dowiedzenie się o wygraniu nagrody? A może silne fizycznie, jak pilna potrzeba oddania moczu?

– Jak to było, kiedy poczułeś powołanie? – spytałam.

Pociągnął kolejny łyk wina i rozdał karty. Po siedem. Do remika.

– To był głos, w mojej głowie – wyznał. Patrząc w swoje karty, zmienił ich ułożenie w ręce. Spojrzał na mnie i widząc mój wyraz twarzy, chyba miał ochotę inaczej wyrazić to, co powiedział.

– To był mój głos... mój wewnętrzny głos i odzywał się, kiedy byłem wyciszony, sam, pogrążony w modlitwie. Zwłaszcza w kościele. Kiedy tam jestem, czuję się... na swoim miejscu, mam poczucie spełnienia, satysfakcji. To było naturalne. Dobrze. Głos, który słyszałem, był trochę taki, jak kiedy jedziesz na rowerze pod górę i chcesz zrezygnować, a wtedy twój wewnętrzny głos mówi: „Dasz radę, jeszcze trochę”.

Pociągnęłam kartę, wyłożyłam jedną, sięgnęłam po chipsa.

– Ale pewnego dnia byłem w kościele – ciągnął Eddie – i modliłem się cicho. Wnętrze było oświetlone świecami, chór właśnie skończył śpiewać *Allegrì Miserere* i odniosłem wrażenie, jakby ktoś położył mi dłoń na ramieniu, delikatnie i tylko na moment, ale zdecydowanie, i usłyszałem cichszy głos, nie zdawałem sobie sprawy, że sam go wydałem, więc wydawało mi się, że to ktoś inny powiedział: „Twoje przeznaczenie”. I tyle.

– I tak wyglądało twoje powołanie?

– Powiedziałbym raczej, że to była część mojego powołania. Proces przebiegał stopniowo i trwał lata. I chyba zawsze wiedziałem, czułem to w sobie, ale nie umiałem nazwać. Ale w tamtym momencie, kiedy poczułem dłoń na ramieniu, to się stało bardziej realne. Poczułem, że Bóg mnie ponagla, daje mi bardziej czytelny znak. Nie mogłem tego znaku zignorować. – Pociągnął kartę, uśmiechnął się, wyłożył. Zbierał kiery. – Wezmę pierwsze jajko.

– Niewątpliwie – powiedziałam, patrząc w swoje karty. – Mam beznadziejny zestaw. – Poza parą trójek nic do siebie nie pasowało. Zawahałam się z ręką nad kartą, którą właśnie odłożył; zastanawiałam się, czy ją wziąć i jakoś wykorzystać. Zmieniłam jednak zdanie i wyciągnęłam nową.

– Dlaczego nigdy mi nie wspominałeś o tym powołaniu, skoro zaczęło się przed laty? – spytałam, zabierając się do kolejnego nachosa.

– Nie wiem. Nie to, żebym trzymał je w tajemnicy przed tobą czy kimkolwiek innym. Pewnie nikomu nie mówiłem, bo uważałem, że to niedorzeczne. „Kimże ja jestem, aby być powołanym przez Boga?”

– Zawsze sobie wyobrażałam głos Boga jako trochę grzmiący – przyznałam, myśląc o wyraźnym spokojnym głosie opisanym przez Eddiego.

– Cóż, w Biblii często jest przedstawiany jako potężny. Ale do mnie Bóg przemawiał tylko w kościele, więc nie potrzebował krzyczeć. – Eddie popatrzył mi w oczy. – Kiedy mówię takie rzeczy, muszę się wydawać zarozumiały i śmieszny.

– Wcale nie – zapewniłam gorliwie, dotykając jego dłoni. – Tylko żałuję, że nie zapytałam cię wcześniej.

– Widać teraz nadeszła pora na tę rozmowę. Wszystko, co potrzebujemy wiedzieć, odsłania się przed nami we właściwym czasie.

Mówił o rzeczach, których jeszcze mu nie powiedziałam. Dawał mi do zrozumienia, że zaczeka, aż będę gotowa, nawet jeśli to było dla niego trudne.

– Jak to przyjęli twoi rodzice? – spytałam. – To znaczy twoja mama? – Rodzice Eddiego mieszkają we Francji od piętnastu lat, a jego tata, zawsze spokojny uroczy człowiek, ma demencję. Mama Eddiego opiekuje się nim w domu. Twierdzi, że jest jak ukochany domowy zwierzak, karmi go i myje, w ciepłe dni sadza w ogrodzie i przykrywa kocem, a sama krząta się przy kwiatkach, warzywach i karmnikach dla ptaków. W chłodniejsze dni rozpala w kominku i ojciec Eddiego robi mniej więcej to samo, tylko pod dachem. Matka mu czyta, choć z jego słuchem jest coraz gorzej. Codziennie chodzą na spacer, w każdy czwartek na zakupy, a w niedzielę do kościoła. Jest pewna, że ich proste, uregulowane, zdrowe życie zadowala jej męża i pozwala mu się nim cieszyć na tyle, na ile to możliwe. Jest dobrą kobietą.

– Mama nie była zaskoczona, co wcale mnie nie dziwi. Zawsze jako rodzina wierzyliśmy w Boga, Jego obecność. Stanowił część naszego życia – powiedział, po czym wyłożył karty i wziął jajko.

– Szczęście rozpoczynającego – powiedziałam i zaczęłam zgarniać karty.

Eddie z zadumą przyglądał się, jak je tasuję i rozdaję do nowej partii.

– Zabawne – mruknął. – Szczerze mówiąc, chciałem, żeby mama okazała choć trochę zaskoczenia albo przynajmniej wydawała się zadowolona. Powiniennem się cieszyć, bo przynajmniej nie należy do matek, które by uznały, że popełniam straszny błąd i marnuję sobie życie. Zaakceptowała mój wybór i to jest wspaniałe. Ale zrobiła to tak, jakby odbierała resztę po zapłaceniu za produkty spożywcze. Po prostu przyjęła do wiadomości. Jakby była na to przygotowana. Zrobiła to tak zwyczajnie, podczas gdy dla mnie to była ważna sprawa.

– Chciałeś ją zszokować! – podsunęłam. – Jak ktoś, kto przyznaje się rodzicom, że jest gejem, i jest przygotowany na dramatyczną scenę, tymczasem oni mówią: „Ach tak, wiedzieliśmy od dawna”.

– Mniej więcej – przyznał.

– Szkoda, ale mogło być znacznie gorzej.

– Masz rację. Przyjęła to, jakby chodziło o drobnostkę.

– Twardo stąpa po ziemi i niełatwo ją zszokować. To ja byłem w szoku. Nadal jestem. Mam nadzieję, że czerpiesz z tego pewną pociechę.

Zaśmiał się i dolał mi wina. Otworzyłam szufladę w stole, wyjęłam z niej świecę i zapaliłam.



– Chyba większość ludzi musi się godzić z różnicą między tym, co mieli nadzieję otrzymać od rodziców, a tym, co naprawdę otrzymali – powiedział. – Miałem sporo szczęścia. Znam wielu głęboko rozczarowanych swoimi rodzicami. Mnóstwo ludzi nigdy nie dostaje odpowiedzi, które pragną uzyskać od matek i ojców, nawet jeśli odważą się zapytać.

– A jakie są te właściwe pytania?

– No właśnie – odparł (a miałam nadzieję, że usłyszę coś bardziej konkretnego). – A niektórzy z nas nawet nie mają szansy ich zadać. – Podniósł wzrok i wytrzymał moje spojrzenie; nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy o mojej matce, choć Eddie od czasu do czasu zachęca mnie do tego.

– Czyż nie byłoby cudownie cofnąć się w czasie i zadać te pytania ludziom, którzy byli dla nas najważniejsi? – Odłożyłam karty koszułkami do góry i o nich zapomniałam.

– Owszem, byłoby – przyznał Eddie i pokiwał głową ze smutkiem. – Wiem, że musisz się tak czuć, myśląc o swojej mamie, ale ja też to czuję, myśląc o ojcu. Jest za późno, mimo to... – Zawahał się.

– Mimo co? – ponagliłam.

– Mimo to wiedząc, że pewnego dnia, może już wkrótce, będzie za późno, by spytać mamę o te wszystkie rzeczy, które tylko ona może mi powiedzieć, nie zadaję jej tych pytań. Dlaczego?

– O co byś ją spytał?

– Nawet nie wiem. O mnóstwo rzeczy.

– Zrób listę – poradziłam.

– Zrobię. – Skinął głową tak stanowczo, że mogłam być pewna, iż to zrobi.

– A potem jedź do Francji, najszybciej, jak to możliwe, i zadaj jej te pytania, nim będzie za późno.

– Nagle nabrałam niezwykle silnego przekonania, że powinien to zrobić. Moje słowa, choć wypowiedziane łagodnym tonem, zabrzmiały jak rozkaz. Eddie go potrzebował, może wszyscy potrzebujemy takiego przypomnienia, żeby minimalizować żal, kiedy jeszcze możemy.

– Okej. – W zwięzłej odpowiedzi Eddiego było słychać determinację.

Prawie całe chili zostało zjedzone, a z miski ubyło tylko jedno jajko.

– Prawie już nie widzę swoich kart – powiedziałam, przysuwając je bliżej świecy.

– Ja też. Mam zapalić światło?

– Chodźmy do łóżka – zaproponowałam. Eddie zdmuchnął świecę, wziął mnie za rękę i poprowadził na schody. W ciemności nie potrzebowaliśmy niczego poza naszym małym światem, nieistotnym, a jednocześnie tak ważnym, naszą więzią, tak bardzo dla nas wyjątkową. W tym momencie potrzebowałam tylko jego i świadomości, że moje dzieci śpią bezpiecznie w pobliżu. Nie potrzebowałam widzieć, wystarczyło, że się nawzajem trzymamy, a ja wiem, że mnie kocha.

Ale wiedziałam też, że niedługo ten świat nie będzie mi wystarczał, bo już tęskniłam za matką.

Cieszę się, że nadal chcecie mnie słuchać. Rozmowa z Louisem przyniosła mi ulgę, ale wy jesteście dla mnie bardzo ważni. Wszystko to, o czym wam opowiadam, wydarzyło się kilka miesięcy temu, więc mamy trochę do nadrobienia. Mówiłam wam, że wyznanie Louisowi prawdy było jak lek, który w końcu przestaje działać. Cóż, zwierzenie się wam pozwala mi zapomnieć o symptomach wycofania i bólu powodowanym brakiem szczerości wobec męża. Zanim nadrobię zaległości, powiem wam, że do momentu, w którym opowiadam moją historię, wciąż nie powiedziałam Eddiemu o tym, co się dzieje. Dlatego potrzebuję was, i to bardzo, żebyście mnie wysłuchali i uwierzyli w to, co mówię.

Dzień po grze w karty była sobota i zabraliśmy dziewczynki na wrotki. Kiedy dorastałam, to był mój ulubiony sport. Moje pierwsze wrotki miały metalowe kółka i paski, którymi przypinało się je do butów. Jeździłam w nich po chodniku i słychać mnie było z odległości kilometra. Potem w moim mieście otworzono tor wrotkarski; w weekendy wszyscy tam chodzili i mogli wypożyczać specjalne buty z kółkami. Bogate dzieciaki miały własne, ale ja do nich nie należałam i nawet nikogo takiego nie znałam. Tak czy inaczej, jeżdżenie na wrotkach z Eddiem i dziewczynkami stanowi świetną zabawę; spędzamy na torze zwykle parę godzin, a potem zawsze idziemy na burgery.

Czułam się szczęśliwsza i widziałam, że Eddie również, choć wiedziałam, że nadal musi się zastanawiać, co zaszło, kiedy przed kilkoma tygodniami znalazł mnie na strychu. Zdecydowanie wróciliśmy na dobre tory, rozmawialiśmy o różnych rzeczach, pracowaliśmy nad nimi, próbowałam go zrozumieć, a on mnie słuchał. Dużo myślałam o matce i o sobie młodszej; czułam, jak mnie przyciągają i pragnienie – któremu coraz trudniej było się oprzeć – żeby do nich wrócić. Bardzo chciałam znów zobaczyć matkę. Po tym, jak zasmakowałam jej towarzystwa, pragnęłam właściwie tylko tego jednego, ale na myśl o tym, przez co musiałam przejść, żeby do niej trafić, ścisnęło mnie w gardle i się pociłam. Jakbym musiała wsiąść do najbardziej przerażającej kolejki górskiej na świecie, takiej, która może mnie zabić, po to, by dotrzeć do najśłodsze go możliwego celu. Musiałam wrócić, musiałam im pomóc – mojej matce i mnie – ale nie wiedziałam jak; a choć wciąż rozmyślałam, jak tego dokonać, prawdziwe życie wypełniało mi czas bez reszty.

Kiedy chodzimy we czwórkę na wrotki, często wykonuję kilka okrążeń sama, podczas gdy Eddie i dziewczynki prezentują trochę inne podejście do tej rozrywki: wpadają na siebie, podnoszą się nawzajem po upadkach, odbijają się od band, pękają ze śmiechu i ogólnie świetnie się bawią. Ja też to uwielbiam, ale jeżdżąc w koło, pograżam się we własnych myślach; tej soboty również tak było. Sunąc po torze, czułam przepływ powietrza przez nozdrza, żywa i obecna miałam nienaturalnie wyostrzoną świadomość swojego miejsca we wszechświecie, wrażenie, że powoduje mną jakiś głębszy sens wyrażający się w spokoju i skupieniu, których nigdy nie czułam, leżąc nocą w łóżku i rozmyślając o szaleństwie... i cudowności mojej podróży w czasie.

Domyślałam się, że większość ludzi doświadcza czegoś takiego podczas powtarzalnej fizycznej aktywności, w której osiągnęli biegłość: ciało jest w pełni zaangażowane, a jeśli umiejętność została opanowana w stopniu doskonałym, umysł może się poddawać nieskrępowanej eksploracji. Sunęłam przed siebie, a inni wrotkarze zlewali się w niewyraźną smugę, nieistotni dla mnie, stanowili zwykłe przeszkody łatwe do ominięcia, jak kamienie na ścieżce. Nawet moja własna rodzina. Ledwie zauważałam błyszczącą drewnianą podłogę w kolorze piasku i szum toczących się po niej gładko kółek. Na ścianach wkoło na poziomie oczu umieszczono elektroniczne plansze reklamujące w technicolorze podróże do różnych pięknych miejsc. Prawie nie zauważałam jaskrawych obrazów przedstawiających góry i rzeki, kiedy tak krążyłam, niespiesznie i swobodnie.

Moje ciało z zapalem oddawało się jeździe na wrotkach, oczy śledziły piękne wizje, a mózg wędrował po labiryncie myśli, które napływały niepowstrzymane: wolno prześlizgiwałam się wzdłuż

wysokich ścian listowia i oczyma wyobraźni widziałam Eddiego pomiędzy stołami pełnymi tortów i ciast, z uśmiechem wgrzyzającego się w kawałek biszkopta.

– Dasz radę – powiedział, spoglądając na znaki po własnych zębach na cieście, a potem znów na mnie. – Właściwie to możesz osiągnąć więcej. – Jako żona pastora, którą w końcu miałam zostać, byłabym zmuszona angażować się w różne towarzyskie przedsięwzięcia: uczestniczyć w wydarzeniach, których normalnie bym unikała, i piec o wiele więcej; nie mogłabym zignorować wezwania do dostarczenia domowych bułeczek i herbatników. Nasze naprawdę prywatne życie dobiegłoby końca. Stalibyśmy się publiczną własnością. Zawsze na wezwanie, ciągle na widoku. Ale gdyby Eddie był politykiem albo celebrytą, życie postawiłoby przede mną takie same wymagania. Religia mnie niepokoiła, po części ze względu na jej nienamacalność, chociaż torty były jak najbardziej namacalne, zbieranie funduszy również, dobroć też mogła być namacalna. Tę część mogłam przyjąć, mogłam się podjąć tych zadań i dobrze je wykonywać.

Jeździłam dalej, szybko i posuwicie, czując nieznaczne przyjemne napięcie w udach, odbierając zmysłami wszystko, co działo się wokół mnie. Ulgę przynosiła mi świadomość, że jestem zakotwiczona tu, na ziemi, a nie lecę przez atmosferę do innego czasu i miejsca. Wkrótce potem znów znalazłam się w labiryncie swojego umysłu, wzięłam kilka zakrętów, patrząc, jak moje własne ręce wyciągnięte do przodu rozgarniają liście, gdy przejeżdżałam między starannie przystrzyżonymi krzewami. Zobaczyłam matkę i aż się lekko potknęłam na wrotkach, przez moment nawet widziałam zbliżające się podłoże. Zaraz jednak ponownie odzyskałam równowagę i wewnętrznym okiem obserwowałam matkę w labiryncie. Jej uśmiech oznaczał w jednej trzeciej przeprosiny, w dwóch trzecich rozbawienie.

– Przykro mi, ale tylko to mogę ci dać – powiedziała, wręczając mi szklany słoik i swoją oprawną w skórę książkę z przepisami. – Powinno poprawić najgorszy humor – powiedziała sennie, a ja opuściłam wzrok i zobaczyłam, że książka jest otwarta na stronie z puddingiem toffi. – Przyjdź do mnie, jestem twoją matką – dodała, ale kiedy na nią spojrzałam, zniknęła, słyszałam tylko jej głos powtarzany przez echo: „Teraz mnie widzisz, a teraz nie!”.

Wydawało mi się, że słyszę szum rzeki, ale to był odgłos moich wrotek na drewnianym torze. Bez żadnego wysiłku mój umysł filtrował myśli i troski. Czy na tym polega medytacja? Nigdy jej nie uprawiałam, nie wykonywałam żadnych ćwiczeń jogi, ale jeśli miałabym zgadywać, to była medytacja. Płynęłam przez mój umysłowy labirynt i podczas gdy moje ciało pozostawało na torze wrotkarskim, byłam w jakiejś innej strefie, oddzielona od tego, co się rozgrywało wokół mnie. Czułam, jak kilka kosmyków wysunęło się z kucyka i powiewało w prądzie powietrza, wzbudzonym moim szybkim ruchem.

Zieleń labiryntu wabiła; miałam ochotę ją wdychać, ale zaczynałam odczuwać tę samą nerwowość, jaka towarzyszy poczuciu zagubienia. Wizje Eddiego i matki pojawiły się nieproszone, przybyły z wiadomościami dla mnie i właściwie nie miały w sobie nic tajemniczego. Walczyłam zarówno z matką, jak i z Eddiem, z odpowiedzialnością wobec nich, z tym, czego ode mnie potrzebowali albo chcieli, a także czego ja potrzebowałam i chciałam od nich. Umiałam sobie z tym radzić. Samotność labiryntu było ciężiej znieść niż bardziej oczywiste zobowiązania. Ta samotność przypominała głód.

Czułam, że labirynt ma mi więcej do pokazania, ale nim odsłonił się przede mną jego środek, uderzyłam w ścianę albo w coś, co przypominało ścianę. Podobne do snu wizje zupełnie mnie rozkojarzyły i w końcu musiałam się z czymś zderzyć i je przerwać. Trafiło na korpulentnego mężczyznę, który wszedł na tor i miał kłopoty z równowagą. Chciał się czegoś przytrzymać, ale znajdował się za daleko od bandy, więc wybrał podłogę. Zgiął się wpół, jakby próbował dotknąć czubków butów. Uderzyłam w niego z dużą prędkością, przeleciałam niezdarnie przez jego wygięte w łuk plecy i wylądowałam twardo na kości ogonowej. Uraz dotkliwie zabolał, a szok gwałtownego przejścia ze stanu błogiej medytacji do realnego świata, z bólem, innymi ludźmi i kontaktami słownymi, wydał mi się nieprzyjemny, mówiąc oględnie.

Moja rodzina zrobiła sobie przerwę w jeździe, żeby się napić lemoniady, ale kiedy Eddie zobaczył, że się przewracam, podjechał i podniósł mnie na nogi. Nic mi się nie stało, więc ruszyłam pod prąd do Esther i Evie, natomiast Eddie pomógł człowiekowi, przez którego przeskoczyłam jak przez kozioł.

– To było okropne – powiedziałam, rozcierając sobie pośladek i popijając lodowatą lemoniadę, która czekała na mnie na stoliku.

– Wybił cię z zadumy – stwierdził Eddie.

– Zburzył mój spokój – powiedziałam, spoglądając na dziewczynki. – A to znacznie poważniejsza sprawa. – Obie zgodnie zachichotały.

– Naprawdę jeździłaś w kółko jak w transie przez pół godziny.

– Serio? – zdziwiłam się. – Pół godziny!

– Co najmniej – potwierdził, patrząc na zegarek. – Musisz być wykończona.

– Spragniona – sprecyzowałam, wypijając resztkę lemoniady. Dałam dziewczynkom garść drobnych, żeby przyniosły mi następną – uwielbiały kupować napoje i podawać je, balansując na wrotkach; taki niebezpieczny rodzaj kelnerowania.

– Byłaś we własnym świecie – zauważył Eddie. Wyglądał cudownie w czarnej bluzie pod szyję i dzinsach biodrówkach. Pasek, który miał na sobie, kupiłam mu na naszą skórzaną rocznicę ślubu. Nie pamiętam, która się tak nazywa.

– Rzeczywiście, śniłam na jawie – potwierdziłam. – Chyba medytowałam.

– Tutaj? – zdziwił się Eddie. Usłyszałam w jego głosie nutę niedowierzania. Obejrzałam się na tor i musiałam przyznać, że od stolika wyglądał na miejsce najbardziej niezdatne do medytacji ze wszystkich, jakie można sobie wyobrazić.

– Musiałam się widocznie odciąć od zewnętrznego świata. Zostałam sam na sam ze swoimi myślami.

– Zdradzisz mi je?

– Myślałam o tobie, o byciu żoną pastora, o roli, którą przyjmę pewnego dnia, kiedy zostaniesz wyznaczony do posługi, i o tym, jak sobie poradzę. Myślałam o matce i o tym, jak bardzo chciałabym ją zobaczyć.

Wziął mnie za rękę.

– O tym wszystkim myślałaś tam? – Skinął głową w stronę, skąd dobiegał hałas, muzyka, gdzie kłębił się tłum ludzi, którzy sprawiali wrażenie, jakby każdy z nich miał za dużo rąk i nóg.

– Musiałeś kiedyś być tak głęboko pogrążony w myślach, że nie zauważałeś niczego wokół siebie – wyraziłam przypuszczenie.

– Bywam pogrążony w myślach, ale zwykle w spokojnych miejscach.

Popatrzyłam na dziewczynki, które przy ladzie zamawiały napoje. Evie wyglądała jak mały jelonek na lodzie, kiedy wybierała monety i próbowała je podać sprzedawcy. Skrzywiłam się.

– Nic im nie będzie – zapewnił Eddie. – Nie patrz! Jesteśmy za daleko, żeby je łapać w razie upadku.

Wsypałam do ust lód z dna kubka i pogryzłam.

– To szczególna umiejętność móc zablokować wszelkie bodźce i skoncentrować się na swoim świecie wewnętrznym, Faye. Znajdowanie spokoju w gorączce codziennego życia jest umiejętnością wielce pożądaną.

– I niebezpieczną – zauważyłam. – Omal nie zabiłam człowieka.

Dziewczynki wróciły, wypić połowę lemoniady i pozwoliłam im podzielić się resztą; rzadko im pozwalamy pić napoje gazowane.

– Pojeździmy jeszcze? – spytałam, klaszcząc w dłonie. – Czy już czas na burgery?

Wszyscy zagłosowaliśmy za burgerami i pozostałam w prawdziwym, skierowanym na zewnątrz świecie przez resztę dnia. Było cudownie.

Nastał czas Francji, więc nie musiałam okłamywać Eddiego ani wymyślać się w środku nocy, żeby wrócić do lat siedemdziesiątych. Postanowił wyjechać przed końcem letnich wakacji i zabrać dziewczynki. Z początku zakładał, że pojedę z nim, co trochę dziwiło, ale oznajmiłam mu, że wykorzystam ten czas dla siebie i chciałabym pobyć sama ze sobą. Patrzył na mnie, jakby próbował czytać mi w myślach, a później stwierdził, że rozumie. Wszyscy potrzebujemy czasu tylko dla siebie; jestem pewna, że wy także czasem odczuwacie taką potrzebę. Rodzice małych dzieci wyczekują chwil wytchnienia od bezustannej czujności, marzą o tym, by nie patrzeć na zegar albo nawet nie wiedzieć, która jest godzina. Prośba nie była więc nieracjonalna. Poza tym mogłam sobie wyobrazić Eddiego i jego mamę rozmawiających do późnej nocy, tylko we dwoje, po położeniu dzieci spać; moja obecność tylko by im zepsuła tę okazję do całkowitej szczerości. Uważam, że ludzie nie zdają sobie sprawy, do jakiego stopnia bez nich sytuacja może wyglądać inaczej, a wiedziałam, że wizyta Eddiego u mamy tym razem będzie dla niego lepsza, jeśli nie pojedę.

No i, oczywiście, chciałam zostać sama, żeby móc odwiedzić matkę. Własny egoizm o wiele łatwiej znieść przy założeniu, że kieruje nami dobro innych.

Za każdym razem, kiedy wchodziłam do firmy po wyjawieniu mojej tajemnicy Louisowi, kontaktował się ze mną i chciał rozmawiać o tym, co mu powiedziałam. Ja też chciałam rozmawiać, ale miałam do tego poważniejszy stosunek. Louis trochę za bardzo się wszystkim zachwycał, jakby chodziło o grę, o ciekawe wyzwanie, a nie zagrażającą życiu podróż w nieznaną. Nie mogę go jednak krytykować, bo szczerze go kocham. Chodzi o to, że poważnie traktował stronę logistyczną, ale nie emocjonalną. Wiedziałam, jak wrócić do matki, uważałam, że moje ciało to wytrzyma. Ale co z sercem?

Kiedy Eddie pojechał do Francji, poczułam ulgę. Mój główny cel stanowiło pozyskanie okazji do odwiedzenia matki, a kiedy się nadarzyła, zaczęłam sobie uświadamiać związane z taką wyprawą niebezpieczeństwa; przychodziły mi do głowy naprawdę przerażające rzeczy. Przerażające w inny sposób niż to, że mogłabym nigdy więcej do niej nie wrócić. Bo to, że mogę nigdy więcej do niej nie wrócić, mnie martwiło. Ale z tym zmartwieniem muszą się mierzyć wszyscy ci, którzy stracili matkę.

Ryzyko odniesienia obrażeń znajdowało się wysoko na liście moich obaw. Zaczęłam od tego, że zniosłam pudło ze strychu i postawiłam na łóżku. Gapiłam się na nie, pocierałam podbródek, a potem zrzuciłam materac na podłogę i obłożyłam poduszkami; lądowanie na takim podłożu musiało być znacznie łatwiejsze od lądowania na strychu. Po pierwsze: żadnych drzazg. Następnie wyciągnęłam z szafy naręcze ubrań razem z wieszakami – potrzebowałam stroju, który by się nadawał do podróżowania w czasie – i ułożyłam je w stosie na ramie łóżka. Louis zalecał opatulenie się „na cebulkę”, co było świetnym pomysłem, ale spodnia warstwa ubrania powinna wyglądać stosownie do lat siedemdziesiątych. Miałam kwiecistą spódnicę i bluzkę, ale spódnica wydała mi się zbyt powiewna, więc włożyłam jasnoniebieskie dzinsy dzwony i białe czółenka. Miałam też bluzę z długimi rękawami, zieloną na ramionach i białą z przodu, wyglądała w niej wystarczająco retro, ale jako zbyt cienka nie stanowiła odpowiedniej ochrony w podróży; potrzebowałam czegoś gębczastego i grubego, więc zaczęłam miętosić w palcach swetry. Uśmiechnęłam się, przypomniawszy sobie narciarski kombinezon Eddiego. Był na mnie za duży, co akurat stanowiło atut, a poza tym miał kaptur.

W końcu pewnego słonecznego sierpniowego wieczoru, około wpół do dziewiątej stanęłam w swojej sypialni. Najadłam się i wypiłam dużo wody, ponieważ dobre nawodnienie zawsze wydaje się korzystne. Miałam na sobie codzienne ubranie w stylu lat siedemdziesiątych z płaszczem, gdyż domyślałam się, że w przeszłości będzie styczeń lub luty. Na to wszystko włożyłam wielki czerwony kombinezon narciarski, na głowę kominiarkę, a na nią kaptur i zaciągnęłam troczki tak, że został tylko niewielki wypukły otwór do patrzenia. Louis radził wziąć rękawice, więc wybrałam narciarskie, ze sztywnego syntetycznego materiału, zapinane na rzepy przy nadgarstkach. Odwróciłam się do wysokiego lustra i zasalutowałam swojemu odbiciu; wyglądałam jak kosmonauta w kostiumie

skompletowanym w lumpeksie albo bardzo rzucający się w oczy, kontestujący modę włamywacz. Strużka potu spływała mi po plecach, gdy wolno zmierzałam w stronę pudła jako astronauta amator gotowy do startu.

Wchodząc do pudła, starałam się nie pamiętać o tym, co może się zdarzyć. Pomyśleć, że kiedyś bałam się latać komfortowym, bezpiecznym samolotem. Ba, bałam się pajaków, podczas gdy było tyle innych przerażających rzeczy. Mimo że zadbałam o nawodnienie, kiedy już stałam w środku, miałam sucho w ustach. Martwiłam się, że przez niestabilną płaszczyznę materaca mogę swoim ciężarem przedziurawić dno pudła.

Pociłam się w jednej trzeciej z gorąca, w dwóch trzecich ze strachu i wyobrażałam sobie, jak już raz wcześniej, że Eddie znajduje mnie zemdloną, podczas gdy ja śnię, że jestem znów w przeszłości z matką. Jak by się poczuł, gdyby natknął się na mnie w takim stanie po swoim powrocie za tydzień? Jak w zagadce: „Znaleziono kobietę ubraną w za duży kombinezon narciarski w środku lata, w kartonowym pudle, na materacu rozłożonym na podłodze sypialni. Co się stało?”.

Starałam się znaleźć jakieś logiczne rozwiązanie.

Tak czy inaczej, to nie miało nastąpić, nie śniłam, wszystko działało się naprawdę. Tylko że jakoś nie odlatywałam. Po minucie spędzonej w pudle (czas jest względny i wydawało się, że trwało to dłużej) zaczęłam wpadać w panikę. Opóźnienie dawało mi zbyt wiele czasu na ponowne rozważania. Oblewały mnie na przemian fale gorąca i zimna, pomyślałam o widzianej w jakimś programie przyrodniczym ośmiornicy, której kolory marszczą się i zmieniają. Próbowałam ocenić, czy mam dość czasu, by wydostać się z pudła, zanim zabierze mnie od rodziny i z domu. Nagle sobie uświadomiłam, że powinnam zostawić Eddiemu wiadomość, na wypadek gdybym miała nigdy nie wrócić. Nieważne, że moje słowa brzmiałyby jak bełkot wariatki. Musiałam mu coś zostawić, bo inaczej byłabym zbyt okrutna. Przebywał we Francji cały tydzień, miałam czas i doszłam do wniosku, że po prostu muszę napisać list. Jednak kiedy zaczęłam wychodzić z pudła, świat otworzył się pod moimi stopami i poleciałam w dół jak w zapadnię.

Prędkości, z jaką leciałam, właściwie nie da się opisać. Prawdopodobnie sami kiedyś upadliście albo potknęliście się podczas schodzenia po schodach, albo noga wam się zsunęła, kiedy szliście za blisko krawędzi chodnika. Nastąpiło budzące mdłości szarpnięcie, przypływ adrenaliny, gwałtowne napięcie nerwów. Tylko że te zdarzenia trwają zaledwie moment. Mniej niż sekundę. A kiedy spadanie trwa i trwa... nie potrafię tego opisać. Myślałam o tym i miałam nadzieję, że jeśli będę spadać wystarczająco długo, może przywyknę i ten proces zacznie przypominać skakanie ze spadochronem. Tymczasem lot w nicość nie ustawał. Czułam się jak piłka do krykieta wyrzucona z samolotu.

Mogłam co najwyżej starać się oddychać. Wcześniej to ćwiczyłam. Za pierwszym razem napór powietrza prawie to uniemożliwiał, ale teraz pomagał miękki kaptur zawiązany wokół twarzy. Sapałam, robiąc szybkie płytkie wdechy. Gorący wydech przypominał mi leżenie w zimnym łóżku zimą, z głową pod kołdrą, i próby wytworzenia ciepła. Pamiętałam, jak położna kazała mi dyszeć przy porodzie, a teraz pędząc między jedną przestrzenią a drugą, myślałam: Czy to bardziej przypomina rodzenie, czy przychodzenie na świat?

Skrzyżowałam ramiona na piersi. Za pierwszym razem przelatywałam przez pudło z rękami wyciągniętymi nad głowę i przez siły oporu nie mogłam ich opuścić. Tym razem przyciskałam górne kończyny do tułowia niczym członek drużyny bobslejowej pędzącej powietrznym torem... albo szalona kobieta w kaftanie bezpieczeństwa.

Zatem dyszałam, obejmując się kurczowo; to, że wiedziałam, co się dzieje, pomagało, a perspektywa zobaczenia matki dawała poczucie, że warto. Tak jak wcześniej, w końcu zaczęłam zwalniać. Moje ciało wykonało obrót i teraz opadałam głową naprzód. Poprzednio widziałam zbliżające się kolorowe światełka, tym razem ciemność także się rozjaśniała, ale bez kalejdoskopu barw. Pewnie dlatego, że teraz kierowałam się do szopy, a nie w stronę choinki w salonie. Nie dało się utrzymać rąk dociśniętych do klatki piersiowej, spadając głową w dół, same się wyciąg-nęły, rozprostowane, jakbym nurkowała; natura upierała się, by poświęcić ramiona zamiast mózgu. Czułam obręcz ucisku wokół piersi, ale starałam się zachować spokój mimo trudności z oddychaniem. Wiedziałam, że miną, ale i w tym wypadku natura budzi w nas czujność, kiedy zdolność oddychania jest zagrożona. Wyciągnęłam

ramiona jeszcze mocniej, rozpaczliwie wyczekując momentu dotarcia do celu; wiedziałam, że wtedy odetchnę, znieruchomieję i zobaczę matkę.

I przyszedłam na świat z rękami wyciągniętymi przed siebie. Pudło rozdarło się z jednej strony na zgięciach, tekturowy bok opadł płasko, kiedy z dużą prędkością wylądowałam na podłodze szopy. Jeden z rękawów zaczepił o coś i podjechał w górę, kiedy pokonywałam niewielką przestrzeń, w odsłonięte ramię powbijały się drzazgi. A potem, stanowczo za szybko, z trzaskiem walnęłam głową o drzwi. Usłyszałam tępe dzwonięcie w uszach; przez kilka długich sekund próbowałam oszacować szkody, zanim odważyłam się ruszyć. Musiałam wyglądać jak porzucona kukiełka, którą ciśnięto o ścianę, ale nadal dyszałam i zachowywałam świadomość, żadna z kości raczej nie uległa złamaniu, więc było całkiem niezłe. Wyprostowałam się ostrożnie i siedziałam w mroku z wyciągniętymi nogami, oparta plecami o drzwi. Wsunęłam palce w otwór kaptura, rozciągnęłam troczki i z radością wzięłam głęboki wdech, mimo zapachu stęchlizny w powietrzu. Czując smak krwi, ściągnęłam rękawice i dotknęłam wargi, którą, jak się okazało, nadgryzłam. Obmacałam się szybko i odkryłam jedynie stłuczenia, po czym ostrożnie wstałam, wdzięczna za brak poważniejszych obrażeń, choć nadal obolała i oszołomiona. Rozpięłam zamek kombinezonu i ściągnęłam go z siebie; ze względu na skąpą ilość miejsca miałam trudności z przeciągnięciem nogawek przez stopy. Stanięcie na jednej nodze okazało się niezbyt rozsądne, ponieważ but utknął w elastycznym mankiecie i pochyliłam się gwałtownie, jak pijana kobieta grająca w chwytnie ustami wiszących jabłek. Ułamek sekundy, w którym traciłam równowagę i już wiedziałam, że runę, wystarczył, bym wściekła się na samą siebie. Uderzyłam twarzą w drzwi, a te przeszorowały mi po skórze jak papier ścierny i osunęłam się na ziemię w tym samym miejscu, w którym wylądowałam. Przez moment leżałam nieruchomo, a potem ze złością zdarłam z siebie kombinezon i cisnęłam w kąt.

Zwahaniem uchyliłam drzwi szopy i zobaczyłam swój ogród z przeszłości, pusty i spokojny w ciepłe wieczoru. Spodziewałam się zimy, tymczasem wyglądało, że jest późna wiosna, może nawet lato, co oznaczało, że od mojej poprzedniej wizyty minęło przynajmniej sześć miesięcy. Miałam nadzieję, że trwa rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy i matka nadal żyje.

Obeszłam dom dookoła, kierując się do frontowego wejścia, zapukałam i czekałam; wstrzymałam oddech, kiedy za matową szybką rozblysło światło, a potem brzęknął odsuwany łańcuch i drzwi się otworzyły. Zaskoczyły mnie dwie rzeczy: piękne, jakby zaspane, lecz uśmiechnięte oczy mojej matki i charakterystyczny ziemisty zapach marihuany. Przez moment wyraz jej twarzy kojarzył się ze znakiem zapytania, zaraz jednak jego miejsce zajął wykrzyknik. Głośno wciągnęła powietrze i wychyliła się ku mnie, bransoletki na jej przegubach zadźwięczały, kiedy wyciągnęła ręce i delikatnie przyłożyła dłonie do mojej twarzy.

– Mój anioł stróż – odezwała się przeciągłym, jakby leniwym głosem. – Moja przybrana siostra. Zastanawiałam się, kiedy znów cię zobaczę.

Poczułam ucisk w gardle; ja też uniosłam rękę i dotknęłam dłoni matki przytkniętej do mojego policzka. Palce miała ciepłe i takie namacalnie żywe... Zamknęłam oczy, napawając się doznaniem.

Wzięła mnie za rękę i wprowadziła do domu. Czułam się jak dziecko, bezpieczne w przeświadczeniu, że matka wskaże mu drogę, upewni je, że jest we właściwym miejscu i że nic złego więcej go nie spotka. Jakże bardzo tęskniłam za matczyną opieką i jak łatwo wśliznęłam się w tę ryzykowną rolę. Może dlatego, że tęskniłam za tym, wiedziałam, jak być jej dzieckiem. Nigdy bym tego nie przewidziała. Przewidywałabym raczej, że będzie mi trudno wcielić się w dziewczynkę, którą przestałam być, kiedy straciłam matkę. Wydawało się jednak, że moje wewnętrzne dziecko jest tuż za drzwiami, przymkniętymi, ale nie zamkniętymi na klucz.

Salon oświetlały świece, a cienka smuga białego dymu unosiła się z jointa spoczywającego niedbale w ciężkiej popielniczce na masywnej drewnianej ławie, o którą wielokrotnie obijałam sobie palce nóg jako dziecko.

– Usiądź – zachęciła Jeanie, wskazując sofę. Sama zajęła wielką poduchę na podłodze; skrzyżowała nogi, wychyliła się, wzięła jointa i chciała mi go podać. Nie wykonałam żadnego ruchu, by go od niej przyjąć, więc ponagliła mnie gestem, jakby mówiła „no bierz, na co czekasz?”. Może to brzmi naiwnie, ale nie wiedziałam, że moja matka pali. Nawet papierosy, a tu proszę, paliła zioło. Sama się dziwiłam, że aż tak mnie to zszokowało. Nie jestem świętoszką, mam znajomych, którzy od czasu do czasu popalają skręty, i wiedziałam, że matka ma coś z hippiski, ale z jakiegoś powodu ubodło mnie to, że pali, kiedy dziecko jest w domu. Mnie zdarzało się to tylko podczas studiów, w gronie przyjaciół. Sama nie umiałabym nawet zwinąć bibułki.

Patrząc na nią, nabrałam przekonania, że jest doświadczoną palaczką, i uświadomiłam sobie, że stałam się zakładniczką tych samych iluzji, które moje dzieci mają na mój temat – przyjmowałam za oczywiste, że moja matka nigdy nie zrobiła nic nagannego, a już tym bardziej nielegalnego.

Nachyliła się bardziej, niemal wciskając mi jointa do ręki. Zaciągnęłam się.

– Są niezdrowe – powiedziałam.

Matka uśmiechnęła się i przytaknęła skinieniem.

– Od dawna nie palę, tylko odrobinkę od czasu do czasu.

Siedziała na dywanie, oparta o poduszki, nogi miała złączone bosymi stopami. Długa spódnica tworzyła wgłębienie podobne do wielkiej malowanej misy. Patrzyła na mnie z lekkim uśmiechem.

– Zawsze, kiedy cię widzę, jesteś cała podrapana – zauważyła. – Wyglądasz, jakbyś stoczyła walkę z kotem. – Uśmiechnęła się szerzej. – I jakby kot wygrał.

Zaciągnęłam się jeszcze raz, czułam, jak dym dociera od środka aż do palców stóp, nie zakrztusiłam się przy tym ani nic. Było przyjemnie. Ogarnął mnie spokój.



– Umiiałabym pokonać kota w walce – zapewniłam.  
– A psa byś pokonała? – spytała matka.  
– Możliwe, gdyby był mały – odparłam z uśmiechem.  
– No, nie wiem... Myślę, że mały byłby napastliwy i trudno by go chwycić. – Wzięła poduszkę i udawała, że się z nią siłuje. – Mnie lepiej by poszło z dużym psem. – Pochyliła się, żeby przejąć ode mnie jointa, po czym znów się oparła, zarzuciła niedbale jedną rękę za głowę i zamykając oczy, wciągnęła dym głęboko do płuc, a następnie wypuściła go powoli równą długą smugą przez usta ułożone w dziobek.

Po chwili swobodnego milczenia w słabo oświetlonym pokoju prawie zapomniałam, o czym rozmawiałyśmy. Rozpraszała mnie rzeczywista, autentyczna obecność matki w tym samym pomieszczeniu. Jej istnienie i namacalność. Poddałam się temu doznaniu, radości, że znów jesteśmy razem.

Jeanie wydała pomruk podobny do nucenia. Była porządnie zjarana.

– Nie musiałyśmy walczyć z niedźwiedziem – oznajmiła, nie otwierając oczu. – Mogłabym go czarami zmusić do uległości.

– Niedźwiedź rozerwałby cię na strzępy – stwierdziłam.

– Neeee... – Machnęła ręką leniwie, jakby w zwolnionym tempie, i dalej paliła. – Spotykałam niedźwiedzie i wszystkie je zaczarowałam. Ludzkie niedźwiedzie. – Uchyliła powieki i zobaczyłam, ile wysiłku ją kosztuje skupienie wzroku na mojej osobie. Wskazała na mnie cienkim skretem. – Ludzkie niedźwiedzie są kudłate w środku, więc uważaj!

Zaśmiałam się, ona mi zawtórowała, a po chwili podniosła się z trudem, niepewnie, i wyciągnęła ramiona, żeby mnie także postawić na nogi. Wzięła mnie pod rękę i oparliśmy się o siebie nawzajem, jak starsze panie pomagające jedna drugiej przejść przez ulicę.

– Wiesz, nigdy bym nie uderzyła zwierzęcia – powiedziała. – Jestem wegetarianką.

– Ale zaczarowałabyś niedźwiedzia? – podsunęłam.

– O tak – potwierdziła, wyprostowała się i uwodzicielsko zafalowała barkami. – Mam ten dar.

Za bardzo doskwierał mi głód, żeby palić, prędzej bym chyba zemdlała; ślinka pociekła mi do ust, kiedy matka zaprowadziła mnie do kuchni i ukroiła chleba. Wciągnęłam w nozdrza zapach, a gdy grubo smarowała kromkę masłem, niemal czułam jego chłodną gładkość na podniebieniu. Lampka z lodówki rozświetliła jej twarz niczym anielska aureola; wyjęła ze środka słoik z dżemem, jakby to był Święty Graal.

– Chcesz? – spytała.

– Zrobiony przez Henry'ego? – spytałam z uśmiechem.

– Najlepszy dżem w mieście – pochwaliła.

– Posmaruj. Grubo!

Chleb z masłem i dżemem śliwkowym nigdy wcześniej nie smakował mi tak jak wtedy, gdy jadłam go z matką. Nasze uznanie potęgował jeszcze dym z zioła zalegający w płucach. Kiwałyśmy głowami, pojękując z wdzięczności. Jeanie odrzuciła głowę do tyłu i głośno westchnęła, po czym zlizwała dżem najpierw z warg, potem z talerza.

– Świnia – rzuciłam, na co odpowiedziała świńskim chrząknięciem.

– Gdzie się podziewałaś? – spytała, kiedy zostały przed nami już tylko okruchy. – Żałowałam, że nie wiem, gdzie mieszkasz, i nie mogę wpaść, żeby się z tobą zobaczyć. Ale nie zdążyłam spytać, zanim rozwiałaś się jak dym. I już cię nie było. – Mówiąc to, poruszała ręką w powietrzu, naśladując dym unoszący się znad popielniczki.

– Nie zamierzałam zniknąć na tak długo – odparłam. – Ale ty i Faye macie swoje życie i nie chciałam przeszkadzać ani się narzucać.

– Głupia – rzuciła krótko matka, odpychając się od kuchennego stołu i kierując z powrotem do salonu. Długa spódnica ciągnęła się za nią po podłodze, co dawało wrażenie, że prześlizguje się z jednego pomieszczenia do drugiego. – Prawie zraniłaś moje uczucia – dodała przez ramię; widziałam, że mówi

poważnie, choć udawała, że jest inaczej.

Ponownie opadła na poduszki i skręciła następnego jointa, a ja obserwowałam ją w milczeniu, które wydawało się całkiem naturalne i z pewnością nie ciążyło żadnej z nas.

Zaciągnęła się bez wysiłku, jakby palenie stanowiło dla niej najzwyczajszą czynność. Naprawdę wiedziała, jak to robić.

– Mieszkamy z Faye same, nie miewamy zbyt wielu gości, a ty jesteś wyjątkowa. Po pierwsze, uratowałaś Faye życie, po drugie, łączy nas więź. – Pokazała kolejno na mnie i na siebie. – I nie tylko ja ją poczułam. Prawda, siostró? Jesteś moim aniołem stróżem, więc nie może być mowy o żadnym przeszkadzaniu ani narzucaniu.

Swobodny uśmiech zdradzał pewność, że podzielałam jej odczucie. Potwierdziłam skinieniem.

– Zdecydowanie łączy nas więź. Po prostu trudno mi było tu wrócić.

– Rozumiem – powiedziała. Choć przecież nie mogła rozumieć.

Musiałam zasnąć, bo kiedy otworzyłam oczy, paliło się o wiele więcej świec, a matka trzymała przy moich ustach szklankę z wodą. Pociągnęłam łyk i natychmiast poczułam, jak zimny płyn dociera do najdalszych zakamarków mojego ciała, trafiając nawet do rzęsek wysuszonych płuc. Wzięłam od niej szklankę i opróżniłam do dna.

– Kiedy ostatnio coś piłaś? – spytała Jeanie.

– Nawet nie pamiętam – odparłam.

– Dziwna jesteś, Faye. Mówiłaś przez sen. – Odgarnęła mi z twarzy kosmyk włosów. – „Mamo, chce mi się pić”, mówiłaś, a ja pomyślałam, że ktoś spragniony we śnie pewnie będzie czuł pragnienie również w rzeczywistości. I wyglądasz na zmęczoną. Chcesz zostać na noc?

Przytaknęłam ruchem głowy, a ona wzięła ode mnie szklankę i odwróciła się, żeby ją odstawić na niską drewnianą ławę, na której stała miska z zabarwioną na biało wodą. Tak jak w czasie poprzedniej wizyty, Jeanie przemyślała zadrapania na mojej głowie środkiem odkażającym. Zrobiła to nie tylko ostatnim razem, kiedy tam byłam. Zapach tego środka kojarzył mi się z obtartymi kolanami, z dzieciństwem spędzonym na zabawach przed domem, w którym matka czekała, żeby zaradzić problemom w razie potrzeby.

Teraz uklękła na podłodze przede mną; włosy, wcześniej opadające na ramiona, miała niedbale upięte na czubku głowy.

– Faye. – Jej głos brzmiał miękko i zdawał się dochodzić z daleka. Popatrzyłam na nią i poczułam się senna, zapewne z powodu narkotyku i mojej trudnej podróży, ale zauważyłam, że ma poważną minę.

– Faye – powtórzyła, trzymając mnie za rękę. – Myślę, że zostałaś do mnie przysłana, jesteś moim znakiem.

– Znakiem czego? – spytałam.

– Znakiem, że masz być częścią życia Faye i mojego. Wróżka przepowiedziała mi, że jakaś kobieta wtargnie w nasze życie i zaopiekuje się mną i moją córką.

– Wróżka? – Zaśmiałam się zaskoczona.

– Nie waż się ze mnie śmiać – ostrzegła Jeanie, więc spoważniałam. – Owszem, wróżka. Powiedziała, że powinnam wypatrywać tej kobiety, ponieważ odegra ważną rolę w naszym życiu. Powiedziała, że moja córka będzie dorastać bez matki i że będę potrzebować twojej pomocy. – Patrzyła na mnie z przejęciem.

– Nie powinna była mówić takich rzeczy – powiedziałam strwożona trafnością przepowiedni.

– Ale powiedziała. I nie obchodzi mnie, czy wierzysz w takie rzeczy, czy nie, bo ja to czuję... – Przyłożyła dłoń do serca. – ...tutaj. Nie chodzi o fakt potwierdzony naukowo, ale ja w to wierzę, to moja prawda, mój znak. Więc będę potrzebowała twojej pomocy, okej?

– Okej – odpowiedziałam z bladym uśmiechem. Ujęła moją twarz w obie dłonie i pocałowała mnie, a potem odsunęła się, żeby na mnie spojrzeć tak ciepło, że mój wåtły uśmiech nabrał istic herkulesowej mocy.

– Mówiłam prawdę, wpuszczając cię do domu. – Próbowałam odszukać w pamięci pierwsze

słowa, jakie do mnie skierowała, ale nie zdołałam sobie ich przypomnieć. Bezradnie pokręciłam głową.  
– Jesteś naszym aniołem stróżem.

Jeanie zaparzyła herbatę i wcisnęła mi do rąk mój ulubiony kubek z Myszką Miki.

– Uwielbiam światło świec – powiedziałam, spoglądając z radością na cienie płomyków migoczące na ścianie.

– Odciepli prąd. Wiecznie odcinają prąd. – Jeanie usiadła na poduszce, podkulając nogi pod siebie; ja nie mogłam już tak siadać, bo wstawałam zbyt obolała. Napiła się herbaty z wielkiego parującego kubka, po czym zdecydowanym gestem odstawiła kubek i wstała. – Chodź ze mną – zarządziła, a ja usłuchałam. Poprowadziła mnie przez kuchnię do tylnych drzwi, przy których kazała mi poczekać na zewnątrz. Sama okrążyła dom i wróciła z drabiną, którą manewrowała niezręcznie, jakby niosła ogromny manekin. Nim podeszłam, żeby jej pomóc, oparła drabinę ponad płotem o drzewo z ogrodu sąsiada i zaczęła się wspinać.

– Matko Boska, co ty wyprawiasz? – spytałam.

– Nie bluźnij. Wspinam się po drabinie. – Weszła na wygięty konar przy pniu, odpychając się nogą od najwyższego szczebla. Widziałam, jak wyciąga ręce i wciąga się wyżej i trochę w bok, aż w końcu zasiadła na gałęzi, która nie wyglądała na szczególnie grubą. Pomyślałam, że pewnie się uśmiecha, ale cień listowia zasłaniał ją prawie całą. Widziałam wyraźnie jedynie jej stopy dyndające i rozstawione jak u Mary Poppins, kiedy opadała uczepiona swojego parasola.

– Wchodź na górę! – zawołała do mnie.

– Nie!

– No chodź – nalegała.

– Jest za wysoko – powiedziałam głośnym szeptem. – I to nie twoje drzewo.

Nie odpowiadała, więc rozgniewana postawiłam stopę na szczeblu i napałam całym ciężarem na drabinę, żeby sprawdzić stabilność. Następnie trochę ją przesunęłam, mocniej blokując dolną krawędź na trawniku, żeby się nie przemieściła. Weszłam na samą górę i westchnęłam, nie wiedząc, co dalej. Widziałam twarz Jeanie, z zębami odsłoniętymi w uśmiechu. Sprawiała wrażenie odprężonej, jakby leżała w hamaku.

– Boisz się wysokości? – spytała.

– Boję się upadku – odpowiedziałam tonem, którego sama nie lubiłam.

– Powinnaś się bać samego lądowania – odparła z nutą wesołości w głosie. – Moja rada: ląduj dobrze. Nie przejmuj się wysokością ani spadaniem, po prostu za każdym razem ląduj jak kot.

– Nie ma potrzeby dobrze lądować, jeśli się nie wchodzi na drzewa – powiedziałam, myśląc o pudle i o tym, że czasami warto spać. Ale nie z drzewa.

Próbowałam się podciągnąć, ale nie udawało mi się dobrze złapać, wszystkie gałęzie wydawały się zbyt wiotkie. Jeanie chwyciła mnie za nadgarstek i pociągnęła. Sapiąc i napinając mięśnie, przyjąłam pozycję siedzącą. Jeanie wyglądała jak wróbel, któremu jest wygodnie nawet na kablu telefonicznym, natomiast ja czułam się jak niezdarne gołąb, próbując utrzymać równowagę.

– A co, jeśli spadnę? – spytałam.

– Nie spadniesz.

– A jeśli jednak? – nie ustępowałam.

– Mówiłam ci: dobrze ląduj. – Spojrzała na mnie i zachichotała. – Daj spokój, założę się, że robiłaś bardziej ryzykowne rzeczy. Często tu wchodzę, żeby patrzeć na gwiazdy.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła kolejnego skręta. Osłoniła dłonią zapalnik, która rozbłysła i zaraz zgasła; powiewy na dole przypominały leciutką bryzę, ale tu na górze były mocniejsze. Po trzech próbach w końcu się udało. Jeanie odchyliła się do tyłu, musiała mieć za plecami gałąź, której nie widziałam. Zaciągnęła się głęboko, a potem patrzyłyśmy, jak dym odpływa smugą w mrok.

– Spróbuj się zrelaksować. – Podała mi jointa, jakby była lekarzem, a zioło lekarstwem. Chwyciłam się kurczowo gałęzi, jakby była szczątkiem tonącego statku i miała mi uratować życie, po czym wychyliłam się, żeby wziąć skręta. Zaciągnęłam się tak jak wcześniej ona, ale nie oddałam jej go

od razu. Znalazłam dobrą pozycję i przy następnym wdechu wypełniłam dymem całe płuca. Niebo zakołysało się lekko, ale już mi to specjalnie nie przeszkadzało.

– Jesteś nierozważna – powiedziałam, oddając jej jointa z nieco wymuszonym uśmiechem.

– To tylko drzewo – odparła.

– Jesteśmy dorosłymi kobietami.

– Chyba tak – przyznała Jeanie. – Mam dopiero dwadzieścia pięć lat, zawsze się czułam dorosła, ale może zawsze byłam tylko dzieckiem.

Zaciągnęła się i zaczęła wypuszczać kółka z dymu, które z początku były równe, a potem pęczniały i rozplływały się na boki, ulatując między liście nad nami. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, to znaczy nie rozmawialiśmy, ale szum liści był głośniejszy, niż mogłam sobie wyobrażać, szeleściły i skrobały o siebie jak sucha szczotka o twardą podłogę. Gwiazdy świeciły jasno i zdawały się mrugać, kiedy cieńsze gałązki ruszając się, to zasłaniały, to ukazywały niebo. Było spokojnie i chłodno, panował nastrój sennego rozmarzenia, potęgowany trawiastym smakiem dymu, rytmicznym przekazywaniem skręta i lekkim kołysaniem naszego napowietrznego statku.

– Muszę być bardziej rozważna – oznajmiła Jeanie. Głos miała spowolniały i rozmyty.

– Co to znaczy rozważna? – spytałam; u mnie też rozmywały się końcówki, moje wargi wydawały dziwny dźwięk przy mówieniu, jakby były z gumy.

– Nie wiem. To chyba przeciwieństwo nierozważności?

– No tak, racja. Skoro coś może być nierozważne, to coś innego może być rozważne. Tak czy inaczej, Jeanie, musisz być ostrożniejsza. Musisz na siebie uważać, masz zobowiązania. Nie powinnaś się wspinać na drzewa.

Jeanie cmoknęła z irytacją i przez długą chwilę żadna z nas się nie odzywała.

– Chcę, żeby Faye też się wspinała na drzewa – powiedziała w końcu. Żywiłam to samo pragnienie do własnych dzieci, ale strach z powodu bycia tam z nią, ewentualnych obrażeń czy niemożności powrotu do domu z powodu upadku z jakiegoś cholernego drzewa zmieniał moje nastawienie.

– Przeciwnieństwem bezwzględności nie jest „względność”, lecz współczucie – powiedziała Jeanie.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Leżeliśmy, głównie milcząc. Od czasu do czasu któraś z nas wypowiadała słowo „rozważna”, akcentując dwie ostatnie sylaby.

Po długiej chwili, podczas której udało mi się znaleźć całkiem wygodną pozycję, zwróciłam się do Jeanie:

– Co takiego powiedziała tamta znawczyni tarota, że uznałaś mnie za znak?

– Że jakaś kobieta wtargnie w nasze życie – odparła z uśmiechem, odwracając się do mnie twarzą. – I właśnie to zrobiłaś, gdy pojawiłaś się pierwszy raz. Uratowałaś Faye przed wpadnięciem pod samochód.

Przez mój ociężały umysł przetoczyły się myśli o tym, jak odbyłam szalony rajd kolejką górską przez atmosferę, bez pasów bezpieczeństwa (i bez cholernej kolejki), jak wpadłam pod choinkę za pierwszym razem i do szopy wcześniej tego wieczoru.

Odezwałam się dopiero po długim milczeniu:

– A nie sądzisz, że byłam po prostu osobą, która przypadkiem znalazła się na właściwym miejscu we właściwym czasie?

– Nie – odparła, przeciągając ostatnią samogłoskę. – Wiem, że uważasz wróżby za bzdury, ale zawsze miałam poczucie, że nie czeka mnie starość, Faye. Wiesz, co przez to rozumiem?

W ustach mi zaschło, miałam trudności z przełykaniem, jakby ciało nagle zapomniało, co robić. Patrzyłam jeszcze przez chwilę na matkę, a potem wzniosłam oczy ku niebu; wiedziałam z ostateczną pewnością, że pozostał jej zaledwie rok życia. Pokiwałam głową w odpowiedzi na jej pytanie. Poczulałam gorąco w oczodołach i pozwoliłam sobie uronić niezauważoną łzę. Gdyby jakaś znajoma twierdziła, że jest przekonana, iż młodo umrze, próbowałabym ją przekonać, że się myli. Ale moja matka się nie myliła.

Zapaliła następną zapałkę. Płomyk rozbłysnął tak gwałtownie, jakby się bał, że nie będzie miał

szansy zaistnieć jako światło, i prawie natychmiast przygasł. Matka osłoniła go dłonią, przytknęła niedopałek i pociągnęła mocno, żeby go przywrócić do życia.

– Dlaczego myślisz, że nie doczekasz starości? – spytałam, zastanawiając się nad jej przecuciem, które, jak wiedziałam, miało się sprawdzić.

– Nie wiem, po prostu czuję, że nie zabawię długo na tym świecie. Moi rodzice umarli młodo i chyba jestem częścią tego schematu. Nie umiem sobie wyobrazić siebie starszej, naprawdę nie potrafię, jakby to było niemożliwe. Nie było mi pisane. I co roku zapadam na ten okropny kaszel, jestem pewna, że kiedyś mnie zabije.

– Idź do lekarza, daj się zbadać, przestań palić – poradziłam z przekonaniem.

Pokręciła głową.

– Żadnych lekarzy. Wiem z doświadczenia, że lekarze jeszcze szybciej człowieka wykończą, a tego nie robię zbyt często. – Uniosła w górę resztkę skręta. – Bardziej jestem zainteresowana znalezieniem takiego wyjścia, bym wiedziała, że Faye nie ucierpi, niezależnie od tego, co się stanie ze mną. Chcę wiedzieć, że i beze mnie będzie kochana i szczęśliwa, że będzie mieć udane życie. Zawsze czułam, że należy otaczać się dobrymi ludźmi, którzy mogą pomóc, stworzyć dla niej sieć bezpieczeństwa. Ale jakoś się nie udało. Ludzie, którym ufałam, są mili, ale raczej nierozsądni i słabo nadają się do opieki nad dzieckiem. Faye nie została ochrzczona, czego żałuję, bo powinna mieć rodziców chrzestnych. Zawaliłam tę sprawę. Ty jesteś typem osoby, jaką bym wybrała, kimś, kto mógłby zapewnić mojej córce to, czego ja nie zdołam. Jesteś jak ktoś, kogo dobrze znam.

– Spotkałyśmy się tylko dwa razy – przypomniałam, nie w formie wymówki, tak cicho, że ledwie sama siebie słyszałam. Ale Jeanie usłyszała.

– To nie ma znaczenia – powiedziała. – Niektórych ludzi znasz całe życie, a jednak ich nie znasz, nie ma między wami porozumienia, wszystko jest powierzchowne. Ale są też tacy jak ty i ja. Natychmiast nawiązują więź. Czas i częstotliwość w takich sprawach są nieważne.

– Skąd ci się wzięła taka mądrość? – spytałam.

Usłyszałam jej rozbawienie.

– Wydawało mi się, że masz mnie za nierozważną? – Nie odzywałam się, ona też na chwilę zamilkła. – To chyba instynkt samozachowawczy, dużo czytania oraz rady i nauki gromadzone na festiwalach.

Powiewy bryzy przybrały na sile, dostałam gęsiej skórki na rękach i nogach, miałam ochotę zejść z tego drzewa.

– Myślę o tobie od chwili, gdy pojawiłaś się moim życiu – wyznała Jeanie. – Jest w tobie coś... coś tak bardzo znajomego, że nie mogę tego zignorować. Po prostu wiem, że będziemy przyjaciółkami, i wiem, że możesz się czuć nieswojo, bo spotykamy się dopiero drugi raz, a wcześniej byłyśmy sobie całkiem obce. Ale bardzo chcę cię zapytać i obiecałam sobie, że to zrobię następnym razem, kiedy się pojawisz w moim życiu. Potem się zmartwiłam, że możesz uznać, iż to za wcześnie, ale i tak postanowiłam cię prosić o pomoc, choćby nie wiem co.

– Co masz na myśli?

– Gdyby mi się coś stało, chcę, żebyś się zaopiekowała Faye, była jej chrzestną matką.

– Co? – wyraziłam zaskoczenie. – Jeanie, ledwie mnie znasz, powinnaś wybrać kogoś, kogo znasz dłużej.

– Ale nikogo takiego nie mamy, żadnych krewnych, żadnych godnych zaufania przyjaciół. Czuję, że jesteś właściwą osobą. Popatrz choćby na to, jak wchodziłaś na drabinę: należysz do ludzi, którzy rozglądają się, zanim zrobią ważny krok, ale i tak go robią. Ja... jestem inna, ale chyba obie pochodzimy z tego samego miejsca. Masz dzieci, więc musisz rozumieć, skąd pochodzę. Z czasem poznamy się lepiej, ale stawiam sprawę jasno już teraz, wiem, że się co do ciebie nie mylę, więc jeśli umrę, weźmiesz ją?

Zakręciło mi się w głowie, w żołądku wezbrały mdłości.

– Możemy stąd zejść? – poprosiłam. – Zimno mi.

Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej dłoni.

– Założę się, że jesteś lepszą mamą niż ja – powiedziała, a ja poczułam, jak mój żal i smutek

przybierają na sile, niczym szum liści w miarę wchodzenia między coraz wyższe gałęzie. – Proszę cię tylko o to, żebyś była matką chrzestną – ciągnęła. – Większość ludzi, których mogłabym o to prosić, a niewielu ich jest, zgodziłoby się bez zastanowienia. Ty natomiast podchodzisz do tego poważnie. To kolejny powód, dla którego uważam cię za tę właściwą osobę. Jesteś bardzo... rozważna – dokończyła z szerokim uśmiechem.

Kiedy schodziłyśmy po drabinie, myśli wirowały mi w głowie jak w pralce włączonej na wolne obroty. Byłam żywym dowodem, że córce Jeanie nic się nie stanie. Posiadałam odpowiednią moc, żeby dać jej coś więcej niż obietnicę: dowód, że będzie dobrze. Gdybym tylko mogła jej powiedzieć, kim jestem... Jednak wówczas potwierdziłabym obawy matki, że umrze i nie zobaczy, jak dorastam. Wiedziałam, że opowiedzenie tej niewiarygodnej historii o naszym spotkaniu po latach dzięki pudełku umożliwiającemu podróż w czasie nie zrekompensuje jej świadomości, że ma przed sobą zaledwie rok życia. O ile w ogóle by mi uwierzyła.

Z jednej strony martwiłam się, że Jeanie mogłaby tak chętnie powierzyć córkę – czyli mnie – praktycznie obcej kobiecie, z drugiej pochlebiało mi, że właśnie mnie wybrała. Cóż, musiałam przyznać, że Jeanie ma rację, byłam idealną osobą do zaopiekowania się małą Faye, w pełni godną zaufania, byłam sobą. Instynkt Jeanie nie zawiodł. Nie podobało mi się tylko to, że ja o tym wiem, a ona nie.

Jej naiwność działała mi na nerwy. Potem pomyślałam o tym, jak przenoszono ją z jednej rodziny zastępczej do drugiej, dziecko przekazywane nieznanym mu ludziom, i o tym, że, jak sama dała do zrozumienia, jej doświadczenia nie należały do przyjemnych. Może rzeczywiście potrafiła rozpoznać osobę najbardziej odpowiednią do sprawowania opieki, kierując się instynktem. A może postępowała jak dziecko w sklepie ze słodyczami, które wybiera pierwszy smakołyk, jaki rzuci mu się w oczy?

W sumie czy to miało znaczenie? Mimo że moja matka miała umrzeć, mimo tego wszystkiego, co się stało, miałam się dobrze, byłam szczęśliwa i kochana. Nie mogłam obiecać matce tego, czego ode mnie chciała. Ale może mogłam jej powiedzieć coś, co ją uspokoi i usmierzy jej lęki.

Ta rozmowa musiała poczekać do następnego dnia. Czułam się przytłoczona. Umysł i ciało mają ograniczoną wytrzymałość, a ja właśnie wyczerpałam limit. Kiedy zmierzałam z chłodnego ogrodu do kuchni, kręciło mi się w głowie, a po wejściu do domu to wrażenie jeszcze się nasiliło. Zatoczyłam się na bok; ogarnęło mnie pragnienie snu tak mocne, że niemal czułam w ustach jego smak, jak watę cukrową. Matka cały czas trzymała mnie za rękę, nie pamiętam wchodzenia po schodach, ale zaprowadziła mnie na piętro. Pamiętam jak przez mgłę, że siedziałam w nogach łóżka małej Faye. Jeanie wzięła córkę na ręce i przeniosła ją, śpiącą, do swojej sypialni, żeby mogła zająć zwolnione miejsce. Kładąc się, zwróciłam uwagę na to, że posłanie jest jeszcze ciepłe po młodszej mnie; swoim ciałem rozszerzyłam tę rozgrzaną przestrzeń. Myślę, że matka wróciła do mnie – po ułożeniu małej Faye w swoim, większym łóżku – żeby mnie otulić puchową kołderką w kratkę. Pamiętam dokładnie, jak wtedy pomyślałam, że matka dwa razy układa mnie do snu – mnie sześciolletnią i mnie trzydziestosześcioletnią. Nie pamiętam momentu zaśnięcia, bo nie musiałam się o nie starać. Sen czekał tam już na mnie z szeroko rozwartymi szczękami. Zamknęły się cicho, połykając mnie w całości.

Mała Faye przycupnęła jak skrzat na końcu łóżka, z nogami skrzyżowanymi po turecku i głową lekko przekrzywioną na bok. Miała na sobie szkolny mundur i wzorzyste białe podkolanówki. Ciemne włosy matka zaplotła jej w warkocz, ale wokół twarzy wiły się pojedyncze niesforne kosmyki. Usiadłam na posłaniu i się wzdrygnęłam; wszystko mnie bolało.

– Dziękuję za odstąpienie łóżka – powiedziałam.

– *Mi casa es su casa* – odparła mała Faye, odwzajemniając uśmiech.

– Mój dom jest twoim domem? – upewniłam się, a ona potwierdziła ruchem głowy. – To bardzo miłe z twojej strony. – I bardzo akuratne, pomyślałam. Jej dom w istocie był moim domem.

– Idziesz do szkoły?

– Uhm.

Porozumiewałam się z małą Faye uważnie dobranymi zwrotami, których używałam w stosunku do wszystkich dzieci. Nie wiem, czy powinnam była rozmawiać inaczej, zważywszy na fakt, że mówiłam do samej siebie. Jakkolwiek było, mogłam jedynie dokładać starań, by czuła się swobodnie w moim towarzystwie. Nie chciałam jej przepytwać, bo niezależnie od szczególnych okoliczności chodziło o małe dziecko.

– Pamiętasz mnie? – spytałam.

– Oczywiście! Złapałaś mnie, kiedy prawie wpadłam pod samochód.

– Zgadza się. Dobrze się teraz czujesz?

– Nawet wtedy się całkiem dobrze czułam. To ty zostałaś ranna. Wyzdrowiałaś już?

– Prawdę mówiąc, znów się skaleczyłam. – Wskazałam na zadrapania.

– Wygląda, jakby bolało – stwierdziła.

– Nie boli.

– Będziesz miała blizny?

– Nie sądzę.

– A masz jakieś blizny?

– Hmm, mam jedną małą na biodrze, po ospie – powiedziałam.

– Ja też! – Zsunęła pasek spódniczki, żeby mi pokazać.

– Rzeczywiście – potwierdziłam. – Moja jest trochę podobna. I mam też bliznę na nodze od jazdy na wrotkach – dodałam.

– Pokaż – zażądała Faye.

Odsunęłam kołdrę i pokazałam jej ledwie widoczną białą kreskę pod kolaniem oraz drobne okrągłe ślady w miejscach, gdzie upadłam na kamienie w wieku około dwunastu lat.

– Nielatwo je dostrzec – uprzedziłam, wyteżając wzrok.

– Będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę ze szkoły?

– Nie jestem pewna... – zaczęłam i w tym samym momencie matka stanęła w progu z parującym kubkiem.

– Wiesz, że możesz zostać – powiedziała, stawiając herbatę na stoliku przy łóżku. – Ale czy rodzina nie będzie za tobą tęsknić?

– Wyjechali na kilka dni z wizytą do rodziców mojego męża – wyjaśniłam.

– Cóż, w takim razie dobrze się składa, jeśli masz ochotę zostać.

Popatrzyłam na Faye i wzruszyłam ramionami.

– Wygląda na to, że tu będę, kiedy wrócisz ze szkoły.

Klasnęła w dłonie i zeskoczyła z łóżka.

– Do zobaczenia później. – Wybiegła, nawet się nie oglądając.

Jeanie dotknęła mojego ramienia.

– Odprowadzę Faye do szkoły. Po powrocie zrobię ci śniadanie. – Mrugnęła porozumiewawczo.

Jakże żałowałam, że nie mogę zabrać tych mrugnięć ze sobą do domu.

Pod ich nieobecność poszłam do szopy. Wiedziałam, że wyprawa do szkoły zajmie około dwudziestu minut, a chciałam sprawdzić pudło i zobaczyć, czy potrzebne są jakieś naprawy. Lepiej było zająć się tym teraz, na wypadek gdybym miała odlatywać o zmroku. Musiałam się upewnić, że zdołam dotrzeć do domu i zabezpieczyć się przed uszkodzeniami przed następną wizytą.

Następna wyprawa: lata siedemdziesiąte, mój regularny cel. A wasza przeszłość? Jak często byście do niej podróżowali, mając taką możliwość? Często? Nigdy? A gdybyście już tam trafili, bralibyście pod uwagę pozostanie na zawsze?

Obejrzałam pudło uważnie. Wyglądało coraz gorzej, ale ostatecznie potrzebowałam tylko do niego wejść. Nie sądziłam, by jego stan był specjalnie istotny podczas podróży, nie musiałam się martwić o to, że dno odpadnie, kiedy będę pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Stanowiło raczej coś w rodzaju bramy do innego wymiaru. Drzwi. A przecież nie miało znaczenia, czy drzwi mocno tkwią w zawiasach, dopóki da się przez nie przejść, prawda? Co więcej, oglądając pudło, zrozumiałam, że musi być portalem po obu stronach. Już wcześniej zauważyłam, że w przeszłości wydaje się nowsze niż to, które znalazłam na strychu, i nie miałam wątpliwości, że starsza wersja w tym momencie spoczywa na moim materacu w domu, co oznaczało, że rzeczy mogą istnieć w dwóch różnych miejscach w czasie. Poza tym wiedziałam, że dwie wersje tej samej rzeczy mogą istnieć jednocześnie, jak ja obecna i ja młodsza. Dalej już mój logiczny umysł nie sięgał. Darowałam sobie rozmyślanie, jak to wszystko działa, ostatecznie nie musiałam znać zasad działania komputera, żeby go używać.

Ale co by się stało, gdyby ktoś wyrzucił pudło albo je zniszczył? Co by się ze mną stało, gdyby zniszczono pudło z lat siedemdziesiątych, a ja nadal bym w nim była po tej drugiej stronie? Nie chciałam myśleć, do czego mogłoby dojść ani co mogło mi się przydarzyć. Postanowiłam odepchnąć od siebie te myśli, zanim wszystko zepsują.

Mimo że doszłam do wniosku, że to nie ma znaczenia, wolałam okleić taśmą bok, który się podarł, na wypadek gdyby w całości pudło jednak działało lepiej, a poza tym dlatego, że było dla mnie cenne, więc zasługiwało na szacunek. Nie mogłam znaleźć w szopie niczego, co mogłoby posłużyć do dokonania napraw, zakładałam jednak, że zdobędę coś przed końcem dnia. Albo po prostu przed odlotem. W tym momencie niewiele mogłam zdołać, więc podreptałam z powrotem do domu, żeby się umyć.

Łazienka była znajoma aż do bólu. Drobiazgi, na które nigdy bym nie zwracała uwagi, najbardziej rzucały się w oczy. Błat przy umywalce miał wyszczerbienie w miejscu, gdzie upuściłam kiedyś przycisk do papieru, a na lustrze była naklejka z Barbapapą, którą sama musiałam tam umieścić. Umyłam się szybko i pożyczyłam matki krem do twarzy (różany) oraz jej tusz do rzęs. Trochę się denerwowałam perspektywą rozmowy „zaopiekujesz się Faye, jeśli coś mi się stanie”, a wiedziałam, że mnie nie ominie. Nie chciałam kłamać. Mogłam po prostu się zgodzić, wiedząc, że wyląduję u Em i Henry’ego i wszystko dobrze się ułoży. Jednak sprawa wydawała się zbyt ważna na stosowanie takich uników. A Jeanie ostatecznie była moją matką. Może wystarczyłoby obiecać, że zadbam o to, by mała Faye miała się dobrze. Że będę ją mieć na oku. Mówiąc wprost, taka była prawda, tak podpowiadał instynkt samozachowawczy i w ogóle. Tylko że nie sądziłam, by to zadowoliło moją matkę. Chciała poważnej deklaracji, żadnych wykrętów, żadnych słownych sztuczek z „prawdą w sensie formalnym”. Poza tym po co dodawać kolejne kłamstwa do tego, co już się działo?

Nadal rozważałam pomysł wyznania matce wszystkiego, powiedzenia jej, kim jestem: istniało prawdopodobieństwo, że kto jak kto, ale ona może mi uwierzyć z racji swojego charakteru. A co, gdyby jednak nie uwierzyła? Łatwo było zakładać, że skoro jest uduchowioną osobą i trochę hippiską, z upodobaniem do odczytywania znaków, czującą ze mną więź, której w zasadzie nie potrafiła wyjaśnić, uwierzy na słowo swojej podróżującej w czasie dorosłej córce. Ale gdyby mi jednak uwierzyła, musiałabym jej powiedzieć, że nie ma przed sobą długiego życia, a tego nie chciałam robić. Kiedy o tym



rozmawialiśmy poprzedniego wieczoru, obie byłyśmy upalone, zwłaszcza ona. Może po powrocie do domu zapomniała o wszystkim, o czym mówiłyśmy, i miałyśmy przed sobą miły wspólny dzień bez problemów.

Siedzenie w kuchni i czekanie na nią miało w sobie coś z obłądu. Cisza, tykający zegar, słoneczne smugi na podłodze; czas, kiedy nie robiłam nic poza czekaniem, wydawał się najbardziej nienormalny. Musiałam sobie powtarzać jak mantrę: „tak, naprawdę tu jesteś”, bo w przeciwnym razie mogłabym zacząć sobie wmawiać, że jestem na jakimś szpitalnym oddziale, w śpiączce i mam wyjątkowo żywy sen. Czułam bicie swojego serca, miałam ochotę podrapać się po nodze, delikatnie dotknęłam rękawa i poczułam fakturę materiału pod palcami; ten czas w przeszłości był tak samo realny jak reszta mojego życia. A jeśli nie był? Jeśli nie był realny, co wtedy zrobiłabym inaczej? Nic. Zamartwianie się tym nie miało sensu, bo i tak niczego nie zmieniało.

Usłyszałam, jak frontowe drzwi się otwierają, i wstrzymałam oddech. Wzięłam się w ryzy, żeby nie było po mnie widać, jak bardzo czekam na wejście matki. Rozpromieniła się w tym swoim szerokim swobodnym uśmiechu i usiadła naprzeciw mnie.

– Grzeczna dziewczynka – pochwaliłam małą Faye.

– Jak marzenie. Chcę ją jedynie chronić. – Zajrzała mi w oczy i od razu wiedziałam, że rozmowa z poprzedniego wieczoru została tylko na chwilę przerwana. – Jaki jest twój mąż? – spytała Jeanie, po czym znów wstała i nalala mleka do małego rondelka na kuchence.

– Eddie? Jest dobrym człowiekiem. Dobrze mu z oczu patrzy. Wiesz, co mam na myśli? – Matka przytaknęła ruchem głowy; mieszała w garnku, bez reszty skupiona na mnie. – Nieźle sobie radzi z liczbami, zawsze pracował w branży finansowej. – Przez twarz matki przebiegł ledwie zauważalny grymas. – Wiem, brzmi nudno. Ale on nie jest nudny, jest cudowny, zabawny i świetnie się sprawdza jako tata.

– Dobry w łóżku? – spytała, wyciągając z szafki torebkę z płatkami owsianymi.

– Tak – potwierdziłam i poczułam, że się czerwienię. Nie wiem, czy wyglądałam na zażenowaną, ale wprawiała mnie w zakłopotanie bezpośredniość jej pytań i to, że nigdy nie rozmawiałam w taki sposób o seksie z nikim, a już na pewno nie z matką. – Ma brązowe włosy, zawsze pozwala, by urosły za długie, i muszę mu przypominać o strzyżeniu. Jest wysoki, mogę się cała schować w jego objęciach.

Matka zostawiła w garnku drewnianą łyżkę i oparła się o blat, splatając ramiona na piersi.

– Teraz opis zaczyna mi się podobać – oznajmiła.

– Przechodzi szkolenie, żeby zostać pastorem – dodałam, ucinając zachwyty matki nad moim mężem. Lekko się nachmurzyła.

– Naprawdę? – Znów chwyciła za łyżkę.

– Tak.

– Ten świat wydaje się daleki od finansów.

– Owszem, ale Eddie nadal jest tym samym człowiekiem. Nie jestem pewna, czy zarówno finanse, jak i religia do niego pasują. Ale robi to, co mu nakazuje sumienie, do czego został stworzony.

– Mężczyzna mojego życia właściwie nie był w moim typie – wyznała znienacka. – Ojciec Faye działał w służbach ochrony prawa. – Wymówiła to takim tonem, jakby przeklinała.

– Nie wiedziałam, że ma tatę – wyrwało mi się. – To znaczy... wiesz, co mam na myśli.

– Cudowny człowiek, ale to było skomplikowane. Kochaliśmy się, tylko... – Wyjrzała przez okno, po czym zajęła się przyrządzaniem owsianki i herbaty. Patrzyłam na nią i czekałam, z wciśniętym guzikiem nagrywania w mózgu, żeby utrwalić ten widok, gdy wdzięcznie porusza się po kuchni, miesza, nalewa, sięga po cukier, a potem ustawia wszystko na stole. Perfekcyjna pani domu. Na koniec dołożyła jeszcze słoik z dżemem. – Mamy tego mnóstwo, dzięki pocziwemu Henry’emu... – westchnęła, nakładając kopiałą łyżkę dżemu na środek swojej miski z owsianką.

– Mówiłaś o tacie Faye – przypomniałam jej, dziwnie poruszona w środku. Nie wiedziałam absolutnie nic o swoim ojcu. Wiedziałam, że musiał jakiś być – w sensie biologicznym – ale prawie o nim nie myślałam, nigdy nie żałowałam, że go nie ma, bo chyba nie można stracić kogoś, kogo się

nigdy nie znało. Czasami jako dziecko albo nastolatka wyobrażałam sobie, że jakiś ojciec przychodzi i zabiera mnie od Em i Henry'ego. Ale zwykle uświadamiałam sobie, że wcale czegoś takiego nie chcę. Chciałam matki, zawsze, ale nie jakiegoś obcego człowieka. Czułam się bezpieczna z Em i Henrym. A Henry uosabiał wszystko, czego potrzebowałam od ojca: był godny zaufania, praktyczny i miły.

Ponieważ nie miałam żadnego wyobrażenia o ojcu, wiedziałam, że nigdy jako dziecko nie odbyłam takiej rozmowy z matką, ponieważ bym jej nie zapomniała. W miarę dorastania, nie poświęcając temu tematowi zbyt wiele uwagi, w pewnym sensie założyłam, że jestem owocem jednej razem spędzonej nocy. Nie miłości.

– Powiedziałaś, że jest miłością twojego życia, ale...?

– Ale jest żonaty i ma inne dzieci. I wysoką pozycję. W tym zawodzie skandal zrujnowałby mu karierę.

– Ale skoro się kochaliście, dlaczego nie może ci pomóc?

– Wyprowadziłam się, żeby go chronić, żeby nie musiał dokonywać wyborów, przez które mógł stracić wszystko.

– Nie chciał mnie widzieć? – spytałam. Zrobiła minę, jakby nie rozumiała. W pierwszej chwili nie zdawałam sobie sprawy ze swojej pomyłki, dopiero po chwili słowo „mnie” zaciążyło mi w ustach niczym szklana kulka. Próbowałam udawać, że nie padło.

– Co masz na myśli? – spytała Jeanie.

– No wiesz, jego córkę. Nie chciał jej poznać?

– No cóż... wyprowadziłam się, kiedy byłam w ciąży. Nic nie wiedział. To było dawno, oczywiście, byłam w Irlandii. Zostałby rzucony lwom na pożarcie, gdyby się wydało. Miał już dzieci i żonę. Robił dobre rzeczy dla swojej społeczności, wprowadzał korzystne zmiany. Kochałam go, ale po prostu nie mogłam mu tego zrobić.

– Musiałaś mu złamać serce – powiedziałam.

– Tego nigdy się nie dowiem.

– Ale przecież wiesz, prawda? Kochał cię, a ty kochałaś jego. Może powinnaś była mu pozwolić dokonać wyboru. – Nie chodziło o mój żal, że opuściła kogoś, kto mógł mnie kochać, raczej wydało mi się straszne zatajenie przed kimś, że ma dziecko. Poza tym chciałam, żeby moja matka czuła się kochana... na tyle, na ile to było możliwe. Zasługiwała na to uczucie, a sama z niego zrezygnowała.

Moja owsianka stała na stole nietknięta. Jeanie zamieszała swoją; dżem utworzył na środku różowy wir.

– Może powinnam była pozwolić mu wybrać, ale tego nie zrobiłam. To ja dokonałam wyboru, który należy już do przeszłości. I musi tam pozostać. – Wpatrywała się w moją twarz. – Miłość nie polega na braniu tego, co się chce. Miłość może w twoim poczuciu usprawiedliwiać branie tego, co chcesz, może ci pozwalać na robienie różnych rzeczy albo możesz dokonywać rozsądnych wyborów, które czasami oddalają cię od miłości. Ale posłuchaj mnie. – Wyciągnęła rękę i położyła na mojej dłoni. – Posłuchaj, zawsze jest mnóstwo miłości do znalezienia. Straciłam pewne rzeczy, ale zyskałam inne. Ograniczyłam do minimum cierpienie innych i znalazłam szczególny rodzaj miłości, wychowując Faye sama. To cenne.

– Powiesz jej o nim? – spytałam, wiedząc, że tego nie robi.

– Jesteśmy tylko we dwie, ja i ona, i to na razie wystarczy. Jeśli pewnego dnia zechce wiedzieć więcej, to jej powiem. Myślę, że gdybym jej powiedziała za dużo, tylko bym w niej obudziła niepotrzebną tęsknotę. Pragnienie, którego nie da się zaspokoić. Pragnienie, którego wcale nie musi zaznać.

Matki nie było już przy mnie, kiedy osiągnęłam wiek, w którym mogłam zadawać pytania; miała rację, nigdy nie czułam pragnienia poznania ojca. Ta tęsknota zawsze była wyparta... a raczej całkowicie przyćmiona przez tęsknotę za nią.

– Słuchaj, Jeanie, wczoraj wieczorem mówiłaś, że nie doczekasz starości, martwiłaś się, co spotka Faye, jeśli cię przy niej nie będzie.

– Tak, chcę, żebyś ty przy niej była.

– Jako rodzic chrzestny?

– Chcę tylko obietnicy – powiedziała, machając palcami, jakby chodziło o drobiazg.

– Może jej ojciec będzie chciał się nią zaopiekować? – podsunęłam.

– Nie, on nie może – odpowiedziała cicho.

– Dlaczego? Nie żyje?

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy nadal jest tam, gdzie się poznaliśmy. Ale całe to zamieszanie, którego próbowałam uniknąć, wyjeżdżając, wróciłoby z jeszcze większą mocą. Po co ratować go przed utonięciem wcześniej, gdybym miała go teraz utopić?

– Jest dobrym człowiekiem?

– Tak, i nie mam wątpliwości, że bardzo by ją kochał, ale prosić go, żeby się nią zaopiekował? To by oznaczało, że jego żona i rodzina mają ją przyjąć do siebie. To byłoby jak oddawanie kurczaka lisowi. Nie. W razie mojej śmierci Faye musi trafić w miejsce, w którym przynajmniej zacnie od równych szans. A jeszcze lepiej, żeby czekała tam na nią miłość i otwarte ramiona, a nie wroga postawa i oskarżenia.

Odezwała się we mnie ciekawość. Zastanawiałam się, czy matka ma rację. A może jednak zamieszkanie z ojcem – gdyby go odnalazła – byłoby korzystne. Zaraz potem, jak w zwiastunie filmu, zobaczyłam wyobrażone życie, które rozwijało się przede mną jak dywan: życie bez Henry’ego i Em, życie prowadzące mnie inną ścieżką, na której może nie spotkałabym Eddiego, i choć może miałabym dzieci, to nie byłyby Esther i Evie. Nagle zaschło mi w ustach, zapragnęłam przestać rozmawiać o rzeczach, które mogły zmienić moją przyszłość. Przyszłość, która dawała mi szczęście, poza tym, że nie było w niej mojej matki.

– Nie chcę już o nim mówić – powiedziała Jeanie, co mnie ucieszyło.

Włożyłam do ust łyżkę owsianki. Była pyszna.

– A co z Em i Henrym? – spytałam, zasiewając ziarno tego, co miało nastąpić.

– W charakterze rodziców chrzestnych? Nie! Są za starzy – odparła zdecydowanie.

– Są bezpieczni, solidni i mieszkają niedaleko. Dobrze by się spisali – powiedziałam ze świadomością, że rekomenduję ich do zadania, które już wykonali, i to z sukcesem.

– Och, ale oni byliby nudni. – Jeanie wydeła usta.

– Byliby doskonali. – Urażona, poczułam się w obowiązku bronić tych miłych, dobrych ludzi, którzy mnie przygarnęli, kochali i chronili.

Jeanie tylko wzruszyła ramionami.

– Są mili – przyznała, ale nie zabrzmiało to jak komplement. Miałam ochotę skarcić ją jak dziecko, które nie podziękowało za prezent.

– Jeanie, oni się o was troszczą, o was obie, widziałam to w ich domu. Proszę, nie bądź wredna. Wiesz, że zrobiliby dla ciebie wszystko. – Znów wzruszyła ramionami, a ja postanowiłam nie drażnić tematu. – Zresztą, wracając do twoich przeczuc co do starości, mogą się nie spełnić. – Czułam się jak oszustka, ponieważ wiedziałam, że wkrótce umrze; nagle zaczęłam mieć trudności z przełykaniem, więc odłożyłam łyżkę do talerza.

– Spełnią się – odparła krótko.

Ukryłam twarz w dłoniach i westchnęłam, wydechane powietrze odbiło się od palców, ciepłe i wilgotne.

Jeanie skupiła się na jedzeniu i herbacie, uśmiechem próbowała zatrzeć wrażenie po nieprzyjemnym temacie.

– Wyjdźmy potem do miasta, dobrze? – zaproponowała.

– Fajny pomysł. – Miałam świadomość, że nie powinnam się tak denerwować, ostatecznie wiedziałam, co czeka moją matkę. W tej kwestii nie było żadnych niespodzianek.

Do miasta szliśmy pieszo, rozmawiając po drodze. To była jedna z najprzyjemniejszych chwil w moim życiu, a mimo to nie potrafię powiedzieć, o czym mówiłyśmy. Czy to nie zabawne, że zamierzałam utrwalić w pamięci dokładny przebieg swoich wizyt w przeszłości, ale nie zdołałam tego dokonać? Może liczyło się tylko to, że moment był cudowny i spędziłam go z kimś wyjątkowym. Pewnie

nie rozmawialiśmy o niczym ważnym, więc nie czułam potrzeby zapamiętania szczegółów. Chyba tak wygląda większość życia.

„Miło spędziłaś czas?”

„Tak”.

„Co robiłaś?”

„Nie wiem!”

Moja świadomość znów uległa dziwnemu wyostrzeniu, kiedy mijaliśmy sklepy na ulicy prowadzącej do centrum. Zawartość sklepowych witryn przyciągała mój wzrok; bezwiednie się uśmiechałam i kręciłam głową na widok tosterów z lat siedemdziesiątych, ręcznych ubijaczek do piany, odkurzaczy z długim workiem przy rurze. Wzornictwo uwzględniało bardzo małą ilość chromu, za to mnóstwo zieleni w odcieniu awokado, cytrynowej żółci i lazurowego błękitu. Kobiety nosiły kremowe spodnie z kaniem albo rozkloszowane spódnice i prawie wszystkie oprócz Jeanie miały trwałe ondulacje. Znajdowałam się w żywym muzeum własnego dzieciństwa. Ze wszystkimi tymi rzeczami, które dorastając, oglądałam na wystawach sklepowych, wszystkimi rzeczami, które zauważałam dzień po dniu, które wyglądały, jakby nikt ich nie kupował i stały latami w witrynach. Manekiny zawsze prezentowały się trochę niechlujnie, z fatalnie dopasowanymi fryzurami, ustawione w niedbałych pozach, z plastikowymi rękami wspartymi na anorektycznych biodrach. Widziałam też rzeczy, których zawsze pożądałam, w innych sklepach. Nigdy nie miałyśmy pieniędzy i nigdy o nic nie prosiłam, ani mojej matki, ani Em i Henry’ego. Ale niektóre rzeczy przykuwają twój wzrok i nie możesz od nich oderwać oczu, dopóki nie odejdziesz za daleko, i wtedy obraz jest niesiony dalej w pamięci, aż do wieczora, rozmywa się dopiero przy zapadaniu w sen i rano już go nie ma. I nie pojawia się, dopóki znów nie staniesz przed tą witryną...

Wrotki. Błyszczące, metalowe, z czerwonymi paskami zakładanymi na buty.

Zobaczyłam je i pamiętałam, że jako dziecko pragnęłam ich tak bardzo... Postanowiłam, że jeśli kiedyś się wzbogacę, to właśnie na wrotki wydám pieniądze.

Zatrzymałam się i patrzyłam. Matka odeszła kilka kroków, nim się zorientowała, że zostałam w tyle. Kiedy w końcu przystanęła, usłyszałam, że się śmieje.

– Nie wierzę! – zawołała. – Faye zawsze staje i gapi się na te wrotki, naprawdę jesteście identyczne. – Zawróciła i dołączyła do mnie przed wystawą.

To były moje wrotki. Nie podobne, tylko te same. Miałam tę parę w wieku sześciu lub siedmiu lat i teraz, patrząc na nie przez szybę, uświadomiłam sobie coś ważnego.

Uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, w jaki sposób weszłam w ich posiadanie.

Wpatrywałam się we wrotki, przyciskając rozgrzane czoło do chłodnej szyby.

– Jeanie – odezwałam się, zaglądając w głąb sklepu. – Czy Faye umie jeździć na wrotkach?

– Nie – odpowiedziała. – Bardzo by chciała, ale wrotki są zdecydowanie poza moim zasięgiem.

– Wzruszyła ramionami. – Ale jest świetna w hula-hoop.

Miała rację, byłam świetna. Nadal jestem.

Matka opowiadała, jak Faye nauczyła się kręcić obręczą, a ja szłam obok niej i słuchałam, chłonełam jej słowa, gromadziłam fragmenty z układanki jej życia, które mi podsuwała. Każdy kawałek stanowił wskazówkę, ważną część całości. Szłam powoli, z twarzą wystawioną do słońca, i chwilami odnosiłam wrażenie, że moje stopy nie dotykają ziemi, a głos matki staje się tłem mojego zaintrygowanego umysłu. Nie mogłam się otrząsnąć z wciąż powracającego pytania o wrotki. W jaki sposób mogły wtedy, w dzieciństwie, stać się moją własnością? Em i Henry by mi ich nie kupili, nie sądzę, zresztą, tak czy inaczej, należały do mnie, zanim u nich zamieszkałam. Matka nie mogła sobie pozwolić na ich kupno, a nie mieliśmy żadnych krewnych. Pytanie uporczywie krążyło po mojej głowie. Nigdy bym ich nie ukradła jako dziecko, nie byłam złodziejką, ale... przecież ludzie się zmieniają.

Nagle doznałam olśnienia i zapragnęłam zostać sama.

– Masz coś przeciwko... – przerwałam matce w pół zdania. – Wybacz, masz coś przeciwko temu, żebyśmy się na chwilę rozdzieliły? Mam do załatwienia parę rzeczy.

– Jasne. – Dotknęła mojego policzka, co bardzo lubiłam. I uśmiechnęła się tak, jakbym była jedyną ważną dla niej osobą na świecie... którą, o ironio, w istocie byłam.

Powiedziała, że kupi coś na obiad, i spytała, czy zostanę. Pomyślałam o różnicy czasu pomiędzy tym miejscem i domem; wiedziałam, że poprzednio dwanaście godzin w latach siedemdziesiątych równało się zaledwie trzem godzinom w mojej teraźniejszości, czyli dwa dni tutaj mogły oznaczać pół dnia tam. Przy takim przeliczniku i tygodniowym wyjeździe Eddiego moja nieobecność pozostałaby niezauważona. Na wszelki wypadek wzięłam kilka dni wolnego w pracy. Przyjęłam zaproszenie Jeanie z nadzieją na nocleg. W środku aż buzowałam z podniecenia, jakbym nagle usłyszała, że Gwiazdkę przeniesiono na ten dzień. Umówiliśmy się za pół godziny, a kiedy zniknęła za rogiem, wróciłam do sklepu z wrotkami.

Jedną z rzeczy, które musicie wiedzieć o tym sklepie, jest to, że nazywał się Szczęśliwy Traf i był firmą rodzinną. Wprawdzie w tamtych czasach chyba wszystkie sklepy były tak prowadzone, ale ten wciąż działał, trzydzieści lat później. Miał tę samą właścicielkę, która z tego, co wiedziałam, nadal pracowała za ladą parę dni w tygodniu. Kiedy bywamy w tej okolicy, moje dzieci uwielbiają do niego zaglądać, bo sprzedaje rozmaite „skarby”, chętnie kolekcjonowane przez małe dziewczynki i chłopców. Drobiazgi, które mieszczą się w zaciśniętej dłoni. Małe szklane zwierzątka, które dzieci znają na pamięć, ponieważ szczegóły można dostrzec jedynie wtedy, gdy trzyma się taką figurkę bardzo blisko oczu.

Dlatego kiedy wchodziłam do środka i brzęknął zawieszony nad futryną dzwoneczek, poczułam się, jakbym otwierała drzwi własnego domu. Panujący wewnątrz chłód był jak zimny drink podczas upalnego dnia. Półki i stojaki eksponowały kolorowe przedmioty oraz wielkie ilustrowane antologie poezji i bajek dla dzieci. Dźwięk dzwonka wywołał z zaplecza młodą, dwudziestoparoletnią kobietę w obfitej żółtej bluzce z wielkim kołnierzem, brązowej spódnicy i czerwonych sandałach. Zawiazywała za plecami fartuch, a ja uśmiechnęłam się do niej, jakby była moją starą przyjaciółką. Na moment ściągnęła brwi, ale odwzajemniła uśmiech; ludzie czują się zbici z tropu, kiedy ktoś obcy uśmiecha się do nich promiennie, jakby znali się od lat. Znałam tę kobietę, właścicielkę sklepu, ale z okresu późniejszego o trzy dziesięciolecia. Uderzyło mnie odkrycie, jak niewiele się zmieniła. Jeśli jakaś osoba

jest przypisana do kontekstu, bez trudu da się ją rozpoznać, niezależnie od tego, czy ma siedem, czy siedemdziesiąt lat. Osoby prowadzące małe sklepiki w małych miejscowościach są jakby namiastkami celebrytów, więc sporo o niej wiedziałam; znałam mężczyznę, za którego wyszła, ich dzieci, pamiętałam, jak ich sklep został obrabowany i jak zbierali fundusze na cele dobroczynne. Wiedziałam to wszystko, nie znając jej dobrze, podobnie jak ona nie znała mnie.

– Mogę w czymś pomóc? – odezwała się tonem radosnej zachęty.

– Tylko oglądam – odpowiedziałam, kierując się do alejki pośrodku; muskałam opuszkami przedmioty na półkach, jakbym je liczyła. Nie sposób nie dotykać towarów w takim sklepie.

– Proszę dać znać, jak pani znajdzie to, czego szuka! – zawołała za mną właścicielka.

– Dobrze! – odkrzyknęłam i usłyszałam oddalające się kroki.

Chciałam kupić wrotki dla małej Faye. Mogłam zdać się na los, ale takie rozwiązanie wydawało mi się bez sensu. Byłam tam w tym momencie i myślałam o nabyciu wrotek. Więc, *ipso facto*, musiałam je kupić. Bo inaczej kto by to zrobił? Nikt.

Być może jedynym powodem – o ile w ogóle musiał być powód – mojego powrotu do przeszłości było kupienie wrotek dla mnie młodszej. Uśmiechnęłam się rozbawiona niedorzecznością sytuacji i słowami *ipso facto*, które lubię tak bardzo, że używam ich przy każdej sposobności. To samo dotyczy „pyrrusowego zwycięstwa”, choć w tym wypadku taka sposobność nadarza się znacznie rzadziej.

Zatem ja, kobieta pożądana wrotek, byłam w sklepie, w którym je sprzedawano. Bez pieniędzy, bez niczego cennego, na co dałoby się je wymienić. Musiałam ukraść te wrotki i przyznaję, że czułam się z tym fatalnie.

Poza tym, że sam uczynek był moralnie naganny, zwłaszcza w takim sklepiku, nie chciałam zostać złapana przez policję. Bo co, gdybym poszła do więzienia?! Sytuację rozjaśniała nieco świadomość, że ten sklep dobrze prosperował w mojej terażniejszości, czyli po trzydziestu latach od tamtej chwili. Strata jednej pary wrotek nie mogła doprowadzić tych ludzi do ruiny. Poza tym byłam właściwie pewna, że uda mi się wywinąć. Rozejrzawszy się, nie dostrzegłam luster ani tym bardziej kamer.

Miałam plan. Zamierzałam zwabić sprzedawczynię do lady i poprosić o coś, czego będzie musiała poszukać na zapleczu. Wtedy szybko podeszłabym do wystawy, zabrała wrotki i opuściła sklep. Jeśli się robi takie rzeczy odpowiednio szybko, może się udać.

Podeszłam do lady.

– Halo?! – zawołałam.

Kobieta wróciła, z uśmiechem wycierając dłonie w fartuch.

– Tak?

– Zastanawiam się, czy macie taką rosyjską lalkę w innym kolorze.

– Powinna być na zapleczu, pójdę sprawdzić. – Uśmiechnęła się ponownie i zniknęła.

To wystarczyło. Podeszłam prosto do okna wystawowego i podniosłam wrotki za paski. Zachowałam ostrożność, ale kiedy unosiłam wrotki z półki, potrąciłam błyszczącego drewnianego policjanta. Miał namalowany przy ustach gwizdek i okrągłą podstawkę, na której zakołysał się oskarżycielsko. Czułam, że ma ochotę zagwizdać, wszczynając prawdziwy alarm. Cóż, właściwie mógł to zrobić, bo kiedy kładłam rękę na klamce, usłyszałam głos właścicielki.

– Chce pani je kupić? – spytała uprzejmym tonem, który jednak zdradzał, że mnie przejrzała.

Wstrzymywane powietrze uleciało ze mnie w długim wydechu; z poczuciem winy wróciłam do lady i położyłam na niej swój niedoszły łup.

– Owszem. Bardziej niż cokolwiek innego – wyznałam.

– A zechciałaby pani za nie zapłacić?

– Proszę mi wierzyć, że tak. Mam pieniądze, ale nie tutaj, a potrzebuję tych wrotek, zanim będę mogła pani za nie zapłacić.

Przyjrzała mi się pod ściągniętych brwi.

– Nie jest pani tą złodziejką, która mnie stale okrada – stwierdziła.

– Nie. Nie jestem złodziejką.

– Ale zamierzała pani je ukraść. – Nie spuszczając ze mnie oczu, wskazała na wrotki.

– Owszem – przyznałam. – Gdybym miała coś, żeby dać pani za nie, tobym dała. Albo gdybym mogła je na coś wymienić, tobym wymieniła. Ale nie mam.

– Obawiam się, że i tak nie przyjmujemy tego rodzaju płatności.

Wtedy uzmysłowiłam sobie, że mam coś dla tej kobiety – która, jak wiedziałam, miała na imię Elizabeth – coś, co mogło być dla niej cenniejsze. Miałam informacje. Wiedziałam o niej różne rzeczy. Nagle z przejścia zabrakło mi tchu.

– Wierzy pani w przepowiadanie przyszłości? – spytałam.

Zaśmiała się, w kącikach jej oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

– Przez te staruszki z kryształowymi kulami? Oczywiście, że nie.

– Ja też nie. Ale gdybym mogła powiedzieć różne rzeczy o pani przyszłości i spodobałoby się pani to, co usłyszysz, dałaby mi pani te wrotki? – Choć widziałam jej zaciekawienie, nie dawała się skusić. Sądziła, że jestem zwykłą naciągaczką, nie była głupia, ale dostrzegłam w jej oczach wahanie, które obudziło we mnie nadzieję. Minęła mnie i podeszła do drzwi, po czym przekreśliła tabliczkę „otwarte” na „zamknięte”.

– Proszę wejść na zaplecze – zaproponowała, po czym zerknęła na mnie przez ramię i dodała cynicznym tonem: – Ustępuję tylko dlatego, że to ciekawsze niż zwykłe wtorkowe nudy. – Na zapleczu wskazała mi stołek, a sama usiadła na drugim. – Ma pani pięć minut.

Wtedy jej powiedziałam.

Podaliśmy nazwisko mężczyzny, którego poślubi, i imiona dzieci, które się im urodzą. Powiedziałam, że sklep będzie się cieszył powodzeniem przez następnych trzydzieści lat. Powiedziałam, że wygra trochę pieniędzy, gdy będzie nieco starsza, i jej rodzina wyjedzie na dwutygodniowe zagraniczne wakacje, a pod ich nieobecność ktoś włamie się do sklepu, ale nie ma powodu do smutnienia, bo i tak wszystko będzie dobrze. I w końcu powiedziałam jej, że pewnego dnia jej syn zaginie i nie będzie go przez trzy dni. Ale zostanie odnaleziony cały i zdrowy, więc kiedy to nastąpi, nie powinna się zbytnio martwić.

Przez cały czas zachowywała lekko kpiący wyraz twarzy. Sprawiała wrażenie bardziej rozbawionej niż zaskoczonej. Po mniej więcej minucie skończyłam i odchyliłam się do tyłu.

– I co pani na to? – spytałam.

– W życiu nie słyszałam niczego bardziej szalonego.

– Aha – mruknęłam z rezygnacją. Choć wiedziałam, że nie miała powodu mi wierzyć, jej reakcja mnie rozczarowała.

– Andrew Keel? – spytała.

– Tak, wyjdzie pani za niego i będzie bardzo szczęśliwa. To cudowny człowiek.

– Nie znam nikogo o nazwisku Andrew Keel. – Popatrzyła na mnie z niepokojem, jakbym była magikiem, któremu nie udało się sztuczka.

– Jeszcze go pani nie poznała, ale pozna.

– Elizabeth Keel – szepnęła, choć w ogóle mi nie wierzyła.

– Elizabeth i Andrew Keel, oraz wasze dzieci, Adam, Connie i Zara.

– Podobają mi się te imiona – przyznała z zadumą, ale nieufność w jej oczach jeszcze się pogłębiła.

– No tak, w końcu wybierze je pani dla swoich dzieci – powiedziałam.

– Może jednak nie, po tym, co mi pani powiedziała. I twierdzi pani, że mój syn Adam zaginie? – Pochyliła się, opierając łokcie na kolanach.

– Tak – potwierdziłam skwapliwie. – Nie pamiętam dokładnie okoliczności, ale odnajdzie się bez szwanku.

– Co to znaczy, że pani „nie pamięta”? Myślałam, że to wszystko dotyczy przyszłości.

– Tak, ale dla mnie jest podobne do wspomniania – wyjaśniłam. – Jako matka wiem, że chybabym umarła, gdyby któreś z moich dzieci zaginęło. Chcę pani oszczędzić bólu. Adamowi nic się nie stanie, więc proszę się nie martwić. Elizabeth, będzie pani mieć długie i udane życie, z dobrym mężem, trójką szczęśliwych dzieci i prosperującym biznesem.

Elizabeth odepchnęła się od kolan i wstała.

- Było zabawnie, ale pani pięć minut minęło – oznajmiła głosem równie słonecznym jak jej strój.
- Czas znów otworzyć sklep i czas, żeby pani już sobie poszła.
  - Mogę wziąć wrotki? – spytałam nieśmiało.
  - Nie. – Wyprowadziła mnie z magazynu.
  - Naprawdę ich potrzebuję.
  - Podoba mi się pani szczerłość. Podoba mi się też cudowna bajka, którą mi pani opowiedziała. Gdyby to była prawda... – mruknęła z zadumą. – Gdybym mogła w to wszystko wierzyć... – Parsknęła śmiechem, który zabrzmiał tak samo jak dzwonek trącany przez otwierane drzwi jej sklepu.
  - Może pani żyć bez lęku, Elizabeth – zwróciłam się do niej błagalnym tonem. – Nie musi się pani martwić o swoje zdrowie ani o dzieci. Może swobodnie cieszyć się życiem, wiedząc, że będzie szczęśliwe. Gwarantuję to pani.
  - A to wszystko za parę wrotek – rzuciła kpiąco. – Proszę posłuchać, podoba mi się pani. Nic na to nie poradzę. Ale jest pani szalona. W miły... niezwykle sposób. – Byłyśmy znów w głównym pomieszczeniu sklepu i prowadziła mnie do wyjścia. – Ale nie ma mowy, żebym dała pani te wrotki w zamian za stek jarmarcznych wróżb.
  - Zaczęłam protestować, ale uniosła otwartą dłoń takim gestem, jakby zatrzymywała ruch na jezdni, więc zamilkłam.
  - Widzę jednak, że nosi pani biżuterię. – Podałam jej rękę, a ona delikatnie przesunęła kciukiem po mojej obrączce i pierścionku zaręczynowym.
  - Jeśli aż tak bardzo pani zależy, proszę mi dać pierścionek lub obrączkę i zabrać wrotki. Oddam klejnot, kiedy przyniesie pani pieniądze.
  - Popatrzyłam na nią. Wyglądała tak młodo, była taka młoda, ładna i praktyczna i robiła to z życzliwości... doskonale zrównoważonej zmysłem interesu. Nic dziwnego, że jej sklep doskonale prosperował.
  - Będę z panią szczerą – powiedziałam. – Mogłoby upłynąć bardzo dużo czasu do mojego powrotu.
  - Cóż, według przepowiedni nadal tu będę, więc chyba nie ma problemu?
  - Musi pani obiecać, że bezpiecznie go przechowa – poprosiłam, ściągając pierścionek z palca. Poczułam mdłości.
  - Zabawne – mruknęła, chowając pierścionek w zaciśniętej dłoni. Popatrzyła na mnie z rozbawieniem. – Najpierw próbowała pani ukraść moje wrotki, a teraz domaga się obietnicy.
  - Proszę.
  - Obiecuję. – Zamknęła oczy i kiwnęła głową.



Wybierając się do kogoś w odwiedzin, mam zwyczaj przynosić prezent, butelkę wina albo coś innego. Ale dla mojej matki oczywiście nie mogłam nic kupić. Nawet gdybym miała przy sobie pieniądze, na niewiele by się zdały, bo w kwestii waluty nastąpiły znaczące zmiany, a kolejna kradzież nie wchodziła w grę. Tak czy inaczej, matka niczego ode mnie nie oczekiwała; uwielbiała moje towarzystwo, co niezmiernie mnie cieszyło.

Spędziłyśmy dzień, snując się po jej domu i ogrodzie. Po powrocie z miasta zaniosłam brązową papierową torbę z wrotkami w środku na górę do pokoju małej Faye i wsunęłam pod łóżko. Kiedy wróciłam na dół, matka stała w kuchni i przeglądała książkę kucharską. Gdy weszłam, podniosła wzrok i rzuciła mi fartuch.

– Nałóż, robimy pudding toffi – oznajmiła. – Sama nie wiem, po co tu zaglądam. – Uniosła książkę. – Powinłam znać przepis na pamięć, bo przecież pomagałam go robić mamie, tak jak ty mi teraz pomagasz. Cieszy mnie, że wciąż używam czegoś, czego ona używała. – Zamyśliła się na moment, po czym odłożyła otwartą książkę na blat, zapisanymi stronami do dołu.

Wzięłam ją do ręki i odwróciłam, uśmiechając się do niewielkiego tomiku, w którym znalazłam tamto zdjęcie siebie pod choinką; książka łączyła mnie z matką i moją matkę z jej matką, jak osobisty żart, którego sens był zrozumiały tylko dla nas.

– Zostaw, może i jest magiczny, ale obejdę się bez podpowiedzi. Brązowy cukier jest w tej szafce, poszukasz?

Oczywiście znalazłam bez trudu i zabrałyśmy się do roboty. Roześmiane ważyłyśmy składniki, rozsypując mąkę po całej kuchni. Siekałam daktyle, a kiedy jeden wystrzelił spod noża i przelatując przez blat, trafił do mąki niczym uciekający karaluch, zaśmiewałyśmy się jak pijane. Gdy już pudding wylądował w piekarniku, zasiadłyśmy na podwórku z zimną lemoniadą, kostki lodu grzechotały w szklankach.

– Jest za gorąco na pudding toffi – stwierdziła Jeanie. Odchyliła głowę, wystawiając twarz do słońca i zamykając oczy. – Ale mam do niego lody.

– Pudding toffi jest doskonały na każdą pogodę – zapewniłam, robiąc to samo, co matka.

– To ulubiony deser Faye.

– Mój też – wyznałam.

– No tak, będzie – mruknęła.

Na moment wstrzymałam oddech. Nie odzywałam się, cisza między nami była naturalna, ale dla mnie wypełniona echem jej ostatnich słów. Dlaczego to powiedziała? Co miała na myśli? Przechyliłam głowę na bok i otworzyłam jedno oko, żeby na nią zerknąć. Powieki miała cały czas opuszczone, wystawione na działanie ciepłych promieni.

Wydaje mi się, że najlepiej opiszę swoje odczucie następującym przykładem: kiedy wam się podoba jakiś chłopiec albo dziewczyna, i czujecie, że też się podobacie tej osobie, chcecie ją zaprosić na randkę, żeby rozwinąć znajomość. Tylko że jeśli źle odczytujecie sygnały, a zaproponujecie randkę, możecie wszystko zepsuć. Ta osoba może nawet odtąd nie chcieć utrzymywać z wami kontaktów. Dlatego wasza znajomość pozostaje w zawieszeniu miesiącami, może latami, może na zawsze, ponieważ ryzyko, że ją stracie, jest zbyt duże. Tak się właśnie czułam. Wystarczało mi bycie z matką, kochanie jej, spędzanie z nią czasu. I dowiadywanie się o niej różnych rzeczy, poznawanie nie tylko faktów, ale także jej osobowości, jej dobroci i wad, zalet, poglądów, jej miłości do Faye, do mnie. Wystarczało mi, że mam ten czas, którego nigdy nie powinnam mieć, którego nie ma nikt inny, kto traci ukochaną osobę. To był najlepszy prezent gwiazdkowy, jaki mogłam dostać: bycie z matką, którą utraciłam jako dziecko.

Pragnienie czegokolwiek więcej byłoby zachłannością.

„Więcej” oznaczałoby wyznanie jej, kim naprawdę jestem, i ryzyko, że mnie wyrzuci.

Tylko odnosiłam wrażenie, że to nie ja próbuję uzyskać więcej. To nie ja przemyślałam drobne

wskazówki, że w tym, co się dzieje, jest jakiś element nadprzyrodzony. Robiła to moja matka. To ona chciała powiedzieć: „Wiem, że to szaleństwo, ale czy jesteś moją przyszłą córką, która odbyła podróż w czasie, żeby się ze mną spotkać?”.

Tak się przynajmniej wydawało.

Może ponosiła mnie wyobraźnia, ale Jeanie zadawała wszystkie te pytania, których bym się spodziewała, gdyby wiedziała, kim jestem: o moją codzienność, o dzieci, o męża, znajomych, o nadzieje i aspiracje. Pytała, jak wyglądało moje życie, kiedy dorastałam, i musiałam się bardzo pilnować, żeby nie wyjawić za dużo... i jednocześnie za bardzo nie kłamać.

– Wszyscy uwielbiają pudding toffi, ale tylko twardziele jadają go latem – powiedziała nagle.

Zapach dotarł na podwórko, więc opuściła mnie na kilka minut, żeby wyjąć pudding z piekarnika, wyłożyć na talerz i osłonić przed muchami. Czułam słodki ciepły aromat i aż ślina napłynęła mi do ust, ale zamierzałyśmy poczekać z jedzeniem, aż Faye wróci ze szkoły.

Kiedy to nastąpiło, Jeanie przyniosła tacę z serem i krakersami; jadłyśmy, popijając zimnym napojem gazowanym o nazwie Panda Pops. Miałam świadomość upływającego czasu, jakby gdzieś w głębi mojego mózgu odliczała go niecierpliwie przytupująca stopa, a mimo to odkryłam, że równocześnie cieszę się nim w tym drugim wymiarze, gdzie płynął wolniej, jak miód przelewający się przez krawędź łyżki.

Kiedy matka poszła odebrać Faye ze szkoły, zastanawiałam się nad tą podwójną prędkością czasu: nad latami, które zdają się sięgać w niemożliwą do ogarnięcia umysłem przyszłość, zwłaszcza kiedy jesteśmy młodzi. W dzieciństwie czas na naukę jazdy samochodem, zdobycie zawodu, małżeństwo i posiadanie dzieci wydaje nam się niewyobrażalnie odległy. I nieuchronnie nadchodzi moment, kiedy mówimy, że wszystko wydarzyło się tak szybko, trwało tak krótko jak pstryknięcie palcami. Nigdy nie potrafiłam otrząsnąć się z poczucia, że coś się skończyło, zanim na dobre się zaczęło.

Myślałam też o tym, że jeśli czas spędzany w przeszłości z matką biegnie cztery razy wolniej niż ten w teraźniejszości, to mogłabym zostać z nią dwa lata, będąc jednocześnie poza domem przez pół roku.

To by oznaczało, że mogę doglądać matki w chorobie, ale musiałabym poświęcić czas spędzany z córkami. A gdyby im się coś stało przez moją nieobecność? Nie dało się usprawiedliwić półrocznego zniknięcia (bez jakiegokolwiek kontaktu, bez telefonu) przed Eddiem. Odsunęłam od siebie ten pomysł, słysząc radosne głosy Jeanie i Faye powracających do domu. Dziewczynka upuściła tornister na trawnik, podeszła do mnie i opadła na ziemię jak marionetka, której nagle odcięto sznurki. Buzię rozpromieniał jej szeroki uśmiech, który natychmiast odwzajemniłam.

– Udany dzień? – spytałam.

– W szkole było tak sobie, mam nadzieję, że teraz się poprawi – odpowiedziała, zrywając stokrotkę.

– Gwarantuję, że tak – zapewniłam.

– Ja też gwarantuję – powiedziała, naśladowując mój ton.

– Naprawdę ci to gwarantuję – powtórzyłam. – Idź zajrzeć pod swoje łóżko i przynieś na dół torbę, którą tam znajdziesz. Ale nie zagląдай do środka, po prostu ją tu przynieś. – Poderwała się i wbiegła do domu. – Obiecuj, że nie podejrzysz! – zawołałam za nią.

– Obiecuję! – odrzyknęła, nie odwracając głowy.

Usiadłyśmy z matką na ogrodowych krzesłach i mała Faye w okamgnieniu znów znalazła się przed nami z dużą brązową torbą.

– Co to jest? – spytała.

– Otwórz – zachęciłam, na co ostrożnie rozwinęła papier. Zajrzała do środka i głośno wciągnęła powietrze; wielkimi z zaskoczenia oczyma popatrzyła najpierw na mnie, a potem na naszą matkę. Między brwiami Jeanie pojawiła się zmarszczka, nadająca twarzy wyraz oczekiwania.

– Co to jest, kochanie, pokaż mi – zwróciła się do dziewczynki.

Faye wyjęła z torby wrotki w taki sposób, jakby były zrobione z jakiegoś kruchego materiału.

Jeanie krzyknęła ze zdziwienia i klasnęła.

– Och, ty szczęściaro... – Uklękła na trawie i uściśnęła córkę. – Pomogę ci je założyć. – Osłupiała Faye z początku nawet nie drgnęła, ale matka chwyciła jej nóżkę i zaczęła przypinać wrotki do bucików Faye; starannie założyła paski, upewniając się, że mocno trzymają i się nie przekręcą. Robiąc to, podniosła wzrok i nasze spojrzenia spotkały się na długą chwilę.

– Wiesz, jak kogoś uszczęśliwić, prawda? – Kiwnięciem głowy wskazała na Faye, która bawiła się kółkami, wprawiając je w ruch.

– Cóż, mówiłaś, że zawsze je ogląda na tej wystawie. A że byłaś dla mnie taka miła, po prostu chcę się odwdziżyć.

Jeanie wstała i wyciągnęła ramiona, żeby podnieść Faye. Po trawie nie dało się jeździć, więc pomogła jej przejść na wybetonowaną ścieżkę biegnącą wzdłuż domu. Dziewczynka zachwiała się jak niewprawnie uruchomiona marionetka, co się zdarza jedynie osobom na wrotkach lub na lodzie; wyciągnęła ramiona dla złapania równowagi i starała się chwycić wszystkiego, co było w zasięgu: ściany, płotu, cienkiej gałązki, która nie utrzymała jej ciężaru, co niemal doprowadziło do upadku. Stopniowo jednak nabierała wprawy i wkrótce mojej rozmowie z matką towarzyszył raz głośniejszy, raz cichnący odgłos metalowych kółek na betonie. Mała Faye zjeżdżała ze ścieżki na chodnik przed domem i znów wracała, całymi godzinami, przerywając – niechętnie – żeby zjeść obiad. Oznajmiła, że woli pojeździć, niż jeść dokładkę puddingu, na co obie z Jeanie udałyśmy, że z zaskoczenia mamy zawał serca. Matka wyjęła butelkę miętowego likieru i dwa małe kieliszki.

– Pamiętasz? – spytała.

Turkot kółek dawał nam informację o położeniu i kondycji Faye, więc rozmawiałyśmy sobie na świeżym powietrzu, krzywiąc się przy każdym łyku likieru. Spędzałyśmy tak czas we trójkę aż do zachodu słońca.

Po ciepłym dniu wieczór wydawał się tym bardziej chłodny, więc kiedy Jeanie wzięła Faye na górę do kąpeli, zebrałam wszystkie rzeczy do domu i zamknęłam tylne drzwi na klucz od środka.

Zapaliłam świece w salonie, choć akurat nie wyłączyli prądu, owinęłam się kocem i umościłam na sofie.

– Faye dziękuje ci za wrotki – powiedziała matka, wchodząc do pokoju, wyraźnie zmęczona.

– Powiedziała to już setki razy.

– Ale powtórzyła jeszcze raz. To był bardzo miły gest z twojej strony. Chcesz? – Jeanie trzymała dwie małe butelki gruszkowego wina i dwa kieliszki. – Od Em i Henry’ego. Kupili mi sześciopak na Gwiazdkę i jeszcze ani jednego nie wypiałam!

– Poproszę. Lepsze to niż ten zielony likier!

Jeanie opadła na drugi koniec sofy i podciągnęła kolana do klatki piersiowej. Podałam jej złożony koc, którym okryła się aż pod brodę.

– Jak długo możesz zostać? – spytała.

– Jutro powinnam się zbierać – odpowiedziałam. – Nie chcę nadużyć gościnności.

– O tym nie może być mowy – obruszyła się. – Masz bezterminowe zaproszenie. Chciałabym, żebyś została dłużej, jeśli możesz.

– Bardzo bym chciała, ale powinnam wracać. – Żałowałam, że nie mogę zostać, ale ciągnęło mnie to drugie życie, lęk, że nie będę mogła go odzyskać, dojmująca potrzeba bycia blisko córek, którą dotąd w sobie tłumilałam, ale zaczynała odzywać się głośniejsz.

– Rozumiem. Zobaczymy cię jeszcze?

– Tak.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Kiedy?

– Wkrótce – odparłam wymijająco.

Jeanie wychyliła się niezgrabnie, żeby otworzyć szufladę koło sofy; wyjęła z niej gotowego jointa

i zapalki.

– Zapalimy? – spytała, a ja w odpowiedzi wzruszyłam ramionami.

Podpaliła końcówkę i zmrużyła jedno oko, bo podrażnił je dym, a potem wydmuchnęła długą prostą strugę.

– Wierzysz w Boga? – spytała. – Zakładam, że tak, skoro twoja druga połówka ma zostać pastorem.

– Zmagam się z tą myślą – wyznałam.

– Ja się modlę. – Zaciągnęła się głęboko, zanim przekazała mi skręta. – A ty się modlisz? – Potwierdziłam skinieniem, dodając, że modlę się jak leci do wszystkiego i wszystkich, prosząc o pomoc w rozpaczliwej potrzebie.

– Ja się modlę w momentach spokoju – powiedziała Jeanie.

– Czy... – Zawahałam się na moment. – Modlisz się, bo się boisz, że umrzesz?

Zaprzeciżyła ruchem głowy i zdjęła z wargi drobinę tytoniu.

– Nie boję się, że umrę, ja wiem, że umrę. Martwię się o Faye i tym, że mnie przy niej zabraknie, że nie wiem, co ją spotka beze mnie. Bardziej niż o cokolwiek innego modlę się całym sercem o to, bym mogła ją znowu zobaczyć, kiedy to życie się dla mnie skończy. I wierzę, że zobaczę.

Zakręciło mi się w głowie, nie byłam przyzwyczajona do palenia marihuany, a nie licząc poprzedniego wieczoru, robiłam to po raz pierwszy od wielu lat. Jednak w istocie zawrót głowy wywołała modlitwa, którą moja matka wznosiła do Boga. Czyżby na nią odpowiedział? Czy ja byłam Jego odpowiedzią na jej płynącą z serca prośbę? Jakim cudem? Matka nie odwiedzała mnie po swojej śmierci, to ja ją odwiedziłam po tym, jak umarła. Czy to było to samo? Może nie było istotne, czy jeszcze żyła w swoim czasie, najważniejsze było dla niej to, by wiedzieć, że nie spotkało mnie nic złego bez niej. Chyba na tę prośbę Bóg odpowiedział? Moje myśli przypominały torbę żuków, które kotłowały się, włączając jeden na drugiego, żeby wydostać się na zewnątrz.

– Mówisz o niebie? – spytałam.

– Och, sama nie wiem. Ale coś mi nie daje spokoju. Jeśli zobaczę córkę po tym, jak umrę, czy ona mnie rozpozna?

– Jak mogłaby nie rozpoznać? – zdziwiłam się, myśląc o Elizabeth Keel w jej małym sklepiku i o tym, że wyglądała w wieku pięćdziesięciu pięciu lat mniej więcej tak samo jak w wieku dwudziestu pięciu. – Ludzie nie zmieniają się aż tak bardzo, żeby nie dało się ich rozpoznać, chyba że... no wiesz, w szczególnych okolicznościach.

– Może mnie nie rozpozna, bo jest jeszcze dzieckiem, a jeśli nie będzie mnie widzieć przez lata... to kiedy mnie zobaczy, jeśli się spotkamy, będę duchem? Przestraszę ją? Pomyśli, że zwariowała? – Wpatrywała się we mnie, jakbym była ekspertką od takich spraw.

Zawahałam się. Matka sprawiała wrażenie smutnej, opuszczonej, chciałam, żeby poczuła się lepiej.

– Nie wydaje mi się, żebyś miała przypominać ducha – powiedziałam. – Ale gdyby nawet, nie sądzę, żebyś ją przestraszyła. Myślę, że byłabyś raczej jak anioł stróż. Postać, która objawia się w jej życiu. W głębi duszy wiedziałyby, że to ty.

– Czyli z wiarą w anioły się nie zmagasz? – podsunęła.

– Nie aż tak, jak zmagam się z Bogiem.

Uciekłam wzrokiem. Matka wychyliła się do przodu i podchodząc do mnie na kolanach, ujęła moją twarz w obie dłonie. Wodziła oczyma po moich rysach tak, jakby wpatrywała diamentu mikroskopijnej wielkości. Odwzajemniłam spojrzenie, pragnąc, by mnie rozpoznała.

– Jesteś do niej taka podobna... – powiedziała.

Na ułamek sekundy po tych słowach wyobraziłam sobie nas obie roześmiane, klepiące się teatralnie po udach z rozbawienia faktem, że jestem jej córką i przybyłam z wizytą z przyszłości, żeby jej powiedzieć, że jej córka nie tylko przeżyje, ale nawet będzie szczęśliwa. Niemal widziałam, jak patrzymy na siebie nawzajem z podziwem i zachwytem, mówiąc rzeczy w rodzaju: „Kiedy się zorientowałaś, że to ja?”.

Jednak choć bardzo tego pragnęłam, a wy może chcieliście usłyszeć, nie to się stało. Matka opadła na swój koniec sofy; wyglądała jak śliczny, choć trochę nieporządny elf: rozwichrzone włosy okalały jej twarz.

– Nie wiem, co jest ze mną nie tak – odezwała się uroczo nadąsanym głosem. – Za dużo tego – stwierdziła, podpalając resztkę skręta i zaciągając się głęboko.

– Co miałaś na myśli? Do kogo jestem podobna? – Musiałam spytać.

Jeanie westchnęła.

– Nie jestem pewna, bo zdjęcie jest niewyraźne. – Wydmuchnęła kółko z dymu i obie patrzyłyśmy, jak ulatuje do sufitu i rozmywa się w górze. – Ale wyglądasz jak moja matka.

Moje oczekiwania potknęły się o jej nieoczekiwane słowa. Zakładałam, że Jeanie widzi we mnie małą Faye, ale wydawało się bardziej sensowne, że przyrówna mnie raczej do jakiejś starszej wersji niż do młodszej. Nie wiedziałam tego ani nawet nigdy o tym nie myślałam, ale musiałam wyglądać jak moja babka. I to wiele wyjaśniało. Może dlatego Jeanie od razu potraktowała mnie tak serdecznie, wydawała się idealistycznie spragniona stworzenia więzi, może nawet dlatego postrzegala mnie jako dobry wybór na ewentualną opiekunkę Faye, na wypadek gdyby jej zabrakło.

Jeanie oplotła nogi ramionami.

– Byłam bardzo młoda, kiedy straciłam rodziców. Mam o nich bardzo mgliste wspomnienia. W ogóle nie pamiętam, jak wyglądał tata, mam jedynie pewne wyobrażenie ze zdjęcia, choć pamiętam, że trzymał mnie na rękach. Co do matki, to przypominam ją sobie tylko z fotografii, ale myślę o niej, kiedy na ciebie patrzę. Wyglądasz dokładnie tak, jak ją zapamiętałam, choć musiała być młodsza od ciebie, kiedy umarła. – Jeanie wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, jakby próbowała zobaczyć coś, czego tam nie było. – Wydaje mi się, że istnieje fizyczne podobieństwo. – Jeanie, patrząc na mnie, dotknęła swoich włosów i nosa. – Masz w sobie również coś znajomego, czego nie potrafię wyjaśnić. A kiedy jestem z tobą, czasami udaję, że jestem z nią.

Zdusiła niedopałek skręta, jakby to on był winien jej przygnębienia.

– Przepraszam, naprawdę słabo ją pamiętam. To niemądre. Pewnie masz mnie za wariatkę.

– Wcale nie – zapewniłam. Przytrzymałam jej rękę. – Mogę zobaczyć to zdjęcie?

– Nie wiem, gdzie jest, włożyłam je do jednej z książek, ale nie wiem do której. Już kilka razy go szukałam, ale... Znajdę je dla ciebie. – Uśmiechnęła się, uderzając dłońmi o nogi. – Nie wiem, jak weszłaś w nasze życie i dlaczego, ale cieszę się, że to nastąpiło. Lubię, jak tu jesteś – wyznała. Patrzyła na mnie, a ja na nią. Byłam zjarana i szczęśliwa i podobało mi się, że wyglądam jak matka mojej matki.

– Naprawdę nie wiesz nic więcej o swoich rodzicach?

Długo kręciła głową, jakby nigdy nie zamierzała przestać.

– Nie. Nic. Jesteśmy tylko ja i Faye. Pewnie dlatego tak się o nią martwię. Martwię się o to, co się z nią stanie, gdybym umarła. Nie mamy nikogo.

– Dlaczego jesteś taka pewna, że umrzesz młodo, poza przepowiednią wróżki?

– Ja to czuję. – Przyłożyła dłoń do klatki piersiowej w miejscu, gdzie biło serce. – I wierzę w to, co mi powiedziała tamta kobieta na jarmarku. Mówiła prawdę.

– Przecież wiesz, że one wszystkie oszukują – powiedziałam. Sama czułam się jak oszustka po scenie z Elizabeth.

– Wiesz, widziałam to w jej twarzy, że coś jest nie tak, próbowała robić dobrą minę do złej gry,

ale wyczytała to w kartach. Zmusiłam ją, żeby powiedziała, co w nich widzi, to nie było tak, że radośnie oznajmiła mi, że umrę.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem i dolałam wina do kieliszków.

– Chyba przez to jestem trochę zdesperowana – przyznała, pociągając łyk. – Rozpaczliwie szukam nadziei.

– Poczujesz się lepiej, jeśli ja też trochę ci powróżę? – spytałam.

Znieruchomiała z kieliszkiem podniesionym do ust.

– Nie możesz, przecież nie wierzysz w takie rzeczy! – Uśmiechnęła się do mnie. – I nie masz odpowiednich kwalifikacji.

– Nie trzeba mieć żadnych cholernych kwalifikacji. Nie studiuje się tego na uniwersytecie.

– Ale trzeba wiedzieć, jak się to robi, trzeba się na tym znać. – Zaśmiała się, rozbawiona pomysłem.

– Jestem doskonale wykwalifikowana – oznajmiłam zdecydowanie. – I wiem tyle, ile trzeba.

Wiem, że się z ciebie śmiałam, bo to wszystko bzdury, oględnie mówiąc. Ale i tak mogę poczytać ci z ręki.

– No to bardzo proszę. – Umościła się na swoim końcu sofy jak dziecko w oczekiwaniu na ulubioną bajkę. – Tylko proszę cię – wyciągnęła rękę – mów samą prawdę. Tę dobrą i tę złą.

– Gwarantuję – odparłam z powagą. – Gotowa? – spytałam, na co pokiwała głową twierdząco.

– No dobrze, Jeanie, chyba masz rację. – Przyjrzałam się jej dłoni z bardzo bliska, śledząc bieg przecinających ją linii. – Myślę, że jesteś cudowną osobą, która nie zabawi na tym świecie tyle, ile powinna. Ale twoje światło nigdy nie zgaśnie, ponieważ będzie żyć w twojej córce. Jeśli umrzesz... – Przełknęłam ślinę, bo nagle coś ścisnęło mnie w gardle. Było mi trudno, nie chciałam płakać, ale te słowa podziały jak zawór w kranie; głos mi drżał. – Jeśli umrzesz, twoja córka nigdy cię nie zapomni, będzie za tobą tęsknić, zawsze, ponieważ nikt nie będzie jej kochał tak bardzo jak ty. Ty też będziesz tęsknić, bo nie zobaczysz, jak dorasta. Ale wiedz jedno, bo to ważne i chciałaś to wiedzieć: twoja córka dorosnie i będzie szczęśliwa, będzie miała oddanych przyjaciół, wyjdzie za dobrego człowieka i urodzi dzieci, zdrowe, radosne i dobre w kręceniu hula-hoop, po tobie. – Głos mi się załamał, więc zamilkłam na chwilę, bo nie byłam pewna, czy zdołam zapanować nad emocjami. – Twoja córka przekaże twój talent swoim dzieciom. Przekaze im wiele dobrych rzeczy pochodzących bezpośrednio od ciebie.

Głęboko wciągałam powietrze, a czułam się, jakbym wstrzymywała oddech.

– Będzie wierzyć w niebo? – spytała matka bardzo cicho.

– Prawdopodobnie tak – powiedziałam po krótkim wahaniu.

– A jeśli nie wierzy w niebo, to dla niej po prostu mnie nie będzie, tak?

– Nie, to nie tak, będziesz żyć w niej i przez nią, a twoje geny przejdą na jej potomstwo.

– Ale gdyby wierzyła w niebo, toby wiedziała, że nad nią czuwam, że nigdy tak naprawdę jej nie opuszczę. I mogłaby wierzyć, że pewnego dnia, w dalekiej, dalekiej przyszłości znów mnie zobaczy.

– Jeśli wierzysz w niebo, Jeanie, to wiesz, że znów ją zobaczysz, więc dlaczego uważasz, że ona też musi w nie wierzyć?

– Ponieważ ta wiara dodawałaby jej otuchy – wyjaśniła.

– Posłuchaj mnie, Jeanie, zobaczysz znowu swoją córkę. Ty to wiesz i ja wiem. A tymczasem na ziemi można znaleźć namiastki nieba.

Po twarzy matki płynęły łzy, po mojej także.

– Będziesz przy niej? – spytała ledwie słyszalnym szeptem.

– Zawsze będę w pobliżu, obiecuję. Nic złego jej się nie stanie, gwarantuję.

Nachyliła się i cmoknęła mnie w policzek.

– Jesteś dobra we wróżeniu, powinnaś rozważyć porzucenie dziennikarstwa. – Wstała i powoli zebrała wszystko, co łączyło się z paleniem, żeby mała Faye niczego rano nie zobaczyła. – Idę do łóżka, a ty?

– Też. – Podniosłam się z sofy. – Chodź tu. – Wyciągnęłam ramiona, a matka odłożyła na stół trzymane rzeczy. Przywarłyśmy do siebie, stykając się mokrymi policzkami. Zapewne wyobrażała sobie, że jestem jej matką, a mnie w tym momencie wystarczało takie rozwiązanie. Zakołysała mną lekko

i stałyśmy tak przytulone; nie miałam ochoty nigdy się od niej odrywać. Jednak każdy uścisk kiedyś się kończy i ponownie stajemy się osobni. Weszłyśmy po schodach na górę i Jeanie poszła do swojego łóżka, w którym spałam mała ja, a ja wróciłam do swojego dawnego pokoju.

Kiedy się rozbierałam w sypialni małej Faye, zobaczyłam na półce z książkami fotografię, tę, na której jestem w pudle po kosmicznym skoczku. Wzięłam ją, po cichu zeszałam na dół i wsunęłam między kartki małej książki kucharskiej, która wciąż leżała na kuchennym blacie, bo wiedziałam, że nikt inny tego nie zrobi.

I myślę, że w pewien sposób od tego się zaczęło.

Mówiąc „do widzenia”, chciałam dodać „wkrótce”. Zamierzałam wrócić, ale nie potrafiłam określić terminu, ponieważ dla mnie to mogły być dwa tygodnie, a dla nich wiele miesięcy. Wiedziałam, że Jeanie spodziewa się mnie ujrzeć za parę dni, i oczywiście sama też tego chciałam, ale nie mogłam obiecać, co więcej, miałam świadomość, że następnym razem, kiedy wrócę, moja matka może już nie żyć.

Dlatego kiedy się obejmowałyśmy i całowałyśmy na pożegnanie, miałam poczucie, jakbym po raz kolejny traciła matkę. A nasze pożegnanie mogło być ostatnim.

Mała Faye uścisnęła mnie mocno, jeszcze raz podziękowała za wrotki i kazała mi przyrzec, że niedługo wrócę. W odpowiedzi tylko pokiwałam głową.

– Gwarantujesz? – spytała, odsłaniając w uśmiechu ząbki niczym wilcze szczenię.

– Gwarantuję – powiedziałam, bo w tym momencie miałam poczucie, że złamana obietnica jest lepsza niż brak obietnicy.

Poszły do szkoły, a ja udałam się do szopy. Bałam się wchodzenia do pudła. Miałam dość odnoszenia obrażeń. Rozglądałam się po niewielkim pomieszczeniu i rozważałam pozostanie; serce miałam rozdarte. Nie chciałam ich opuszczać, ale musiałam się znaleźć w domu. Wiedziałam, że nie będę w tym samym kraju, co moje dzieci, ale przynajmniej w tym samym czasie, a moja tęsknota za nimi przeważała nad pragnieniem pozostania w przeszłości.

W szopie upewniłam się, że pudło stoi w miejscu wolnym od niepotrzebnych przedmiotów i dość daleko od drzwi. Następnym razem życzyłam sobie mieć więcej miejsca na poślizg; sprawdziłam też, czy drzwi są dobrze zamknięte, bo zawiasy wydawały się trochę obłuzowane po przyjęciu uderzenia. Miałam nadzieję, że nigdy ich sobą nie roztrzaskam, bo nie chciałam wylecieć z szopy jak z procy pośród kawałków rozłupanego drewna.

Poprzedniego dnia pożyczyłam ubrania od matki, ale teraz miałam na sobie rzeczy, w których przybyłam. Wciągnęłam na siebie kombinezon narciarski i związałam ciasno troczki kaptura. Zapięłam rzepy przy rękawicach i wchodząc do pudła, próbowałam sobie wyobrazić, że jestem już u celu, po odbytej podróży. Miałam lądować na materacu, więc nie powinno mi się nic stać. Wzięłam głęboki oddech i doznałam bardzo krótkiego, lecz wyraźnego olśnienia, że wszystkie podróże są procesem – często bolesnym, z trudnymi decyzjami – mającym początek, środek i koniec. Nawet jeśli ten początek nie jest początkiem w każdym znaczeniu tego słowa. A koniec nie jest końcem takim, jaki znamy.

Tak jak się spodziewałam, podróż przypominała jazdę na karuzeli, z której bardzo chciałam wysiąść. Musiałam się wewnętrznie uzbroić przed strachem, mdłościami, niemożnością oddychania, przerażeniem, że mogę nigdy nie wrócić do domu. Zagubiona w przestrzeni, zdezorientowana, pędząca w nicość z prędkością co najmniej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, bez pewności, że da się wysiąść w tym samym miejscu, w którym się wsiadło, bez gwarancji, że jazda w ogóle się skończy.

Ale się skończyła. Czułam się, jakbym próbowała wyważyć drzwi ramieniem, tymczasem to nie były drzwi, tylko ściana mojej sypialni i odcisnęłam na niej swoje piętno – dosłownie – w postaci pęknięcia w tynku. Byłam krańcowo wyczerpana; przemieściłam członki na materacu, żeby mniej przypominać porzuconą szmacianą lalkę, położyłam się na plecach i zamknęłam oczy. Chciałam spać – podróże w czasie wysysały ze mnie siły – ale choć powieki same mi opadały, umysł nie chciał się

wyłączyć; musiałam coś zrobić, tylko nie mogłam sobie przypomnieć co.

Powoli otworzyłam oczy; jedno pozostawało zamknięte trochę dłużej, jak u zepsutej lalki. O czym zapomniałam? Panowała ciemność, zatem pora była znacznie późniejsza niż przy starcie. Musiałam wiedzieć, jak późna i czy jest ten sam dzień. Należało sprawdzić czas i datę, żeby znać zależność czasową pomiędzy przeszłością i teraźniejszością. Przetoczyłam się na brzuch, gruba i niezdarna w tym nieszczęsnym kombinezonie. Czułam się jak pijak, który padł na chodnik i postanowił tam zasnąć, ale poproszono go, żeby się usunął. Uniosłam się na kolana, a następnie wstałam i poczłapałam na drugą stronę łóżka, gdzie stał budzik, odwrócony tak, że z daleka nie widziałam tarczy. Wskazywał wpół do dwunastej; zmusiłam się do zejścia na dół i włączenia telewizora, żeby sprawdzić datę.

Czekała mnie niespodzianka: nie wiem, czego się spodziewałam, ale nie tego. Nie wiedziałam, co myśleć: minęły trzy godziny. Nie mniej, nie więcej, nie cały dzień, tylko dokładnie tyle samo, co przy pierwszej wizycie u matki, choć tym razem zostałam u niej o wiele dłużej. Do powrotu Eddiego i dziewczynek zostało mi więc sporo czasu. Wyłączyłam telewizor i siedziałam w ciemności, nie miałam siły wspiąć się na schody.

Słyszałam w oddali sąsiadów, którzy wydawali kolację z drinkami w ogrodzie i wciąż jeszcze przebywali tam z gośćmi, stłumiony śmiech i brzęk kieliszków – uwielbiałam letnie wieczory – i żałowałam, że nie jestem jednym z nich, z prostszym życiem i prostszymi dylematami. Zmusiłam się do wejścia na górę i po drodze rozpięłam kombinezon; wyswobodziłam się z niego, stojąc obok materaca, na który następnie opadłam twarzą w dół. Nic nie przyszło mi do głowy. Zapadłam w kamienny sen.

Obudziłam się, bo smuga światła wpadająca przez szczelinę w zasłonach raziała mnie w oczy. Dochodziło południe, czyli gdy spałam, minęło trzy razy więcej czasu, niż spędziłam w latach siedemdziesiątych z matką.

To odkrycie rozwinęło się w myśl tak piękną jak pajęczyna na pokrytej rosą trawie. Skoro tu w teraźniejszości mijały trzy godziny, niezależnie od tego, ile czasu spędzałam w przeszłości, to co mnie powstrzymywało przed pozostaniem tam na dłużej?

Chodziło mi o znacznie dłuższy pobyt. Czy mogłabym tak jak Łucja i pozostali w Narnii mieć drugie, równoległe życie? Nawet w moim stanie oszołomienia pomysł nie wydawał się dobry. Ale jeśli to było możliwe, musiałabym sporządzić listę „za” i „przeciw”, bo potencjał tkwiący w takim rozwiązaniu dodał mi wigoru. Jednak przed rozpatrzeniem zaistniałych możliwości należało zająć się podstawowymi sprawami: zadzwonić do Eddiego, wziąć prysznic, ubrać się i najeść. Potem zamierzałam pościelić łóżko i... zastanowić się nad wszystkim, co musiałam zrobić, i wszystkim, co mogłam zrobić. Jednak zanim sięgnęłam po długopis i papier, wiedziałam, że pierwszym punktem na mojej liście będzie odzyskanie pierścionka zaręczynowego, i to jak najszybciej.

Tylko że nie zamierzałam iść po niego sama, chciałam, żeby Louis wybrał się ze mną do Elizabeth.



W domu Louisa panował nieskazitelny porządek. Nigdy wcześniej u niego nie byłam i właściwie nie wiem, czego się spodziewałam; chyba myślałam, że będzie nieład, bo niewidomi nie dostrzegają kurzu, więc też nie widzą potrzeby sprzątanania. Wprowadził mnie do uspokajająco jasnego salonu, z jasnoszarymi sofami i kremowym dywanem; wielki wazon z białymi różami stał na białej szklanej ławie, którą Louis okrążył dobrze wyćwiczonym tanecznym krokiem – w bok, w bok, do przodu – zanim usiadł.

– Twoje mieszkanie nie wygląda tak, jak się spodziewałam, Louis – powiedziałam, strżając z ramion rozpinany sweter i cofając się, żeby go powiesić na wieszaku w holu.

– A czego się spodziewałaś? – spytał.

– Nie wiem – wyznałam, po czym opadłam na rozłożysty fotel z piękną szaro-musztardową tapicerką w geometryczne wzory. – Myślałam „facet mieszka sam”, więc będzie jak u kawalera: wygnieciona sofa i puszki po piwie rzucone w kąt, coś w tym rodzaju.

– Nie mogę mieć bałaganu, bobym cały czas się o niego potykał. Moja siostra jest architektem wnętrz, więc zamówiła meble i całą resztę, a całość zaprojektowaliśmy wspólnie. Twierdzi, że wnętrze wygląda schludnie i miło.

– Jest bardzo schludne i harmonijne. Bardzo mi się podoba.

– Spójrz na kwiaty – zachęcił, wskazując trochę na lewo od wazonu.

– Piękne, skąd się wzięły?

– Kiedy wiem, że będę miał gościa, dzwonię do sąsiadki, która ścina dla mnie kwiaty ze swojego ogrodu, wstawia do wazonu i przynosi, żeby było przytulniej. Ona też u mnie sprząta.

– No cóż, mogę potwierdzić, że doskonale wykonuje swoją pracę – powiedziałam.

Przeszliśmy do kuchni, również białej i lśniącej czystością, gdzie Louis nastawił wodę.

– Masz czerwony czajnik – zauważyłam.

– Wierzę na słowo.

– Stanowi tu ładną plamę koloru – pochwaliłam.

Nalewając herbatę, przełożył palec przez krawędź filiżanki, żeby wiedzieć, kiedy będzie w niej dość wody.

– Myłem ręce – uprzedził, jakbym się bała, że może skazić moją porcję. – Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza, ale to najbardziej praktyczny sposób.

Oczywiście, że mi nie przeszkadzało. Zasiadliśmy przy kuchennym stole, który – w przeciwieństwie do pozostałych sprzętów, jakie dotąd widziałam w tym domu – był stary i drewniany, wyblakły od wieloletniego szorowania. Przesunęłam ręką po niesamowicie gładkim blacie.

– Należał do mojej matki – wyjaśnił Louis w odpowiedzi na delikatny szmer mojej dłoni o drewno i wykonał taki sam gest obiema rękami. – Myślę o niej zawsze, kiedy tu siadam. To rozumiałe, bo cały czas spędzała w kuchni.

– Wróciłam tam – oznajmiłam bez wstępów. Louis znieruchomiał, jakby odkrył w powietrzu jakiś słabo wyczuwalny zapach.

– Masz na myśli powrót w czasie? – upewnił się, a potem wydał z siebie prychnięcie, które mnie zaskoczyło.

– Tak, odwiedziłam ponownie matkę i młodszą wersję mnie.

– Kiedy?

– Przedwczoraj. Zostałam tam dwa dni. Ale słuchaj... – Nachyliłam się ku niemu jak spiskowiec.

– Kiedy wróciłam do teraźniejszości, minęło tyle samo czasu co wtedy, gdy zniknęłam na niecały dzień. Tylko trzy godziny.

Louis odsunął krzesło i wyjął czekoladowe herbatniki; trochę niezdarnie odszukał miejsce otwarcia, poczęstował się jednym ciastkiem i przesunął paczkę w moją stronę.

– Okej – odezwał się jakby z wahaniem. – Dlaczego rozmawiamy tu, a nie w pracy?

Pytanie mnie skonfundowało, ale tylko na moment.

– Wzięłam parę dni wolnego, bo nie wiedziałam, ile czasu tym razem mnie nie będzie, okazało się jednak, że bardzo niewiele. Nie mogłam się doczekać spotkania z tobą, żeby ci opowiedzieć, co się stało, dlatego przyszedłam. – Louis zmarszczył brwi i przechylił głowę na bok. – Zresztą, cieszę się z tego, bo bardzo mi się tu podoba i teraz będę mogła sobie wyobrażać cię w domu.

– Okej – powtórzył i z westchnieniem odchylił się na oparcie krzesła. – No to opowiadaj. Co się stało?

Przystąpiłam do opowiadania całej historii: o upaleniu się ziołem razem z matką i o tym, jak rozważałam kradzież wrotek, ale w końcu wymieniłam je na pierścionek zaręczynowy, o puddingu toffi, przecuciu matki, że umrze młodo, i jej prośbie, żebym się zaopiekowała Faye, gdyby rzeczywiście umarła, oraz krótkiej informacji na temat mojego ojca.

Louis słuchał i jadł herbatniki z miną znudzonego sędziego, a kiedy umilkłam, otarł z ust okruchy.

– Co o tym wszystkim myślisz? – spytałam.

Wziął głęboki oddech.

– No cóż, podałaś mi mnóstwo informacji, Faye, nie wiem, od czego zacząć. Jestem pod wrażeniem detali.

– Co to niby ma znaczyć?

Uniósł brwi, a ja po momencie niepewności poczułam, jak zapadam się w środku.

– Nie wierzysz mi, prawda? – Mój głos zabrzmiał nienaturalnie cienko. Położyłam niedojedzone ciastko na stół, a dłonie na kolana, jak skarcone dziecko. Chciało mi się płakać.

– Faye... – zaczął. – Co tu się dzieje? Chyba nie oczekujesz, że naprawdę w to wszystko uwierzę?

– Popatrzyłam na niego przez łzy, ale on nie mógł ich widzieć, dla niego równie dobrze mogłam zachowywać kamienną twarz.

– Myślisz, że cię okłamuję? Dlaczego? Po co miałabym to robić? Uważasz, że zwariowałam? – Łzy było już słychać w moim głosie.

– Nie, ja... – zająknął się. Sprawiał wrażenie naprawdę oszołomionego. Wyciągnął rękę, szukając mojej dłoni, więc podsunęłam ją i pozwoliłam mu trzymać.

– Jesteś moją przyjaciółką – powiedział. – Zakładałem jednak, że ta historia stanowi część jednego z tych twoich eksperymentów.

– Co takiego? – wydukałam zupełnie zbita z tropu.

– No, nie wiem, to było zabawne i ciekawe, kiedy pierwszy raz mi o tym powiedziałaś, i od tamtej pory często o tym myślałem... bo musiałem znaleźć jakiś powód, dla którego postanowiłaś mi mówić takie rzeczy.

– Jak mogłeś pomyśleć, że to eksperyment? – Mój głos nabrał ostrego tonu. – O czym ty w ogóle mówisz?

– Zawsze przeprowadzasz jakieś eksperymenty, porównując niewidomych ludzi z widzącymi. Próbowałam rozgryźć, o co w tym wszystkim chodzi, i najsensowniejszy wydał mi się pomysł, że przygotowałaś scenariusz do badania różnic w logicznym myśleniu i rozwiązywaniu problemów pomiędzy widzącymi i niewidzącymi. Robiłaś wcześniej trochę podobne rzeczy, może nie aż takie dziwne, ale jednak. Sądziłem, że idzie mi całkiem dobrze, miałem kilka dobrych pomysłów... no wiesz, dotyczących podróży w czasie i tego rodzaju rzeczy.

– Owszem – przyznałam cicho. – Miałeś kilka bardzo użytecznych pomysłów.

– A teraz się zastanawiam, dlaczego przyszedłaś tu rozmawiać o tym w prywatnym czasie, a nie w pracy, gdzie nam płacą za tego rodzaju rozmowy.

– Myślałam, że mi wierzysz, Louis. W pewnym sensie na to liczyłam. – Puściłam jego rękę i zacisnęłam pięści pod stołem.

– Chcesz mi powiedzieć, że to wszystko naprawdę ci się przydarzyło?

– Cóż, albo mi się przydarzyło, albo zwariowałam. – Nastąpiła długa cisza.

– Może jedno i drugie – odezwał się w końcu Louis. – Może się zdarzyło i zwariowałam.

– Fakt – przyznałam, pociągając nosem.

Zachichotałam, ale mój śmiech zabrzmiał nieco płaczkowo. Louis też się zaśmiał. Jego łagodny śmiech wyrażał w jednej trzeciej przeprosiny, w jednej trzeciej niedowierzanie, a ostatniej trzeciej nie potrafiłam nazwać. Ale w istocie to wcale nie było śmieszne. W każdym razie nie dla mnie. To była sprawa życia lub śmierci. Czy raczej życia i śmierci. I czułam się tak, jakbym właśnie straciła jedyną osobę we wszechświecie, z którą mogłam szczerze pogadać.

Rozpacz spadła na mnie jak nagłe uderzenie w brzuch, a wraz z nią samotność, jakbym utknęła w głębokiej ciemnej studni, skąd nikt nie słyszy mojego wołania, Lassie nie zajrzy z góry i nie da znać, że pomoc jest już w drodze. Wzbierało we mnie wycie. Pierwotne. Dzikie. Rozpaczliwe. Nie wydobyłam z siebie żadnych słów, ale dźwięk, który się ze mnie wydostał i wypełnił całe pomieszczenie, mówił, jak to jest, kiedy ci nie wierzą, nie możesz udowodnić swojej niewinności, swojej historii, swojej prawdy. Jeden jedyny raz w życiu czułam się jak ktoś w rodzaju boga, który chce, by w niego wierzone.

– Mówię prawdę – zaszlochałam, na co Louis wyprostował się sztywno na krześle, wyraźnie przerażony. – To wszystko rzeczywiście się dzieje – dodałam, ale tym razem mój głos zabrzmiał słabo, złamany.

Patrzyliśmy na siebie w ciszy, która zapadła po moim wybuchu. Z oddali dobiegał odgłos kosiarki, a ja zastanawiałam się, jak by to było czuć się znowu normalnie.

– Posłuchaj – zaczął Louis z namaszczeniem. I nic więcej nie powiedział, choć kilka razy otworzył i zamknął usta.

– Co? – wychrypiałam; krzyk podrażnił mi gardło.

– Nie sądzę, żebyś mnie okłamywała. Więc albo mówisz prawdę, albo naprawdę...

– Zwariowałam? – dokończyłam za niego. – Wiem.

– Tak, jedno z dwojga, zdecydowanie nie jedno i drugie. Jednak rzeczywiście, mimo dziwności tego wszystkiego, Faye, droga przyjaciółko, nie wierzę, byś była szalona. Choć to trudne, wiesz? Trudno w to wierzyć bez żadnych dowodów. Jestem naukowcem. Wiara nie jest moją najmocniejszą stroną. Ale zamierzam się postarać, dobrze? Postaram się w pełni ci uwierzyć.

Temperatura wewnątrz moich oczodołów gwałtownie wzrosła i łzy spłynęły mi po twarzy. Louis tego nie widział, więc mu powiedziałam.

– Płaczę.

– Dobrze się czujesz? – spytał zaniepokojony.

– Chyba tak. – Byłam emocjonalnie wyczerpana i dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak wielka groziła mi samotność, gdybym nie miała Louisa. – Potrzebuję cię, Louis.

– Napijmy się jeszcze herbaty – zaproponował. – A może piwa? Możesz też zostać na obiad, skoro Eddie i dziewczynki nie ma.

– Umiesz gotować? – spytałam, pociągając nosem.

– Właściwie nie, ale po mistrzowsku obsługuję mikrofalówkę – pochwalił się, wykonując komiczny gest mniej więcej w stronę kuchenki. Zauważyłam, że to jedyny sprzęt tutaj noszący ślady użytkowania.

– Piwo i obiad brzmią świetnie. Dzięki.

Rozsiedliśmy się wygodnie w salonie, butelki piwa zostały otwarte z przyjemnym syknięciem, a rozmowa potoczyła się tak, jakbyśmy ją zaczynali od nowa. Louis zadawał mi pytania i zachowywaliśmy wolniejsze tempo. Uważał, że opowiedziałam mu o tym, co zaszło, tak jakbym streszczała zwiastun filmu, uwzględniając tylko najważniejsze sceny. Powiedział, że chce się dowiedzieć wszystkiego.

I tak jakoś poszło, że najwięcej mówiliśmy o filozofii. Dokładniej: czy wracając w czasie i zmieniając pewne rzeczy, zmieniam również teraźniejszość? W istocie Louis bardzo ostrożnie spytał mnie, czy od czasu pierwszego powrotu rozmawiałam z Eddie i dziewczynkami, i odetchnął z nieopisaną ulgą, kiedy potwierdziłam.

– O Boże, nawet o tym nie pomyślałam. Martwiłeś się, że Eddie i dziewczynki mogą już w ogóle nie istnieć?

– Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Słuchaj, do pierwszej podróży w czasie doszło przez

przypadek, więc gdyby po powrocie coś się zmieniło, nie mogłabyś siebie za to winić. Ale za drugim razem kierowałaś się własną wolą, zrobiłaś wiele różnych rzeczy, rozmawiałaś z ludźmi o przyszłości, dałaś młodszej sobie prezent. Pozbyłaś się swojego pierścionka zaręczynowego, Faye.

Spojrzałam na pusty palec.

– Nie mogę się z tym pogodzić – ciągnął. – Skoro oddałaś ten pierścionek w latach siedemdziesiątych, to jak Eddie ma go kupić i dać ci przy oświadczeniach? Jeśli ta Elizabeth ma go przez cały czas, to jak miałby się znaleźć w rękach Eddiego?

– O tym nie pomyślałam. – Dopiliśmy resztkę piwa.

– Jeszcze jedno? – zapytał Louis, gdy rozpoznał odgłos opróżnianej do dna butelki.

– Poproszę. – Kiedy już był w kuchni, zawołałam: – Sądziś, że mogłam zmienić w terażniejszości coś, o czym jeszcze nie wiem?

– Nie wiem – odpowiedział, wracając do salonu z dwoma mocno oszronionymi piwami. – Kto wie, które teorie są prawdziwe? Jeśli w ogóle jakaś. W tej o efekcie motyla, gdzie drobne zmiany powodują wielkie konsekwencje, machanie motyli skrzydeł może zmienić kurs tornada. Chodzi mi o tego rodzaju rzeczy.

– Jakiś rok temu czytałam Esther książkę, w której dziecko cofa się w czasie do epoki dinozaurów i przypadkiem rozdeptuje robaka, a potem wraca do swoich czasów i wszystko jest inne, świat nie wygląda zbyt przyjemnie. Dziecko musi jeszcze raz się cofnąć i uważać na tego robaka, żeby wszystko w terażniejszości mogło wrócić do normalnego stanu.

– Trochę ponura wizja jak na książeczkę dla dzieci – stwierdził Louis.

– Wszystkie dobre są takie.

– To prawda – przyznał. – Cóż, tobie przydarzyło się znacznie więcej niż rozdeptanie robaka, mogłaś ich rozgnieść kilka, i to w sensie dosłownym, ale jak dotąd nie zauważyłaś żadnych zmian?

– Nie – potwierdziłam. – Właściwie mam poczucie, że niektóre moje działania były konieczne, żeby terażniejszość była taka, jaką znam. Na przykład wrotki. Nie sądzę, żebym się zapaliła do wrotek i nauczyła tak dobrze na nich jeździć jako nastolatka, gdybym ich nie dostała jako dziecko. A kto by mi dał te konkretne wrotki, jeśli nie ja sama?

– Słyszałem o jeszcze jednej teorii podróży w czasie, która może być przydatna – powiedział Louis, po czym wstał i wyszedł z pokoju. – Chodź – ponaglił, prowadząc mnie na górę, do swojego gabinetu. Ten pokój również miał surowy wystrój (z cudownymi regałami na papiery), ale był utrzymany w ciemniejszych barwach – ściany i dywan miały głębszy odcień szarości, a przy biurku stał czarny skórzany fotel, sprawiający wrażenie bardzo wygodnego. Louis od razu w nim zasiadł.

– Trzeba zapalić światło? Która godzina? – Wymacał zegarek na przegubie. – Dziewięta trzydzieści, jeszcze jasno?

– Wystarczająco – zapewniłam i przyciągnęłam sobie z kąta krzesło, żeby usiąść obok Louisa przy komputerze. Przesunął ekran w moją stronę; znajdowały się na nim zdjęcia różnych mężczyzn szukających miłości. Louis dotknął klawiatury i natychmiast otworzyło się inne okno.

– Mam czytnik ekranu, działa szybko, więc po prostu go ignoruj.

Louis, jak większość niewidomego personelu firmy, również w domowym sprzęcie miał zainstalowany program, który czytywał tekst z ekranu. Nie zamierzam sugerować, że niewidzący mają lepszy słuch od widzących, ale kiedy się przyzwyczajają do tych czytników, nastawiają je na taką prędkość, że nie sposób za nimi nadążyć. Dlatego kiedy Louis wszedł na właściwą stronę, aż podskoczyłam, słysząc zlewający się ze sobą elektroniczny bełkot.

– Zaczekaj, zjadę trochę niżej – mruknął Louis. – Szukam czegoś, co przeczytałem parę tygodni temu, cierpliwości.

Czekałam, podczas gdy Louis przesuwał kolejne strony, wstukując w wyszukiwarkę słowa klucze. Sprawdzał teorie podróży w czasie, a na ekran wskakiwał samochód DeLorean z *Powrotu do przyszłości* albo maszyna z *Wehikułu czasu*, z różowym aksamitnym siedziskiem i ustrojstwem w kształcie tarczy z tyłu. W końcu Louis zatrzymał się na stronie, która wyglądała trochę bardziej naukowo, a potem zaczął przewijać w dół – nie byłam w stanie wychwycić czegokolwiek z poszatowanego tekstu – i w końcu się zatrzymał.

– Jest – oznajmił i zwolnił działanie czytnika do normalnego tempa. Czułam się trochę jak na wykładzie Stephena Hawkinga, nie tylko z powodu głosu, ale i tematu. Z początku rozumiałam, o czym mowa, ale później nastąpił fragment o paradoksach i całkiem się pogubiłam w tym naukowym żargonie.

– Wydaje mi się, że ten ostatni akapit stanowi najbardziej rozsądne wytłumaczenie – zwrócił się do mnie Louis, gdy głos z komputera umilkł. – Zwłaszcza że nadal tu jesteś i nic zasadniczo ani nawet mniej zasadniczo nie zmieniło się w wyniku twojej podróży tam i z powrotem, mimo że sporo tam w przeszłości namieszałaś.

– Jaki z tego wniosek? – spytałam.

– Następujący: nie możesz zmienić tego, co się stało, bo się już stało i się nie odstanie. Nie mogłabyś wrócić w przeszłość i zabić swoich rodziców, zanim cię spłodzą, bo już istniejesz. Proste.

– Więc fakt, że dorastając, miałam te wrotki... – zaczęłam.

– Wydarzył się właśnie dlatego, że wróciłaś w przeszłość i je sobie podarowałaś. Ogólnie rzecz biorąc, jest to samospełniająca się teoria podróży w czasie, gdzie wszystko, co robisz, próbując zmieniać przeszłość, ostatecznie jedynie powoduje wystąpienie tych zdarzeń, co oznacza, że podróż w czasie nie może zmieniać przeszłości ani terażniejszości.

Obejrzelismy kilka filmików o tunelach czasoprzestrzennych i podróżowaniu szybszym od prędkości światła i wkrótce zaczęło mi się kręcić w głowie. Miałam dość i powiedziałam o tym Louisowi.

– Chodź, zamówię ci taksówkę – zaproponował, po czym wyłączył komputer i odsunął się razem z fotelem od biurka. Wysłałam z gabinetu i czekałam w korytarzu przy drzwiach, żeby puścić go przodem na schodach. Wzdrygnęłam się, kiedy walnął palcem nogi o krzesło, na którym wcześniej siedziałam; zapomniałam je odstawić do kąta.

– Kurwa! – zaklął.

– Wybacz, Louis – przeprosiłam.

– Dlatego właśnie w mieszkaniu jest taki pieprzony porządek – odparł, umieszczając nieszczęsne krzesło we właściwym miejscu.

Kiedy schodziliśmy na dół, coś sobie przypominałam.

– Jaki jest antonim do „rozważnej”, wiesz może? – spytałam.

– Lekkomysłna – odparł Louis bez zastanowienia.

– Skąd wiedziałeś? – Byłam pod wrażeniem.

– Gram w scrabble. – Kiedy pomyślałam, że przecież to niemożliwe, żeby grał w tę grę, cmoknął zniecierpliwiony i dodał: – Chyba wiesz, że istnieje wersja w Braille’u? Przecież pracujesz w instytucie dla niewidomych, kobieto.

– Masz planszę?

– Mam, a co, masz ochotę na partyjkę?

– Owszem, ale pewnie byś mnie zmiażdżył – wyraziłam obawę.

– Tak sądzisz? – Sarkazm w jego głosie graniczył z gburowatością.

– Co robisz jutro? – spytał zniecierpliwiony, kiedy już staliśmy w holu. – Bo wzięłaś wolne, prawda?

– Uhm – potwierdziłam. – Jeszcze nie wiem, co będę robić, może majsterkować albo rozmyślać o swoim podwójnym życiu. Może zacznę pisać o nim pamiętnik, żeby zapamiętać wszystkie szczegóły i to, co usłyszałam od matki. Tak, chyba to zrobię.

Louis dzwonił do korporacji taksówkowej, a ja wkładałam sweter i buty.

– Nic z tych rzeczy – oznajmił. – Nie jutro.

– No to mów, Einsteinie, co będę robić? Grać w scrabble?

– Razem zdobędziemy ten dowód, którego potrzebuję. Nie żebym ci nie wierzył, skarbie, bo wierzę. Zobaczymy się z Elizabeth Keel i odzyskamy twój pierścienek zaręczynowy.

– Zabawne, przysłałam tu, żeby cię o to poprosić.

Wracając do domu taksówką, nie zauważałam świata przesuwanego się za oknami. Umysł miałam zajęty odtwarzaniem czasu spędzonego z matką w ogródku za jej domem i dotyku jej dłoni na mojej twarzy. W uszach brzmiało mi szuranie wrotek o beton, ich rytmiczny stukot zlewający się z jednostajnym odgłosem kół samochodów jadących ulicą; musiałam zapaść w drzemkę i ocknęłam się, dopiero kiedy taksówka stanęła przed moim domem.

Chciałam porozmawiać z Eddiem i dziewczynkami, potrzebowałam, żeby kontakt z nimi ściągnął mnie na ziemię. Serce mnie bolało i nie wiedziałam, czy dlatego, że byłam z dala od nich dłużej niż one z dala ode mnie, czy dlatego, że nie mogły mi towarzyszyć w tej samotnej podróży w przeszłość, ale tęskniłam za nimi aż do bólu.

W telefonicznym sygnale, kiedy się dzwoni do innego kraju, jest coś takiego, że mam wrażenie kontaktu z inną planetą i kiedy Eddie odebrał, czułam się, jakby umarł i poszedł do nieba, a ja i tak mogłam z nim rozmawiać.

– Cześć – odpowiedziałam drżącym głosem na jego powitanie.

– Co się dzieje? – spytał od razu, bo zdradziła mnie ta pojedyncza sylaba.

– Nie cierpię, kiedy jesteście tak daleko ode mnie. Po prostu za wami tęsknię – wyznałam szeptem podszytym łzami.

– Rozmawialiśmy wczoraj i chyba wszystko było w porządku. – Słyszałam troskę w jego tonie.

– Nic mi nie jest, tylko szkoda, że cię tu nie ma – powiedziałam, z chlipnięciem wycierając mokry nos w rękaw.

– Piłaś? – Tym razem wyczułam, że uśmiecha się ze współczuciem.

– Tak, detektywie, wypiliśmy dwa piwa z Louistem. – Sama też zmusiłam się do uśmiechu. – Ale to nie dlatego. Po prostu chciałam usłyszeć twój głos, bo za tobą tęsknię.

– Nie martw się, jesteśmy jak cyrkiel u Johna Donne’a, kiedy jedno z nas musi się na chwilę oddalić, drugie mocno trwa w miejscu, tak naprawdę nigdy się nie rozstajemy.

– Cyrkiel? – spytałam (choć znam to urządzenie).

– Tak, pamiętasz ze szkoły metalowe widelki z ostrą końcówką na jednym ramieniu? Wbijasz ją w kartkę i drugim możesz narysować idealny okrąg.

– Przecież wiem, ale mówiłeś o cyrklu opisanym w wierszu?

– Owszem, przez Johna Donne’a. Rozmawiając z tobą, patrzę na grzbiet jednego z tomików jego poezji na półce. Mama go uwielbia.

– Przeczytaj mi – poprosiłam cicho.

– Nie spodoba ci się, jest napisany trochę archaicznym językiem.

– Przeczytaj mi – powtórzyłam, ignorując jego przytyk, uzasadniony, bo doskonale znał moje upodobania i to, czego nie lubię.

– Dobrze. – Usłyszałam odgłos ściągnięcia książki z półki, a potem szelest przewracanych kartek.

– Nie będę czytał całości, ale proszę:

*Są dwie, lecz dwie tak jak ramiona*

*Cyrkla podwójne; twoja dusza,*

*Jak igła unieruchomiona,*

*Jednak wraz z moją się porusza.*

*I – chociaż w centrum pozostała –*

*Gdy ramię w koło się obraca,*

*W ślad za nim się wychyla cała,*

*Prostuje się, gdy ramię wraca.*

*Taka bądź, choć nam nie po myśli*

*To, że odległym błędzę koleś:*

*Stalność twa obieg mój uściśli*

*I każe skończyć, gdzie zacząłem2.*

Skończył i zapadło milczenie, podczas którego słuchałam jego oddechu.

– Przeczytaj jeszcze raz – poprosiłam. – Tylko tym razem wolniej.

Spełnił moją prośbę i znów była cisza, wypełniona miłością.

– Podobał ci się wiersz? – spytał w końcu Eddie.

– Tak. – Jego słowa niczym naciśnięcie guzika odtwarzania przypomniały mi dzień naszego ślubu, a potem oczyma duszy ujrzałam wcześniejszy obraz: Eddiego klęczącego na jednym kolanie, proszącego mnie o rękę. Spojrzałam na pusty palec, na którym powinien być pierścionek, i zrobiło mi się gorąco ze strachu.

– Podoba mi się to, że kiedy muszę cię opuścić, jesteś w domu i czekasz na mój powrót – powiedział Eddie.

– Jak dobra żonka?

– Nie, wiesz, że chodzi mi o co innego.

– A co, gdy oboje gdzieś powędrujemy i nie będzie do kogo wracać do domu? – spytałam, znów bliska łez.

– O czym ty mówisz? Co to ma znaczyć?

– Nic.

– „Oboje będziemy gdzieś wędrować”? Co masz na myśli? – W jego głosie pojawiły się

mroczniejsze nuty.

– Nie o to mi chodziło, tylko... och, sama nie wiem o co. Po prostu chcę, żebyś był w domu.

– Dobrze, posłuchaj, jestem we Francji, ty jesteś w domu, niedługo do ciebie wracamy. – Zawahał się. – Mamy wrócić wcześniej?

– Nie. Nic mi nie jest, naprawdę, to przez to piwo, jestem niemądra. Nie mogę się doczekać, żeby cię znów zobaczyć.

– Kocham cię. Do zobaczenia wkrótce. I, Faye, uważaj na siebie. Potrzebuję cię. Porozmawiajmy jutro o wcześniejszej porze, zanim dziewczynki pójdą spać.

W nocy budziły mnie sny o matce; w jednym byłam dzieckiem i kręciłyśmy się w kółko w ogrodzie, trzymając się za ręce. „Jesteśmy tylko ty i ja”, powiedziała. „Pomyśl, kto kogo potrzebuje bardziej”. Poderwałam się na łóżku spocona. Potrzebowałam matki, ale może ważniejsze było to, że ona potrzebowała mnie. Byłam szczęśliwym dzieckiem, kiedy los mi ją zabrał, i to było nie w porządku wobec nas obu. Pomyślałam o Eddiem, Esther i Evie, w wyobraźni zobaczyłam, jak trzymając się za ręce, szaleją na wrotkach, podczas gdy ja stoję poza torem. Mieli siebie nawzajem, rodziców Eddiego i naszych przyjaciół. Może bardziej się przydawałam w przeszłości, pomagając wiązać koniec z końcem, powiększając krąg bliskich.

W pewnym momencie znów zapadłam w sen, tym razem głęboki, bez snów. A następnego ranka, o dziwo, poczułam się lepiej.

Wezwałam taksówkę około ósmej, żeby pojechać do Louisa. Odnalezienie Elizabeth Keel oznaczało odzyskanie pierścionka, a wiedziałam, że nie zaznam spokoju, dopóki znów nie wróci na mój palec. I, co może nawet ważniejsze, chciałam przekonać Louisa do prawdziwości mojej historii, pomóc mu w nią uwierzyć. Gdybyśmy nie zdołali odnaleźć Elizabeth albo gdyby się okazało, że zmarła, wtedy pewnie – choć może by tego nie powiedział – uznaliby to za kolejny dowód, że to wszystko jest wytworem mojej wyobraźni. Istniała jeszcze obawa, że Elizabeth się wyprze albo nie będzie mnie pamiętać: jednym słowem, nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Miejscowość, w której dorastałam, leży mniej więcej o godzinę spokojnej jazdy autostradą z Londynu na północ. Nie byłam tam od paru lat, ale podobnie jak większość angielskich miast powiększyła się i rozwinęła, a dzięki istniejącej infrastrukturze zajmowała stopniowo coraz większy obszar, jak kostka masła roztopiająca się na słońcu. Miałam nadzieję, że sklep Szczęśliwy Traf nadal istnieje. Elizabeth Keel musiała być obecnie po pięćdziesiątce i wydawało mi się, że wciąż pracowała za ladą, kiedy weszłam tam z dziewczynkami podczas ostatniej bytności. Moje zdenerwowanie rosło. A jeśli nie zdołam odzyskać pierścionka? Jak wytłumaczę jego brak Eddiemu?

Po zaparkowaniu znaleźliśmy miejsce na kawę i śniadanie. Kelnerka zapytała mnie, czego Louis sobie życzy, zamiast zwrócić się bezpośrednio do niego, i powtarzała swój błąd, mimo że uparcie odrzucałam piłeczkę na jego połowę kortu. Gotował się ze złości, ale udało mi się odwrócić jego uwagę.

– Mam nadzieję, że sklep nadal działa – powiedziałam.

– Mogłaś sprawdzić w Google – burknął.

– Nie jestem pewna, czy są w internecie.

– Wszystko jest w internecie – rzucił ostro. – Czy na stoliku jest pieprzony słodzik? – Zaczął obmacywać blat, więc podałam mu odpowiednią saszetkę do ręki. – Dzięki. Wybacz. To przez tę cholerną kelnerkę.

– Wiem. Wydaje jej się, że robi to z dobroci serca, a wyszło, jak wyszło.

– Zamierzałem zjeść tylko tost, ale tak mnie wkurzyła, że zamówię całe śniadanie – oznajmił. – To przez tych wszystkich protekcyjnych uszczęśliwaczy bliźnich mam nadwagę.

W istocie odpowiadało mi, że spędzimy przy śniadaniu trochę więcej czasu – uprawiałam typową grę na zwłokę. Wcale mi się nie spieszyło do tego sklepu, przeciwnie, mdliło mnie na samą myśl, co może nastąpić. Wiem, że to wszystko działa się naprawdę: podróż w czasie, rozmowa z matką, to



rzeczywiście się wydarzyło. Ale powiem wam, jak to jest: jakbyście zostali oskarżeni o popełnienie przestępstwa i zaproponowano wam test wykrywaczem kłamstw. Jeśli jesteście winni, możecie mu się poddać bez ryzyka, bo czasami się myli i może wam się udać. Ale jeśli jesteście niewinni i szczęście was zawiedzie, to macie przechlapane. Nikt wam wtedy nie uwierzy. Elizabeth Keel była moim testem na wykrywaczu kłamstw. Gdybyśmy nie znaleźli jej albo sklepu lub gdyby nie wiedziała, o co mi, u diabła, chodzi z tym pierścieniem, co by to oznaczało?

Nadal musiałam brać pod uwagę możliwość, że postradałam zmysły.

Nie tylko Louis potrzebował dowodu. Ja chyba też go potrzebowałam, czegoś konkretnego, co by mnie upewniło, że nie zwariowałam.

Wybraliśmy taką trasę do sklepu Szczęśliwy Traf, że weszliśmy prosto na witrynę, ponieważ był usytuowany naprzeciwko małego pasażu wychodzącego z wielkiej nowej biblioteki. Skrót był nowy, ponieważ bibliotekę wybudowano po moim ostatnim pobycie w tym mieście, w miejscu wcześniej zasłoniętym przez rząd niskich budynków stojących wzdłuż ulicy. Na szczęście sklep, który mnie interesował, stał po jej nietkniętej drugiej stronie, w przeciwnym razie nie wiem, co bym zrobiła.

Stanęłam w miejscu jak wryta. W przeszłości zawsze podchodziłam z boku i przedmioty ułożone na wystawie pierwsze przyciągały mój wzrok. Jednak z tej perspektywy sklep wyglądał inaczej: rozpościerał się przede mną jak obrazek z pocztówki, a już szczególnie rzucił mi się w oczy owalny kolorowy szyld. Główny napis miał w sobie coś, co przywodziło na myśl cygański tabor, a pod spodem drobnymi literami wymalowano słowa, których nigdy wcześniej nie zauważyłam.

– No, no...

– Co? – zainteresował się Louis, który czekał cierpliwie, trzymając mnie za łokieć.

Pociągnęłam Louisa w bok, do cienia, żeby uciec od prażącego słońca.

– Napisali na szyldzie: „W naszym sklepie znajdziecie rzeczy, których nigdy nie szukaliście...”.

– Oryginalne – mruknął Louis. Spojrzałam mu w twarz, spodziewając się ironicznej miny, ale była w niej sama szczerłość. – Zatem wciąż tu jest. Otwarty?

W tym samym momencie zobaczyłam, jak młoda kobieta otwiera drzwi i wychodzi ze środka; mały dzwoneczek brzęknął jak talizman z przeszłości. Kobieta przytrzymała otwarte drzwi, chwytając wysoko za ramę, żeby wypuścić synka, który przeszedł pod jej ramieniem, zapatrzony w zawartość niesionej przez siebie torby.

– Tak – potwierdziłam, nie ruszając się z miejsca.

– Po prostu wejdźmy do środka i zobaczymy, co będzie – poradził życzliwie Louis. Musiał wyczuć moje zdenerwowanie. – Tak naprawdę nie musimy się do nikogo odzywać ani nic robić.

Kiedy przechodziliśmy przez jezdnię, nogi miałam jak z ołowiu, jak we śnie, w którym przed czymś uciekam, ale nie mogę się normalnie poruszać.

Dźwięk dzwonka i chłód panujący w sklepie były identyczne jak wtedy, gdy w nim byłam poprzednio... przed trzydziestu laty. Wystrój się zmienił i oczywiście towar również, na bardziej nowoczesny, choć nie brakowało tradycyjnych drobnych bibelotów, których od razu miało się ochotę dotknąć. Louis mocniej ścisnął mój łokieć i trzymał się bliżej, uważając, by niczego nie stracić.

– Ilu ludzi jest w środku? – spytał szeptem.

– Tutaj my... – odpowiedziałam i zajrzałam do sąsiedniej alejki. – Jakaś kobieta ogląda towar na półkach i jest obsługa kasy.

– Kto jest przy kasie? Ona?

– Nie, facet i do tego za młody – powiedziałam i w tej samej chwili kasjer spojrzał na nas i się uśmiechnął. – To jej syn, Adam – wyszeptaliśmy do Louisa.

– Mogę w czymś pomóc? – zagadnął nas uprzejmie Adam.

– Rozglądamy się, dzięki – powiedziałam, udając zainteresowanie jednym z przedmiotów leżących na półce.

– Spytaj go, czy Elizabeth tu jest – odezwał się Louis szeptem, stanowczo za głośnym.

– Mówiłeś, zdaje się, że możemy wejść i nic nie robić – przypomniałam mu, również szeptem,

poirytowana.

– Cóż, mówię dużo różnych rzeczy.

Spojrzałam na kasjera jeszcze raz i się uśmiechnęłam. Odwzajemnił uśmiech, a potem zmarszczył brwi.

– Jest pani pewna, że nie mogę pomóc?

Podeszłam do niego, prowadząc ze sobą Louisa.

– Prawdę mówiąc, miałam nadzieję porozmawiać z panią Keel.

– Która panią Keel?

– Elizabeth? – powiedziałam takim tonem, jakbym nie była pewna, czy taka osoba naprawdę istnieje.

– Wyszła na zakupy, ale wróci. – Wziął do ręki telefon. – Dam jej znać, że ktoś chce się z nią spotkać.

– Mam na imię Faye, a ona może mieć coś, co należy do mnie.

Adam wybrał numer i z uśmiechem czekał na połączenie, ale w tym samym momencie drzwi otworzyły się z brzęknięciem i w progu rozległ się sygnał dzwoniącej komórki. Odwróciłam się i zobaczyłam Elizabeth Keel z torbami zakupów w każdej ręce; próbowała znaleźć telefon w torebce, nie upuszczając przy tym niczego.

Syn natychmiast się rozłączył i wyskoczył zza lady, żeby wziąć od niej zakupy.

– To ja do ciebie dzwoniłem – oznajmił, kiedy sygnał umilkł, po czym cmoknęła matkę w policzek. – Myślałem, że idziesz tylko po kilka rzeczy? A ty narobiłaś zapasów na cały tydzień.

– To nie są zapasy, kochanie, ale rzeczywiście kupiłam więcej, niż zamierzałam – powiedziała, odgarniając za ucho kosmyk włosów. Uśmiechnęła się przelotnie w naszą stronę, ale poza tym nie zwracała uwagi na mnie i na Louisa.

Mężczyzna zaniósł torby na zaplecze i szybko powrócił.

– Mamo, ta pani chce z tobą porozmawiać, twierdzi, że masz coś, co należy do niej – powiedział, patrząc na mnie, jakby się upewniał, czy niczego nie pokręcił.

Przytaknęłam skinieniem głowy. Elizabeth Keel zwróciła ku mnie uśmiechniętą twarz. Ważyła jakieś sześć kilogramów więcej, niż kiedy ją widziałam kilka dni wcześniej, i miała większy biust. Zmarszczki wokół oczu i mniej ostra linia szczęki zdradzały, że jest o trzydzieści lat starsza niż wtedy, ale poza tymi drobnymi zmianami powiedziałabym, że wyglądała tak samo. Największa różnica polegała na tym, że choć jako młoda kobieta wydawała się bardzo miła, miała w sobie rys cynizmu i pewną nieufność. Teraz jej twarz wyrażała otwartość, typową dla osób, które spotykały w życiu same dobre rzeczy.

Louis delikatnie ścisnął mój łokieć.

– Dzień dobry – zaczęłam. – Dałam pani coś dawno temu, a pani obiecała to przechować. Miałam nadzieję, że nadal pani to ma. – Skrzywiłam się niezadowolona z własnego wystąpienia, które brzmiało dziwnie i niepokojąco.

Elizabeth ściągnęła brwi i przechyliła głowę na bok, ale nie przestała się uśmiechać.

– Doprawdy? Co to było?

Poczułam mdłości. Nie wiedziała, o czym mówię. Louis nachylił się do mojego ucha.

– Chyba musisz wyrażać się jaśniej – podpowiedział krępującym scenicznym szeptem. Uśmiechnęłam się przepraszająco do Elizabeth, choć właściwie wcale jej nie przepraszalam.

– To był mój pierścionek zaręczynowy, zostawiony w zamian za wrotki – wyrzuciłam z siebie z poczuciem, jakbym wymyślała całą tę historię. – Jak wspomniałam, to było dawno temu.

Elizabeth podeszła do mnie bliżej, niż wypada podejść do obcej osoby. Zajrzała mi w oczy, a potem cofnęła się, żeby objąć wzrokiem całą moją twarz. Następnie dotknęła moich włosów.

– Co się dzieje? – spytał szeptem Louis.

– Louis, przestań szeptać, to nie biblioteka, ona cię słyszy. Patrzy na mnie – powiedziałam, wytrzymując spojrzenie Elizabeth.

– Mamo? – włączył się młody mężczyzna. Wyszedł zza lady, wyraźnie zaskoczony zachowaniem matki.

– O mój Boże – odezwała się Elizabeth cicho, jakby do siebie, a może nawet do Boga.

– Kto to jest, mamó? – zaniepokoił się Adam.

– Nie jestem pewna, ale chyba mój anioł stróż.

Te słowa dały mi pewność, że mnie pamięta. Odchyliłam głowę do tyłu, w oczach zapiekły mnie łzy ulgi. Wciągnęłam spazmatycznie powietrze, bliska szlochowi, a ona objęła mnie ramionami.

– Mój Boże... – Ona też miała wilgotne oczy. – Przez te wszystkie lata czekałam na kogoś starszego.

2 W przekładzie Stanisława Barańczaka.

Elizabeth poprosiła syna o zamknięcie sklepu, wysłała go po kawę dla wszystkich, a potem dała mu wolne na resztę dnia. Widać było, że Adam niechętnie ją opuszcza, ale zapewniła go, że wszystko jest w porządku i później udzieli mu stosownych wyjaśnień. Chociaż byłam pewna, że wcale tego nie zrobi.

Zaprowadziła nas bardzo wąskimi schodami do pomieszczeń nad sklepem: małej kuchenki pomalowanej na jaskrawy niebieski kolor i pokoju z pojedynczym łóżkiem i krzesłem. Na pogniecionej narzucie leżał sweter i kilka skarpetek. Elizabeth uporządkowała posłanie, po czym my dwie usiadłyśmy na łóżku, a Louis zajął krzesło.

– Mój syn studiuje i od czasu do czasu pomaga w sklepie – powiedziała. Zwinęła skarpety w kulki i rzuciła je w stronę kosza na brudne rzeczy do prania. – Kiedy wychodzi ze znajomymi, czasem tu nocuje, zamiast jechać autem do naszego domu, i wtedy rano otwiera sklep. To duża pomoc. – Wychyliła się nad łóżkiem, żeby otworzyć niewielkie okno; to, co powiedziała, tłumaczyło męski charakter wnętrza.

Po jej słowach nastąpiła pauza, jako że żadne z nas nie miało ochoty rozmawiać o błahostkach, jakkolwiek niezobowiązujące pogawędki stanowiły powszechny zwyczaj i same w sobie nie miały nic złego. Ostatecznie odbyłam z matką wiele takich błahych pogawędek i każdą z nich ceniłam jak skarb.

Louis na szczęście nic nie mówił, ale uśmiechał się trochę zbyt promiennie. Wyznał mi kiedyś, że dzieciom urodzonym jako niewidome każe się dużo uśmiechać, ponieważ tak właśnie robią przyjaźnie nastawieni widzący ludzie. Powiedziałam mu wtedy, że czasami wygląda jak głupi śmiejący się do sera, a w pubie zwykle albo jest nadmiernie wylewny, albo każe ludziom się odpieprzyć, jednym słowem, popada ze skrajności w skrajność. Zawarliśmy więc umowę, że kiedy będzie się niepotrzebnie uśmiechał w towarzystwie, chrząknę znacząco, a on odpowiednio zareaguje. Chrząknęłam i twarz Louisa przybrała neutralny wyraz. Elizabeth założyła, że szykuję się do wygłoszenia jakiejś kwestii, i spojrzała na mnie wyczekująco, chyba z ulgą, że to ja przejdę do sedna.

– Zatem pamięta mnie pani? – zaczęłam.

– Czy pamiętam? – spytała takim tonem, jakbym postradała zmysły. – Żyła pani tu ze mną przez lata. – Przycisnęła ręce do piersi. – Długo, bardzo długo się zastanawiałam, czy istniała pani naprawdę, czy sobie panią jedynie wyobraziłam. – Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego policzka, jakby jeszcze raz sprawdzała, czy naprawdę tam jestem. – Myślałam, że może była pani wyjątkowo żywym snem. Bardziej niż wszystkie inne, bo w końcu miałam pani pierścionek. A potem zaczęłam się oswajać z faktem, że to przecież bez znaczenia, czy panią wymyśliłam, bo dzięki mojej wierze w pani istnienie moje życie było takie cudowne.

– Było cudowne?

– Tak – potwierdziła Elizabeth takim tonem, jakbym uroniła z jej opowieści coś oczywistego. – Gdy tylko poznałam Andrew, rozpoznałam jego imię, bo słyszałam je od pani. Od razu wiedziałam, że się pobierzemy i że mogę mu ufać. W pierwszej chwili, kiedy mi się przedstawił, byłam zaskoczona i przez moment nawet podejrzewałam, że mogliście razem, on i pani, uknuć jakiś podstęp. Ale Andrew w swej prostoduszności nie mógłby się zaangażować w żadne oszustwo i w końcu pogodziłam się z myślą, że wróżki czasami mają rację.

– Kochałam Andrew i wiedziałam, że będziemy razem, bo pani to przepowiedziała. Dlatego otworzyłam się na tę znajomość, jak na żadną inną wcześniej. Dzięki pani miałam poczucie pewności, żeby rozwijać interes. Żyłam szczęśliwie, bo zapewniła mnie pani, że zawsze wszystko będzie dobrze.

Patrzyłam w szkliste od łez oczy Elizabeth i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Może tak się czują chirurdzy, kiedy uratują komuś życie, i rodzina im dziękuje. „Wykonuję jedynie swoją pracę”. Wydmuchała nos, a ja wyjęłam z torebki i odliczyłam pięć dwudziestofuntowych banknotów.

– Sto funtów – powiedziałam, wręczając jej pieniądze. – Za wrotki, z procentem, i za

przechowanie mojego pierścionka.

Zmarszczyła się, a potem z uśmiechem pokręciła głową.

– Nie, dziecko, żadnych pieniędzy. Wzięłaś wrotki, ale w zamian dałaś mi życie lepsze, niż mogłabym sobie wymarzyć. – Nachyliła się ku mnie. – Podarowałaś mi życie bez lęku. – Głos miała zduszony i napięty. – Całe życie bez lęku – powtórzyła. – A ze wszystkiego, co mi powiedziałaś, najcenniejsze było to o Adamie.

– Pani synu? – wtrącił pytanie Louis.

– Tak, tym, którego poznaliście i który tu czasami nocuje – odparła, zwracając się do Louisa. – Gdy Faye przysłała do mnie przed laty i powiedziała mi, jak będzie wyglądać moje życie, uprzedziła, że mój syn zaginie, ale odnajdzie się cały i zdrowy. Zapewniła mnie, że Adam zostanie znaleziony po trzech dniach i w żaden sposób nie ucierpi. – Zawahała się. – Ma pan dzieci, Louisie?

– Nie.

Elizabeth opuściła wzrok na swoje ręce; oddychała ciężko, jak często zdarza się ludziom, gdy odtwarzają w pamięci jakieś trudne przeżycie.

– Jako dziewięcioletek rzeczywiście się zgubił. Wyszedł się pobawić, zrobiło się późno, a on nie wracał do domu. W pewnym momencie spojrzałam na Andrew i wiedziałam, że czuje to samo, co ja. Ja zajęłam się dziewczynkami, położyłam je spać, a on nałożył płaszcz i powiedział: „Znajdę go”. Jednak po godzinie wrócił, sam, i zadzwonił na policję.

Louis wychylił się do przodu oparty rękami na kolanach.

– Ale wszystko było dobrze, bo Faye tak powiedziała? Nie martwiliście się aż tak bardzo, prawda?

Elizabeth pokręciła głową.

– To nie było aż takie proste. Wszystko inne, co usłyszałam od Faye: kogo poślubię, ile dzieci urodzę, jak pójdą interesy, włamanie, nie miało aż tak wielkiego znaczenia. Tym razem było inaczej. Modliłam się żarliwie, jak jeszcze nigdy wcześniej. – Popatrzyła na mnie rozpalonym wzrokiem. – Ale nie modliłam się do Boga – wyznała. – Modliłam się do ciebie. – Położyła dłoń na zmiętym pościeliu i dotknęła moich palców. – Modliłam się, żebyś istniała i żeby to, co mi powiedziałaś, było prawdą. Pozwoliłam sobie na wiarę, że wszystko będzie dobrze, ale tylko przez trzy dni, bo według ciebie tak długo Adam miał pozostawać zaginiony. Kiedy go szukałam, szukałam również ciebie, ale jako kobiety starszej ode mnie o jakieś piętnaście lat, a tu proszę, jesteś, ale młodsza... – Urwała i znów przyjrzała mi się ze zdumieniem.

– Szukałam cię, bo kiedy Adam zaginął, powiedziałam Andrew o tobie i o tym, co mi przepowiedziałaś. Uważał, że bredzę, a nawet zastanawiał się, czy przypadkiem nie masz coś wspólnego z jego zaginięciem, czym zasiał we mnie zwątpienie. Kiedy człowiek się boi, umysł płata mu figle, wpędza w desperację. Trudno wierzyć, nawet jeśli ma się już tylko wiarę. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Pamiętam, jak klęczałam przy łóżku, pokładając w tobie całą swoją ufność. W głębi duszy wiedziałam, że jeśli Adam nie odnajdzie się po trzech dniach, nie zdołam sobie z tym poradzić, nie będę umiała oddychać. Przetrwałam te trzy dni, bo powiedziałaś, że wróci cały i zdrowy. – Ukryła twarz w dłoniach, próbując się otrząsnąć ze strasznych wspomnień.

– Ale oczywiście się znalazł – przypomniał w miarę łagodnym tonem Louis. – Co się z nim wtedy działo?

Elizabeth westchnęła.

– Po prostu szedł przed siebie, aż się zgubił. Przeczytał *Przygody Hucka Finna*, wziął ścierkę, zapakował do niej trochę jedzenia i dosłownie przywiązał tobolek do patyka. – Uśmiechnęła się do siebie. – Poszedł do lasu i błądził godzinami, aż zsunął się z pagórka i skręcił kostkę. Był wiele kilometrów od domu, bo myśląc, że wraca, cały czas się oddalał.

– A potem... – Znów skierowała wzrok na mnie – ...wierzenie w ciebie było równoznaczne z wierzeniem w Boga. Ty jesteś moim bogiem, bo dzięki wierze w ciebie stałam się silniejszą, lepszą, bardziej spełnioną osobą. Osobą, jaką mógłby być każdy, gdyby szczerze wierzył, że ktoś się nami opiekuje.

– Dość – poprosiłam, unosząc rękę. – Nie jestem Bogiem, Elizabeth, tylko zwykłą kobietą. –

Widziałam, jak Louis unosi brwi.

– Nie dla mnie – odpowiedziała Elizabeth. – Dla mnie jesteś kimś znacznie ważniejszym, ukształtowałaś moje życie, dzięki tobie jestem szczęśliwa.

– Ale to nie czyni mnie Bogiem – zwróciłam jej uwagę. – Ludzie z zasady mają jakiś wpływ na życie innych. Po prostu byłam osobą, która potrzebowała wrotek, więc podałam pani pewne informacje na temat pani przyszłego losu, które akurat znałam. – Ze zdenerwowania trochę się zacinałam.

– Ale skąd „akurat znałaś” te informacje? I dlaczego się nie postarzałaś? Jak to możliwe, że nie jesteś kimś w rodzaju Boga albo anioła?

– Dla mnie to wszystko zdarzyło się kilka dni temu – powiedziałam. – Dokładnie w sobotę. Odbyłam z panią rozmowę, o której pani mówi, w ostatnią sobotę. To dlatego się nie postarzałam.

– No, jesteś trzy dni starsza – uściślił Louis.

– Dzięki, Louis. – Spojrzałam wymownie na Elizabeth.

Ludzie w pewien sposób upodabniają się do zwierząt, kiedy przechylają głowę na bok – czekając na informację, wyjaśnienie... albo na psi sucharek – co zresztą jest urocze, a Elizabeth właśnie tak wyglądała w tym momencie.

– Trudno mi wytłumaczyć, bo to nedorzeczne – powiedziałam.

– Poważnie? Ja w to wierzyłam przez całe życie, myślisz, że podałabym w wątpliwość twoje słowa? Jeśli byłabym skłonna zaufać komuś, że powie mi prawdę, nawet najdziwniejszą, to tylko tobie.

– Ślepa wiara – mruknął Louis bardzo cicho.

– Właśnie – podchwyciła Elizabeth. – Ślepo w ciebie wierzę.

Zakręciło mi się w głowie od poczucia odpowiedzialności, jaką ponosiłam za życie Elizabeth. A gdybym się pomyliła w liczbie dni, które Adam spędził zagubiony w lesie? Gdyby jego nieobecność trwała pięć dni albo tydzień? Nie miało znaczenia, że nie jestem Bogiem ani aniołem. Nie miało znaczenia, że jestem zwykłą kobietą, która ma rodzinę, pracę, przyjaciół i różne przyziemne dylematy. Dla Elizabeth byłam ważniejsza, czy się z tym godziłam, czy nie. I to nakładało na mnie szczególną odpowiedzialność. Opowiedziałam jej o podróży w przeszłość, o tym, jak to się odbywa, o spotkaniach z matką i młodszą wersją siebie. Powiedziałam jej, dlaczego chciałam ukraść wrotki i dlaczego się ucieszyłam, że mnie przyłapała. Mówiłam i mówiłam, a ona słuchała, bez przerywania, zafascynowana.

– To brzmi jak baśń – oceniła cichym, pełnym szacunku głosem.

– A teraz, kiedy znów tu jestem, myślę o kolejnym powrocie i o tym, co mogę zrobić dla matki, żeby jej pomóc.

Elizabeth nagle się wyprostowała.

– Och, nie możesz tam ponownie wracać – oznajmiła z troską.

– Dlaczego? – Spojrzałam na Louisa, ale zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Bo mogłabyś ucierpieć albo wszystko skomplikować. – Elizabeth również na próżno skierowała wzrok na Louisa. Czasami ta trzecia osoba jest użyteczna, bo można ocenić sytuację po jej reakcji. Louis jednak nie nadawał się do tej roli.

– Wróciłaś w przeszłość kilka dni temu i to, co zaszło między tobą i mną, sprawiło, że moje życie stało się cudowne, niezależnie od twoich intencji. – Starła się mówić spokojnie, ale jej głos był podszyty natarczywością. – Czyli byłoby ci równie łatwo wrócić i pogorszyć różne rzeczy, również bez złych intencji.

– Nie zbliżę się do pani – obiecałam, pochylając się ku niej.

– Faye nie może zmienić tego, co już się stało – wtrącił Louis. – Co się stało, to się nie odstanie, nie może zostać zmienione ani na lepsze, ani na gorsze.

– Skąd to wiecie? – nie ustępowała Elizabeth.

– Z... hmm... Google – przyznał Louis.

– Z internetu? – Zaśmiała się. – Wie pan, że to nie wystarczy, aby być ekspertem?

– Owszem, wiem – przyznał Louis. – Przepraszam.

– Rozmawiamy o losie prawdziwych ludzi i zmianach, które mogą powodować rozmaite konsekwencje. – Sprawiała wrażenie trochę przerażonej.

– Jesteśmy raczej pewni, że nie mogę zmienić niczego, co już nastąpiło – powiedziałam, całkowicie przekonana, że tak jest, mimo że nie posiadałam żadnych dowodów.

– Faye, mówisz, jakbyś była ekspertką od podróży w czasie, a przecież nią nie jesteś. Owszem, przeniosłaś się w przeszłość, ale nie wiesz, jak to działa. To jakby ktoś twierdził, że zna działanie telewizji, bo cały czas ją ogląda. Możliwe, że nigdy nie poznasz zasad tego, co robisz. Nie możesz z tym igrać, to nie zabawa – ostrzegła.

– Wiem. Nie grałabym w grę, która niemal mnie zabiła, bez dokładnego jej przemyślenia. – W istocie miałam wątpliwości, czy naprawdę poświęciłam jej wystarczająco dużo uwagi; pragnienie spotkania z matką powstrzymywało mnie przed rozważeniem najgorszych możliwych scenariuszy i ewentualnych przykrych konsekwencji moich wypraw.

– Kiedy się zdarza wielka katastrofa i umiera wiele niewinnych ofiar, ludzie wykorzystują to jako argument, że Bóg nie istnieje. – Elizabeth mówiła ciszej i trzymała mnie za rękę. – Bo gdyby istniał, to jak mógłby na to pozwolić? Rzecz w tym, że nie wiemy, jak działa Bóg, może pewne rzeczy są poza Jego kontrolą? – Jeszcze bardziej ściszyła głos, niemal do szeptu. – Nie znasz tych zasad, Faye, grasz z ogniem. Mówiłaś, że tu minęły tylko trzy godziny, kiedy byłaś w przeszłości. A gdy następnym razem będzie inaczej? Jeśli minie piętnaście lat i wszystkie je stracisz? Jeśli nie będziesz mogła być przy swoich dzieciach? Nie możesz żyć w przeszłości.

– Nie żyję w przeszłości – zaprotestowałam. – Jedynie tam bywam. – Czułam, jak łzy napływają mi do oczu, a głos drży od powstrzymanego szlochu.

– Dotąd bywałaś, a jeśli następnym razem tam utkniesz? – Patrzyła na mnie jak matka, która tłumaczy dziecku, dlaczego nie wolno wkładać palców do kontaktu, nawet kiedy ma się na to wielką ochotę. – Musisz wybrać między przeszłością i teraźniejszością, choć tak naprawdę nie ma żadnego wyboru, Faye, nie ma się nad czym zastanawiać. Nie możesz żyć tu i tam jednocześnie, a jeśli sama nie wybierzesz, wybór może zostać dokonany za ciebie i wcale ci się nie spodobać. – Otarła łzy, które w ciszy płynęły mi po twarzy. – Dostarczyłaś mi informacji, które bez wątpienia uczyniły moje życie lepszym, niż mogłoby być bez nich – powiedziała. – Pozwól, że teraz oddam ci przysługę. Radzę ci zostawić przeszłość w spokoju i zostać w teraźniejszości. Masz wspomnienia, niech ci wystarczą. Niosą ze sobą nutę smutku, ale takie jest życie, smutek pozwala docenić te dobre rzeczy, które się ma. Nie trać z oczu tego, co najważniejsze. Jesteś matką.

– Matka będzie na mnie czekać. – Czułam w ustach słony smak łez.

– Przecież nie chciałaby, żebyś ryzykowała wszystko, siebie? Chciałabyś, żeby któraś z twoich córek ryzykowała życie lub zdrowie tylko po to, żeby przesiedzieć z tobą jedno popołudnie w ogródku za domem?

Nawet nie próbowałam wstrzymać płaczu; kiedy Elizabeth dotknęła mojego policzka, oparłam na jej dłoni całą ciężar głowy.

– Nie pozwól, żeby dzieci cię straciły. Ty straciłaś swoją mamę i cierpiałaś z tego powodu przez całe życie. Dlaczego chcesz ryzykować, że zrobisz to samo swoim dzieciom?

– Słyszę, co pani mówi. Podejmuję ryzyko, ale czy pani by tego nie zrobiła na moim miejscu?

– Szczerze mówiąc, chyba za bardzo bym się bała – odparła Elizabeth.

– Ale do tej pory nic nie wskazuje na to, by cokolwiek się zmieniło w wyniku moich działań. Wręcz przeciwnie. Wygląda, że powrót do przeszłości spowodował, że zdarzyło się wiele dobrych rzeczy. Nic się nie zmieniło.

Elizabeth delikatnie uniosła moją lewą rękę. Przesunęła kciukiem po nieznacznym wgłębieniu na serdecznym palcu; obie patrzyłyśmy na jaśniejszy pasek skóry w miejscu, które od lat nie widziało słońca.

– Mój pierścionek – powiedziałam, wycierając nos wierzchem drugiej dłoni. – Ma go pani?

Elizabeth się zawahała.

– Coś jednak się zmieniło – powiedziała, po czym uniosła wzrok i spojrzała mi w oczy. – Już go nie mam. Od lat. Twój pierścionek został skradziony podczas włamania.

Popatrzyłam na Louisa; jego twarz, dotąd irytująco pogodna, wyrażała teraz głęboki niepokój.

Zostaliśmy tam jeszcze chwilę, ale po powrocie do sklepu, gdy już zbieraliśmy się do wyjścia, Elizabeth poprosiła, żebyśmy poczekał. Zniknęła, prawdopodobnie w magazynie, i po minucie pojawiła się znowu z małym pudełkiem. Idąc ku nam, uniosła wieczko i rozsunała kilka warstw białej bibułki.

– Mam coś, co chciałabym panu dać, Louisie. – Położyła pudełko na ladzie i wyjęła ze środka owalny przedmiot, który wyglądał na ciężki.

– Co to jest? – spytał Louis.

– Proszę. – Włożyła mu przedmiot do rąk.

– To duże jajko albo coś w kształcie jajka – stwierdził.

– Zgadza się, emaliowane jajko, bardzo piękne. Kolory na zewnątrz przypominają klejnoty: niebieskie szafiry i zielone szmaragdy. – Podeszła bliżej i dotknęła jajka, które obracał w rękach.

– Nie znam kolorów – powiedział Louis.

– Są rzeźkie jak lodowaty drink w czasie upału – powiedziała, na co się uśmiechnęła. – Wyczuwa pan zapęć? – Louis położył jajko na jednej dłoni, a drugą wodził po gładkiej powierzchni, aż w końcu wymacał maleńki haczyk. Podniósł go i otworzył górną połówkę umocowaną na solidnym zawiasie. Dolna połowa była wypełniona i pokryta gładką białą emalią, z okrągłą wypukłością na środku, pomalowaną na złoto, jak żółtko w jajku. Elizabeth je opisała, a Louis zbadał dotykiem. Kiedy mówiła, jego twarz rozpromieniła się w wyrazie szczerzej radości.

– Chyba szkoda tego dla mnie? – rzekł niepewnie.

– Niezależnie, czy pan to widzi, czy nie, jest piękne, a piękna dla nikogo nie szkoda – odpowiedziała. – Potrafi pan je docenić, prawda? I może wyeksponować u siebie w domu, żeby inni też mogli podziwiać. – Przeniosła uwagę na mnie. – Nie trzeba czegoś widzieć, by wiedzieć, że jest. Można to kochać i się z tego cieszyć.

– Bardzo pani dziękuję, Elizabeth – powiedział Louis. – Nikt jeszcze nie dał mi prezentu tylko dlatego, że jest piękny i warto na niego patrzeć. To dla mnie nowość. – Wzięła od niego jajko, z powrotem zapakowała do pudełka i włożyła je do torby.

Trudno było się pożegnać i stamtąd wyjść. Powiedziałam Elizabeth, że chciałabym pewnego dnia wrócić, a ona uścisnęła mnie tak, jakbyśmy miały się już nigdy nie zobaczyć. Myślę, że czasami po prostu musimy tak robić.



Po spotkaniu z Elizabeth czułam się dziwnie przygnębiona. Zanim do niej pojechałam, chętnie rozważałam kolejną wyprawę do Jeanie pod nieobecność Eddiego, a ponieważ byłam przekonana, że wizyta nie potrwa dłużej niż trzy godziny obecnego czasu, mogłabym zostać u niej przynajmniej kilka dni. Elizabeth obudziła we mnie wątpliwości; przyznawałam, że co do jednego miała rację – należało głębiej przemyśleć podróżę w czasie i ich potencjalne konsekwencje.

A zastanawiając się, sprzątałam dom i przy tej okazji uświadomiłam sobie, że mój strach przed pajakami zmalał albo uległ zmianie. Mamy ładny dom, ale odpowiedni dla rodziny, zamieszkały. Lubię, kiedy jest czysto, ale szczerze mówiąc, nie musi być nieskazitelnie, żebym się w nim dobrze czuła. Co oznacza, że sporo czasu zajmuje mi zbieranie skarpetek i innych rzeczy, odkładanie książek na półki, porządkowanie papierów i wyrzucanie ulotek reklamowych, a mniej odkurzanie i pucowanie.

W środę zaczęłam wiosenne porządki (choć w istocie lato dobiegało końca). Włożyłam T-shirt, dzianinowe spodnie i żółte gumowe rękawiczki. Sprzątałam metodycznie jedno pomieszczenie po drugim: zbierałam wszystkie bibeloty – ramki, wazony i wszystko, co się dało, do dużego plastikowego pojemnika, następnie zsuwałam sprzęty na środek i porządknie okurzałam miejsca, gdzie zazwyczaj stały. Nadal podskakiwałam na widok pajaków, ale zbierałam je na szmatkę i przenosiłam w wyciągniętej ręce do okna, gdzie trzepałam szmatką w parapet, dopóki nie wypadły. Myłam okna i meble, prałam zasłony; każdy przedmiot dosłownie lśnił, odstawiany na swoje miejsce. Wszystko, co nadawało się do wyrzucenia, wyrzuciłam. Potem otwierałam okna, żeby wpuścić świeże powietrze, i przenosiłam się do następnego pokoju. Kuchnię zostawiłam na koniec, bo wymagała więcej pracy. Opróżniłam lodówkę i szafki i dokładnie je wymyłam przed umieszczeniem w nich z powrotem wszystkich puszek i pudełek etykietami do przodu, jakbym miała zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Zajęło mi to całą środę i czwartek. Plecy i ramiona mnie bolały, ale takim przyjemnym bólem po ciężkiej pracy. Cały dom pachniał cytryną, od której nabrałam ochoty na gin z tonikiem, więc wzięłam długą kąpiel, a później nalałam sobie dużego drinka i zasiadłam z nim w ogrodzie.

Słuchałam ptaków, wciąż śpiewających mimo dziewiątej wieczorem, i nie ruszyłam się, nawet gdy ucichły i zapadł zmierzch, a potem noc. Widziałam, jak nietoperz przelatuje przez ogród i znika nad szopą, a za nim drugi... a może ten sam wykonywał kolejne okrążenie. Może „widziałam” to za dużo powiedziane, bo wyglądał jak mała czarna koperta przecinająca powietrze. Przypuszczam, że dobrze się bawił, śmigając z dużą prędkością przez nasz długi ogród za domem, dopóki wewnętrzny sonar nie ostrzegł go o szopie stojącej w odległym końcu, jakieś dwadzieścia metrów ode mnie. Zamknęłam oczy, wspominając szkolne czasy, kiedy to ludzie mówili, że w nocy, kiedy śpisz, szczypawki składają jaja w twoich uszach, a podlatujące blisko nietoperze mogą ci się wplątać we włosy. Teraz wiem, że nietoperze wolą trzymać się na dystans.

Spokój ogrodu miał coś z atmosfery kościoła pełnego modlących się wiernych. Pomyślałam o matce. Moje wspomnienia o niej kiedyś były niewyraźne i niejednoznaczne, ponieważ były wspomnieniami ośmioletniego dziecka, w dodatku naznaczonymi jej śmiercią. A śmierć przypominała wysoki ceglany mur, który rzuca mroczny cień na wszystko w pobliżu. Teraz jednak miałam te cudowne, krystalicznie czyste wspomnienia o niej, co najmniej tysiąc mentalnych fotografii zrobionych podczas dwóch niedawnych wizyt. Widziałam uśmiechnięte oczy Jeanie i czułam zapach jej włosów, kiedy mnie przytulała, słyszałam jej głos, pamiętałam dobór słów i śmiech. Owiała mnie chłodna bryza i miałam wrażenie, że przyniosła ze sobą zapach puddingu toffi; niemal widziałam, jak matka zrywa się, żeby wyciągnąć go z piekarnika. Cieszyłam się, że zyskałam ten nowy wizerunek matki, ale tak bardzo za nią tęskniłam... Weszłam do domu, żeby sobie nalać kolejnego drinka, ale w środku było tak pięknie, że zwinęłam się w kłębek na łóżku i zasnęłam w ubraniu.

W piątek miałam być w pracy, ale zadzwoniłam i powiedziałam, że jestem chora. Chciałam pobyć w domu. Eddie i dziewczynki wracali po południu, a pragnęłam ich zobaczyć, gdy tylko dotrą na miejsce. Może nie zrobiło to najlepszego wrażenia, ale rzadko biorę wolne, więc szefowa nie miała zastrzeżeń.

Przygotowałam sobie sadzone jajka na grzance i dzbanek kawy i około dziesiątej, ubrana w szlafrok, zjadłam śniadanie w ogrodzie. Na szczęście usłyszałam pukanie do frontowych drzwi i odebrałam od listonosza niewielką paczkę adresowaną do mnie, której odbiór musiałam pokwitować. Wracając przez dom do ogrodu, zastanawiałam się, co może zawierać; nie przypominałam sobie, bym coś zamawiała, więc nastawiłam się na jakąś mało ciekawą niespodziankę. Podniecenie niespodziewaną przesyłką jest zwykle proporcjonalne do tego, jaka okaże się nudna, zwykle mogłam to gwarantować. Tymczasem ta bynajmniej taka nie była.

Przesyłka miała formę pękatej brązowej koperty, oklejonej brązową taśmą, tak szczelnie, jakby w ogóle nie należało jej otwierać. Próbowałam dostać się do środka, ale szybko sięgnęłam po nożyczki. Wewnątrz koperty było jeszcze parę warstw folii bąbelkowej, a w niej coś małego i twardego oraz list. Rozerwałam folię i wyjęłam pierścionek, a właściwie obrączkę szeroką na mniej więcej pół centymetra, całą wysadzaną kamykami, które wyglądały jak brylanty. Nie przypuszczałam, aby mogły być prawdziwe, choć mieniły się tęczowo, co ponoć świadczy o autentyczności. Założyłam pierścionek na palec; pasował idealnie. Uniosłam dłoń i obracałam nią tak, by kamienie złapały światło. To był piękny klejnot.

Wyjęłam list, dwie niebieskie kartki zapisane po obu stronach staroświeckim, nieco pochyłym pismem, którego nie rozpoznałam. Powąchałam papier, nie pytaście mnie dłaczego, ale nie wyczułam żadnego zapachu. Odwróciłam kartki i na ostatniej stronie zobaczyłam podpis Elizabeth.

*Droga Faye,*

*trudno wyrazić słowami, co czuję po tym, jak w końcu Cię znów zobaczyłam po tych wszystkich latach. Byłaś dla mnie aniołem, który, jak sądziłam, mógł mi się tylko przyśnić. Ujrzenie Cię, osoby z krwi i kości, takiej rzeczywistej i ślicznej, było dla mnie szokiem. Ale bardzo przyjemnym i pożądanym. Czekałam na Ciebie od lat, żeby móc podziękować Ci za życie, które mi dałaś. Pod wieloma względami było całkiem zwyczajne, ale żyłam w poczuciu spokoju i zadowolenia, co przypisuję w dużej części naszemu spotkaniu sprzed trzydziestu lat (czy „sprzed paru dni”, jak powiedziałaś). Zdjęłaś ze mnie ciężar.*

*Mieć kogoś, kto Cię zapewni, że wszystko będzie dobrze, nie tylko dlatego, że taką masz nadzieję, albo że to łatwe – nawet jeśli niczym nieoparte – pocieszenie, to jedno. Co innego mieć kogoś, kto zapewni Cię, że wszystko będzie dobrze, i wiedzieć, że to prawda.*

*Wiem, teraz już nie mogę mieć pewności, że dalsze życie upłynie mi w szczęściu. Prawdopodobnie znałaś jedynie moje dotychczasowe losy. Odtąd wszystko może na mnie czekać za najbliższym zakrętem. Jednak tak mocno przywykłam żyć z wiarą w przyszłość, że inaczej nie umiem. Nie boję się. Wszystko będzie dobrze.*

*Mam nadzieję, że Ty też umiesz tak żyć, bo ostatecznie nikt z nas nie wie, co go czeka. Przestań się martwić przyszłością i zostaw przeszłość za sobą, żyj teraźniejszością i ciesz się tym, co masz. Staraj się nie tęsknić za rzeczami, które są dla nas niedostępne.*

*Rozmyślałam nad naszą niedawną rozmową i moim lękiem, że mogłam Ci się wydać samolubna, bo martwię się o własne życie i nie chcę niczego, co mogłoby je zakłócić. Mogę jedynie przeprosić i przyznać, że to istotnie jest samolubne; kocham swoją rodzinę i wszystko, co mam, i nie potrafię znieść myśli, że mogłoby mi to zostać odebrane. Zastanawiam się też, czy miałabym takie życie, gdyby nie Ty. A skoro było mi dane, więc chyba może też być zabrane. Wiem, że potrafisz zrozumieć, jakie to byłoby dla mnie straszne. Wydaje mi się, że też masz udane życie, i martwię się, że mogłabyś je narazić na ryzyko.*

*Podarowałaś mi spokój i mam nadzieję, że ja także Tobie pomogłam, bo stanowią dowód i jestem świadkiem Twojej niezwyklej podróży. Chcę, byś wiedziała, że gdyby kiedykolwiek dopadło Cię zwątpienie w siebie lub w to, co Ci się przydarzyło, powinnaś pamiętać, że nie jesteś sama. Byłam tam razem z Tobą.*

*Na koniec jeszcze jedno. Załączam prezent. Obdarowałam Louisa i Tobie także chciałam coś dać; potrzebowałam tylko trochę czasu, żeby znaleźć coś odpowiedniego. Przykro mi z powodu pierścionka, więc wydało mi się stosowne wysłanie Ci czegoś, co może go zastąpić. A obrączka z brylantami wydaje się odpowiednia.*

*Z wyrazami wdzięczności, zawsze do usług  
Elizabeth Keel*

Przeczytałam list kilka razy. Słowa „nie jesteś sama” mnie uszczęśliwiły.

Leżałam na sofie i oglądałam film przy zaciągniętych zasłonach, okryta kocem. Chwilami pilnie śledziłam wątek, chwilami popatrywałam na swój nowy pierścionek, przekreślałam go na palcu i pocierałam kciukiem od wewnętrznej strony dłoni. Elizabeth dała mi wiele do przemyślenia. Miała rację, ryzykowałam wszystko, żeby odwiedzić matkę. Gdybym miała wybierać pomiędzy moim życiem z Eddiem i dziewczynkami a życiem w przeszłości, wtedy rzecz jasna wybrałabym Eddiego i swoje dzieci. Ale czy rzeczywiście musiałam wybierać? Na tym polegał mój dylemat. Aż do niedawna nie uważałam przeszłości za niedostępną, jak to ujęła Elizabeth. Sądziłam, że mogę mieć jedno i drugie.

Myślałam, że będę mogła odwiedzać matkę tyle razy, ile zechcę, zanim umrze, żeby nie była sama; chciałam to zrobić dla niej, dla siebie. To, że opuszczałam terazniejszość tylko na kilka godzin, skłoniło mnie do myślenia, że taki plan jest wykonalny. To i fakt, że wyprawy w przeszłość najwyraźniej nie miały wpływu na moje obecne życie. Odkąd Elizabeth mi powiedziała, że mój pierścionek został skradziony podczas włamania, czułam się inaczej. Czyż ta zmiana nie dowodziła, że ma rację? Wszystko mogło się zdarzyć. Miała też rację, wytykając mi, że nie znam zasad odbywania podróży w czasie ani ich konsekwencji; wciąż byłam w tej dziedzinie nowicjuską.

Fizyczne obrażenia, jakich doznawałam... cóż, mogłam się z nimi pogodzić, ale Eddie nie byłby do tego zdolny. A ponieważ wciąż się narażałam, wiedziałam, że nie mogę powiedzieć Eddiemu o moich wyprawach w przeszłość. Nawet gdyby mi uwierzył, z całą pewnością próbowałby mnie powstrzymać, choćby dla mojego własnego bezpieczeństwa. W moim odczuciu te drobne urazy stanowiły niewielką cenę, a gdybym zakładała odpowiedni strój i nie lądowała tak niezdarnie, mogłam zminimalizować szkody. Ostatecznie nie mogły się specjalnie różnić od tego, na co narażają się miłośnicy niebezpiecznych pasji.

Obudziły się we mnie wątpliwości. Nie miałam jednak dużo czasu na decyzję, co robić. Poprzednim razem między wizytami upłynęło zaledwie parę tygodni, tymczasem w przeszłości minęło całe pół roku. Gdybym zwlekała, mogłoby być za późno. No i odezwało się to nieznośne pragnienie, by mieć więcej: obie wcześniejsze wizyty były piękne, ważne, emocjonalne. Gdybym wiedziała, że poprzedni raz był ostatnim i więcej nie zobaczę matki, może postąpiłabym inaczej.

Westchnęłam. Niezależnie od tego, co robimy, odkładamy ważne rozmowy tak długo, że w końcu jest za późno. Mogłam się założyć, że Eddie po powrocie z Francji powie mi to samo; że choć spędził ze swoją matką cały tydzień i miał zamiar uniknąć tego błędu, pewne rzeczy pozostały nieomówione, niepoznane. Gwarantuję. Może to nieuniknione, że kilkoro drzwi w życiu pozostaje zamkniętych na klucz, może wszyscy mamy podobne pytania, które pozostają bez odpowiedzi, i po prostu musimy się z tym pogodzić. Zamknęłam oczy i odchyliłam głowę do tyłu. Głosy w telewizorze mówiły rzeczy ważne dla treści filmu, ale nie słuchałam, a aksamitna ciemność pod powiekami była taka zachęcająca... Ostatnio dużo spałam. Wewnętrzny głos szeptał do mnie: „Jeszcze jedna wizyta, tylko jeden raz, jedna szansa, żeby wszystko wyprostować. Powiem matce, kim naprawdę jestem”. Odpląnęłam w sen, ukołysana dialogami z telewizji.

Obudziły mnie głosy moich dzieci i Eddiego, który próbował nad nimi panować, równocześnie wypakowując walizki z bagażnika. Znajome dźwięki dają poczucie komfortu, jak para wygodnych butów. Uniosłam się na łokciu, pamiętając o tym, by zsunąć pierścioneł z palca i ukryć w kieszeni.

– Jesteś w domu! – wykrzyknął radośnie Eddie. – Nie sądziłem, że tak wcześnie wrócisz z pracy. – Zawahał się. – Jesteś chora? – spytał, patrząc na koc, który przed momentem odrzuciłam na bok. – Spałaś?

– Wzięłam dzień wolnego, chciałam tu być, gdy wrócicie. – Nadal senna, wstałam i objęłam go w pasie. Wdychałam jego zapach, a miał go na sobie kilka warstw, jak aromatyczna rosyjska matroszka. Na zewnątrz pachniał dymem z ogniska, potem proszkiem do prania, nieznacznie, i dezodorantem, a kiedy przytknęłam głowę do pachy, poczułam jego pot i moje ciało natychmiast odpowiedziało, pozytywnie. – Tak bardzo za tobą tęskniłam – wyznałam, nie odrywając nosa od jego rękawa.

– Musisz mnie naprawdę kochać, skoro wążasz takie miejsce – stwierdził. – Przesiedziałem wiele godzin za kierownicą, mam kurz we włosach i na twarzy, bo przez całą drogę szyby były opuszczone. – Przetarł policzki, mocno, nasadami kciuków.

– Weź prysznic, a ja ci naleję drinka. Możemy usiąść na zewnątrz.

– Ładnie tu wysprzątane – pochwalił, a potem oderwał się ode mnie i ruszył na schody.

– Musiałam się czymś zająć pod waszą nieobecność – odparłam.

W tym momencie dziewczynki rzuciły się na mnie, a ja zagarnęłam w czułe objęcia ich drobne ciała, chude rączki i nóżki, które zaczynały się pokrywać najdelikatniejszym puszkim, i napawałam się zapachem ich włosów.

– Muszę się na was napatrzeć – powiedziałam i przyjrzałam im się z bliska. Znałam i kochałam w nich wszystko: krzywy ząb, każdy zakręcony kosmyk, pieprzyk nad lewą brwią, ciemne rzęsy, jasne rzęsy, idealnie kształtne brudne paluszki u stóp. Opadłyśmy wszystkie razem na sofę, tuląc się, łaskocząc, mówiąc jedna przez drugą, chichocząc bez opamiętania; z dziecięcą szczerością opowiadały mi o mrowiskach, pływaniu i użądleniu przez pszczołę, i o duchu, którego słyszały w domu babci, i o śmierzącym serze, którego nie chciały jeść, i o tym, jak jednego wieczoru babcia się upiła. Popłynęło całe mnóstwo historii, kiepsko opowiedzianych, poplątanych, urywanych i przez to jeszcze piękniejszych. Czułam, że wszystko we mnie wraca na swoje miejsce, moje ciało i umysł odzyskały właściwą formę, a ja bez trudu, gładko weszłam w koleiny mojego życia rodzinnego. Miałam wrażenie przynależności, nieosiągalne nigdzie indziej.

W ogrodzie za domem dziewczynki biegały boso po trawie, a ja razem z nimi. Zrywałyśmy jaskry i uczyły mnie francuskiej piosenki z klaskaniem, której nie byłam w stanie zapamiętać, ale nikomu to nie przeszkadzało.

A kiedy zobaczyłam Eddiego, który wszedł do ogrodu z kuchni, oddech uwiązał mi w gardle. Nie mogłam się doczekać, żeby znów go objąć i zostać przytuloną. On też był boso i miał na sobie jedynie spodenki do biegania.

– U mamy właściwie nie nosiliśmy ubrań ani butów – powiedział tonem wyjaśnienia. – Dziewczynki trochę zdziczały, w pewnym momencie zaczęły nawet siusiać w krzakach.

– I dobrze – powiedziałam ze śmiechem. Podałam mu zimne piwo; butelkę zdobiły koraliki rosy. Eddie pociągnął łyk i westchnął. – Mieliście udany tydzień? – spytałam.

– Owszem, było fantastycznie. Poza tym, że tęskniliśmy za tobą. Powinnaś była z nami jechać.

– No cóż, trochę udało mi się zrobić i bardzo wypoczęłam.

– Nie zdarzyło się nic ciekawego? – drażył.

– Nie – powiedziałam o oktawę wyżej, niż brzmiał mój normalny głos, i na dodatek jeszcze nienaturalnie się zaśmiałam, jakbym chciała samą siebie pogrążyć. Eddie patrzył na mnie, milcząc. W jego spojrzeniu była miłość. I nieufność.

– Kto chce lody?! – zawołałam w głąb ogrodu.

– Ja! – odkrzyknęły równocześnie Esther i Evie, a ja wykorzystałam pretekst, żeby się zająć normalną domową krzątaniną.

Nie patrzyłam na zegar, więc dziewczynki późno poszły spać. Zanieśliśmy je na górę, każde z nas po jednej, pachnące ciepłem, suchym kurzem i trawą. Evie zasnęła w moich ramionach, zanim weszliśmy na ostatni stopień, a Esther wetknęła kciuk do ust, co jej się zdarzało, tylko kiedy padała ze zmęczenia.

– Nie wkładaj palców do buzi, są brudne – powiedział szeptem Eddie, przytykając czoło do jej czoła.

– Zjadłam stokrotkę – odpowiedziała niewyraźnie, a kiedy położył ją na łóżku, natychmiast zwinęła się w kulkę i odwróciła do nas plecami.

Siedziałam na ich łóżkach i mówiłam im do ucha, dotykając ustami wilgotnych włosów:

– Jesteście dobre, miłe, mądre i zabawne. – Zrobiło mi się smutno, że sama powiedziałam to sobie wiele lat temu, a moja matka nigdy nie miała okazji szeptać mi takich dobrych rzeczy, gdy miałam więcej niż osiem lat. I gdybym się o siebie odpowiednio nie troszczyła, nie dbała o swoje bezpieczeństwo, ja też nie mogłabym tego robić dla swoich dzieci.

Zanim zeszedłam na dół, Eddie nalał dwa kieliszki czerwonego wina. Chwycałam koc i narzuciłam sobie na ramiona.

– Powiedz mi, jak było u mamy – poprosiłam.

Westchnął, a potem się uśmiechnął; dobrze się czułam, mając go znów przy sobie.

– Świetnie. Cieszę się, że pojechałem. To był znakomity pomysł.

– Nie ma za co – powiedziałam, a on cmoknął wymownie.

– Wy tłumaczyłem jej, dlaczego zdecydowałem się na tę wizytę: chciałem zadać te wszystkie ważne pytania, by kiedyś nie żałować, że ich nie zadałem. Dużo rozmawialiśmy, pytałem ją o mnóstwo rzeczy. Zakładała, że na większość tych pytań już znam odpowiedź.

– Na przykład?

– Na przykład co czuła w pewnych sytuacjach. Spytałem, co o mnie myślała, kiedy byłem dzieckiem, na co ona spytała mnie, co według mnie myślała. Zgadywałem w ciemno i właściwie wszystko się zgadzało. – Pociągnął długi łyk wina, a ja po prostu czekałam, żeby podjął opowieść.

– Powiedziała, że rozumie moją potrzebę wyjaśnienia pewnych rzeczy, ale kiedy zeszło na to, co sądzi o mnie i moich dokonaniach, odparła, że gdybym w przyszłości się zastanawiał nad jej opiniami, a byłoby zbyt późno, żeby zapytać, mam zawsze zakładać, że czuła przede wszystkim dumę, miłość i radość. – Na ostatnim słowie głos mu się załamał.

– Emocje? – spytałam domyślnie. Pokiwał głową i ścisnął grzbiet nosa, żeby powstrzymać łzy.

– Och, Eddie... – Wzięłam go za rękę.

– Ale to mi uświadomiło coś innego. – Pociągnął nosem i znów się uspokoił. – Nigdy nie rozmawiamy o twojej mamie. Wiem, że utrata matki w tak młodym wieku przepełniła cię rozpaczą.

Wyprostowałam plecy; bardzo pragnęłam mu powiedzieć i chciało mi się płakać. Oddychałam głęboko przez rozchylone nozdrza, napływ tlenu wciskał moje sekrety głębiej.

– Dlaczego nigdy o niej nie mówisz? – spytał.

– Nie ma o czym mówić. Niewiele pamiętam, zachowałam tylko jakieś mgliste wspomnienia.

Mało wiarygodne.

– Czyż wszystkie wspomnienia nie są mało wiarygodne?

– Być może. – Wpatrywałam się w dno kieliszka. – Ale niezależnie od tego, czy są wiarygodne, czy nie, mam ich niewiele. – Prawie już zapominałam te strzępki obrazów z matką z czasów przed moją podróżą w przeszłość. Okłamując Eddiego, miałam przed oczyma te nowe wspomnienia, które powstały w ostatnich miesiącach, i bardzo chciałam się nimi podzielić.

– No dobrze, ale co pamiętasz? – Wyraźnie nie zamierzał ustąpić.

Mogłam powiedzieć Eddiemu tylko to, co zapamiętałam z wczesnego dzieciństwa.

– Patrząc wstecz, pamiętam, że tęskniłam za nią, kiedy umarła. Przeziębła się, miała zapalenie płuc, często je łąpała, chyba każdej zimy. Tak to zapamiętałam, że się przeziębła i... no i umarła. Próbowałam to sobie wyobrazić, ale miałam wrażenie, że patrząc na pustą stronę w albumie, obraz nie chciał się pojawić. Pamiętałam fakty, w sumie nieistotne, ale nie umiałam ich zobaczyć tak wyraźnie, jak widziałam te nowe.

– Dość mgliste wspomnienie – zauważył Eddie łagodnie.

– Jeśli mam być szczerą, nie pamiętam wyraźnie tamtego okresu. Przeprowadziłam się do Henry'ego i Em, na tej samej ulicy, i w pewnym momencie mnie adoptowali. – Eddie o tym już wiedział. – Byli przed sześćdziesiątką, kiedy z nimi zamieszkałam. Z początku sądziłam, że zostanę tam tylko na trochę... i przypuszczam, że oni też tak myśleli, tak to odbierałam, ale może uznali, że skoro się dogadujemy, to mogą mnie przygarnąć na stałe. Byli mili. Pamiętam, jak urządzali mój pokój i oddali mi niektóre moje stare rzeczy. – Urwałam, wyobrażając sobie piłkę kosmiczny skoczek w kącie mojej dawnej sypialni.

– Pamiętam, jak zapytałam, co się stało z moją matką, a oni kazali mi usiąść. Popatrywali na siebie nawzajem, jakby każde z nich wołało, by to drugie udzieliło mi wyjaśnień. Naprawdę myślę, że gdybym ich nie zapytała, udawaliby, że nic się nie stało, i mieliby nadzieję, że pewnego dnia zupełnie o niej zapomnę, dla własnego dobra.

– Starali się być dla ciebie dobrzy – powiedział Eddie.

– Wiem. – Patrzyłam przed siebie i widziałam Henry'ego i Em jak w starym filmie, czarno-białym, przesuających się wolno w milczeniu, nakrywających stół do niedzielnego obiadu, uśmiechających się do obiektywu; a potem ukazali się w technikolorze, w tych nowszych wspomnieniach, bardziej żywych i wyraźnych.

– Powiedzieli, że się przeziębła, zachorowała i umarła. Nigdy więcej jej nie zobaczyłam. Pewnie uważali, że tak będzie lepiej, dla wszystkich zainteresowanych. Nie pamiętam, żeby zabierano z domu jej ciało. Byłam chroniona przed takimi widokami.

– Jeśli para zwierząt żyje razem i jedno z nich umiera... – Eddie zerknął na mnie, sprawdzając, czy wszystko ze mną dobrze, na co odpowiedziałam skinieniem głowy. – ...należy położyć ciało martwego obok tego, które żyje, na kilka godzin, by pojęło, że jego partner odszedł na zawsze. Jeśli po prostu usunie się ciało, to drugie będzie czekać i czekać. Zwierzęta też potrafią się niepokoić i popadać w przygnębienie, jeśli wiecznie się zastanawiają, gdzie się podziała bliska im istota. Z ludźmi chyba jest podobnie.

– Myślisz, że przez te wszystkie lata czekałam na matkę?

– Nie wiem, pewnie to wyglądało inaczej. Może nie czekałaś, ale rozpaczałaś. Czy później, dorastając, pytałaś o nią Em i Henry'ego?

– Nie. Nie chciałam ich denerwować. Nie sądzę, żebym im w ogóle zadawała jakieś pytania, raczej tego nie lubili. Poza tym o co miałabym pytać? Znałam ją lepiej niż oni, nawet im nie mówiłam, jak bardzo za nią tęsknię. Zabrali mnie na jej grób, kiedy byłam mała, ale tylko dwa razy, może trzy, zerwałam kwiaty z ich ogrodu i tam położyłam. A później to się skończyło. Pamiętam, że pytałam, czy moglibyśmy znowu pójść na grób, ale zawsze znajdował się jakiś powód, że nie mogliśmy, i w końcu przestałam pytać, bo nabrałam przekonania, że oni tego nie lubią. Według mnie naprawdę się spodziewali, że o niej zapomnę, jeśli nie całkiem, to przynajmniej zatrze się w mojej pamięci.

– Sądzisz, że jak umarła? To trochę dziwne, że nie wiesz nic więcej?

– Myślę, że dorośli po prostu chronili dzieci przed sprawami, których w ich mniemaniu nie mogły zrozumieć. Ale pozostawili we mnie zbyt wiele niewiedzy i to jest gorsze. Myślę, że umarła na raka albo coś w tym rodzaju. Nie mam pewności, ale zakładam taką możliwość. Raczej nie piła dużo, ale paliła.

– Naprawdę? – zdziwił się Eddie. – Ciekawe, dlaczego akurat to zapamiętałaś. Może przez zapach.

Oczywiście nie pamiętałam o jej paleniu przed moimi lotami w pudle po kosmicznym skoczku. To była nowa informacja; nie wykazałam czujności.

– Brałaś pod uwagę ponowną rozmowę z Henrym i wypytywanie go o matkę? Zanim będzie za późno...

Em zmarła przed ponad dziesięciu laty, a Henry, dobiegający dziewięćdziesiątki, mieszkał w domu opieki. Rzadko go odwiedzam, przynajmniej ze wstydem, ale czasami mi się zdarza.

– Nie wiem, Eddie.

– Ale wiesz, że to raczej kwestia teraz albo nigdy. – Popatrzyłam na męża; bardzo pragnęłam, żebym zaznała jak najmniej żalu, zwłaszcza odkąd zadbał o to we własnym życiu. – Jeśli nie porozmawiasz z nim, zanim umrze, będziesz żałować. Może powie ci więcej o twojej mamie teraz, kiedy jesteś całkiem dorosła. Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz.

– Pomyślę o tym – obiecałam. Sączyliśmy wino w mrocznym ogrodzie; Eddie zapalił cytrynową świecę, żeby odstraszyć owady. Płomień tańczył, to się kurczył, to strzelał w górę, szukał powietrza i cofał się przed nim. Wpatrywałam się w migoczący niebieski knot jak zahipnotyzowana.

– Moja mama miała rację – oznajmił po chwili Eddie. – Na wiele pytań, które jej zadałam, znałam już odpowiedzi. I chyba byłoby dobrze, gdybyś przyjęła to samo nastawienie w stosunku do swojej matki. – Nie odzywałam się, więc mówił dalej: – Chodzi mi o to, że twoja mama cię kochała i troszczyła się o ciebie. Byłaby dumna z ciebie i dziewczynki.

– Wiem – wyszeptalam.

– Na pewno? – Chciał mieć pewność, że wierzę w to, co mówię. – Nie musisz pamiętać matki ani tego, co mówiła do ciebie, by wiedzieć, że cię kochała tak samo mocno, jak my kochamy nasze śpiące królowny.

– Zaczynam to rozumieć – powiedziałam. Rzecz jasna, nie dotarło to do mnie w taki sposób, jak Eddie sobie wyobrażał. Miałam prawdziwy dowód, namacalne potwierdzenie i cieszyłam się z niego. Ale Eddie miał rację, bo prawda była taka, że nawet gdybym nie wróciła w przeszłość, żeby porozmawiać z matką, mogłam polegać na jej miłości. Mogłam w nią wierzyć.

Przez chwilę oboje po prostu patrzyliśmy na nasz ogród, naszą małą kieszonkę w świecie, która wydawała się bezpieczna i zawierała wszystko, czego potrzebowaliśmy. Przyjemna – choć przecież absurdalna – była myśl, że mieści się w nim cały wszechświat.

– To cudowne móc wierzyć w czyjąś miłość – odezwał się Eddie, przerywając błogą ciszę. – Zawsze starałam się ufać tobie i temu, co do mnie czujesz. Ale czasami się martwię, Faye. Ostatnio wydajesz się taka daleka. Nigdy wcześniej tak się przy tobie nie czułam. Zawsze byłaś tutaj. – Położył rękę na sercu. – Ale od jakiegoś czasu... sam nie wiem... czy ja cię tracę?

Odstawiłam kieliszek, w połowie pełny, na stół i wstałam, żeby usiąść Eddiemu na kolanach. Owinęłam koc wokół nas obojga.

– Byłam taka, wiem o tym. Ale mnie nie tracisz.

– Nie mówisz mi wszystkiego, nie potrafisz zrozumieć dlaczego. Nie chcę pytać, ale muszę. Jest ktoś inny?

Był ktoś inny. Moja matka. Wiedziałam jednak, co Eddie ma na myśli, więc pocałowałam go, długo i namiętnie, by dać mu pewność, że nie ma innego mężczyzny w moim życiu.

Odsunął się ode mnie delikatnie.

– Czy nakładam na ciebie zbyt dużą presję, przystępując do stanu duchownego? Mama twierdzi, że to musi być dla ciebie bardzo trudne, a ja chyba starałam się tego nie zauważać.

– Oswajam się z tym. – Na długą chwilę przytknęłam wargi do jego policzka. – Myślę, że Bóg to nie tylko ten brodaty gość w niebie. Wiem, że Bóg jest na ziemi, w ludziach, w dobrych uczynkach. W wielkich i małych rzeczach. Jest pod paznokciami naszych córek i w całej dobroci, którą okazujemy ludziom. Wiem, że to, co ludzie nazywają „dziełem Boga”, można też nazwać „ujmowaniem ciężaru” drugiej istocie ludzkiej. Mój rodzaj Boga może się różnić od twojego i może tylko o to chodzi.

Eddie odsunął mnie od siebie na tyle, by móc mi spojrzeć w oczy.

– Dużo nad tym myślałaś – stwierdził.

– Owszem, i jestem z tobą.

Otarł się nosem o moją szyję i kiedy poczułam ciepło jego oddechu na skórze, wiedziałam, że zanieś mnie na górę i będziemy się kochać, po cichu, żeby nie obudzić dziewczynek. Czułam – jak wiele razy wcześniej – że wszystko, czego tak naprawdę potrzebuję, jest w moim zasięgu. Objął mnie w pasie, a ja zamknęłam oczy, słysząc jego westchnienie, i wzięłam go za rękę, splatając palce z jego

palcami. Nagle znieruchomiał. Wstrzymał oddech, ja też, bo natychmiast się zorientowałam, że popełniłam błąd. Jego palce nadal ledwie wyczuwalnie się poruszały, podczas gdy cała reszta naszych ciał – wydawało się, że nawet serca – zastygła w bezruchu. Odsunął się, z ustami wciąż rozchyłonymi po pocałunku, uniósł moją dłoń, przyjrzał jej się szybko, a potem utkwiał pytające spojrzenie w mojej twarzy.

– Gdzie jest twój pierścionek zaręczynowy?

Skuliłam się na jego kolanach, żałując, że nie siedzę osobno. Wolałabym udzielać wyjaśnień na odległość, choćby najmniejszą. Mówi się, że tym łatwiej władać bronią, im bardziej jest odległa, tymczasem ten granat, eksplodując, miał nas oboje wysadzić w powietrze.

– Ja... go... zgubiłam... – wydukałam.

Odchylił się jeszcze bardziej i zmrużył oczy, jakby chciał mi się lepiej przyjrzeć.

– Jak to zgubiłaś? Gdzie?

– Gdybym wiedziała, tobym go znalazła – odparłam. Logika mojego rozumowania wcale mu się nie spodobała.

– Gdzie twoim zdaniem mogłaś go zgubić? – uściślił, już nieco zirytowany.

– Chyba w domu. Przy sprzątanu. – Niechętnie użyłam tej wymówki, bo upierałam się, żeby nie zdejmować biżuterii przy żadnej czynności. Eddie zsunął mnie ze swoich kolan i wstał.

– Zgubiłaś? Nie wierzę!

Zerknęłam na niego, choć bałam się nawiązania wzrokowego kontaktu.

– Chcesz powiedzieć, że nie wierzysz, bym mogła zrobić coś tak głupiego? – spytałam niepewnie.

– Nie wierzę, że zgubiłaś pierścionek przy sprzątanu. Chcę powiedzieć, że kłamiesz. Wyrażam się dość jasno? – Zmierzył mnie spojrzeniem, które mogło jak gwóźdź przybić do krzyża. – Od dawna okłamujesz mnie w wielu sprawach. Okazywałam cierpliwość, ale już wystarczy. Chcę znać prawdę. Kim on jest?

Rozumiałam, oczywiście, a mimo to czułam się znieważona. Dlaczego mój mąż nie mógł mi tak po prostu uwierzyć? Miałam świadomość, że kłamię, ale co on sugerował? Że zdjęłam biżuterię, idąc na schadzke z nieznajomym, i wtedy zgubiłam pierścionek? Dla niego wszystko sprowadzało się do strachu, że mam romans. Otóż nie miałam. Nie ponosiłam winy za to, że nie mogę mu powiedzieć prawdy.

– Myślę, że wykazałabym trochę więcej sprytu, gdybym sypiała z kimś innym, nie sądzisz?

– Wiem tylko tyle, że kłamiesz, a najprostsze wyjaśnienia są czasem tymi trafnymi.

– I nie chcesz przyjąć tego, że zgubiłam pierścionek przy sprzątanu?

– Mówiąc „proste”, nie miałem na myśli „głupie”. Nic dziwnego, że tak gorliwie wysyłałaś nas do Francji. – Spojrzałam na stolik, gdzie stały nasze kieliszki z winem, świece, na porzucony koc na ziemi i pomyślałam z żalem o zepsutym wieczorze. Łzy rozczarowania napłynęły mi do oczu, jedna stoczyła się po policzku; wytarłam ją niecierpliwym ruchem.

– Co byś powiedział – zaczęłam cicho, nagle dość odważna, żeby mu patrzeć prosto w oczy – gdybym się przyznała, że wymieniłam pierścionek na garść magicznej fasoli?

Eddie podszedł bliżej i pochylił się nade mną; jego urodziwa twarz znalazła się dosłownie centymetry od mojej twarzy.

– Powiedziałbym „pieprz się”. – Odwrócił się i patrzył na ciemny ogród. Zrobił parę kroków do przodu, oparł się o barierkę tarasu, zwiesił głowę i kręcił nią jak kapitan, który wie, że popłynął w złą stronę, i patrzy na ocean, który nie daje odpowiedzi... przynajmniej takich, jakie chciałby usłyszeć.

– Eddie – zaczęłam, ale uciszył mnie, podnosząc dłoń, więc zamilkłam.

– O ile to nie będzie absolutna prawda, nie chcę słyszeć ani słowa – oznajmił. A ja szanowałam go na tyle, żeby nic nie mówić.

Po upływie kilku sekund, które ciągnęły się jak minuty, obejrzał się na mnie przez ramię. Oczy mu błyszczały. Otuliłam się kocem jak dziecko wymyśloną tarczą i czekałam na wybaczenie wszystkiego, co w jego przekonaniu zrobiłam. Przewidywałam, że wierzy w moją miłość i będzie wiedział, że nigdy bym go nie zdradziła. Wierzyłam, że zna mnie na tyle dobrze, by ufać, że cokolwiek przed nim ukrywam, nie jest prymitywną, nikczemną zdradą. Patrzyłam na niego z całą miłością i lojalnością, które wypełniały mnie do szpiku kości.



– Eddie – zaczęłam jeszcze raz.

Uniół rękę, jakby zamierzał wykonać jakąś magiczną sztuczkę, po czym włożył do ust palec, na którym nosił obrączkę. Ustami zsunął cienki pasek platyny, przytrzymując moje spojrzenie, jak magik, by mieć pewność, że cała moja uwaga skupi się tam, gdzie on sobie życzy. Potem uniół obrączkę nad głowę, odwrócił się i cisnął ją w głąb ogrodu. Wstrzymałam oddech. Przez moment wyobrażałam sobie, że widzę, jak światło księżycy odbija się w gładkiej srebrnej powierzchni, kiedy leciała w powietrzu, a potem zniknęła w ciemnej trawie.

Eddie patrzył za nią, aż wylądowała.

– Jeśli się zmieni w łodygę fasoli – powiedział – możesz po niej spierdalać.

Zabrał mi koc, chwycił na wpół opróżniony kieliszek i położył się spać na kanapie.

Dziewczynki spały do późna; wstałam przed nimi. Łóżko, za duże bez Eddiego, zdawało się mnie odpychać, więc zwlokłam się na dół. Podwójne drzwi prowadzące z kuchni do salonu były w górnej części przeszklone; wyjrzałam przez jedną z szyb, ale zamiast śpiącego męża zobaczyłam schludnie poskładane koce i poduszki ułożone tak, jakby nikt nie korzystał z sofy. Poczułam ucisk w gardle na myśl, że Eddie już się wyprowadził. Bałam się, że coś mu się stanie, zanim będziemy mieć szansę się pogodzić.

Przeszłam do kuchni i włączyłam czajnik. Oparta o blat wpatrywałam się w błyszczące drobinki w marmurze; żal nad sobą tak mnie przygniatał, że nie mogłam wyprostować ramion. Kiedy wreszcie zebrałam w sobie siły, żeby podnieść wzrok, wyjrzałam przez okno i go zobaczyłam. Na czworaka, z twarzą tuż przy wilgotnej trawie wyglądał jak pies szukający biedronki. Zauważyłam, że ściągnął spodnie do biegania, przemoczone od rosy, i został w samych majtkach. Przysiadł na piętach i budzącym litość gestem ukrył twarz w dłoniach. Kiedy opuścił ręce, nasze spojrzenia się spotkały i choć właściwie tuż przed tym i tak nie wykonywałam żadnych ruchów, skamieniałam, nie oddychałam ani nie mrugałam. Wyprostowałam się powoli, ani na moment nie przerywając z nim kontaktu wzrokowego.

Eddie wstał i ruszył wolno w moją stronę; kolana – czerwone, z odgniecionymi liniami od długiego klęczenia – miał oblepione trawą. Otworzyłam kuchenne drzwi, a on wszedł i objął mnie tak, jakby był bardzo, ale to bardzo zmęczony.

– Przepraszam – powiedziałam.

– Ja też – wymruczał. Przyciskał mnie do siebie, trzymając ręce w moich włosach.

– Nie mam romansu – zapewniłam, choć byłam pewna, że już to wie, sądząc po wyrazie jego twarzy i zachowaniu.

– Tęsknię za tobą. – Zajrzał mi w oczy z taką żarliwością, że czułam to palące spojrzenie w głębi czaszki.

– Jestem tutaj – powiedziałam. – I nigdzie się nie wybieram. – I, przysięgam, w tamtym momencie to była prawda.

Czułam, że mogłabym w nieskończoność rozmyślać o Jeanie i mojej ostatniej wizycie u niej oraz o spotkaniu z Elizabeth, ale starałam się wrócić do normalności. Ostatecznie po traumatycznych wydarzeniach – doświadczeniach zmieniających życie – ludzie nadal piją herbatę, biorą prysznic, idą do łóżka, idą do pracy, opychają się serem, stojąc przed otwartymi drzwiami lodówki. Robiłam wszystkie te rzeczy. Dbanie o rodzinę było łatwe, zajmowałam się tym od lat.

Po tygodniu mogłam obejrzeć cały film, przygotować i zjeść cały posiłek, umyć włosy i przebrać się z piżamę, nie myśląc o tym, że kiedyś podróżowałam w czasie. Ale ta świadomość nie zniknęła, była tuż pod powierzchnią; wystarczyło brzegiem monety bardzo lekko poskrobać po moim codziennym życiu i ukazywał się, kawałek po kawałku, czas, który spędziłam z ukochaną matką. Patrząc w lustro, widziałam jej twarz, inną – i młodszą – niż moja. Kiedy leżąc w łóżku, zamykałam oczy, przypominałam sobie, jak obserwowałam ją śpiącą, jak wdychałam jej zapach, i czasami moja poduszka robiła się mokra od bezgłośnych łez.

Starałam się koncentrować w pracy: przeprowadzałam eksperymenty, pisałam raporty, organizowałam grupy fokusowe, uczestniczyłam w zebraniach. Trudno było, ponieważ tylko czekałam na przerwę, żeby przy lunchu usiąść z Louistem i pogadać. Od czasu Elizabeth zbliżyliśmy się do siebie. To, że mi wierzył, przeniosło naszą znajomość na inny poziom, tak się dzieje, kiedy ludzi łączy tajemnica. Myślę, że przez jakiś czas Louis był zazdrosny o Elizabeth, ponieważ była ze mną w przeszłości. Zaczęłam to wyczuwać po tym, jak przeczytałam mu list od niej i opisałam otrzymany pierścionek z brylantami. Nie mówię, że Louis zazdrościł czegoś tak w ogóle, myślę, że po prostu chciał być ważniejszą częścią tej całej historii. Miałam wrażenie, że jestem kapitanem, a on moim pierwszym oficerem, nieufnym wobec nowych członków załogi. Dla mnie jednak to on był najważniejszy. Potrzebowałam Louisa... no i go znałam. W przeciwieństwie do Elizabeth, z którą rozmawiałam zaledwie dwa razy w życiu. Wiedziałam jednakże, że dla Elizabeth jestem kimś znacznie więcej niż zwykłą znajomą.

Poza tym Louis jest wielkim fanem Elizabeth i dużo o niej rozmawialiśmy. Bardzo mu się podobało, że dała mu to emaliowane jajko; było piękne i on to wiedział, niezależnie od tego, czy mógł, czy nie mógł go zobaczyć. Z dumą ułożył jajko na gzymsie kominka, żeby widział je każdy, kto przychodzi do jego domu.

– To pokazuje, jak daleko zaszedłem – oznajmił któregoś razu podczas lunchu w kawiarni.

– Co przez to rozumiesz? – spytałam, wgrzyzając się w kanapkę.

– Jako dziecko nie znałem nawet kształtu jajka, a teraz mam je w domu, bardzo drogie, piękne, łatwe do stłuczenia. To jak mówić: „Pieprzcie się” ukrywaczom jajek.

– Przecież nie wiesz, czy jest drogie – powiedziałam z pełnymi ustami.

– Nie psuj mi tego, prawdopodobnie jest. Twój pierścionek jest drogi jak cholera.

– I pasuje jak ulał. – Przekreśliłam go na palcu, co już weszło mi w zwyczaj. Powiedziałam Eddiemu, że to sztuczna biżuteria, a noszę ją, żeby zapełnić puste miejsce na palcu po pierścionku zaręczynowym.

– Może warto było stracić ten drugi? – podsunął prowokująco.

– O Boże, nie, ale gest był miły i szczodry. Nie musiała tego robić. – Po pauzie rzuciłam pytająco: – „Ukrywacz jajek”?

– Wiesz, co mam na myśli. – Przez chwilę jedliśmy w swobodnym milczeniu. W kawiarni roiło się od ludzi zamawiających jedzenie na wynos; parę osób uśmiechnęło się do mnie z podziwem, jakby uważali, że robię dobry uczynek, zabierając ślepego kolegę na lunch. Nienawidziłam tego. Siedzieliśmy w kącie pod tylną ścianą lokalu, jak najdalej od wejścia i zimnego wiatru, który wpadał do środka za każdym razem, gdy ktoś wchodził; dotąd mieliśmy ciepły październik, ale do drzwi pukała już chłodna jesień.

– Wróciłbyś na moim miejscu? – spytałam.

Louis otarł usta serwetką.

– Wróciłbym. Ale to nie znaczy, że ty powinnaś. Nie mam dzieci, nie mam męża. Właściwie nie mam nikogo, kto by na mnie polegał i tęsknił za mną, gdyby coś poszło nie tak.

– Nieprawda, Louis, ja bym tęskniła – zapewniłam.

– To nie to samo – odparł. – Po prostu nie jestem aż taką ważną osobą w życiu ludzi, których znam. Można mnie zastąpić.

– Nie można cię zastąpić – powiedziałam. – Louis, ciebie nie da się zastąpić.

– Więc gdybym miał takie pudło i chciał się cofnąć w przeszłość, żeby odwiedzić tatę, zachęcałabyś mnie do tego?

– Gdyby ci naprawdę na tym zależało, to tak.

– Dlatego że gdybym się zgubił, został ranny lub zginął, nie miałyby to znaczenia dla świata. Wyruszylibym w tym pudle, a gdybym nie wrócił, po jakimś czasie ktoś by się zdziwił: „Hej, a gdzie jest ten ślepy gość, który zawsze się potykał o mój kosz na śmieci?”. Szybko przestano by pytać, gdzie się podziwiam, i po prostu by mnie nie było. Siostra by się martwiła, ale prawdopodobnie by uznała, że wskoczyłem do jeziora, bo miałem dość swojej ślepoty, a potem sprzedałaby dom i skupiła się na własnym życiu.

– Nieprawda – wyszeptalam z naciskiem.

– Prawda – odpowiedział spokojnie, z pełnym przekonaniem.

– Nie dla mnie – upierałam się, na co tylko wzruszył ramionami i odgryzł kęs kanapki. – Nie waż się wskakiwać do żadnego pieprzonego jeziora. Zdenerwowałeś mnie, Louis. – Na koniec dodałam żałośnie cienkim głosem: – Jesteś dla mnie niezmiernie ważny. Potrzebuję cię.

– Ja też cię potrzebuję, podobnie jak wielu innych ludzi, tymczasem wciąż grozisz, że wejdiesz do jakiegoś pudła i znikniesz na zawsze.

– Nie myślałeś tak przed spotkaniem Elizabeth.

– Wiem. Ale to, co powiedziała, że tak naprawdę niewiele wiemy o podróżach w czasie, mnie zaniepokoiło.

– Mnie też – przyznałam. – Cały czas myślę o tym, że skoro coś tak trwałego jak pierścionek mogło zniknąć, co jeszcze może pójść nie tak? Może zdarzy się jakaś katastrofa. To dziwne, bo wcześniej miałam poczucie, że wracając tam, formuję terazniejszość taką, jaką znamy.

– No cóż, to się nie zmieniło – stwierdził Louis. Sięgnął po napój.

– Co masz na myśli? Sądziłam, że skoro zawsze miałam swój pierścionek zaręczynowy, to fakt, że został skradziony Elizabeth, oznacza, że chronologia została zakłócona.

– Nie. – Pokręcił głową. – To nie tak. Chronologia twojego życia i tego, kiedy miałaś pierścionek, nie uległa zmianie, prawda? Miałaś go przez cały okres małżeństwa aż do tamtego dnia i teraz go nie masz. Według mnie nic się nie zmieniło w wyniku twojej podróży w przeszłość czy włamania.

– Mam mętlik w głowie – przyznałam. – Czyli nie ma czym się przejmować, że coś może się zmienić, jeśli znów tam wrócę?

– Nie, po prostu zaczynam myśleć, że byłaś tam tylko dwa razy i nie możemy być pewni zasad, na jakich to się odbywa. – Zamyślił się i unióś w górę palec.

– Co? – rzuciłam zaintrygowana.

– Jeśli tam wrócisz, mogłabyś zabrać trochę pieniędzy, zapłacić Elizabeth za wrotki i odzyskać pierścionek, zanim zostanie skradziony. Przynajmniej znów będziesz go nosić i Eddie przestanie się wkurzać. Kiedy było włamanie?

– Lata po tym, jak ją poznałam. Mogłoby się udać. Ale moje pieniądze na nic się zdadzą w latach siedemdziesiątych.

– Prawdopodobnie można kupić odpowiednie na eBayu – stwierdził.

– Kupić pieniądze z lat siedemdziesiątych?

– Hmm... – Pokręcił głową. – Nie, to nie przejdzie.

– Dlaczego?

– Bo pierścionek już został skradziony. Nie da się tego cofnąć, możesz tylko doprowadzić do

tego, co jest teraz, ale nie zmienisz tego, co już nastąpiło. Poza tym jednak uważam, że absolutnie nie wolno ci płacić za te wrotki.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Bo Elizabeth powiedziała, że nie zapłaciłaś, więc to byłoby dokonywanie zmiany.

– O Boże, przestań. – Chwyciłam się za głowę, jakby mózg miał mi wypaść ze środka.

– Nie wracaj. To w niczym nie pomoże, a jest zbyt niebezpieczne – stwierdził Louis.

– Zdecyduj się. – Odłożyłam serwetkę na talerz, nie mogłam już niczego przełknąć. – Minus polega na tym, że nigdy więcej nie zobaczę matki. I tyle. Dzięki. – Cała ta rozmowa była kręceniem się w kółko. Chciałam wrócić w przeszłość, ale ryzyko mogło się okazać zbyt duże. Gdyby nie historia z pierścionkiem, pewnie bym się nie zastanawiała, mimo realnego ryzyka i tego wszystkiego, co miałam do stracenia. Takie podejście urągało rozsądkowi, należało bardziej słuchać głowy, a głos serca trochę przyciszyć. Musiałam się pogodzić z tym, że straciłam matkę ponownie, zanim miałam szansę powiedzieć jej to wszystko, co chciałam. Czułam, że tracę ją po raz drugi w życiu, a może nawet trzeci. Za każdym razem doświadczałam żalu opuszczenia. Ale czyż nie miało tak być zawsze, niezależnie od tego, ile razy lub jak wspaniale zdołam się z nią pożegnać? No i jeszcze Louis, tłumaczący mi, że w istocie niczego nie zmieniłam – skradziony pierścionek się nie liczył – i moje życie, takie, jakie znam, pozostanie nienaruszone, niezależnie od tego, co zrobię w przeszłości. Uważałam się za osobę z natury raczej ostrożną, dlaczego więc ryzykowałam wszystko, co miałam? Moje wyprawy w przeszłość zawsze przenikał lęk, że nie będę mogła wrócić do teraźniejszości, a mimo to pragnienie, by odbyć następną, zżerało mnie fizycznie i emocjonalnie.

Kupiłam dwie kawy i znów usiadłam przy stoliku; uniosłam rękę Louisa i przytknęłam do jego kubka.

– Wiedziałaś, że zostałam adoptowana po śmierci matki? – spytałam.

– Domyślałam się, że trafiłaś do adopcji albo do rodziny zastępczej. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Wzięło mnie do siebie pewne starsze małżeństwo, nazywałam ich cicią Em i wujkiem Henrym. Mili ludzie, jak serdeczni dziadkowie. Zawsze się czułam, jakbym tylko ich odwiedzała, nawet kiedy zamieszkałam u nich na stałe.

– Jak się układało? – wyraził zainteresowanie Louis.

– Dobrze. Byli mili, a ja nie sprawiałam im żadnych problemów. Mieli swoje pasje, grywali w kręgle i w rzutki. Prowadzili ustabilizowane życie, co chyba mi służyło. To wyglądało, jakby jednego dnia moja matka była przy mnie, a następnego już jej nie było; Em i Henry mnie przygarnęli i już u nich zostałam. Pamiętam niedzielne wieczory: oglądaliśmy w telewizji serial *Bullseye* i jedliśmy grzanki z pasztetem i zupę z proszku z tych firmowych czerwono-białych kubków. Potem był *Bergerac*. Przewodni motyw muzyczny tego serialu kojarzył mi się z niedzielnym wieczorem, przypominał, że następnego dnia idę do szkoły. Matka była prawdziwą hippiską, dawała mi mnóstwo miłości i troski, ale chyba nie zawsze przejmowała się obowiązkami. Em i Henry prawdopodobnie mnie uratowali, powstrzymali przed popadnięciem w szaleństwo po jej śmierci. Naprawdę się mną opiekowali. Po paru latach wystąpili o adopcję.

– Nadal żyją?

– Wujek Henry dobiega dziewięćdziesiątki. Przygarnęli mnie tuż przed sześćdziesiątką, wyobrażasz sobie? Em zmarła jakieś dziesięć lat temu. – Pociągnęłam łyk kawy i uśmiechnęłam się, bo Louis miał nad wargą pasek śmietanki, który wyglądał jak siwy wąsik. Postanowiłam mu o tym nie mówić.

– Eddie uważa, że powinnam odwiedzić Henry’ego i zadać mu więcej pytań o matkę, zanim będzie za późno.

– A co on może wiedzieć o twojej mamie? Czego ty nie wiesz lepiej, odkąd ją odwiedziłaś? – spytał Louis.

– Nigdy mi nie powiedzieli, jak umarła, więc znam tylko wersję o przeziębieniu. To chyba nie w porządku? Musiało być coś więcej, zawał, rak, astma. Nie wiem. Chronili mnie i to rozumiem. Zabrali mnie na jej grób parę razy i może według nich to miało stanowić zwieńczenie żałoby. Szczerze mówiąc,

nawet bym nie potrafiła znaleźć tego grobu.

– No to porozmawiaj z Henrym, spytaj go, co ci szkodzi?

– Sama nie wiem, to potencjalna puszka Pandory.

– Po prostu go odwiedź i nie pytaj od razu, tylko zobacz, w jakim kierunku potoczy się rozmowa.

– To samo radziłeś, kiedy szliśmy do sklepu Elizabeth – przypomniałam mu.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą?

– Nie tym razem. Myślę, że powinnam jechać z Eddiem i dziewczynkami. Potem ci wszystko opowiem – obiecałam, ściskając go za rękę.

– Dobry pomysł – powiedział Louis mocnym, zdecydowanym głosem. Odwzajemnił uścisk. – I postęp. To właśnie robią normalni ludzie, kiedy chcą się czegoś dowiedzieć o przeszłości: rozmawiają z żyjącymi osobami, zamiast wsiadać do maszyny czasu. To krok w dobrą stronę.

Wujek Henry ma duży podbródek – zawsze miał – i przypomina mi Droopy’ego, psa z amerykańskiej kreskówki. Droopy musiał trzymać tabliczkę z napisem „Jestem szczęśliwy”, bo jego mina sugerowała coś wręcz przeciwnego. Z wujkiem Henrym było podobnie, ale bynajmniej nie czuł się nieszczęśliwy. Gdybym go miała opisać tylko dwoma przymiotnikami, wybrałabym „solidny” i „zadowolony”; człowiek, który dawał poczucie bezpieczeństwa samą swoją obecnością. Nawet teraz, kiedy przysiadłam na skraju sofy obok jego wózka inwalidzkiego, mocny uścisk jego dłoni dodawał otuchy.

Kiedy myślę o pierwszym wieczorze spędzonym u Em i Henry’ego, mam przed oczyma talerz starannie ułożonych ciastek: karmelowe wafelki w lśniącej czerwono-złotej folii tworzyły obraz słońca z promieniami, a przerwy między nimi wypełniały czekoladowe biszkopty w sreberkach oraz różowe wafelki, te ostatnie bez opakowania. Ciastek było za dużo, żeby je zjeść, ale akurat tyle, by tworzyły wzór. I to wcale nie było dziwaczne, tylko urocze. Traktowali mnie jak szczególnego gościa i zachowywali się bardzo miło.

Teraz, w mocno podeszłym wieku, podbródek Henry’ego robił się coraz bardziej obwisły; tylko to się w nim zmieniło, jego umysł pozostał sprawny. Kiedy przybyliśmy do domu opieki, uciał sobie pogawędkę z Esther i Evie, wypytał je o szkołę i o wycieczkę do Francji, chciał też wiedzieć, co w jednym i drugim uważają za najgorsze. Zawsze pytał, co najgorszego ci się zdarzyło tego dnia, podczas wakacji, w weekend, bo, jak twierdził, wszyscy pytali o to najlepsze, a dobrze być innym niż reszta. Evie wdrapała mu się na kolana, a on ją objął. Ostrożnie chwyciła luźną skórę na jego policzku i lekko uniosła.

– Co jest pod spodem? – spytała tonem niezobowiązującej rozmowy.

– Słodycze! – oznajmił radośnie i wyciągnął torebkę z kieszeni przymocowanej z boku, jak sakwa, do wózka. – Wcześniej trochę stamtąd wyjąłem i zapakowałem dla was do torebki.

To był rytuał powtarzany podczas każdej naszej wizyty. Kiedy pierwszy raz zabrałam Evie na spotkanie z Henrym, a raczej pierwszy raz, gdy umiała już mówić, wspinała się na niego jak małpka i ku mojemu przerażeniu spytała o policzki. Skręciło mnie z zakłopotania, tymczasem on się roześmiał i oznajmił, że mieszka tam rodzina małych ptaszków. Następnym razem zawczasu się przygotował i powstała wersja o słodyczach.

Siedzieliśmy we dwoje przy wysokim na całą ścianę oknie wychodzącym na ogród i patrzyliśmy, jak na zewnątrz Eddie bawi się z dziewczynkami w chowanego.

– Miałeś ostatnio dużo gości, wujku Henry? – spytałam.

– Prawie codziennie, kochanie – odparł. – Ale kiedy dożywa się mojego wieku, a odwiedzają cię koledzy z drużyny kręglowej i ich żony, stopniowo robi się ich coraz mniej – stwierdził rzeczowo. – To ten straszny aspekt starości, kiedy żyjesz dłużej niż inni, możesz tylko patrzeć, jak jeden po drugim odchodzą twój przyjaciele.

Uścisnęłam jego rękę.

– Miałam nadzieję, że będę cię mogła spytać o parę rzeczy dotyczących mojej matki, Henry. Takich, o które nigdy wcześniej nie pytałam.

Zamknął oczy.

– Wiem. Zanim będzie za późno.

– Tego nie chciałam powiedzieć.

Zacisnął palce trochę mocniej i pogładził kciukiem wierzch mojej dłoni.

– Twoja ciotka Em i ja kochaliśmy cię, nadal cię kocham, oczywiście. Mam nadzieję, że wiesz, ile nam dałaś radości. Em, moja droga Em, nie mogła mieć dzieci, co bardzo nas smuciło, ale kochaliśmy się nawzajem, otaczaliśmy przyjaciółmi i znajdowaliśmy sobie różne zajęcia. Wtedy było trudniej, jeśli nie mogło się mieć dzieci. – Głos Henry’ego stał się chrapliwy; odruchowo sama miałam ochotę odchrząknąć. – Dla kobiety, która chce mieć dzieci, a nie może, to zawsze jest trudne, ale chodzi mi o to,

że wtedy trudniej było znaleźć inny cel wypełniający czas, pozwalający zapomnieć o smutku. Kiedy straciłaś mamę i przysłaś do nas, byliśmy już pogodzeni z brakiem potomstwa. Poczucie pustki nigdy nie zniknęło, po prostu do niego przywykliśmy. – Utkwił wzrok za oknem. – Prawdopodobnie nie pamiętasz, ale zaglądałyście do nas z matką od czasu do czasu, i Em bardzo przeżywała te wizyty z twojego powodu. Uwielbiała dzieci. Byłaś dla nas bardziej jak wnuczka, ze względu na nasz wiek, ale Em... i ja też kochaliśmy cię jak własne dziecko. Byłaś bardzo grzeczną dziewczynką, mieliśmy szczęście.

– Byliście dla mnie dobrzy, wujku Henry. Cieszę się, że znalazłam u was dom i opiekę.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Byłam podminowana, bo Henry musiał wiedzieć, że pragnę usłyszeć więcej o tym, co się stało z moją matką, a sam nie poruszał tego tematu. To oznaczało konieczność zadawania pytań.

– Kiedy byłam mała – zaczęłam – kiedy z wami zamieszkałam... nie pamiętam, co się stało z moją matką. Mówiliście, że się przeziębila, miała infekcję, tak? A potem umarła? Ale to takie enigmatyczne, z pewnością wiesz więcej.

Henry spojrzał na mnie. Usta miał zaciśnięte w wąską linię, bałam się, że ich nie otworzy i nic mi nie powie.

– Wujku Henry – powiedziałam cicho, przysuwając się do niego bliżej. – Nigdy bym cię nie osądzała. Wiem, że ty i ciocia Em chcieliście mi oszczędzić bolesnych szczegółów śmierci mamy. Nie chcieliście, żebym cierpiała, uważaliście, że będzie lepiej, jeśli zapomnę, bo byłam jeszcze dzieckiem, a każdy chce uchronić dziecko przed bólem. Rozumiem to. Ale teraz, kiedy dorosłam i moje więzy z przeszłością są zagrożone... – Uśmiechnęłam się smutno. – Muszę wiedzieć, wujku Henry, bo inaczej będę się zastanawiać przez resztę życia. Do bólu utraty doszedł ból, że nie znam prawdy.

Popatrzyłam na niego błagalnie.

– Na to, że ją straciłam, nic nie mogę poradzić. Ale potrzebuję znać prawdę, dlaczego ją straciłam i w jaki sposób. To mi pomoże. Proszę.

Henry pokiwał głową i poklepał moją dłoń, jakby dawał mi sygnał, żebym przestała go namawiać.

– Podaj mi szklanek wody, kochanie – poprosił.

Napił się i oboje wyjrzelśmy przez okno. Z naszego miejsca widać było, jak Esther chowa się za drzewem i zakrywa usta, żeby powstrzymać chichot, który mógłby ją zdradzić, a Evie wybiera krzew stanowiący kiepską kryjówkę i jest w pełni widoczna.

– Nie ma żadnych szczegółów – oznajmił Henry. Zamknęłam oczy. Nie zamierzał mi niczego powiedzieć. – Właściwie powiedzieliśmy ci więcej, niż sami wiedzieliśmy.

Odwrociłam się w jego stronę, a on nadal wpatrywał się przed siebie.

– Nie wiedziałem nawet, że się przeziębila, ty nam o tym powiedziałaś. Mówiłaś, że matka często się przeziębia i kaszle i że właśnie tak się stało. Ale nie wiem, jak umarła.

– Byłeś na pogrzebie? – spytałam.

– Nie było żadnego pogrzebu. – W końcu na mnie spojrzał. Wydawało mi się, że widzę w jego twarzy prośbę o wybaczenie. Przerażliwy pisk przestraszył mnie tak, że aż podskoczyłam. Zobaczyłam przez szybę, że Eddie zakradł się od tyłu do Esther i nagle ją chwycił. I zaraz oboje wybuchnęli śmiechem.

– Dlaczego nie było pogrzebu? Co zrobiono z ciałem?

Henry westchnął przeciągle, wyczułam w jego oddechu zapach miętówki.

– Nie było ciała. Nikt nie wie, co się stało z twoją matką... to znaczy nikt tego nie wie na pewno. Istniały różne domysły, a my próbowaliśmy cię przed nimi chronić. Ale nigdy nie znaleziono ciała. Zaginęła i została uznana za zmarłą.

– Uznana? – powtórzyłam i nagle zaczęło mi brakować powietrza.

– Sądzimy, że popełniła samobójstwo – powiedział Henry; próbował przysunąć swój fotel bliżej, ale mu się to nie udało.

– Nie zrobiłaby tego. Dlaczego? – spytałam ledwie słyszalnym szeptem. – Dlaczego miałyby się zabić? Była szczęśliwa.

– Byłaś dzieckiem, kochanie, trudno poznać, czy dorośli są szczęśliwi, kiedy jest się dzieckiem. W życiu dzieje się o wiele więcej, niż dzieci są w stanie sobie wyobrazić, teraz już to wiesz, prawda? Twoje dzieci zakładają, że jesteś szczęśliwa, tak? Nawet kiedy nie jesteś.

– Ale ja wiem, że była szczęśliwa, kochała mnie i nie chciała mnie opuszczać. Nie opuściłaby mnie z własnej woli.

– Zażywała narkotyki – powiedział Henry. – Wszyscy o tym wiedzieli. – Uniósł obie ręce w geście poddania, nim zdążyłam zaprotestować. – Nie osądzam jej, mówię tylko, że to mogło wpływać na stan jej umysłu. Niektórzy twierdzili wtedy, że była zmartwiona i mówiła dziwne rzeczy.

– Na przykład jakie? – Miałam mętlik w głowie. Spotkałam matkę jako dorosła osoba i była zupełnie normalna, choć po hippisowsku wyluzowana, nie wykazywała żadnych skłonności samobójczych i nie mówiła do mnie nic, co uznałabym za dziwne, a przecież dużo rozmawiałyśmy. Owszem, była uduchowiona, tak, paliła trawkę, ale przecież... może to było dziwne dla ludzi w dzisiejszych czasach, z telefonami komórkowymi i monitoringiem, ale nie wtedy.

Nie umiałam ogarnąć tego umysłem. Mglisty obraz matki umierającej w łóżku na jakąś chorobę płuc, który sobie wyobraziłam albo stworzyłam (lub jedno i drugie), zastąpiła wizja Jeanie idącej boso przez las w długiej powiewającej sukni, z kwiatami we włosach, rękami zwisającymi ciężko wzdłuż ciała i znikającej w końcu całkowicie z pola widzenia.

– Grób! – wykrzyknęłam głupio. – Zabieraliście mnie na jej grób.

Wujek Henry pokręcił głową.

– Przepraszam za to, naprawdę mi przykro. Em i ja uznaliśmy wówczas, że to dobry pomysł, choć nie byliśmy do końca pewni.

– Więc co to było, kamień ułożony na pamiątkę po niej? Bo zaginęła?

– To nie był jej grób, tylko kogoś innego, nie było wyrytego nazwiska, tylko napis: „Kochamy i tęsknimy, pewnego dnia znów będziemy razem”. Myśleliśmy, że zobaczenie grobu, czegoś namacalnego, pomoże ci otrząsnąć się z żalu.

Powstrzymywany szloch wydobył się z moich ust w postaci cichego jęku.

– Wszystko, co robiliśmy, robiliśmy po to, żeby ci pomóc. Wierzyliśmy, że tak jest dla ciebie najlepiej. Wiem, że popełniliśmy różne błędy, i bardzo, bardzo cię przepraszam za ten grób. Teraz wydaje mi się okropne, że cię tam zabraliśmy.

Wzięłam Henry’ego za rękę i przytknęłam policzek do wnętrza jego dłoni. Pogładził mnie po włosach drugą ręką, zatknął mi za ucho parę luźnych kosmyków.

– Rozumiem. Niczego nie mam wam za złe. Miałam szczęście, że mnie przygarnęliście. Jestem zdenerwowana, ale nie gniewam się na siebie.

– Dziękuję ci – powiedział głosem znów dziwnie schrypniętym.

– Dlaczego nie powiedzieliście mi wcześniej? – spytałam szeptem.

– Żaden moment nie wydawał się odpowiedni. Sprawiałaś wrażenie szczęśliwej, nie chcieliśmy tego zepsuć. Rozmawialiśmy o tym, Em i ja, baliśmy się, że jeśli ci powiemy, możesz zechcieć porzucić wszystko i próbować jej szukać. Ludzie czasem poświęcają całe życie na takie poszukiwania, wiesz?

– Wiem.

– Martwię się, że nawet teraz możesz zechcieć jej szukać. Ciało jest bardzo ważne, jakkolwiek ponuro to brzmi. Gdyby żyła, miałaby teraz po pięćdziesiątce. Nie będziesz jej szukać, prawda?

– Gdzie miałabym zacząć? – odpowiedziałam pytaniem.

Henry chwycił obie moje ręce i wolno je głaskał.

– Jak sądzisz, co się z nią stało, wujku Henry? Tak szczerze.

Wydał z siebie kolejne westchnienie, ciężkie od niewypowiedzianych słów.

– Szczerze, zawsze sobie wyobrażałem, że wchodzi do wody. Wyobrażałem sobie, że utonęła.

Odchyliłam się na oparcie sofy; próbowałam ukryć, że płakałam, kiedy Esther i Evie wbiegły do pokoju. Eddie na pewno poznał, ale dziewczynki były zbyt podekscytowane, żeby cokolwiek zauważyć.

– Zróbmy piknik! – domagały się głośno, więc wytoczyłam Henry’ego do ogrodu i rozpostarłam na trawie koc.

Eddie wciąż na mnie zerkał, sprawdzając bez słowa, czy nic mi nie dolega. Uspokajająco



skinęłam mu głową i zajęłam się rozdawaniem truskawek, naleśników i plastrów zapiekanej wieprzowiny. Zdołałam rozlać herbatę z termosu do staroświeckich porcelanowych filiżanek, które dziewczynki uparły się zabrać z domu. Przez cały czas brzemię moich działań przygniatało mnie coraz większym ciężarem.

Moja matka nie umarła, zniknęła i skończyła nie wiadomo gdzie, popadając w szaleństwo, kiedy mnie szukała. Zaangażowała się w skazane na fiasko poszukiwania, wierząc, że jestem jej aniołem stróżem, który pomoże i zajmie się dzieckiem, gdyby jej przytrafiło się coś strasznego. I to ja doprowadziłam do tego swoimi odwiedzinami. Mogłam zrozumieć, dlaczego wyruszyła na poszukiwania, ale dlaczego nie wróciła? Spadła z klifu do morza? Spotkała bandę hippisów i zatraciła się w ich szalonym, półprzytomnym świecie? Nie wierzyłam w to. Gdyby matka mogła do mnie wrócić, toby wróciła. Poszła mnie szukać – mnie dorosłą, którą poznała, kiedy ją odwiedziłam – i wtedy stało się coś, co uniemożliwiło jej powrót do domu.

Przez nieszczęsne podróże w czasie Jeanie zniknęła z mojego życia. Ale nie istniał żaden dowód jej śmierci. Dlatego w mojej głowie pozostała tylko jedna myśl: że matka być może żyje.

Nazajutrz była niedziela, ostatni dzień październikowej przerwy międzysemestralnej, i tak się cudownie złożyło, że nie mieliśmy żadnych planów. Nasze „bezplanowe” dni z dziewczynkami w istocie przebiegały według niepisanego planu: późne śniadanie, oglądanie filmu w piżamach, spacer po jedzenie na wynos jako specjalna atrakcja przed powrotem do szkoły. Jak teraz o tym myślę, to sobie uświadamiam, że było w tym więcej dyscypliny niż w niektórych naszych zorganizowanych wyjściach. Nawet te spacerunki zwykle odbywały się ustaloną trasą, przez stary most nad autostradą. Eddie nauczył dziewczynki i mnie, jak zachęcać kierowców tirów do użycia klaksonu: należało unieść do góry rękę z zaciśniętą pięścią i wykonać nią ruch naśladujący pociąganie sznura w starodawnym autobusie. Z początku podejrzewałyśmy, że Eddie nas podpuszcza, ale kiedy pierwsza ciężarówka na nasz znak głośno zatrąbiła, zaczęłyśmy podskakiwać z niedowierzania i zachwytu, jakby nasza drużyna właśnie zdobyła Puchar Świata.

Ja jednak bardzo chciałam porozmawiać z Louisem, więc ukradkiem wysłałam mu wiadomość z prośbą, żeby do mnie zadzwonił, powiedział, że jest czymś bardzo zdenerwowany, i błagał mnie, żebym przyjechała, dając mi tym przekonujący pretekst. Gdybym tak po prostu stwierdziła, że jadę się zobaczyć z Louisem lub kimkolwiek innym, Eddie od razu nabrałby podejrzeń. Czułam się jak nastolatka okłamująca rodziców, żeby się wyrwać z domu, ale sprawa absolutnie nie mogła czekać.

– Naprawdę? Dzisiaj? To nie może poczekać, aż wrócisz do pracy? – dopytywał Eddie, kiedy wkładałam na siebie płaszcz i buty.

– Jest bardzo zdenerwowany, Eddie. A jak już zostaniesz pastorem, wszystkie niedziele będziemy mieli zrujnowane. To dobra okazja, żeby poćwiczyć. – Ściągnął brwi, a kiedy przywarłam do jego ust, nie odwzajemnił pocałunku. – Żartowałam. Nie zabawię długo, może dwie godziny, a potem...

– Idąc tyłem po podjeździe, udałam, że pociągam za niewidzialny sznur.

Eddie odpowiedział sygnałem klaksonu, ale się nie uśmiechnął.

Natychmiast gdy Louis otworzył drzwi, wparowałam do środka, powiesiłam czapkę na równym rzędzie haczyków i stękając z wysiłku, ściągnęłam buty.

– Może wejdiesz – mruknął.

– Byłam wczoraj u wujka Henry’ego – oznajmiłam.

– Herbaty?

– Poproszę.

– Co powiedział? – Louis skierował się do kuchni, żeby nastawić wodę.

Opowiedziałam mu wszystko, a gdy skończyłam, z emocji brakowało mi tchu, jakbym mówiła, stojąc w wietrzny dzień na szczycie góry. Byłam w rozpaczy, to prawda, miałam dojmujące poczucie, że jestem wszystkiemu winna. Jednak przez noc wezbrała we mnie nadzieja i przetykała mój smutek błyszczącymi złotymi promieniami. Nadzieja, że moja piękna matka wciąż jest na tym świecie, tu i teraz, ze mną. W tym samym czasie.

– Twoja mama, jeśli żyje, miałaby jakieś pięćdziesiąt sześć lat, tak? – spytał Louis.

– Tak – przyznałam, wciąż z trudem łapiąc oddech.

– Usiądź, na miłość boską, nie stercz tak nade mną.

Usiadłam, ale na samym skraju krzesła, gotowa do działania, ruchu, odkrywania.

– To rzeczywiście ciekawe – przyznał Louis.

– A cała reszta nie? Jesteś trudnym słuchaczem, Louis.

– Zatem jeśli żyje, potencjalnie da się ją odnaleźć – stwierdził, opierając podbródek na zwiniętej dłoni. – Ale...

– Ale co?

– Musiała wiedzieć, gdzie jesteś, nie przeprowadzałaś się, mieszkałaś na tej samej ulicy. Przez lata. Łatwo cię było znaleźć.

Wiedziałam, dokąd Louis zmierza swoim logicznym wywodem, rzecz jasna, sama o tym myślałam, ale usłyszawszy to od niego, zaczęłam się kurczyć jak stary balon, z którego uchodzi powietrze.

– Mam świadomość, że mogła próbować mnie znaleźć – powiedziałam.

– Ręka – poprosił Louis, na co posłusznie wyciągnęłam do niego rękę ponad stołem. – Nie przejmuj się tym za bardzo – poradził. – Ale z tego, co mówiłaś o swojej matce, jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że po prostu odeszła i nie wróciła. – Drugą ręką dotknął mojej twarzy i wyczuł łzy, które w ciszy spływały mi po policzku. Przesunął kciukiem po moim podbródku. – Można płakać – powiedział.

– Znowu.

– Tyle razy, ile trzeba.

Tykanie zegara nagle wydało mi się bardzo głośne, choć wcześniej go nie zauważałam.

– Jeśli żyje i ma się dobrze, to wcale mnie nie chce – bąknęłam.

– Cóż, masz rację, nie wiadomo, co jej się przydarzyło, Faye. Może żyje, jest taka ewentualność. Ale może wcale nie mieć się dobrze. Albo... Boże. Kto wie, co się z nią dzieło.

Moje myśli potykały się same o siebie, jak postacie w komedii slapstickowej. Nie potrafiłam uporządkować w głowie różnych ewentualności, nie byłam w stanie utrzymać jednej linii rozumowania. Zbyt wiele się dzieło naraz. Louis pomógł mi rozłożyć możliwe teorie jak karty do gry. Niestety, w tej talii nie było asa. Matka mogła nie żyć. Mogła popełnić samobójstwo, jak sądził Henry, albo spotkał ją inny rodzaj śmierci. Mogła żyć i być zdrową, dojrzałą kobietą gdzieś po drugiej stronie linii telefonicznej, w odległości lotu, jazdy samochodem, kobietą, która postanowiła do mnie nie wracać. Mogła żyć, ale nie być zdrowa, przez co nie mogła mnie odnaleźć ani się skontaktować, albo istniał jakiś inny powód, że tego nie zrobiła.

– Jak myślisz, Faye? Co ci podpowiada intuicja? Poznałaś tę kobietę.

– Kobieta, którą poznałam, nie zostawiłaby córki z własnej woli.

– Czyli nie wierzysz, że żyje i jest zdrowa? – upewnił się.

– Mało prawdopodobne.

– Uważasz za bardziej prawdopodobne, że żyje, ale z jakiegoś powodu nie może się z tobą skontaktować? Może jest chora albo postradała zmysły. – Po krótkiej pauzie dodał przepraszająco: – Wybacz.

Pokręciłam głową.

– Faye?

– Och, Louis – wyszeptałam tak cicho, że ledwie słyszałam własny głos. – Przez ciebie myślę, że najbardziej logicznym wnioskiem jest ten, że moja matka nie żyje. Czepiałam się nadziei, że znów ją zobaczę, bez konieczności ryzykowania kolejnej podróży w pudle.

– Przecież nadal jest szansa, że jednak nie umarła, a skoro możemy ją znaleźć, powinniśmy spróbować. Przynajmniej w Google. Chodź. – Postawił mnie na nogi i poprowadził na górę. Kiedy uruchamiał komputer, zastanawiałam się, czego właściwie powinnam sobie życzyć.

– Jak ma na nazwisko? – spytał Louis z dłońmi zawieszonymi nad klawiaturą.

– Greene. – Louis odwrócił się, jakby mógł mnie widzieć. – O rany, miałem nadzieję na coś mniej popularnego.

– Przykro mi.

Przeczesałam się. Louis jest w tym wprawny, ale nie mogliśmy znaleźć żadnych tropów ani informacji. Nie znaleźliśmy też żadnych innych nazwisk, które by pozwalały na mniej bezpośrednie poszukiwania, więc po jakimś czasie daliśmy spokój.

– Wrócę tam – powiedziałam. – Wszystko naprawię. Uratuję ją.

– Nie ma sensu. Nie możesz niczego zmienić, Faye, ponieważ przeżyłaś już swoje dotychczasowe życie bez matki. Cokolwiek się z nią stało, już się stało, nie możesz tego zmienić. Rozmawialiśmy o tym.

– Muszę spróbować – upierałam się. – Jeśli wrócę i powiem jej, kim naprawdę jestem, jeśli wszystko wyjaśnię, nie będzie mnie szukać. Nie odejdzie i nie zniknie.

– Ależ zniknie – powiedział Louis takim tonem, jakby się zwracał do inteligentnego dziecka, które nagle nie jest w stanie pojąć prostego równania. – Bo już zniknęła.

– Nie możemy być pewni, że to tak działa. Jak mówiła Elizabeth, nie znamy zasad.

Louis głęboko zaczerpnął powietrza i powoli je wypuszczał, nadymając przy tym policzki.

– Nie możesz niczego zmieniać – powtórzył z rezygnacją.

– Może jednak dam radę. – Patrzyłam, jak kręci głową, i wzbierała we mnie złość. Chciałam, żeby mnie wspierał, cokolwiek postanowię. Nie chciałam słuchać, że to zły pomysł, potrzebowałam zachęty.

– Łatwy sposób nie zadziałał. – Westchnęłam. – Szukaliśmy jej online, z twojego wygodnego gabinetu, oddzieleni przyjemną, bezpieczną przestrzenią od prawdziwego świata i na nic się to zdało. Będę więc musiała zrobić coś, coś... praktycznego. Będę musiała ubrudzić sobie ręce.

– Wróciłbym tam za ciebie, gdyby to coś dało – powiedział Louis.

– Akurat – prychnęłam.

– Próbuje tylko pomóc, Faye. Rozumiem, że jesteś rozczarowana, może też czujesz się winna temu, co się stało z twoją mamą, choć nie powinnaś. Nie znałaś konsekwencji, więc nie ponosisz za to winy. Myślę jednak, że powinnaś się uspokoić i pomyśleć o tym wszystkim, co masz do stracenia. Według mnie powrót w przeszłość jest zbyt ryzykowny. Ty chyba też to wiesz.

– Wiesz, co ja myślę, Louis? Myślę, że jesteś zazdrosny, ba, jestem tego pewna i myślę, że się martwisz, tak jak Elizabeth, że moje działania zepsują twoje status quo, i szczerze mówiąc, trochę mnie to dziwi. – Odwrócił głowę i popatrzył prosto na mnie, tak jakby mnie widział. Byłam zła. Nie powiedział niczego, nie zastopował rozmowy i to jest jedyne, choć słabe usprawiedliwienie moich następnych słów:

– Gdybym wróciła w przeszłość i pozmieniała różne rzeczy, to może potem w teraźniejszości nie byłbyś niewidomy.

– Nie wyświadczać mi żadnych przysług – poprosił i zapadła między nami nieznośnie ciężka cisza. Wstał i szybko skierował się na schody, a ja podreptałam za nim.

– Przepraszam, Louis. Nie to miałam na myśli.

– Doprawdy? Tak się składa, że też wolałbym nie być ślepy.

– Głupio się wyraziłam. Wybacz. Przykro mi. Wiesz, przez całe życie zakładałam, że moja matka nie żyje. Okłamywali mnie i wiem, dlaczego to robili, ale mimo wszystko... – Moje słowa trafiały w próżnię. – Źle się stało, i dla niej, i dla mnie. Ale najważniejsze, że to moja wina. Dlatego jeśli mogę coś zrobić, żeby to naprawić, to muszę spróbować. Potrafisz to zrozumieć?

– Owszem, potrafisz, ale posłuchaj mnie przez chwilę, proszę.

– Okej. – Zmusiłam się do zamilknięcia.

– Usiądź – rozkazał i oboje znów zajęliśmy miejsca przy drewnianym stole.

– Ludzie kłamią – zaczął Louis, po czym zrobił pauzę, która ciągnęła się w nieskończoność, a ja miałam wrażenie, że sprawdza, czy zdołam wytrzymać bez przerywania mu. Wytrzymałam i w końcu znów się odezwał: – Ludzie kłamią i robią to z różnych powodów, czasami żeby chronić kogoś innego, a czasami żeby chronić siebie. Ale kłamstwa są niczym osy w trawie, tylko czekają na bosą stopę. Kłamstwo jest jak żywa istota, która przetrwa dopóty, dopóki nie zostanie odkryta.

– Do rzeczy, proszę.

– Okej. Ja też miałem wczoraj gościa. – Zamilkł, żeby wzmocnić efekt dramatyczny.

– Kogo?

– Elizabeth.

– Dlaczego? – szepnęłam bezradnie.

Louis wstał, otworzył kuchenną szufladę, wyjął z niej wąską pękatą kopertę i przesunął po blacie w moją stronę.

Otworzyłam ją... i ze środka wypadł mój pierścionek zaręczynowy. Leżał na stole, jak stary przyjaciel, którego nie spodziewałam się już zobaczyć. Zaniemówiłam ze zdumienia.

– Jak...? – wydukałam w końcu.

– Elizabeth skłamała, że został skradziony.  
– Co takiego? A co sprawiło, że ci się przyznała? – spytałam oszołomiona.  
– Domyśliłem się, że kłamała, i napisałem do niej, porozmawialiśmy przez telefon, a później mi go przyniosła. Wstydzi się tego, co zrobiła, cały czas źle się z tym czuła. Ale chciała powiedzieć coś, co mogło cię powstrzymać przed powrotem w przeszłość.

Bawiłam się pierścieniem, zaznajamiałam się z nim ponownie, zanim wsunęłam go z powrotem na palec, przekładając ten w kształcie obrączki z brylantami na drugą rękę.

– Chce, żebyś zatrzymała pierścione, który ci przysłała – powiedział, widząc, jak zsuwam obrączkę. – Jest jej bardzo przykro, Faye, nie bądź dla niej zbyt surowa.

– Jak się domyśliłeś, że skłamała?

– Po tym, że obrączka z brylantami, którą ci przysłała, idealnie pasowała rozmiarem. Albo zbieg okoliczności, albo zmierzyła twój pierścionek zaręczynowy i zamówiła odpowiedni rozmiar. Rozumiem, że taki rozmiar trudno odgadnąć, więc uznałem, że zbieg okoliczności raczej nie wchodzi w grę.

– Jestem pod wrażeniem, Sherlocku. I cieszę się z odzyskania pierścionka.

– Elizabeth nie chciała, żebyś wróciła w przeszłość, dlatego kłamała. Pomyślała, że utrata pierścionka może cię powstrzymać, każe ci wziąć pod uwagę, że jesteś w stanie zmieniać pewne rzeczy, być może na gorsze. Choć, jak wiemy, to założenie się nie potwierdza. Z całą pewnością nie znamy zasad, Faye, ale nie ma sensu tam wracać, nie zmienisz tego, co się stało z twoją matką, bo to niemożliwe. Poza tym jestem przerażony, że zrobisz sobie krzywdę i nigdy nie wrócisz do obecnego życia.

– Nadal uważam, że mogłabym ją powstrzymać przed odejściem, przed zniknięciem – powiedziałam.

– Na litość boską, Faye. Nie możesz. Nie chcę brzmieć jak zdarta płyta, ale to już się stało. W najlepszym razie... – Urwał gwałtownie.

– W najlepszym razie co? – ponagliłam.

– Myślę, że cokolwiek zrobisz, ona i tak umrze. Nie możesz jej mieć. Bo nigdy nie mogłaś.

Zabawne, że jego słowa mnie ani trochę nie zniechęciły. Może potrzebowałam najdrobniejszego pretekstu. Może Elizabeth miała rację, próbując mnie powstrzymać przed powrotem w przeszłość. Miałam jednak czas, żeby przemyśleć różne rzeczy, i wahanie ustąpiło, wyparte pewnością, że nie skrzywdzę Esther, Evie ani Eddiego, odwiedzając Jeanie po raz ostatni. Byłam zdecydowana.

– Nic mnie nie powstrzyma przed jeszcze jedną wizytą – oznajmiłam. Odsunęłam krzesło i skierowałam się do wyjścia. – I wiem, że nie mogę niczego zmienić. Ale może coś odpokutuję.

Myśl o roli żony pastora, od jakiegoś czasu trudna do zniesienia, ponieważ nie wierzyłam w Boga, nagle straciła znaczenie. Przestała być strasliwym dylematem, którym jeszcze niedawno mi się wydawała w porównaniu z całą resztą. Wypowiedź Louisa na temat mojego powrotu w przeszłość – „nie ma sensu” – wciąż dźwięczała mi w głowie; oburzałam się, jakby odwrócenie tego, co się stało z moją matką, albo ostrzeżenie jej, by nie wyruszała na poszukiwanie anioła stróża, stanowiły jedyne powody warte takiego przedsięwzięcia. Louis chyba w ogóle nie brał pod uwagę, że jednak mogę tam wrócić. A ja zamierzałam się ponownie spotkać z matką, już podjęłam decyzję.

Czy byłam zła na Elizabeth? Właściwie nie. Rozumiałam ją, a to wystarczyło, by wyzbyć się gniewu. Najwyraźniej zaczynała się martwić – czemu dała wyraz podczas naszej rozmowy w pokoju nad sklepem – że mój powrót do przeszłości może narobić wiele szkód, jeśli nawet nie w jej życiu, to prawdopodobnie w moim. Myślę, że chodziło jej przede wszystkim o zminimalizowanie tych szkód. Elizabeth, według Louisa, nie miała zamiaru zatrzymać mojego pierścionka, tylko potrzebowała argumentu, żeby mnie powstrzymać przed wyprawami w przeszłość, bez głębszego zastanowienia nad konsekwencjami, jakby chodziło o wycieczkę nad morze. Miała powód, by tak postąpić. Teraz jestem skłonna to przyznać.

Istota mojego dylematu się zmieniła. Nie kwestionowałam już tego, czy mądrze jest wracać w przeszłość. Znałam ryzyko i godziłam się je podjąć. Mój dylemat w zasadzie przestał być dylematem, a stał się obawą. Choć byłam wściekła na Louisa, w jednej kwestii musiałam mu przyznać rację: nie

mogłam ocalić matki przed zaginięciem, nie mogłam zmienić czegoś, co się stało... ale może mogłam zmienić powód, dla którego zginęła. Zamierzałam tam wrócić, co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Zamierzałam powiedzieć Jeanie, kim naprawdę jestem, a wtedy, niezależnie od tego, czy mi uwierzy, czy nie, przynajmniej nie będę powodem jej zniknięcia. Nie pójdzie mnie szukać jako swojego anioła stróża, więc nie będę ponosić winy.

Już prawie wchodziłam do domu, kiedy sygnał komórki powiadomił mnie o nadejściu wiadomości od Louisa. „Na twoim miejscu też bym wrócił”. Uśmiechnęłam się, zsunęłam z palca pierścioneł, żeby go ukryć w sypialni i „później” znaleźć. Inaczej co Eddie by powiedział, gdybym jakimś cudem znalazła go zaraz po wizycie u Louisa?

Nie chciałam zwlekać z powrotem w lata siedemdziesiąte. Tyle że tym razem musiałam być przygotowana. Pewnie się zastanawiacie, skąd u mnie pewność, że zastanę tam matkę. Otóż nie miałam pewności, nie wiedziałam też, ile czasu upłynęło od mojej ostatniej wizyty, jako że nie wiadomo, dlaczego pomiędzy dwiema poprzednimi podróżami minęło akurat sześć miesięcy. Ostatnią odbyłam przed dwoma miesiącami i przyszło mi do głowy, że może być za późno. Matki mogło już tam nie być. Istniał tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Mam świadomość, że pewnie uznacie moje postępowanie za głupie, ale skoro zaprzyjaźniona osoba jest zdecydowana, równie dobrze można być po jej stronie, prawda? Nie możecie mnie porzucić w tym momencie tylko dlatego, że uważacie mnie za idiotkę.

Plan był następujący: najlepiej podczas weekendu zabrać pudło do Louisa i stamtąd „wystartować”. Wtedy moglibyśmy ustawić pudło na materacu i obłożyć poduszkami, tak jak ostatnio. Oczywiście nie mogłam tego zrobić we własnym domu w obecności Eddiego. Zamierzałam i tym razem włożyć kombinezon narciarski, rękawice i botki. I zabrać ze sobą małą apteczkę ze środkami przeciwbólowymi. Gazeta schowana w ubraniu miała mi – w razie potrzeby – posłużyć za dowód, że przybyłam z przyszłości.

A potem Louis niespodziewanie wyszedł mi naprzeciw. We wtorek w pracy zjawił się w dziale badawczym i uścił mnie na korytarzu. Zwykle nie okazywaliśmy sobie takich czułości, ale dobrze mi to zrobiło. Porzuciłam biurko, nawet nie tłumacząc się szefowej, i zasiadłam z Louistem w stołówce dla personelu (co też rzadko nam się zdarza); ze względu na wczesną porę było pusto, więc zrobiłam dla nas obojga herbatę. Podobały mu się moje pomysły, zapewnił, że we wszystkim pomoże. Ani przez sekundę nie wątpiłam w szczerść jego obietnicy, mimo panującego wcześniej między nami napięcia.

Nadchodzący weekend wypadł najbliżej piątego listopada, czyli święta Guya Fawkesa. Zapraszaliśmy wtedy znajomych na burgery i drinki, a potem odpaliliśmy kilka fajerwerków w ogródku za domem. Spytałam Louisa, czy przyjdzie, bo byłoby miło go gościć, a potem w drogę powrotną do domu zabrałby ze sobą taksówką pudło (poskładane wcześniej przeze mnie dla wygody). Przyrzekł osłaniać je własną piersią, w sensie dosłownym w razie potrzeby. Ufałam mu bezgranicznie, ale nie chciałam spuszczać pudła z oka aż do ostatniej minuty; Louis obiecał też nie pić za dużo, tylko dlatego, że tak wydawało się lepiej.

Ja również postanowiłam uważać z alkoholem.

– Urzniemy się kiedy indziej – zaproponowałam.

Po fajerwerkowym przyjęciu w piątek w sobotę miałam pójść do Louisa pod jakimś pretekstem. On miał być w domu, czekać na mnie z pudłem obłożonym poduszkami. Trzy godziny. Gdybym doznała obrażeń podczas lądowania, miał mi pomóc. Staraliśmy się zachować rozsądek i postępować metodycznie, ale podniecenie dosłownie nas roznosiło, jak dzieci planujące nocne figle.

– Zamówiłem coś dla ciebie wczoraj wieczorem, online – oznajmił. – Żebyś zabrała matce. Dostawa zajmie kilka dni, ale powinni zdążyć na czas.

– Co zamówiłeś? – spytałam zaintrygowana.

– Stare pieniądze – odparł z chytrym uśmieszkiem.

– Stare pieniądze? – powtórzyłam, trawiąc informację. – O mój Boże, to świetny pomysł. Ile?

– Warte około pięciuset obecnych funtów, tylko tyle się udało. Pomyślałem, że mogą się bardzo

przydać twojej matce i tobie jako dziecku – dodał tonem wyjaśnienia.

– Ile wtedy było warte dzisiejsze pięćset funtów? – spytałam.

– Jakies cztery tysiące.

– To nam naprawdę bardzo pomoże, Louis.

– Cóż, tak szczerze, to nie sędzę, żeby robiło różnicę, bo chyba nigdy nie dostałaś tych pieniędzy.

Ale skoro nie wiadomo, co się może przydać, pieniądze są chyba dobrym wyborem.

– Doskonałym – pochwaliłam, kiwając przy tym głową z zachwytem. Dobrze się przyjaźnić z nerdami, bo miewają świetne pomysły. Zobaczyłam jednak, że się skrzywił.

– O co chodzi? – spytałam zaniepokojona.

– Mam rezerwację na te pieniądze. Zamówiłem je.

– No i...

– Na wypadek gdybyś jednak mogła coś zmieniać, Faye, i miało to wpływ na późniejsze wydarzenia, proszę, nie ulegnij pokusie odwiedzenia Elizabeth. Proszę, nie idź do niej, proszę, nie płąć za wrotki. – Na moment zwiesił głos. – Wiem, że przemyślałaś ryzyko i ewentualne konsekwencje, wiem, że wzięłaś wszystko pod uwagę i postanowiłaś jednak wyruszyć, na dobre i na złe. Myślę tylko, że będzie ci trudno znieść poczucie winy, jeśli twoje działania negatywnie wpłyną na życie Elizabeth. – Westchnął. – Mnie też by było ciężko z tym żyć.

– Obiecuję... Daję ci słowo honoru, że będę się trzymać z daleka od Elizabeth. Jak wiemy, nigdy nie brakowało jej pieniędzy. Nie ma więc sensu się jej narzucać – stwierdziłam.

– Jeszcze jedno – powiedział Louis, nagle posmutniały; jego twarz wyrażała przecucie bólu, który dopiero ma nastąpić. – Chyba powinnaś napisać list do Eddiego. Przechowam go i w razie potrzeby... – Widziałam, jak jabłko Adama podskoczyło mu, gdy przełykał ślinę. – ...przekażę twojemu mężowi.

To nie był list samobójczy, bo nie zamierzałam się zabić, ale chyba nie ma co owijać w bawełnę. Miał dla mnie znaczenie z trzech powodów. Po pierwsze, napisanie wszystkiego Eddiemu – niezależnie od tego, jak wariacko brzmiało – przyniosło mi ulgę, bo pokazało, jak bardzo mi zależy, żeby poznał prawdę o moim niezwykłym życiu. Po drugie, mogłam w ten sposób wyznać mu wszystko, co według mnie powinien wiedzieć, gdybym miała go więcej nie zobaczyć. Nawiasem mówiąc, uświadomiłam sobie, że, tak czy inaczej, powinnam napisać taki list do ukochanej osoby na wypadek swojej śmierci albo innego nieszczęścia, na przykład choroby psychicznej, żeby dał jej pociechę, pomógł odbyć żałobę i udzielił odpowiedzi na niezadane pytania. Po trzecie wreszcie, pisząc tę potencjalnie pożegnalną wiadomość, uświadomiłam sobie z całą wyrazistością, co zostawiam za sobą, gdyby los nie pozwolił mi już nigdy powrócić do obecnego życia. Zastanawiając się, co napisać, dotknęłam ustami pierścionka i oczyma duszy ujrzałam ulgę i zaskoczenie na twarzy Eddiego w tamtym momencie, kiedy mu powiedziałam, że znalazłam zaręczynowy klejnot. Raz i drugi podczas pisania na papier spadła łza; patrzyłam na słone krople, ciekawa, czy powiększą słowa znajdujące się pod nimi.

Tydzień wydawał mi się zbyt długi, by aż tyle zwlekać z wizytą u matki, ale potrzebowałam go do napisania tego listu. Pisałam o tym, jak się z Eddiem poznaliśmy, i o tym, jak moje nadzieje rosły, szybko i mocno niczym ogrodowa mięta, po tym, jak mnie pierwszy raz pocałował. Przypomniałam mu toczone przez nas rozmowy i niektóre jego słowa, o których pewnie dawno zapomniał, ale dla mnie znaczyły tak wiele, że myślałam o nich prawie codziennie. Wyjawiałam mu swoje życzenia na przyszłość i napisałam, jak bardzo pragnę wspierać go w powołaniu – bo czuję, że będzie miał wpływ na życie innych ludzi – i dobrze odegrać przynależną mi rolę jako jego żona.

A potem nadszedł czas na zadanie, którego unikałam: napisanie listu do moich córek.

*Drogie Esther i Evie,*

*nie sądziłam, że mogłabym kochać kogoś na tym świecie tak bardzo, jak kochałam Waszego tatę, zanim Wy się pojawiłyście. Wyobraźcie to sobie! Nawet nie wiedziałam, że jestem zdolna do tak wielkiej miłości. W każdym momencie dawałyście mi radość. Jesteście tym najlepszym, co mi przyniosło życie. Kocham Was obie całym sercem czy, jak mówi tatuś, „całym ciałem, bo ono jest większe niż serce”.*

*Choć mnie z Wami nie ma, chcę uczestniczyć w Waszym życiu, a ponieważ nie mogę Wam osobiście udzielać mądrych rad, kiedy tego potrzebujecie, chcę napisać kilka rzeczy, które uważam za ważne i które mogą Wam trochę pomóc.*

*Zawsze bądźcie sobą, bo jesteście idealne, nawet jak nie jesteście.*

*Dorastając, będziecie robiły cudowne rzeczy i ludzie będą mówili: „Wasza matka byłaby z was dumna”. Chcę, żebyście rozumiały, jak bardzo te słowa są prawdziwe. Jestem z Was dumna, nie tylko kiedy robicie te wspaniałe rzeczy, ale też kiedy robicie dobre rzeczy, i te codzienne, i nawet kiedy nic nie robicie. Czasami zdarzy Wam się popełnić błąd albo zrobić coś, czego będziecie się wstydzić. Kiedy tak się stanie, postarajcie się bardziej, a ja będę dumna, że robicie, co w Waszej mocy, żeby naprawić błąd.*

*Esther i Evie, bądźcie dobre. Wiem, że teraz to dla Was stan naturalny, ale pamiętajcie o byciu dobrymi w przyszłości. Czasami to wymaga pewnego wysiłku. Jako dorosła osoba spotkałam człowieka, którego znalazłam jako chłopca w wieku szkolnym. Wszyscy mu wtedy dokuczali i go wyzywali. Później, już jako osoba starsza, powiedziałam mu, że było mi przykro z tego powodu, na co odparł, że nie powinnam się przejmować, bo byłam jedną z tych dobrych osób, które tylko go ignorowały. To mnie zmartwiło jeszcze bardziej. Żałowałam, że nie zrobiłam więcej, że się do niego chociaż nie uśmiechałam. Wyciągnęłam naukę z tego, co mi powiedział, i teraz więcej się do ludzi uśmiecham, bo nigdy nie wiadomo, czy to nie jedyna miła rzecz, jaka im się zdarzyła tego dnia. Ale bądźcie też mądre. Okazujcie obcym uprzejmość, ale pamiętajcie o własnym bezpieczeństwie.*

*Jest mnóstwo drzew, wejdźcie choć na parę z nich. Wspinajcie się, kiedy tylko macie ochotę.*



*Możecie sobie przy tym coś złamać, ale czasami lepiej mieć złamaną kość, niż zrezygnować ze wspinaczki.*

*Eksperymentujcie z włosami. Jeśli efekt Wam się nie spodoba – odrosną.*

*Czytajcie dużo i czerpcie z tego przyjemność. Czytanie jest korzystne z wielu powodów. Zawsze noście przy sobie książkę, bo wtedy nigdy nie będziecie się nudzić. A choć możecie poślubić wybranych przez siebie mężczyzn, jeśli oni Was pokochają, a Wy ich, wolalabym, żebyście się zakochały w takich, którzy czytają.*

*Tyle chyba wystarczy, choć czytając ten list, pomyślałam, że będziecie się martwić, że kochałam Was bardziej niż Waszego tatę. Ale nie wolno Wam się martwić, bo odkąd się pojawiłyście na świecie, kocham go jeszcze mocniej, po części dlatego, że mam Was dzięki niemu, ale też dlatego, że on kocha Was i zapewnia Wam bezpieczeństwo, co sprawia, że jest jeszcze cenniejszym skarbem niż wcześniej.*

*Wiem, że trudno Wam będzie czytać ten list, który sprawi Wam tyle samo smutku, co radości, ponieważ wiem, jak to jest stracić matkę. Ja też swoją straciłam. Dlatego moja ostatnia rada brzmi następująco: nie myślcie zbyt wiele o przeszłości.*

*Życie jest przed Wami, a oglądając się ciągle za siebie, nie będziecie widzieć, dokąd zmierzacie.*

*Pamiętajcie, że zawsze Was kochałam i na zawsze pozostanę w Waszych sercach.*

*Mamusia XxxX*

Napisanie tego listu było bardzo trudne i przyznaję, że dało mi do myślenia, zwłaszcza ostatnia część. Świadomość, że sama ignoruję radę, której udzieliłam córkom – i prawdopodobnie otrzymałabym od własnej matki – zmusiła mnie do zastanowienia... choć nie do zmiany decyzji. Nigdy nie ignorujcie rad, które dajecie innym. Zwłaszcza jeśli wiecie, że macie rację.

No i zostaliśmy tylko my, wy i ja, wiecie właściwie wszystko na bieżąco, i na wypadek gdybyście mieli nie dostać ode mnie już żadnych wieści, oto kilka słów, które muszę wam powiedzieć, moi drodzy:

W swoim życiu to wy jesteście bogiem, spróbuję to wyjaśnić tak jak kiedyś Eddie. Kiedy śpicie i coś wam się śni, jesteście bogiem, ponieważ jesteście wszystkim i każdym. Jeśli wam się śni, że jesteście jednym z pasażerów samolotu, który ulega katastrofie, pamiętajcie, że jesteście również pilotem i nie jednym, ale wszystkimi pasażerami. Jesteście nawet samolotem, ponieważ ten sen rozgrywa się w waszej głowie i to wy sprawiacie, że to wszystko się dzieje. W snach jesteście jak bóg. W realnym życiu nie całkiem jest tak samo, ale dotyk Boga może być we wszystkim, co robicie – jak się angażujecie, co mówicie i co robicie – i co ma wpływ na innych. Bóg jest w uśmiechu dziecka, ale to nadal jest tylko dziecięcy uśmiech, i możecie go nazywać, jak chcecie. Nazwijcie Bogiem to, co sami wybierzeć, a za tym przyjdzie wiara.

Wiem, że ja jestem tutaj, a wy tam, nie dzieli nas duży dystans, tylko ten między moimi słowami na stronie i waszymi oczyma, czyli według mnie jakieś trzydzieści centymetrów. Ale tę odległość można ocenić inaczej, w zależności od waszego punktu widzenia. Możemy być na różnych planetach, możemy żyć w innych czasach, to bez znaczenia, bo nadal jesteśmy tylko wy i ja. I chcę, żebyście zrozumieli, że wierzę w was z całego serca. Nigdy w to nie wątpcie. A kiedy będziecie gotowi, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, uwierzycie we mnie.

Zatem listy napisane, a przez was również przeczytane. Wszystko zaplanowane, kombinezon narciarski czeka gotowy u Louisa, razem z gazetą i apteczką; stare pieniądze dotrą lada moment. Ach, no i, oczywiście, przemyślałam to, co chciałabym powiedzieć swojej matce, kiedy się z nią spotkam. Między nami mówiąc, to dziwny rodzaj pożegnania, bo wy zobaczycie, czy cokolwiek nastąpi po tej stronie... a ja w czasie pisania jeszcze nie mam pojęcia, czy kolejne strony zostaną zapisane. Jeśli pozostaną puste, będziecie mogli założyć, że nie udało mi się wrócić.

No cóż, okazuje się, że nadal tu jestem i pewnie nie jesteście tym zaskoczeni. Ale jeszcze mogę was zaskoczyć. Nawet wam to zagwarantuję.

Ostatni raz zwracałam się do was w tym samym tygodniu, kiedy pisałam list pożegnalny do Eddiego. Co było do przewidzenia, nie miałam pewności, czy wyraziłam wszystko, co powinnam, ale miałam nadzieję, że nie będzie musiał tego czytać, a przynajmniej nie nastąpi to szybko. A to już było lepsze niż nic. Znacznie lepsze.

Na piątkowy wieczór zaprosiliśmy przyjaciół z okazji święta Guya Fawkesa, więc w czwartek świetnie się bawiliśmy, jadąc we czwórkę do supermarketu po jedzenie i napoje. Kupiliśmy burgery i hot dogi, ziemniaki do pieczenia, wzięłam też fasolkę, ananasa w kawałkach i sos do barbecue, żeby zrobić moje popisowe danie, czyli pieczoną fasolkę na słodko. Jeśli uważacie, że brzmi obrzydliwie, jesteście w błędzie. Kupiłam cukinię i bakłażana na wegetariańskie chili, a także wielkie pojemniki kwaśnej śmietany oraz papryczki jalapeño, awokado, majonez i cytryny, żeby zrobić guacamole. Eddie nabył piwo, wino, gin i tonik, a dziewczynki spytały, czy mogą same zorganizować stół ze słodyczami, taki jak ten, który widziały rok wcześniej na pewnym weselu. Ku ich zaskoczeniu zgodziliśmy się oboje z Eddiem, więc radośnie pognały do alejki w dziale cukierniczym.

Pamiętam, jak kiedyś pojechaliśmy na cały dzień do parku tematycznego, ale nie przypominam sobie, żebyśmy się bawili lepiej niż tamtego wieczoru w supermarkecie, gromadząc produkty na nasze przyjęcie z fajerwerkami. A może widzę ten wieczór przez różowe okulary, w świetle tego, co wydarzyło się potem. Następnego dnia musieliśmy oboje z Eddiem iść do pracy, a dziewczynki miały szkołę, więc w czwartek do późna zajmowaliśmy się przygotowaniami. Piliśmy z Eddiem wino i dużo się śmialiśmy, a potem jeszcze uprawialiśmy miłość. Pamiętam swoje pożądanie i rozpacz na myśl, że to może być ostatni raz. Zasnęłam z głową pulsującą od wiru nadziei zmieszanej ze strachem.

Mieliśmy już fajerwerki, Eddie kupił je tydzień wcześniej i ukrył bezpiecznie pod sufitem szopy. Kubły ze śmieciami i fajerwerki to domena Eddiego, to znaczy zajmuje się również innymi rzeczami, ale za te dwie sprawy odpowiada wyłącznie on. Podszedł do zadania poważnie, zapewnił, że w piątek wróci wcześniej z pracy, żeby solidnie przymocować do płotu ogniste wiatraczki i przyszykować wiadra z piaskiem do zatknięcia rac. Dave, mąż Clem, też miał przyjść wcześniej, „żeby pomóc”, co oznaczało: „żeby się napić”. Można powiedzieć, że uwielbiliśmy to święto, podobnie jak Halloween i Wielkanoc, bo wiązały się z dobrą zabawą, a nie były tak rozbudowane i pracochłonne jak Boże Narodzenie. Obchodzenie Wielkanocy miało się bardzo zmienić, kiedy Eddie zostanie pastorem, ale już mnie to nie martwiło. Chciałam odnaleźć się w nowej sytuacji i czerpać z niej przyjemność... ale też nie pozwolić, by kościół wpływał na nasz fajerwerkowy rytuał.

Eddie był zaskoczony, ale chyba również zadowolony, kiedy usłyszał, że zaprosiłam Louisa. Jak zwykle przychodzili Clem i Cassie z mężami i dziećmi oraz kilku kolegów Eddiego z firmy z rodzinami, ale tym razem zaprosił też człowieka, którego poznał na kościelnym szkoleniu, bardziej zaawansowanego, bo już wyświęconego na diakona, i jego żonę. Postanowiliśmy z Louistem wziąć po pracy taksówkę do mojego domu, zamiast jechać metrem, a w dniach poprzedzających piątek bez przerwy rozmawialiśmy o tym, co się stanie, kiedy przyjadę do niego i stamtąd wyruszę w podróż w przeszłość.

– Dla mnie to łatwiejsze – twierdził Louis. – Bo jak wejdiesz do pudła, będę musiał czekać tylko trzy godziny, żeby się przekonać, jak poszło. Ale dla ciebie, w zależności od tego, jak długo tam zostaniesz, mogą minąć całe dni, zanim wrócisz i powiesz mi, jak było. A może nawet tygodnie.

– Ale będę wiedziała, co się dzieje wcześniej od ciebie, bo tam będę, głuptasie – powiedziałam, dając mu przyjacielskiego kuksańca w bok.

– Tak, ale nie będziesz wiedzieć, co się stanie drugiego dnia na przykład, dopóki nie spędzisz tam dwudziestu czterech godzin. Tymczasem ja poznam całą historię w mniej niż cztery godziny.

– No tak – przyznałam. – Masz rację.

Musieliśmy zostać długo w pracy, co bardzo nam nie pasowało, bo kurier ze starymi pieniędzmi zamówionymi przez Louisa był już w drodze. Pierwotnie miał je dostarczyć w czwartek, później termin

przesunięto na piątek rano. Teraz obiecywano, że dotrą do recepcji w instytucie przed osiemnastą, więc siedzieliśmy przy ladzie, ja uśmiechałam się przepraszająco do recepcjonistki, która chciała już zamknąć biuro i sobie pójść, a Louis bez przerwy dotykał zegarka, by sprawdzić godzinę, i cmokał.

Recepcja w naszym instytucie ma krzykliwy wystrój: jaskrawą żółcień od głębokich fioletoów oddzielają ostre linie, ułożone w pozornie przypadkowe geometryczne wzory. W istocie nie ma w nich nic przypadkowego, służą osobom niedowidzącym, pozwalając im na samodzielne poruszanie się po budynku.

Recepcjonistka mlasnęła gumą do żucia, jakby pytała „jak długo jeszcze?“, ale na szczęście w tym samym momencie wszedł odziany w skórę kurier, z motocyklowym kaskiem na głowie i paczką w rękach. Skrzywiłam się na myśl, że mam zabierać ze sobą w przeszłość coś tak dużych rozmiarów. Pokwitowaliśmy odbiór przesyłki, wyszliśmy i od razu złapaliśmy taksówkę; zawsze kręci się ich tam mnóstwo w piątkowe wieczory, mają wzięcie wśród niewidomych na weekendowym rauszu.

– Jak, u diabła, mam to zabrać do matki? – zwróciłam się do Louisa już na tylnym siedzeniu taksówki. – Nie mogę mieć w rękach żadnej paczki, a do kombinezonu tego nie zmieszczę.

– Jak już włożysz na siebie ten kombinezon, upchamy jak najwięcej banknotów w nogawkach, rękawach i wokół pasa. Przy rozbieraniu pieniądze po prostu wypadną, ale skoro i tak chcesz wszystko matce wyjaśnić, to dziwne zjawisko chyba nie będzie miało znaczenia. Poza tym forsa posłuży jako dodatkowa warstwa ochronna.

– No dobrze. Poza tym może dużo miejsca zajmuje opakowanie. – Obróciłam paczkę w dłoniach. – Nie będziemy teraz otwierać, możesz ją zabrać razem z pudłem po kosmicznym skoczku.

– Nie zabawię u was długo – zastrzegł Louis. – Chcę bezpiecznie dowieźć pudło i pieniądze do domu. Cieszę się na przyjęcie, ale nie ono jest teraz najważniejsze.

– Wiem, o co ci chodzi, ale to dziwne – powiedziałam. – Bo dla mnie to przyjęcie jest bardzo ważne. – Chwytałam jego dłoń i lekko uściśnęłam. – Wiem, że wrócę, ale muszę myśleć realistycznie. Może nie wrócę. Może po raz ostatni będę z moimi przyjaciółmi i rodziną.

– Ostatnia wieczerza – mruknął Louis.

– O Boże, nie mów tak – zachnęłam się i uszczypnęłam go w ramię, czego nienawidzi (bo wszyscy tego nienawidzą). – Wiem, że jesteś niewiernym Tomaszem, w każdym razie byłeś. Ale nie jesteś Judaszem? W środku jest trzydzieści srebrników? – spytałam i ze śmiechem potrząsnęłam paczką, bez żadnego dźwiękowego efektu.

– Nawet tak nie żartuj. Nie chcę myśleć, że mogłabyś stamtąd nie wrócić. Chcę, żebyś coś wiedziała, Faye: jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nawet jeśli ja nikim takim dla ciebie nie jestem, a tak mi się ostatnio wydaje. Ale ty dla mnie jesteś i nie mogę znieść myśli, że miałbym cię stracić.

Oparłam głowę na jego ramieniu i zamknęłam oczy.

– Ty też jesteś moim najlepszym przyjacielem – zapewniłam. – Tak dużo o mnie wiesz. Kto inny by mi pomógł z tym wszystkim? Wszyscy inni by wezwali sanitariuszy z kaftanem bezpieczeństwa.

Siedzieliśmy w milczeniu przez resztę podróży; cały czas oparta o ramię Louisa poczułam, jak jego łza skapuje mi na czubek głowy.

Zaraz po wejściu do domu poprosiłam Louisa szeptem, żeby poczekał w jasno oświetlonym holu, a ja wymknęłam się na górę, żeby ukryć paczkę z pieniędzmi. Później wzięłam go pod rękę i poprowadziłam do ogródka za domem. Po drodze słyszeliśmy głosy dobiegające z kuchni i z dalszej odległości. Na podwórku panował ruch. Było zimno, więc zostaliśmy w kurtkach, czapkach i rękawiczkach, spodziewając się dłuższego stania na zewnątrz.

Cassie i Clem rezydowały w kuchni z kieliszkami wina.

– Andy prowadzi – oznajmiła Cassie, z radością wznosząc toast. – Urznę się w trupa!

– A my weźmiemy taksówkę, więc też zamierzam się upić – powiedziała Clem. – Kim jest twój znajomy?

– To Louis, pracujemy razem – przedstawiłam, a Louis pewnym ruchem wyciągnął dłoń; przyjaciółki podeszły, żeby ją uściśnąć.

– Miło mi poznać – wyrecytowali wszyscy po kolei, a mnie zrobiło się trochę żal Louisa; trudno czuć się swobodnie na przyjęciu, na którym zna się tylko gospodynię. Zastanawiałam się, czy niewidomemu jest w takiej sytuacji łatwiej, czy jeszcze ciężiej. Może jednak łatwiej, bo jak dziecko, które zasłania sobie oczy, mógł udawać, że w ogóle nikogo tam nie ma.

– Gdzie są wszyscy? – spytałam. Słyszałam śmiech, niskie męskie głosy i dziwnie piskliwy śmiech dzieci.

– Panowie są na zewnątrz, biją się w pierś i rozprawiają o męskich sprawach, takich jak ogień i mięso. Dzieci pochłaniają słodczyce w salonie i miotają się między wymiotami a bieganiem w kółko jak diabły tasmańskie.

– Pięknie – mruknęłam, nalewając sobie ginu z tonikiem, z przewagą ginu. – Diakona i jego żony jeszcze nie ma?

– Są, w ogrodzie z Eddiem – odparła Cassie.

– On wygląda jak kosmaty pies, a jego żona jak mysz – uzupełniła informację Clem. – Urocze, jakbyś zaprosiła też domowe zwierzątko.

– Zabieram Louisa, żeby poznał Eddiego i napił się piwa. – Podałam Louisowi łokieć i wyprowadziłam go przez szklane drzwi oddzielające kuchnię od tarasu. Na takich imprezach zawsze trzymaliśmy piwo w wielkim wiadrze z lodowatą wodą; Eddie, gdy tylko nas zobaczył, od razu podszedł i po drodze schylił się, bez zatrzymywania, po butelkę.

– Ty pewnie jesteś Louis – powiedział, ściskając krótko rękę prowadzonego przeze mnie gościa. – Piwa?

– Bardzo chętnie – odpowiedział Louis, po czym rozległo się syknięcie i otwarta butelka wylądowała w dłoni Louisa. – Co się tu właściwie dzieje? – zagadnął, a Eddie bez wahania opisał mu nasz ogródek.

– Stoimy na tarasie, z którego parę stopni prowadzi na trawnik. Ogród ma jakieś trzydzieści długich kroków do przeciwległego końca. Mamy kilka lamp, a jakieś dziesięć kroków stąd urządziliśmy ognisko.

– Nie wiedziałam, że zamierzasz robić ognisko – powiedziałam. – To pierwszy raz. Jest ogromne!

– Dave już tu był, kiedy dotarłem do domu, i sam ułożył drewno i podpałkę. Twierdzi, że czytał o tym, jak zrobić idealne ognisko.

– Był tu przed tobą? – wyraziłam zdziwienie.

– Nudzi się w pracy, ma za dużo papierkowej roboty – powiedział Eddie ściszone głosem. – Myślę, że potrzebował zajęcia.

Ognisko jeszcze się nie paliło, ale było pięknie przygotowane. Wyglądało, jakby na środku ułożono małe tipi z podpałki i z zewnątrz obłożone je większym, z drewnianych szczap. Wzór się powtarzał, a to najbardziej zewnętrzne tipi tworzyły dwumetrowe suche żerdzie. Między warstwami podpałki sterczały kawałki zmiętego papieru. Cała konstrukcja robiła wrażenie i była wyższa niż wszystkie widziane przeze mnie wcześniej ogrodowe ogniska.

– Skąd wziął to całe drewno? – spytałam.

– Pewnie ze składu budowlanego – powiedział Eddie i pociągnął łyk piwa.

– Chyba faktycznie ma za dużo czasu – stwierdziłam ze śmiechem. – Biedny Dave.

Eddie poprowadził nas do stojącej nieopodal grupki. Zostałam przedstawiona diakonowi i jego żonie, a Andy uściskał mnie, po czym z teatralnie smutną miną pokazał mi puszkę coli.

– Och, tak mi przykro, że musisz prowadzić – wyraziłam swoje współczucie.

– I jeszcze to – dodał, wskazując na dom, w którym była Cassie. – Kac zdecydowanie jej nie służy.

Wszyscy okazywali dobry humor, ja też świetnie się bawiłam. Nie odstępowałam Louisa, a on cały czas miał w zasięgu moje ramię. Reszta towarzystwa rozmawiała i żartowała, jakby życie wyglądało tak samo tego dnia jak poprzedniego i tak samo, jak miało wyglądać nazajutrz, tymczasem mnie i Louisa łączył sekret, od którego skóra niemal mi wibrowała. My dwoje wiedzieliśmy więcej.

Zamknęłam oczy i wdychałam chłodne powietrze, sycąc się jego rzeźkością. Uniosłam powieki, gdy poczułam swojski zapach dymu.

– Zapaliliście już? – skierowałam pytanie do Dave’a, zastanawiając się, czy zapach pochodzi z naszego ogródka, czy od sąsiadów.

– Owszem – odparł Dave. – Maleństwo już płonie.

Podeszliśmy z Louistem bliżej ogniska. Patrząc na centralne tipi z podpałki, zauważyłam dziwne płomyki wysuwające się na zewnątrz, przypominały język kotki liżącej główkę swojego młodego. Słyszałam ciche pyknięcia, a następnie trzaski, gdy ze środka zaczął wypełzać większy ogień.

– Czujesz już ciepło? – spytał Louisa.

– Trochę, na nogach – odparł i przechylił głowę bokiem do ognia. – Brzmi tak, jakby ktoś miał celofan.

Stężałam, kiedy rozległ się głośniejszy trzask. Niepokoiły mnie płonące kulki strzelające na boki. Odruchowo zmrużyłam oczy, w obawie, że coś może mi do nich wpaść. Robię tak samo, kiedy smażę bekon.

– Wszystko w porządku? – spytał Louis, czując, że zeszywniałam.

– W porządku.

– Jak to wygląda? – spytał Louis.

Odchrząknęłam. Louis nieczęsto prosił mnie o to, co było takie trudne. Opisywanie kolorów miało się z celem, bo nic dla niego nie znaczyły, a przecież są bardzo istotne przy opisywaniu ognia. Chciałam mu opowiedzieć o odcieniach bursztynu, pomarańczy, czerwieni i złota, ale mentalnie odsunęłam je na bok jak przedmioty na gzymsie kominka i próbowałam zastąpić czymś innym, co można by smakować, dotykać, wachać.

– Wyobraź sobie smoka z zimną twardą skórą, wygląda na martwego, ale jego serce jest gorące, tak gorące, że widzisz je z zewnątrz. To ostry rodzaj gorąca, takie, jakie byś poczuł, gdyby cię wrzucono w cierniste krzaki. Ten ogień jest jak zwierzę powoli wracające do życia od środka. To najbardziej żywa rzecz, jaką sobie można wyobrazić. Żar jest tak potężny, że wprawia całą tę istotę w ruch. Usłyszysz jej ryk, wpadnie w gniew i będzie chciała zawładnąć światem wokół tak bardzo, że niemożność osiągnięcia celu ją zniszczy. I po jakimś czasie oklapnie, znieruchomieje, a żar w środku zginie ostatecznie. Jednak jej puls nadal będzie bił, zachowa też pamięć o czasie, kiedy mogła cię pochłoniąć, a jeśli jej dotkniesz, będzie gryźć.

Umilkłam, zaskoczona własnymi słowami. Zaraz potem poczułam, że Louis drży; zmartwiłam się, że opisując piękno żywiołu, uświadomiłam mu, co go omija. Kiedy jednak dokładniej mu się przyjrzałam, zobaczyłam, że próbuje powstrzymać śmiech.

– Ty draniu. – Szturchnęłam go, na co odpowiedział głośnym parsknięciem.

Skupiłam wzrok na ognisku, pełna podziwu dla kunsztu, z jaką postawiono całą konstrukcję. Trochę szkoda było ją spalić, ale ostatecznie takie było jej przeznaczenie. Płomienie buzowały wysoko, równomiernie ze wszystkich stron. Na poziomie oczu miałam fragment gazety z artykułem o zbieraniu funduszy na szpital dziecięcy i ulotkę miejscowego centrum ogrodniczego, która wydała mi się znajoma. Najwyraźniej skorzystano z naszych zbiorów makulatury. Na moment zatrzymałam spojrzenie na starym notatniku, który zapełniałam listami zakupów i różnymi domowymi przypomnieniami, zrobiło mi się trochę smutno, że ma spłonąć; zawsze miałam sentymentalny stosunek do swoich zapisków, nawet tych najmniej ważnych.

Powędrowałam wzrokiem wyżej, na samą górę stosu, gdzie było ciemniej, bo nie docierały tam światła z domu. Zastanawiałam się, dlaczego czubek nie jest spiczasty, tylko wydaje się płaski, i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że pod dziwnym, jakby zawadiackim kątem ułożono tam coś, co wieńczyło konstrukcję jak niedbale nałożony kapelusz. Nagle sobie przypomniałam, jak pewnego gorącego dnia Eddie kosił trawnik w pożyczonej od jednej z dziewczynek czapce baseballowej, śmiesznie małej na jego głowie. Cokolwiek było tam na górze, miało zaraz spłonąć, niczym kukła nieszczęsnego Guya Fawkesa.

Dostrzegłam litery, odwrócone do góry nogami, i odruchowo zaczęłam je czytać, jedną po drugiej. Migotliwy blask spod spodu na moment je oświetlił, a zaraz potem znów skryły się w cieniu. Błysk świadomości był jak ostrze noża wbitego w brzuch.

Na czubku ogniska tkwiło niczym korona moje pudło po kosmicznym skoczku.

Wcześniejsze łagodne trzaski przeszły w odgłos zgniatanego samochodu, a ja i tak przebiłam ten hałas wyciem, które wydarło się z głębi moich trzewi. Lwim rykiem albo tym pierwotnym krzykiem, który podczas porodu zapowiada przyjście na świat nowego życia. Albo śmierć. Albo wyraża strach, że już nigdy nie zobaczymy ukochanej osoby.

Wyszarpnęłam ramię z uścisku Louisa i podbiegłam do ognia; miotałam się na skraju płomieni, dotykając stopami rozżarzonych głowni, aż zaczęło mi się dymić z butów. Zdjęta trwogą, wpatrywałam się w pudło na szczycie stosu. Dla mnie równie dobrze mogła się tam znajdować moja matka; z dołu sięgały po nią płomienie, próbowały ją chwycić, jak płonące ramiona skazańców, którzy starają się wykraść strażnikowi klucze przez kraty swoich cel. Wołałam Eddiego tak, jakby w ogniu znalazło się jedno z naszych dzieci. I Eddie natychmiast do mnie przybiegł.

Zanim to nastąpiło, usiłowałam się zbliżyć do pudła, nachylona oparłam dłonie o drewniane boki stosu. Konstrukcja utrzymała mój ciężar, ale wznieciłam iskry, całe mnóstwo, wyglądały jak pomarańczowa zadymka śnieżna. Tysiące, miliony płonących cząsteczek wzleciały w górę, zapowiadając coś bolesnego. Ale płomienie jeszcze mnie nie tknęły.

W tej nienaturalnej bliskości ognia czaiło się swoiste piękno. Oszałamiające w taki sposób, jaki się zdarza, tylko gdy mamy do czynienia z zakazanymi rzeczami, jak zagładanie w paszczę smoka. Oparta o zewnętrzne żerdzie spoglądałam w dół i to było jak podglądanie piekła przez szczelinę w podłodze. Żar buchał mi w twarz. Popatrzyłam w górę, na pudło, widziałam, jak czernieje w świetle coraz większych płomieni, miejscami już ponadpalane; na powierzchni najbardziej wystawionej na działanie wysokiej temperatury tworzyły się bąble. Mój strach się wzmagił.

To dziwne, co mi się wtedy przypominało: scena z filmu, gdy pozytywny bohater i ten zły w tym samym momencie dostrzegli obiekt swojego pożądanego – może klucz, ale raczej pistolet – i wymieniwszy błyskawiczne spojrzenia, równocześnie się po niego rzucili. Każdy z nich miał nadzieję, że będzie szybszy. Podobnie było ze mną i z tymi płomieniami. Moje ciało aż się kurczyło na myśl, że mam się oprzeć o drewnianą konstrukcję. Czułabym się tak samo, stojąc na zamrożonym jeziorze w miejscu, gdzie lód jest najcieńszy, albo na najbardziej niestabilnym pasie gruntu tuż przy krawędzi stromego klifu. Ruch niezbędny do sięgnięcia po pudło mógł prowadzić do mojej zguby, a czując, jak płomienie wdzierają mi się do rękawic i liżą moje ręce, wiedziałam, że to ostatni moment, kiedy w ogóle mogę spróbować.

Wszystko trwało prawdopodobnie niecałe dziesięć sekund, więc zanim rzuciłam się na stos, zanim oparłam prawą nogę na tyle pewnie, by się odbić, zanim mogłam się zabić albo nabawić blizn na całe życie, przybiegł Eddie.

Dopał mnie jednym skokiem, chwycił w talii i pociąg-nął tak, że oboje upadliśmy plecami na ziemię. Brakowało mi tchu, ale choć byłam bezpieczna w jego ciasnych objęciach, potrafiłam myśleć jedynie o pudle w ognisku. Szarpałam się w ramionach Eddiego, rozpaczliwie chciałam się wyswobodzić, ale trzymał mnie tak mocno, że ledwie mogłam wykonać najmniejszy ruch.

– Puść mnie! – wysyczałam nienawistnie. Rzecz jasna, ani myślał spełnić moje żądanie. Uderzyłam go w ramię i krzyknęłam: – Wyjmij to pudło z ognia, jest mi potrzebne!

– O czym ty, u diabła, mówisz? – zawołał w odpowiedzi, ściskając mnie jeszcze bardziej. Potoczyliśmy się po wilgotnej trawie; nie ustawałam w wysiłkach, żeby mu się wyrwać.

– Zabierz to pudło z ogniska, błagam cię.

– Chyba żartujesz.

– Zabierz je stamtąd, zanim zostanie z niego tylko popiół – prosiłam żarliwie. – To pudło to moje życie, moje dzieciństwo, moja matka. Jeśli w ogóle mnie kochasz, po prostu to zrób.

– Nie ruszaj się – warknął i odepchnął mnie od siebie. Miał w głosie tyle złości, gdybym go nie widziała, nie rozpoznałabym, że to on. Leżałam na trawie i bezradnie starałam się pilnować pudła

wzrokiem. Patrzyłam, jak Eddie wyjmując długą żerdź z zewnętrznej warstwy tipi; próbował strącić pudło, ale ledwie je musnął. Machnął ponownie, ale gdy i tym razem nie udało się dosięgnąć celu, rzucił żerdzią jak oszczepem, niestety obok przedmiotu mojego pożądanego. W końcu wyrwał z ziemi słupek do wieszania prania i strącił pudło, które przeleciało łukiem na ziemię, leniwie przetoczyło się po trawie i znieruchomiło; z tego, co widziałam, nie paliło się, wręcz sprawiało wrażenie nienaruszonego. Eddie podbiegł do mnie krokiem neandertalczyka, złapał mnie chwytem strażackim i ruszył w kierunku domu, miotając przy tym wściekle przekleństwa. Obijałam się boleśnią o jego bark, niesiona jak niesforne dziecko; widziałam, że nasi goście obserwują nas, jakbyśmy byli obcymi ludźmi występującymi w dziwnym dokumencie na Channel 4. Było mi to obojętne. Nie liczyło się nic poza pudłem.

– Weź pudło, Louis! – zawołałam. – I pilnuj, żeby było bezpieczne.

Eddie zamasyście wszedł do łazienki na górze i bezceremonialnie zrzucił mnie na ziemię. Szarpnął zatyczką tak mocno, że omal nie urwał jej z łańcuszka, napełnił umywalkę zimną wodą, a potem podciągnął mnie za łokieć i włożył do wody moje ręce, bez zdejmowania rękawiczek. W każdym jego ruchu było tyle agresji, że tylko czekałam, aż coś zniszczy. Nie bałam się Eddiego, bardziej przerażało mnie to, czym doprowadziłam go do takiego stanu.

Ręce mu się trzęsły, kiedy ostrożnie zdejmował rękawiczki z moich dłoni, w obawie, że poparzona skóra mogła przywrzeć do materiału. Po pewnym czasie Cassie zajrzała do środka i z niepewną miną patrzyła na wykonywane przez niego – w milczeniu, ze złością – zabiegi.

– Wszyscy wychodzą – powiedziała, zwracając się do Eddiego; prawdopodobnie uznała, że postradałam zmysły. – Clem podwiezie Louisa do domu.

– Zabrał ze sobą pudło? – Sama też usłyszałam wariacki ton we własnym głosie.

Eddie ściągnął rękawiczkę jednym energicznym szarpnięciem, jak plaster, kwitując w ten sposób moje zachowanie. Na szczęście skóra pod spodem nie wyglądała źle, tylko w kilku miejscach była zaczerwieniona i tkliwa.

– Tak, wziął ze sobą pudło. – Zerknęła na mnie pytająco, a następnie posłała znaczące spojrzenie Eddiemu. Co chciała mu zakomunikować? Że teraz zamieszkuję w innym świecie niż oni, bo nagle przestali rozumieć moje zachowanie?

– Na pewno da się to jakoś wytłumaczyć – powiedziała do Eddiego, kładąc mu dłoń na ramieniu. Byłam niewidzialna.

– Jak można wytłumaczyć to, że prawie się zabiła dla... bez powodu? – zachnął się Eddie.

– Mam powód – włączyłam się do rozmowy.

– Jaki? – Niemal wypluł to słowo. Odwrócił się tak gwałtownie, że woda chlusnęła z umywalki na podłogę; przeszył mnie spojrzeniem pełnym nienawiści, jakbym była obcym człowiekiem, który omal nie zabił mu żony.

Zobaczyłam siłę jego miłości do mnie. Gniew wziął się ze strachu, że mnie straci. Stanowił miarę uczucia. Eddie dostrzegł tę stratę i ją zaatakował. A co miało tłumaczyć podjęte przeze mnie ryzyko? Tekturowe pudło. Uświadomiłam sobie, że kiedy powiem mu prawdę – bo wiedziałam, że muszę – niezależnie od tego, czy mi uwierzy, czy nie, może przynajmniej dozna ulgi, że nie zrobiłam tego bez powodu.

– Powiem ci wszystko – obiecałam. Zaraz potem kolana się pode mną ugięły i wielkie zmęczenie spadło na mnie niczym sterta ciężkich koców.

– Uważaj na nią – poradziła Cassie. – Chcesz, żebym zabrała dzieci na parę dni?

Usłyszałam, jak Eddie potakuje i zaczyna szukać piżam i innych niezbędnych rzeczy, na co Cassie zapewniła go, że wszystko już sama zorganizowała. Całkowicie poddałam się zabiegom męża, który zaniósł mnie do sypialni, rozebrał – jak zawsze, gdy byłam zbyt pijana, żeby zrobić to samodzielnie – a później poczułam, jak owija moje piekące dłonie miękkim bandażem. Przycisnęłam nasączony lekiem materiał do ust i próbowałam spojrzeć Eddiemu w oczy, ale unikał mojego wzroku. Trzymając szklankę z wodą, włożył mi do ust kilka pigułek, jak sądzę, przeciwbólowych, po których zapadłam w niespokojny sen.

W pewnym momencie obudziłam się i zobaczyłam, że Eddie siedzi na brzegu łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach i płacze. Dotknęłam jego pleców, ale się nie poruszył ani nie przestał szlochać, a ja znów popadałam w senne odrętwienie.

Pamiętam, że byłam podnoszona, przytykano mi wodę do ust, słyszałam jednostajny pomruk, jakby modlitwy, a może po prostu wyznanie miłości lub słowa pociechy. Na jedno wychodziło.

Nie wiem, jak długo spałam, zanim w pełni odzyskałam świadomość. Pokój zalewało spokojne światło dnia, mięśnie bolały mnie od pozostawiania zbyt długo w jednej pozycji. Spragniona wzięłam szklankę ze stolika przy łóżku, trzymając ją niepewnie w obu zabandażowanych dłoniach, a potem odstawiłam ostrożnie; gardło miałam obolałe, chciałam się napić mleka, w brzuchu mi burczało, jakby ktoś grzechotał kulka w opróżnionej puszcze, ale nie mogłam sobie wyobrazić, że przełykam jakieś jedzenie. Przetoczyłam się na posłaniu i gwałtownie wstrzymałam oddech na widok Eddiego śpiącego na materacu jednej z dziewczynek. Przyciągnął go i ułożył przed drzwiami naszej sypialni.

Żeby nie mogła uciec.

Mój ukochany mąż bał się tego, co mogłam zrobić.

– Eddie – wychrypiałam. Poruszył się i otworzył oczy, popatrzył na mnie wzrokiem rannego zwierzęcia. – Przepraszam. – Głos nadal mnie zawodził, zapewne podrażniony dymem, więc próbowałam odchrząknąć.

Ubrany w szorty i T-shirt, rozczochrany, z podpuchniętymi oczyma, usiadł na brzegu łóżka i położył ręce na kolanach.

– Chcę wiedzieć wszystko – oznajmił. Jego głos brzmiał jak odległy dźwięk lecącego dwupłatowca w letni dzień. – Chcę znać prawdę, Faye. – Utkwił we mnie spojrzenie wyrażające dobroć, niepewność i miłość. Pokręcił głową ze smutkiem. – Zawsze mówiliśmy, że nie będziemy się nawzajem okłamywać, i ja nigdy nie zламаłam tej obietnicy. A ty z jakiegoś powodu tak. – Otworzyłam usta, żeby się odezwać, ale powstrzymał mnie gestem.

– Po prostu słuchaj – poprosił. – Może mnie jest łatwiej niż tobie, bo nigdy nie chciałem cię okłamać, nigdy nie miałem takiej potrzeby. Więc tego nie zrobiłem. Ale nie zasługuję za to na medal, bo tak powinno być, tego powinnaś oczekiwać. Tymczasem ty okłamujesz mnie od dłuższego czasu i wydaje mi się, że okazałem już dość cierpliwości. Próbowałem ci ufać i modliłem się, żeby twoje kłamstwa płynęły z miłości do mnie, a nie z chęci oszustwa. Przyszedł jednak czas, żebyś mi powiedziała, co się dzieje. – Dotknął mojej twarzy w miejscach, gdzie goiły się zadrapania, a potem przesunął delikatnie palcami po ramieniu, gdzie widniały żółte, niebieskawe i brązowe siniaki. – Chcę wiedzieć, skąd się wzięły, chcę wiedzieć, dlaczego weszłaś w ogień. Chcę wiedzieć, dlaczego to cholerne pudło tyle dla ciebie znaczy. Chcę wiedzieć wszystko.

– A ja zamierzam ci wszystko powiedzieć. – Głos wciąż miałam chrapliwy, ale spokojny.

– Bardzo mnie to cieszy.

– Ale niełatwo będzie tego słuchać – ostrzegłam.

– Może być jeszcze gorzej? – Uśmiechnął się blado, jakby już wiedział, że chodzi o coś strasznego.

– Możesz pomyśleć, że zwariowałam. – Oczy mi zwilgotniały.

– Za późno, kochanie. Już to wiem. – Ucałował moje palce.

– Rozmawiałeś z Lousem? – domyśliłam się.

– Owszem. Ma twoje pudło. – Eddie westchnął, jakby chodziło o mojego byłego chłopaka, o którym już nie chce słuchać. – Twierdzi, że go pilnuje i że nie jest bardzo zniszczone. Powiedział też, że masz coś, co należy do niego, że to bezpiecznie schowałeś. Spytał, czy mógłby to odebrać, ale nie wiedziałem czego i gdzie szukać.

Mówił o paczce ze starymi, wycofanymi z obiegu pieniędzmi.

– Na dnie szafy, brązowe kartonowe pudełko.

– Mam nadzieję, że zamierzasz mi to wszystko wytłumaczyć.

Przytaknęłam skinieniem.



– Możesz poprosić Louisa, żeby jutro mnie odwiedził?

– Okej – odparł Eddie. – A kiedy porozmawiamy?

Odgarnęłam mu z twarzy kosmyk ciemnych włosów, już z poczuciem ogromnej ulgi.

Pomyślałam o wierze Eddiego w Boga, opartej na ufności i przekonaniu, że istnieje coś niewidzialnego, a mimo to niewzruszonego. Pomyślałam też o tym, co kazało mi wierzyć, że przeniosłam się w czasie na spotkanie z matką, i o tym, że uwierzyłam w to wyłącznie dzięki zmysłowym dowodom – temu, co widziałam, słyszałam i czego doświadczyłam zmysłem węchu. Smakowi grzanki z lat siedemdziesiątych, zetknięciu skóry ze skórą, kiedy matka pomagała mi się wspiąć na drzewo. Potrzebowałam tego. A Eddie nie potrzebował. Eddie nie był głupi i nie uwierzyłby w każdą historię. Wiedziałałam, że mi ufa i rozpozna prawdę, kiedy ją usłyszy, tak samo jak rozpoznawał kłamstwa. To, co zrobi z poznaną prawdą i co będzie o mnie myślał, musiałam pozostawić w jego rękach. Ufałam mu i nie chciałam czekać dłużej ani kazać jemu czekać, więc obiecałam powiedzieć mu wszystko.

– Teraz.

Eddie słuchał. Ja mówiłam. Zaczęłam od zdjęcia, opowiedziałam mu, jak znalazłam pudło na strychu i co się zdarzyło tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy podróżowałam w czasie. Przypomniałam mu o odniesionych wówczas obrażeniach i o tym, że prawda, jakkolwiek niewiarygodna, nadawała temu wszystkiemu sens. Tłumaczyła to, że widząc opuszczoną drabinę, zajrzał na strych i było tam pusto, a potem usłyszał łomot, znów tam zajrzał i mnie znalazł. Powiedziałam mu, jak bardzo chciałam wtedy z nim porozmawiać, ale wiedziałam, że uzna mnie za szaloną. Opowiedziałam, jak wyznałam wszystko Louisowi, bo sądziłam, że mi uwierzy, ale dał się przekonać dopiero później.

Przyznałam się Eddiemu, że wróciłam w przeszłość po raz drugi, kiedy był we Francji, i za drugim razem zostałam z matką dłużej. Powiedziałam mu o spotkaniu z Elizabeth i o tym, co się stało z wrotkami i moim pierścionkiem zaręczynowym. Opowiedziałam mu, jak z Louistem odwiedziliśmy Elizabeth, jak skłamała, że pierścionek został skradziony, a poczucie winy kazało jej przysłać mi inny pierścionek, w formie obrączki wysadzanej brylantami.

Przedstawiłam Eddiemu mój dylemat dotyczący powrotu do przeszłości; opowiedziałam, jak brak pierścionka zaręczynowego kazał mi się poważniej zastanowić nad konsekwencjami, i o tym, że starałam się żyć dalej jak normalna osoba. Wyjawiłam mu swoje najświeższe plany, powstałe po tym, jak się dowiedziałam od Henry'ego, że moja matka nie umarła, w każdym razie nie na pewno, tylko zaginęła, i że to moja wina, bo zaczęła mnie uważać za swojego anioła stróża i poszła mnie szukać.

Powiedziałam mu, że muszę tam wrócić, ostatni raz, by wszystko naprawić, wyznać Jeanie prawdę, a potem na zawsze zrezygnować z podróży w czasie. Powiedziałam mu też o starych pieniądzach, kombinezonie narciarskim i materacu w domu Louisa. I wreszcie o tym, jak zobaczyłam pudło na czubku ogniska i nie miałam wyboru, musiałam je ratować.

Na koniec powiedziałam mojemu mężowi, człowiekowi, któremu ufałam bardziej niż komukolwiek innemu na świecie, że pudło po kosmicznym skoczku musi być bezpieczne, ponieważ jest jedyną deską ratunku. Życie mojej matki zależy od niego, a jeśli uważa, że już straciłam zmysły, to gdyby pudło przepadło, wtedy naprawdę bym je postradała.

I znowu zapadłam w sen.

Kiedy się obudziłam, Eddie siedział na brzegu łóżka; długo wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem. Zaschło mi w ustach, więc zerknęłam na nocny stolik, na co Eddie sięgnął po stojącą tam szklankę z wodą i trzymał ją przede mną, zanim z wysiłkiem przybrałam siedzącą pozycję. Napiłam się i oddałam mu szklankę, on bez słowa odstawił ją na poprzednie miejsce i podjęliśmy przerwany kontakt wzrokowy.

– Jak to jest mieć szaloną żonę? – odezwałam się w końcu.

Eddie delikatnie przytrzymał mój podbródek, żebym nie odwróciła głowy, i zajrzał mi w oczy głęboko i intensywnie; jego spojrzenie było jak basowa nuta w piosence, którą bardziej się odczuwa jako wibracje w sercu, niż odbiera słuchem.

– Cudownie – odpowiedział, po czym nachylił się i pocałował mnie w czoło.

– Naprawdę? – spytałam nienaturalnie cienkim głosem.

– Naprawdę. Niczym się nie różnisz od kobiety, którą kiedyś poznałem, ani od tej, którą byłaś wczoraj. Kochałem cię wtedy i kocham teraz. Tyle że teraz mogę ci towarzyszyć w tym, co przeżywasz.

– Ale to szaleństwo – powiedziałam.

– Owszem, do pewnego stopnia. – Uśmiechnął się. – Ale ja w ciebie wierzę, Faye. Cokolwiek to jest, jest szalone, ale cudowne. Ty jesteś cudowna. Nie martw się, będzie dobrze. Musimy po prostu zająć się wszystkim po kolei.

Pokiwałam głową.

– Czy pudło jest bezpieczne? – Nie zdołałam się powstrzymać przed tym pytaniem.

– Tak – zapewnił, po czym klepnął się otwartymi dłońmi w kolana, jakby sygnalizował zmianę kursu. – Jesteś głodna?

Potwierdziłam, więc usmażył mi jajecznicę. Okazało się, że spałam, budząc się od czasu do czasu i ponownie odpływając w sen, przez dwa dni. Wzięłam kąpiel, a potem Eddie zmienił mi opatrunki. Choć dłonie bolały, nie doznałam poważniejszych obrażeń. Wrażenie było takie, jakbym na moment dotknęła żelazka nastawionego na temperaturę prasowania bawełny, pojawiło się kilka pęcherzy, ale niewiele. Miałam szczęście.

Najedzona ożywiłam się i Eddie spytał, czy chciałabym się zobaczyć z Louisem. Moim „wspólnikiem zbrodni”, jak go określił z humorem. Zawiózł mnie do niego, twierdząc, że wyrwanie się na chwilę dobrze mi zrobi, i obiecał przyjechać po mnie za godzinę. Później mieliśmy razem odebrać dzieci od Cassie.

Louis uściskał mnie i towarzyszącego mi męża, po czym nie tracąc zbyt wiele czasu na wstępne uprzejmości, powiedziałam:

– Eddie twierdzi, że pudło jest bezpieczne.

– Tak, zrzucił je z ogniska i wylądowało na trawie. Twoi znajomi musieli mnie uznać za wariata, kiedy się uparłem, że zabiorę je ze sobą. Ma teraz dziurę z boku, a miejscami jest poczerniałe i się łuszczy. Nie wiem, jak bardzo te zniszczenia przeszkadzają...

– Nadal spełni swoje zadanie – weszłam mu w słowo.

– Czyli nie zrezygnowałaś z kolejnej wyprawy?

– Gdybym zrezygnowała, cały ten dramat na nic by się nie przydał – powiedziałam.

– Czasami trzeba zrezygnować. Czasami sprawy idą za daleko. Masz szczęście, że żyjesz, z tego, co słyszałem.

– Prawie nic mi się nie stało, tylko trochę poparzyłam ręce, i to nie ma nic wspólnego z podróżą w czasie.

– Miałoby, gdyby pudło znalazło się w ognisku podczas twojego pobytu w przeszłości – powiedział, a ja się skrzywiłam na tę straszną myśl.

Louis zamilkł, a jego poza zapowiadała, że ma coś ważnego do powiedzenia.

– Muszę ci coś wyznać – zaczął.

– Mów.

– Sam spróbowałem.

– Czego? – Wyprostowałam się odruchowo. – Wszedłeś do pudła?

– Włożyłem kombinezon narciarski i w ogóle.

– Louis! – Nie wiedziałam, jak to odebrać. Poczułam się, jakby naruszono moje prawo własności. Chciałam krzyknąć: „To moje pudło!”. Oburzenie walczyło we mnie z ekscytacją. – I co się stało?

– Włożyłem ten kombinezon, trochę na mnie przyciasny, i wszedłem do pudła. Stałem i czekałem, bo mówiłaś, że czasami to trochę trwa.

– No i...? – ponagliłam.

– Po mniej więcej dziesięciu minutach wyszedłem z pudła. Czułem się jak kompletny idiota. Zdjąłem kombinezon i zjadłem batonik Mars. A właściwie dwa.

– Myślisz, że pudło nadal działa? – spytałam zaniepokojona.

– Tak, myślę, że z pudłem wszystko w porządku. Instykt podpowiada mi, że to działa przez twój kontakt z matką, nie ma nic wspólnego ze mną. Nie sądzę, by pudło stanowiło bilet do lat siedemdziesiątych dla każdego chętnego.

– Muszę tam wrócić – oznajmiłam stanowczo. – Jak ręce mi się podgoją. Ale wkrótce, nie mogę tego za długo odkładać.

– Myślisz, że Eddie ci pozwoli?

– Tej kwestii nie poruszyliśmy, ale powiedziałam mu wszystko. I poszło lepiej, niż się spodziewałam.

– Wiem, odwiedził mnie wczoraj wieczorem, mówił, że wszystko mu opowiedziałaś, przywiózł te stare pieniądze, które zamówiłem. I zabrał pudło.

– Co takiego? – Niemal poderwałam się z miejsca. – Myślałam, że jest tutaj. – No tak, oczywiście. Poczułam się strasznie oszukana, uświadomiwszy sobie, że Eddie z pewnością by mnie nie zostawił u Louisa, gdyby pudło było u niego.

– Powiedział, że zależy ci na bezpieczeństwie pudła i on je zapewni. I że nie ma sensu trzymać go u mnie, skoro on już wie, co się dzieje.

– Sądysz, że naprawdę mi uwierzył? – Usiadłam i próbowałam się uspokoić.

– Przecież jest twoim mężem, więc czy miałyby być inaczej?

– Myślałam tak, kiedy byliśmy razem, ale teraz go tutaj nie ma i już sama nie wiem...

– Kiedy tu przyjechał, twierdził, że to zdumiewająca historia, a ja przyznałam mu rację. Wtedy powiedział: „Ale ty w nią wierzysz, Louis”, więc potwierdziłam, bo nie zdarzyło się nic, co by mi kazało zwątpić w jej prawdziwość. Powiedziałem mu też, że poznałem Elizabeth.

– Coś jeszcze?

– Eddie wierzy, że mówiłaś prawdę.

– Innymi słowy, nie podejrzewa mnie o kłamstwo, tylko uważa, że zwariowałam.

– Tego nie wiem, ale dla niego to też niełatwe, Faye. Był świadkiem, jak omal nie zginęłaś, próbując ratować jakieś pieprzone kartonowe pudło, odpuść mu trochę.

Roześmialiśmy się oboje, ja ostrożnie, bez przekonania.

– O cholera... – Nagle mnie olśniło. – Cholera.

– Co?

– Eddie zamierza się pozbyć pudła – jęknęłam.

– Co? Dlaczego?

– Czy to nie oczywiste? Gdyby w domu był pistolet, też by się go pozbył. Uważa, że to pudło mnie zabije. Och, Louis, a jeśli jest już za późno? Myślisz, że już je wyrzucił?

– Cóż, można do tego podejść tylko na dwa sposoby, więc się uspokój. Może istotnie jest za późno i wtedy już nic nie możesz zrobić.

– Ale moja matka – załkałam, aż zabolowało mnie gardło. – Potrzebuję jej, muszę ją zatrzymać, żeby mnie nie opuszczała. Gdybym się tam nie pojawiła, może by nie zniknęła.

Louis pochylił się ku mnie.

– Ale się pojawiłaś, prawda? – powiedział z naciskiem, takim tonem, jakby mnie karcił. – I zrobiłaś trochę dobrego. Zapewniłaś spokój ducha Elizabeth. Dałaś radość Em i Henry’emu. Kto wie, ile spokoju i radości oni przekazali światu z twojego powodu. Ty coś straciłaś, oni zyskali. Nie można mieć wszystkiego, Faye. Musisz z pewnych rzeczy zrezygnować.

– Nie mogę! – Otarłam łzy z twarzy wierzchem zabandażowanych dłoni. – Jeśli znów tam wrócę, to dlatego, że muszę. – Nawet nie próbowałam szukać logiki w swoich argumentach.

– Sam już nie wiem. – Louis westchnął. – Szczerze mówiąc, Faye, cieszę się, że Eddie zabrał pudło, bo uważam, że przestajesz to ogarniać. Fatalnie bym się czuł, pozwalając ci do niego wejść.

Eddie zajeżdżał przed dom, więc szybko chwyciłam kurtkę. Nie wysiadał z auta, rozmawiał przez telefon, a ja zastanawiałam się, co pomyśli na widok moich czerwonych oczu. Może nie zauważy, ale w końcu oczy są oknami duszy, więc może jednak zauważy, skoro tak go interesują ludzkie dusze.

Wychylił się, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera, i jego głos poniósł się po podjeździe. Zorientowałam się, że rozmawia z jakąś kobietą. Po raz pierwszy w życiu poczułam ukłucie nienawiści, małe, lecz ostre jak żądło. Był stanowczo za przystojny na pastora; wkrótce miały się do niego garnąć kobiety z problemami, wdowy, producentki wspaniałych domowych tortów. Mój mąż: Pogromca Pudeł.

Usiadłam z rękami splecionymi na piersi. Eddie zakończył rozmowę i spojrzał na mnie. Odwróciłam głowę.

– W porządku? – spytał.

– Co zrobiłeś z moim pudłem? – Nie potrafiłam na niego patrzeć, słuchając odpowiedzi na to pytanie.

Zawahał się. No jasne...

– Jest na strychu, w domu. Zadowolona?

Odwróciłam się do niego tak gwałtownie, że aż zabolęła mnie głowa.

– Naprawdę? – Nie dowierzałam i chciało mi się płakać.

– Tak. Pomyślałem, że to najbezpieczniejsze miejsce. Wiedziałem, że Louis będzie go pilnować, ale wolałem, żeby było w naszym domu.

Zacisnęłam powieki, żeby powstrzymać łzy.

– Co się dzieje? – spytał Eddie.

– Kiedy Louis powiedział, że zabrałeś pudło, pomyślałam, że postanowiłeś się go pozbyć. – Głos mi drżał jak most na linach, w dodatku taki, który zaraz może się zerwać.

Eddie wziął mnie za rękę i pogłaskał po włosach.

– Wczoraj wszystko mi powiedziałaś, myślisz, że nie rozumiem, jakie to pudło jest dla ciebie ważne?

– Ale jest niebezpieczne i poraniłam się, próbując je wyciągnąć z ognia, więc pomyślałam, że może chcesz to wszystko raz na zawsze zakończyć. – Pociągnęłam nosem, więc podał mi chusteczkę. Bez skutku próbowałam ją rozłożyć zabandażowanymi dłońmi. – Przepraszam. – Uniosłam rękę w geście bezradności. – Wystarczy spojrzeć, przez co musisz przechodzić z mojego powodu.

– Sama sporo przeszłaś, i to beze mnie. Żałuję, że wcześniej się nie przyznałaś, bo mógłbym cię wspierać.

– Myślałam, że będziesz się śmiał – skłamałam, bo nigdy nie podejrzewałam Eddiego o to, że mnie wyśmiej. Już prędeż, że uzna mnie za wariatkę, zmieni o mnie zdanie. Że już nie będę tą kobietą, którą kochał. – Myślałam, że będziesz się śmiał – powtórzyłam – ...i będziesz próbował mnie przekonać, że to nieprawda.

– Ty się nie śmiałaś, kiedy ci powiedziałem, że Bóg poklepał mnie po ramieniu i przemówił do mnie w kościele. Nie próbowałaś mnie przekonać, że to nieprawda.

– To chyba co innego? – wyraziłam wątpliwość. – Mniej ekstremalne. I mniej dziwne.

– Ale nie wierzysz w Boga tak jak ja. Wręcz oświadczyłaś wprost, że w ogóle nie wierzysz.

Pokiwałam głową.

– Staram się.

– Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że ja wierzę, że Bóg dotknął mnie fizycznie i przemówił do mnie słyszalnym głosem. To było łagodne przeżycie, a nie szalona jazda w przestrzeni z twardym lądowaniem w przeszłości, trzydzieści lat do tyłu, ale było prawdziwe. Dla mnie. I liczy się to, czy w to wierzysz.

– Więc... ty mi wierzysz.

– Wierzę ci tak samo, jak ty wierzysz we mnie – odparł trochę enigmatycznie.

– Czy to znaczy, że według ciebie postradałam zmysły?

Eddie parsknął czystym, pięknym śmiechem.

– Tylko jeśli ty myślisz to samo o mnie. Uważasz, że postradałem zmysły?

Zaprzeczyłam ruchem głowy. Popatrzyłam na Eddiego, otwierając szerzej oczy, żeby mógł wejrzeć w moją duszę.

– Boże – odezwał się szeptem – przemów do mnie! – Wolno pokręcił głową. – Nie widzisz, że moja historia jest tak samo niewiarygodna jak twoja, a może nawet bardziej? Ja mówię o Bogu, a ty mówisz o swojej matce.

– Więc dlaczego moja opowieść wydaje się taka niewiarygodna w porównaniu z twoją?

– Nie wiem, być może ma w sobie więcej dramatyzmu: pudła, strychy, przepowiadanie przyszłości, skradzione pierścionki, ratowanie siebie jako dziecka, poznawanie matki, której nie widziałaś od dzieciństwa. Każdy chce wiedzieć takie rzeczy. Ale z pewnością nie każdy chce wiedzieć o moim powołaniu, a jednak dla mnie to była niezwykła podróż.

– Dlaczego jesteś taki dobry? – Jego grymas mówił, że wcale nie czuje się dobry. – Wiem, że jesteś. Dlaczego? – nalegałam.

– Kiedy słucham innych ludzi i łapię się na tym, że zaczynam ich osądzać, zadaję sobie pytanie: „Kimże ja jestem?”. Słyszałem od pewnej wdowy, że jej mąż staje przy kominku i uśmiecha się do niej.

Upierała się, że naprawdę go widzi. To nie jest odosobniony przypadek, sporo ludzi mówiło takie rzeczy. I wszyscy zakładają, że im nie uwierzę. Ale kimże jestem, Faye, by twierdzić, że to nieprawda?

– Więc mi wierzysz?

– Kimże jestem, by ci nie wierzyć?

– I uważasz, że mamy ze sobą coś wspólnego, bo twój kontakt z Bogiem i mój z matką są podobne?

– Matka to imię Boga w ustach i sercach małych dzieci.

– I dorosłych kobiet też?

– Prawdopodobnie.

– A pudło jest bezpieczne?

– Na razie tak – odparł, po czym zwolnił hamulec, gotów ruszać.

– Zaczekaj, wielbny. – Chwyciłam go za rękę. – Co ma znaczyć to „na razie”?

Wyłączył silnik i obrócił się ku mnie na siedzeniu.

– Posłuchaj mnie, kochanie. Kocham cię bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, łącznie z dziewczynkami... no i Bogiem. – Pocałował mnie w usta, tak delikatnie, że ledwie poczułam dotyk jego warg.

– Kogokolwiek innego? – Uśmiechnęłam się.

– I wierzę ci. Wierzę, że twoje pudło jest mostem łączącym cię z matką, sposobem powrotu do niej. I nie moją rolą jest usuwanie tego mostu. Potrzebujemy pewnych rzeczy, by nam pomagały zatrzymać wspomnienia z przeszłości: pamiątek, zdjęć, pocztówek, listów. Niektóre połączenia z przeszłością są dla nas dobre, trzymamy się ich. Inne nie są aż tak dobre – to te, które nas zatrzymują. Czasami musimy się od przeszłości oderwać. Wiem, że to banał, ale jak inaczej mam to ująć?

Eddie przysunął twarz do mojej twarzy, zetknęliśmy się końcami nosów. Wciągnęłam zapach jego świeżo ogolonej skóry.

– Nie możemy oderwać kogoś innego od jego przeszłości – powiedział. – Nie można przecinać cudzych więzów. Gdybyśmy to zrobili, one paradoksalnie jeszcze by się zacieśniły. Gdybym pozbył się twojego łącznika z matką, nigdy byś się z nią nie rozstała i nie pogodziła ze swoją stratą.

Dotknęłam dłonią jego twarzy i zamknęłam oczy.

– Pozbycie się pudła nie jest moim zadaniem – powiedział Eddie. – Sama musisz to zrobić.

Jakieś dwa miesiące później, na początku stycznia, uznaliśmy, że wtorkowe popołudnie to odpowiednio spokojny moment, żeby się wybrać na plażę. Eddie zawczasu poprosił Cassie o odebranie dziewczynek ze szkoły, miały też u niej przenocować. Prawdopodobnie wrócilibyśmy na tyle wcześnie, żeby położyć je spać we własnych łóżkach, ale żadne z nas nie chciało spoglądać na zegarek, nie tego dnia. Czekały nas duże emocje. Potrzebowaliśmy być sami, tylko we dwoje.

Zadałam sobie trochę trudu i wybrałam ładny strój, jakbym szła na pogrzeb, ale nie włożyłam czarnych rzeczy. Na szyi miałam szafirowy jedwabny szal. Eddie wystąpił w swoich najlepszych dżinsach i szarej koszuli, na którą wciągnął czarny sweter. Wyglądaliśmy jak ludzie, którzy ubrali się porządnie, bo jadą na lotnisko, choć bynajmniej nie tam jechaliśmy.

Oglądając ostatnio mapę, szukaliśmy ustronnej zatoczki, mało uczęszczanej, żeby nikt nam nie przeszkodził, i znaleźliśmy odpowiednią, gdzie byliśmy przed laty.

Zimowe niebo cieszyło oko czystym błękitem, więc otworzyłam okno, lecz szybko znów je zamknęłam, mimo że powietrze było czyste i przyjemnie rześkie. Nagle się przestraszyłam, że nasz cenny ładunek może wyskoczyć z tylnego siedzenia, jak balon, który tylko czeka na odpowiedni otwór, by czmychnąć w przestworza. Moje obawy były głupie, bo przecież tekturowe pudło nie mogło samo z siebie unieść się i odlecieć.

Obróciłam się, żeby upewnić się, że wszystko z nim w porządku, jakby chodziło o dziecko albo szczeniaka po raz pierwszy jadącego samochodem. Wsunęłam rękę między oparciami naszych foteli i dotknęłam tekturowej ścianki. Skoro planowałam pożegnanie, nie zamierzałam się wstydzić tego, że traktuję pudło jak żywą istotę.

Odbyliśmy mnóstwo rozmów, Eddie i ja, o pudle i o tym, że muszę się z nim rozstać. Stawiałam opór, ma się rozumieć, to była najtrudniejsza decyzja w moim życiu. Jednak Eddie wysunął dwa argumenty, które ostatecznie mnie przekonały: o pierwszym z nich wcześniej nie myślałam, o drugim owszem, ale postanowiłam go ignorować. Pierwszy był taki, że któregoś dnia jedna z naszych córek może znaleźć to pudło i do niego wejść. Czy wtedy magia również by zadziałała? Jeśli podejrzenie Louisa było słuszne i to szczególna więź z matką umożliwiała mi podróżowanie w czasie, to może i one przez pokrewieństwo z nią mogłyby przenieść się w przeszłość? A gdyby to nastąpiło, czy przeżyłyby taką podróż? Czy wpadłyby w kłopoty, gdyby mnie przy nich nie było i nie mogłabym im pomóc? Czy potrafiłyby znaleźć drogę powrotną?

Po drugie, pilnowaliśmy naszego pudła, bo znaleźliśmy jego moc i trzymaliśmy je zamknięte na strychu, żeby je chronić i chronić ludzi przed nim. Ale kto opiekował się pudłem w przeszłości? Co by było, gdyby podczas mojej wizyty w latach siedemdziesiątych zaginęło z jakiegoś powodu? Albo gdyby zostało zniszczone po tamtej stronie, kiedy ja bym do niego weszła po tej? Dokąd bym trafiła?

Co więcej, Eddie przekonał mnie, że już osiągnęłam więcej niż ktokolwiek inny po śmierci ukochanej osoby. I miał rację. Gdybym chciała więcej, mogłabym stracić wszystko.

Zatrzymaliśmy się w niewielkim tradycyjnym pubie, praktycznie pustym; szybko znalazłam miejsce przy oknie, a Eddie poszedł po kawę dla siebie i kieliszek wina dla mnie. Chciałam przez cały czas mieć widok na nasz samochód, tak na wszelki wypadek. Na wszelki wypadek czego? No tak, na wypadek gdyby jakiś rabuś z workiem, w czarnej kominiarce pojawił się znienacka na parkingu wiejskiego pubu i włamał się do naszego zamkniętego auta, żeby ukraść z tylnego siedzenia poczerńiałe tekturowe pudło.

Eddie miał rację. Musiałam się go pozbyć.

Cierpliwie czekał, aż dopiję wino, ale oboje wiedzieliśmy, że powinniśmy dotrzeć na plażę, zanim zrobi się ciemno.

Pojechaliśmy trochę dalej; przez moment nawet się zastanawiałam, czy aby nie zgubiliśmy drogi i czy w ogóle znajdziemy to miejsce. Czy byłam zadowolona z nagłego opóźnienia, z odroczenia egzekucji? Lepiej było mieć to z głowy, przetrzymywanie pudła dzień czy dwa dłużej nie miało sensu. Należało zrobić to od razu, żeby móc rozpocząć proces żałoby.

Eddie zatrzymał samochód, wyłączył silnik i odwrócił się do mnie na siedzeniu.

– Gotowa? – spytał.

– Tak – odpowiedziałam.

Nie ruszyłam się, żeby wysiąść, więc okrążył maskę, otworzył drzwi od mojej strony i wyciągnął do mnie rękę. Następnie otworzył tylne drzwi i odsunął się na bok, pozwalając mi zabrać pudło. Nie zaprotestowałam, kiedy się uparłam, że sama je poniosę. Ruszył przodem; tam, gdzie było wąsko, szłam za nim, gdy ścieżka stawała się szersza, zwalniał, bym mogła iść obok niego. Co jakiś czas na moment kładł rękę na moich plecach.

Mam nadzieję, że to nie brzmi śmiesznie, ale tych kilka tekturowych ścianek pozwalało mi czuć bliskość matki i przed pozbyciem się pudła miałam potrzebę trzymania go w ramionach. Nie myślcie, że nie przyszło mi do głowy, by wskoczyć do środka, zanim Eddie zdoła mnie powstrzymać. Wyobrażałam sobie nawet, jak wskakuję i znikam, jakby pod spodem znajdowała się bezkresna dziura.

Zaparkowaliśmy w małej uliczce i przeszliśmy wzdłuż pola pełnego świń i walcowato sklepionych blaszanych chlewików na zalesiony teren, gdzie korony drzew stykały się nad naszymi głowami. Szło się tamtędy jak przez szpaler utworzony przez gości na weselu; młoda para przeciska się pod ich uniesionymi rękami, żeby wsiąść do samochodu i odjechać w podróż poślubną. Tego dnia miało być jednak inaczej. Odnosiłam się niechętnie do rozstania, które mnie czekało, ale ostatecznie przyznałam rację Eddiemu, że jest konieczne. Spomiędzy drzew wyszliśmy na stromą ścieżkę, która miała nas zaprowadzić na plażę pod wysokim żółtym urwiskiem.

Grunt pod naszymi stopami zmienił kolor na rdzawy i stał się kamienisty. Rozciągał się stamtąd widok na bezkres spienionych fal. Poczułam mdłości. Wiatr szarpał naszymi włosami, koniec szala smagał mnie po twarzy. Trzymałam pudło w kurczowym uścisku. Nic nie mogło go wyrwać z moich ramion, dopóki sama nie będę gotowa go wypuścić. Wybór, kiedy to się stanie, należał do mnie.

Weszliśmy na brzeg i patrzyliśmy na morze. Niebo nadal zachowywało niebieski kolor, ale ciemniało; szara woda z miriadami białych plamek piany wyglądała groźnie i tajemniczo.

– Chcesz powiedzieć kilka słów? – spytał Eddie.

– Jak na pogrzebie?

– W pewnym sensie. To tylko inny rodzaj pożegnania.

– Mógłbyś ty coś powiedzieć? – poprosiłam. – Już chyba ćwiczyłeś takie rzeczy?

Zaśmiał się pod nosem.

– Powiem coś, jeśli sobie życzysz.

– Już dobrze, sama to zrobię. – Po krótkim zastanowieniu doszłam do wniosku, że tak naprawdę nie ma znaczenia, co powiem, więc powiedziałam tak: – Nigdy więcej cię nie zobaczę ani nie dotknę, ale zawsze będziesz żyć we mnie. Na zawsze pozostaniesz w moim sercu i nigdy, przenigdy cię nie zapomnę. Bo każda muszelka na tej plaży kiedyś miała w sobie życie i każda pozostawiła po sobie coś pięknego, tak jak ty. Zatem żegnam moją cudowną matkę i modłę się do Boga – spojrzałam na Eddiego i uśmiechnęłam się smutno – żebyś znalazła to, czego poszłaś szukać tamtego dnia, i żebyś znalazła spokój, gdziekolwiek teraz jesteś.

– Amen – powiedział Eddie. Spojrzał na mnie i wyciągnął ramiona. Dałam mu pudło do potrzymania, zdjęłam buty i podwinęłam spodnie do kolan. Oddał mi pudło i zrobił to samo ze swoimi butami i dzinsami. Zostawiliśmy nasze rzeczy na piasku i ruszyliśmy w stronę wody. Była strasznie



zimna, miało się wrażenie, że parzy w stopy. Przykucnęłam, a kiedy fala szerokim jęzorem liznęła brzeg, położyłam na niej pudło i puściłam.

Patrzyłam, jak wraz z wodą odsuwa się o parę metrów, a potem się cofa, jakby nie wiedziało, czy ma nas opuścić, czy zostać. Niegdyś błyszcząca pomarańczowa powierzchnia tektury pociemniała od ognia i licznych uszkodzeń podczas mojego lądowania. Mimo to widziałam twarz dziewczynki siedzącej na piłce – kosmicznym skoczku, i przez moment skupiałam się na jej uśmiechu. Nagle pudło znalazło się znacznie dalej, poza zasięgiem naszych rąk. Morze uspiło moją czujność, pozwoliło myśleć, że wszystko odbędzie się łagodnie i powoli, a potem zabrało je gwałtownie. Widząc, jak zaczyna tonąć, krzyknęłam i ukryłam twarz na piersi Eddiego, trzymając się jego swetra obiema rękami. Nie mogłam dłużej na to patrzeć. Natychmiast poczułam ciepło bijące od Eddiego, który niczym falochron osłaniał mnie od naporu wiatru i hałasu żywiołu.

Wtulona w niego nagle poczułam, jak sztywnieje, a zaraz potem odsuwa się ode mnie. Odwróciłam głowę i spojrzałam na morze. Pudło ledwie było widać nad powierzchnią, ale woda wokół niego wyglądała na wzburzoną, jakby wpadła do niej bomba. W tym pudle była magia, zawsze to wiedziałam, więc może opierało się przed unicestwieniem.

Nim zdążyłam go powstrzymać, Eddie wbiegł do wody jak wyścigowy chart wypuszczony z boks startowego.

– Wracaj! – krzyknęłam. – Zostaw. – Nie posłuchał mnie, biegł dalej; wysoko unosił kolana, walcząc z odpychającymi go falami. Woda wokół pudła nadal się burzyła, a Eddie musiał sobie uświadomić, że chodzi o niezwykle zjawisko, bo teraz on rozpaczliwie próbował ratować pudło z wody, jak wcześniej ja przed ogniem. Na moment zasłonił mi je własnym ciałem; będąc już całkiem blisko, zanurkował, żeby łatwiej je pochwycić.

– Nie! – wydarło mi się z gardła. Eddie świetnie pływał, lecz lodowate fale były bezlitosne. A gdybym go straciła? Gdyby utonął? Za wszystko to ja ponosiłabym winę; najpierw za matkę, teraz za Eddiego. Ruszyłam biegiem przed siebie, dopóki woda nie sięgnęła mi powyżej kolan. Musiałam się zapierać stopami w piasku, żeby utrzymać pozycję stojącą.

Eddie już się nie oddalał, wyglądał, jakby się mocował z pudłem niczym z wielką rybą. Widziałam, jak szeroko rozkłada ramiona, znów zanurkował, a kiedy się wynurzył, fale uderzały w niego, jak gdyby chciały ponownie wcisnąć go pod powierzchnię.

W końcu zdołał stanąć pewniej, wyprostowany, obładowany jakimś ciężarem. Dopiero wtedy zobaczyłam na wpół przytomną, lecz żywą, z ociekającymi wodą włosami, uczeponą szyi Eddiego... moją matkę.

Eddie chwiejnie zmierzał do brzegu, ostrożnie stawiał stopy, starając się jej nie upuścić. Wbiegłam do wody; czułam się jak we śnie, ale zetknięcie z bezlitośnie zimną wodą przywróciło mnie do rzeczywistości. Matka popatrzyła na mnie, zszokowana, i w tym samym momencie fala ochlapała jej twarz, więc zamknęła oczy przed szczypiącą solą i mocniej ścisnęła ramię Eddiego. Zanim do nich dotarłam, Eddie kroczył już pewnie po piasku; dotknęłam ręki matki, ale nie mogłam mu pomóc jej nieść, bo próbując przejąć część ciężaru, tylko bym go spowalniała. Dlatego dreptałam obok nich, nie przestając jej dotykać zsiniałymi z zimna palcami.

Eddie opadł na kolana tuż za krawędzią wody. Położył Jeanie na ziemi i sam wyciągnął się obok niej; kiedy na mnie spojrzał, miał policzek oblepiony piaskiem. Mokra włosy przywarły mu do czoła, białka oczu poczerwieniały z wysiłku. Szczękał zębami.

Matka również szczękała zębami, a wokół ust miała siną obwódkę. Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczyma. Ukłękłam obok niej, ściągnęłam kurtkę, żeby ją okryć, mimo że materiał nasiąkł wodą.

– Czy to niebo? – wydukała z trudem. Całym jej ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze.

– Nie – odpowiedziałam. – To nie jest niebo. – Zajrzałam w jej brązowe oczy. Podobnie jak Eddie miała różowe białka, a ładne długie rzęsy posklejane.

– Mój anioł stróż. Gdzie jestem?

– Znasz tę kobietę? – spytał Eddie.

Czy ją znałam? Niewystarczająco. Przez całe życie brakowało mi widoku jej twarzy, jej obecności, jej wiedzy, jej ciepła. I oto była, niewiele starsza niż ostatnim razem, kiedy ją widziałam, nadal przynajmniej o dziesięć lat młodsza ode mnie. Ostatecznie okazało się, że nie uroniłam żadnej chwili z życia mojej matki, podczas gdy ona straciła trzydzieści lat mojego życia.

Trzymając Jeanie za rękę, pocałowałam ją w policzek. Przyłgnęłam twarzą do jej twarzy, a potem, kiedy już byłam na to gotowa, uniosłam głowę i popatrzyłam na swojego męża.

– Tak, znam ją – powiedziałam. Czekał; tylko pojedyncza prosta linia między brwiami zdradzała, że jest skołowany. Spojrzałam na matkę, a ona wygięła usta w uśmiechu tak ciepłym i swobodnym jak słońce przedzierające się między chmurami.

– To jest moja matka.

Obejrzałam się jeszcze raz na morze i zobaczyłam kilka odpływających kawałków tektury, niektóre tak daleko, że ledwie było je widać. Wiedziałam, że nie ma odwrotu.

Potem, nie wiedząc jeszcze, jakie zadać pytania, i nie znając żadnych odpowiedzi, wstaliśmy z piasku. Jak trójka rozbitków wspięliśmy się na klif. Matka trzymała się mnie pełna niedowierzania. Świadomość, że nie zobaczy więcej swojej małej córeczki, raniła jej serce. Niezwykły dar poznania mnie w obecnej postaci stanowił kompromis, z którym dopiero musiała się pogodzić. Eddie szedł z tyłu, z ręką na ramieniu każdej z nas, jakbyśmy w każdej chwili mogły upaść do tyłu. Wspinałyśmy się, robiąc pierwsze kroki w nasze nowe wspólne życie. Przeszłość pozostała za nami. Odtąd życie miało płynąć tylko naprzód.

## Epilog

Infekcja dróg oddechowych nie była zwykłą zimową przypadłością. Jeanie czuła, że nadchodzi, wczesne objawy były wyraźne niczym granica między morzem a niebem, rozwój przewidywalny jak za każdym razem: na początku lekkie drapanie w gardle, które z każdym dniem sięgało niżej, później spływanie oddechu, ból przy wciąganiu powietrza i brak energii, wreszcie kaszel, którego nie mogła opanować, dopóki nie odkrztusiła flegmy w kawałkach wielkich jak ślimaki. Zdążyła się przyzwyczaić do takiego finału, ale była pewna, że choroba kiedyś ją zabije.

Minęło osiemnaście miesięcy od czasu, gdy Jeanie widziała swojego anioła stróża – kobietę wyglądającą jak jej matka, którą ledwie pamiętała. Kobieta nosiła takie samo imię i miała identyczną mimikę jak córka Jeanie. Czasami Jeanie czuła rozpaczliwą potrzebę odszukania swojego anioła stróża, z czego zwierzała się znajomym – podobnie myślącym pięknoduchom, z którymi rzadko się ostatnio spotykała. Znalazła szczególne porozumienie z tą starszą od siebie kobietą, nawiązała z nią więź i miała wrażenie, że przyciąga ją do niej jakaś magnetyczna siła.

Mijały miesiące, a Faye nie wracała, więc Jeanie żyła tak jak wcześniej, ale nigdy nie przestała się rozglądać: przyspieszała kroku, kiedy zobaczyła podobną sylwetkę, i doznawała rozczarowania, gdy doganiała tę osobę i widziała nieznaną twarz. Zdawała sobie sprawę, że to niemądre tęsknić i pogrążyć się w żalu za przyjaciółką, którą ledwo знаła. Faye miała tyle lat, że niemal mogłaby być jej matką, ale może właśnie o to chodziło, może stanowiła uosobienie cech matki, której Jeanie zawsze brakowało. Może dlatego tak bardzo cierpiała. A fantazja, że ta kobieta mogłaby przejąć opiekę nad jej córką, gdyby Jeanie coś się stało, miała się nigdy nie ziścić. Sieć bezpieczeństwa nie istniała i Jeanie musiała się z tym pogodzić.

Nadszedł czas, by przestać myśleć o tamtej Faye i skupić się na córce. Ostatecznie wcześniej żyły we dwie całkiem szczęśliwie. Musiała wyzdrowieć, bo inaczej mogły się spełnić jej obawy, że umrze młodo, a przecież za nic nie chciała osierocić ukochanej córeczki. Nigdy by jej nie opuściła z własnej woli. Nigdy. Bóg musiałby ją zabrać.

Popatrzyła z czułością na śpiącą dziewczynkę; kołderka unosiła się lekko w rytm jej regularnego oddechu. Pocałowała gładkie czółko.

Zeszła na dół i włączyła czajnik; koniecznie musiała uśmierzyć drapanie w gardle i piersi; miała nadzieję, że pod wpływem ciepła wydzielina z płuc się rozpuści, a ona zdoła ją odkrztusić. Oparta o kuchenny blat odruchowo podniosła dwa puste słoiki po dżemie i poszła je zanieść do szopy. Powietrze już było nagrzane mimo wczesnej pory; zapowiadał się piękny dzień.

Jeanie otworzyła drzwi szopy, mocując się z nimi przez chwilę. Słoiki należały do rzeczy, które trudno trzymać gdziekolwiek indziej, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będą potrzebne. Nie wchodziła do szopy od dawna, może nawet od dwóch lat, bo niewiele tam było poza pajęczynami. Jeanie zastanawiała się nad opróżnieniem wnętrza, wysprzątaniem go i pomalowaniem; miałyby z Faye ogrodowy domek, w którym mogłyby się schować, rozmawiać i bawić.

Na podłodze leżało pudło, mogło się przydać, choć było trochę zniszczone, a za nim walały się rozmaite narzędzia i inne przedmioty. Jeanie wychyliła się, żeby ustawić słoiki na półce przybitej do tylnej ściany, weszła do pudła... i gdy tylko to zrobiła, dno się otworzyło i ją wessało.

Słoiki upadły na podłogę, potoczyły się z brzękiem i w końcu znieruchomiały.

Jeanie pędziła przez ciemność z prędkością pocisku, dopóki nie zobaczyła w oddali... wody? Szarej wody. Nie mogła oddychać; uderzywszy o powierzchnię morza, odrzuciła głowę ponad fale i wciągnęła tyle powietrza, ile tylko zmieściła w płucach.

## Podziękowania

Trudno się zorientować, gdzie tak naprawdę jest początek, ale postaram się zachować kolejność chronologiczną. Nie mogłabym napisać tej książki bez samej siebie, więc chciałabym podziękować rodzicom, Patricii Steele i Normanowi Grauppowi, za to, że wszystko w ogóle się zaczęło.

Dziękuję Sarah Geileskey za naszą cudowną rozmowę na wczesnym etapie pisania, która pomogła mi stworzyć postać Eddiego. Następna do podziękowań jest czwórka przyjaciół, którzy czytali tekst na bieżąco, po kilka rozdziałów, i mówili, że im się podoba. Za wsparcie, cenne uwagi i cierpliwość niech przyjmą wyrazy mojej głębokiej wdzięczności Patrick Doyle, Jo Eccles, Adam Schiller i Amy Schiller.

Kiedy już miałam dość odmów, schowałam rękopis w szufladzie i płakałam w poduszkę, dopóki się nie pogodziłam z myślą, że książka nigdy nie zostanie wydana, otrzymałam wiadomość od przyjaciółki, która namówiła mnie na wysłanie jej do jeszcze jednego agenta. Bez tej zachęty pewnie nie wyjęłabym tekstu ze schowka, dlatego dziękuję Sarah Whyand. Tym „jeszcze jednym agentem” była Judith Murray, postać uwielbiana przez wszystkich w każdej powieści i dobra wróżka w historii mojego prawdziwego życia: dziękuję, że zabrałaś mnie na bal.

Podziękowania niechaj zechcą przyjąć Jo Diskinson i Jackie Cantor z wydawnictwa Simon & Schuster za wzruszającą, emocjonalną odpowiedź na moją książkę. Dziękuję Kate Rizzo za wysiłki przy sprzedaży praw za granicą oraz Alisie Ahmed za wszelką pomoc.

Dziękuję moim dzieciom za wiarę w to, że moja praca zostanie wydana już choćby dlatego, że jestem ich mamą, i za to, że modliły się do całego wszechświata, kiedy obiecałam, że dostaną kotka, jeśli znajdę wydawcę.

Dziękuję Wam za przeczytanie tej książki. Mam nadzieję, że macie poczucie dobrze spędzonego czasu.